

KINGA

WÓJ

CIK

Prószyński i S-ka



OSADZONY

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

KINGA
WÓJ
CIK

OSADZONY

SERIA O KOMISARZ
LENIE RUDNICKIEJ

Prószyński i S-ka

Copyright © Kinga Wójcik, 2021

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© Adrian Britton/[Arcangel Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8234-594-0

Warszawa 2021

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Mojej Siostrze, Patrycji

PROLOG

Wsobotnie październikowe przedpołudnie komisarz Lena Rudnicka stała w holu zakładu karnego przy Beskidzkiej w Łodzi i czekała, aż strażnik siedzący za biurkiem wyda zgodę na widzenie. Klawisz kręcił głową, stękał i mruczał pod nosem, przerzucając papiery. Nie ma pani na liście, orzekł w końcu, nie powinienem naginać przepisów. Komisarz posłała mu jeden ze swoich ujmujących uśmiechów. Jak zwykle to wystarczyło.

– Dobra, proszę wejść – rzucił. – Jasiek! Zaprowadź panią komisarz!

Jasiek okazał się znacznie młodszy od kolegi. Mundur miał świeży, prawie nowy, maszerował energicznym krokiem, demonstrując władzę, jaką dysponuje strażnik więzienny. Nowy, pomyślała Rudnicka, pracuje tu nie dłużej niż kilka miesięcy.

Szczęknęły kraty, przeszli korytarzem prowadzącym do sali widzeń. Pomieszczenie było nieduże, przypominało stołówkę z porozstawianymi po kątach stolikami, tyle że zamiast bufetu w centralnym punkcie znajdowało się wysokie okno, przez które strażnicy obserwowali wnętrze. Ścienny zegar wskazywał dziesiątą trzydzieści siedem.

Człowiek, z którym miała spotkać się Lena, już na nią czekał. Więzień z numerem trzystaście. Mężczyzna o bladej twarzy i niedogolonych policzkach wyglądał, jakby nie jadł od kilku dni. Więzienny uniform, za duży o kilka rozmiarów, wisiał na wychudłym ciele. Mężczyzna siedział ze splecionymi na blacie dłońmi, wodząc wzrokiem za komisarz Rudnicką, jak gdyby chciał zapamiętać każdy jej ruch. Gdy usiadła naprzeciwko, spojrzał jej prosto w oczy.

– Antoni Dunaj – powiedziała. – Kto by pomyślał?

Mężczyzna uśmiechnął się ponuro.

– Zmizerniałeś – ciągnęła komisarz. – W pudle kiepsko karmią?

– Cieszę się, że przyjęła pani moje zaproszenie – odparł. – To wiele dla mnie znaczy.

Antoni Dunaj miał łagodny, wręcz melodyjny głos. Gdyby jego życie potoczyło się inaczej, mógłby starać się o posadę filmowego lektora.

– Przedwczesna radość. Na fanfary nadejdzie pora, nigdy nie wiadomo, co wyniknie z naszej pogawędki.

– Konkretna z pani babka.

– Do rzeczy. Wyjaśnij mi, po jaką cholere tarabaniłam się tu przez pół miasta w sobotni poranek.

– Przyjechała pani z własnej woli.

– Nie – uściśliła. – Z ciekawości.

Dunaj odchylił się na oparcie. Z jego twarzy nie schodził uśmiech. Zachowywał się jak na spotkaniu z dawno niewidzianą znajomą, chociaż widzieli się po raz pierwszy w życiu. Lena miała przeczucie, że nie ostatni.

Wpatrywał się w nią badawczo. Być może spodziewał się kogoś zupełnie innego. Może wyobrażał sobie Rudnicką jako doświadczoną policjantkę w wojskowych spodniach i o krótko ściętych włosach, tymczasem siedziała przed nim kobieta po trzydziestce – jego zdaniem zbyt młoda na stopień komisarza. Antoni jednak nauczył się, że nie wolno oceniać ludzi po wyglądzie, dlatego postanowił dać policjantce szansę.

– Powiesz wreszcie, po cholerę mnie tu ściągnąłeś? – burknęła.

– Oczywiście. – Uniósł otwarte dłonie i zaraz położył je splecione na blacie. – Pozwoli pani, że opowiem pewną historię. Dawno temu żył sobie człowiek. Prowadził dosyć nudne i przewidywalne życie. Miał nudną rodzinę, nudną pracę. Każdy dzień tego człowieka wyglądał dokładnie tak samo i był tak samo nudny. Człowiek przeklinał swój los, sądził, że inni mają lepiej od niego, że każdy napotkany na ulicy człowiek prowadzi lepsze życie. Sąsiadom zazdrościł nowego samochodu, kolegom z pracy zazdrościł premii, zazdrościł ludziom, których mijał na ulicy i tym, obok których siadał w tramwaju. Wydawało mu się, że Bóg specjalnie umieścił go w tak beznadziejnym ciele i skazał na tak nieszczęśliwy żywot. Zastanawiał się, czy Bóg wymierzał mu jakąś karę. Być może w poprzednim życiu wyrządził wiele złego, dlatego teraz został skazany na takie męki. Aż wreszcie nadszedł dzień, który odmienił wszystko. Nagle ten człowiek znalazł się na ustach całego kraju. Zyskał szacunek, którego nigdy nie miał...

– Stop – przerwała komisarz. – Co to za brednie?

– Proszę pozwolić mi dokończyć.

– Nie przyszłam tutaj wysłuchiwać durnych historyjek.

Wstała.

– Niech pani usiądzie i da mi chwilę.

– Dwie minuty – odparła Lena, siadając ponownie na krześle. – I ani sekundy dłużej. Przebywanie w tym miejscu źle na mnie działa. Czuję, że zaraz rozboli mnie głowa, i nie wiem, czy to wina tego miejsca, czy twojego trucia. A może jednego i drugiego.

– To miejsce ma zły wpływ nie tylko na panią.

– Gadaj.

– Pani wie, kim jestem, prawda?

Rudnicka przekrzywiła głowę.

– Siedzi przede mną człowiek skazany za trzynaście brutalnych zbrodni – odparła. – Ostatnią z nich popełniłeś trzynaście lat temu. Zostałeś skazany, zresztą słusznie, na dożywocie.

– Słyszałem, że jest pani dobrym śledczym.

– A to ciekawe. Gdzie słyszałeś?

– Tutaj. – Powiódł wzrokiem po ścianach. – Mówią, że jeśli sprawę prowadzi suka Rudnicka, to pozamiatane.

– Uznam to za komplement.

– Dlatego poprosiłem panią o spotkanie.

Dunaj zadzwonił do niej wczorajszego popołudnia, kiedy wychodziła z komendy. Wyświetlił się napis „numer nieznany”, co kazało jej sądzić, że skazany nie skorzystał z oficjalnego więziennego telefonu. Rudnickiej to nie dziwiło. Była pewna, że w więziennych murach krąży wiele nielegalnych komórek.

Zanim Rudnicka zgodziła się na spotkanie z Dunajem, zasięgnęła opinii znajomego klawisza. Chciała wiedzieć, czy się zmienił. To, co usłyszała, mocno ją zaskoczyło. Ponoć uchodził za wzorowego więźnia. Nie sprawiał żadnych problemów, chodził na zajęcia i pracował w więziennej kuchni. Podobno na początku miał parę utarczek z innymi osadzonymi. Zaliczył kilka bójek. Najwyraźniej niektórym współwięźniom nie spodobała się jego sława.

– Siedzę tu już trzynasty rok – powiedział. – Życie w więzieniu nie należy do najprzyjemniejszych.

– Siedzisz tu z konkretnego powodu.

Pokiwał głową.

Komisarz starała się wyczytać coś z jego twarzy, ale Dunaj nie zdradzał żadnych emocji. Ruchy miał spokojne i przemyślane, jakby długo przygotowywał się do tej rozmowy. Starał się zrobić dobre wrażenie na policjantce. Na tyle, na ile dobre wrażenie może zrobić ktoś, kto dostał dożywocie. Lena nie dała się nabrać na jego sztuczki. Spotkała w życiu wielu zwyrodnialców i wiedziała, że potrafią grać na uczuciach i emocjach drugiego człowieka.

– Ale chyba nie masz tutaj tak źle, co? – spytała. – Jako seryjny możesz liczyć na szacunek kumpli spod celi. W końcu jesteś sławny.

– Wolne żarty – prychnął. – Czym jest szacunek tych ludzi? Pedofilów i morderców? Kpi pani ze mnie, pani komisarz.

Trzydzieści lat temu Antoni Dunaj zyskał sławę. Głównie dzięki mediom, które zwęszywszy sensację, zjechały do Łodzi. Każda stacja chciała mieć materiał dotyczący Dunaja. Filmowano rozmowy z ofiarami, groby ofiar, nagabywano prowadzących śledztwo. Dziennikarze ścigali się w domysłach na temat tożsamości mordercy. W studiach zasiadali eksperci analizujący wszystkie aspekty popełnionych zbrodni. Nie wiadomo, który z dziennikarzy po raz pierwszy użył tego określenia. Zaraz podchwycili je wszyscy, także policjanci. Antoni Dunaj trafił do panteonu polskich seryjnych morderców. Zyskał pseudonim Trzydzieści, ponieważ przy każdej ofierze zostawiał bukiet trzydziestu róż. Zanim go ujęto, odebrał życie trzydziestu kobietom.

– Tracę cierpliwość – warknęła komisarz i zabębniła palcami o blat. – Więc powiesz, po jaką cholere mnie tutaj ścigałeś, albo wychodzę i więcej się nie zobaczymy.

– Ma pani rację – przyznał. – Telefon do pani nie był łatwą decyzją, ale uważam, że nadszedł odpowiedni moment, by wyznać prawdę.

– Jaką prawdę?

– Dostałem dożywocie.

– Wszyscy o tym wiedzą.

– Proszę, żeby jeszcze raz przejrzała pani akta sprawy.

– Niby po co?

– Popełniono błąd.

– Doprawdy?

Antoni Dunaj milczał przez chwilę.

– Jestem niewinny – oznajmił.

Lena uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

– Skazano nieodpowiedniego człowieka – zapewnił.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdyby posadzić tutaj któregokolwiek z twoich kumpli, zamieszkujących ten przybytek, mówiliby dokładnie to samo? – zapytała. – Wy wszyscy jesteście niewinni.

– Proszę przejrzeć akta. Podobno jest pani dobry śledczym.

– Po trzynastu latach przypomniało ci się, jak było naprawdę?

– Sprawy zabrnęły zbyt daleko.

– Jakie sprawy?

– Nie czas, by o nich mówić. Musi pani uwierzyć mi na słowo.

– Nic nie muszę – odparła. – A poza tym twoje słowo jest głównie warte.

Dunaj pokiwał głową, jakby spodziewał się takiej reakcji.

– Nie mogę powiedzieć pani nic więcej – odparł. – Jeszcze nie teraz.

– W co ty grasz, Dunaj?

– Chcę, aby człowiek, który zamordował tamte kobiety, został skazany.

– Jest tylko jeden problem.

Antoni zmarszczył brwi.

– Jaki? – spytał.

– Przyznałeś się do winy. Trudno z tym polemizować.

– Miałem powody.

W sali widzeń zapadła cisza. Rudnicka postanowiła się zbierać. Nic tu po niej. Zmarnowała tylko czas. Cholerny świr sądzi, że uda mu się wyjść z więzienia, ale używa w tym celu prymitywnych sposobów.

– Ja tutaj zostanę – powiedział, jakby czytał jej w myślach. – Nie chcę, żeby wyciągnęła mnie pani z więzienia. Kiedy prawda wyjdzie na jaw, ja i tak tutaj zostanę. Proszę mi wierzyć.

– Jaka prawda? O czym ty mówisz?

– Muszę chronić bliskich. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

- Przed chwilą mówiłeś, że jesteś niewinny.
- Jestem niewinny w sprawie, w której zostałem skazany.

Kątem oka dostrzegła strażnika. Kręcił się zdecydowanie zbyt blisko stolika, przy którym siedzieli. Podśluchiwał.

- Niedługo się zacznie – dodał Antoni.
- Co? Co się zacznie?
- Minęło trzynaście lat.

ROZDZIAŁ I

WTOREK, 17 PAŹDZIERNIKA

1

Dochodziła trzecia nad ranem, kiedy komisarz Lena Rudnicka i sierżant sztabowy Marcel Wolski brnęli przez kałuże w parku na łódzkim Widzewie. To był chłodny poranek, temperatura nie przekraczała pięciu stopni. Z ust policjantów wylatywała para. Sierżant pocierał zmarznięte dłonie.

– Zabiję dyżurnego – mruknęła Rudnicka i zaciągnęła poły kurtki. – Przysięgam, że go zabiję. Tylu policjantów na tej pieprzonej komendzie, ale on musiał zadzwonić akurat do mnie.

– A ty musiałaś zadzwonić akurat do mnie?

– Jesteśmy partnerami. Skoro ja mam nockę z głowy, to ty też.

– Musiało stać się coś ważnego, skoro wezwali nas w środku nocy.

Komisarz przystanęła, by spojrzeć na niego z politowaniem. Sierżant był od niej kilka lat młodszy. Na łódzkiej komendzie pracował dopiero od paru miesięcy, po przenosinach z Warszawy.

– Oby to było coś arcyważnego – mruknęła. – Inaczej go zamorduję.

Wezwanie dostali przed niespełną czterdziestoma minutami. Lena od razu zadzwoniła do Wolskiego. Od jakiegoś czasu tworzyli zespół. Początki do najłatwiejszych nie należały, ale zdawało się, że współpraca układa im się coraz lepiej.

Początkowo Marcel sceptycznie podchodził do przeprowadzki. W Warszawie żyło mu się nieźle, ale ojciec – komendant łódzkiej policji – nie odpuszczał. Przekonał syna, że w rodzinnym mieście ma większe szanse na rozwój zawodowy. Wiedział, że dla Marcela to istotny argument. Chciał być dobrym gliną, a ojciec obiecał, że pozwoli mu pracować z jedną z najlepszych śledczych w kraju – z komisarz Leną Rudnicką. Dzień przed rozpoczęciem pracy w nowej jednostce Wolski wybrał się do baru. Gdy później się nad tym zastanawiał, uznał, że los podle z niego zadrwił. Kolejny raz. W tamtym barze spotkał kobietę. Całkiem fajnie im się rozmawiało, a jeszcze lepiej dogadali się w jego łóżku w kawalerce na Szóstego Sierpnia.

Rano w komendzie przekonał się, że spędził noc z panią komisarz, którą tak bardzo chciał poznać. Na domiar złego jej mężem okazał się prokurator prowadzący z nimi śledztwo.

Ale to już przeszłość. Przynajmniej tak sądził Marcel.

– Jeżeli kiedykolwiek kogoś zamordujesz, przypuszczam, że nigdy się o tym nie dowiemy – rzucił. – To przerażające.

– Dzięki – burknęła. – Słabe pocieszenie, ale komplement niezły.

Marcel się uśmiechnął.

Parkowa alejka była pogrążona w mroku. Rudnicka co kilka metrów przeklinała pod nosem. W oddali w światłach policyjnych reflektorów dostrzegli kilka osób. Marcel rozpoznał technik Luizę Krajewską i lekarza sądowego Felicjana Banię.

Nagle przed policjantami stanęła korpulentna kobieta. Miała może metr pięćdziesiąt wzrostu i piętnaście kilogramów nadwagi. Obfity brzuch wylewał się spod płaszcza. Prokurator Bożena Kmiecik nie należała do najprzyjemniejszych osób, jakie człowiek może spotkać w swoim życiu. Rudnicka nazywała ją starą zrzędą, co dość trafnie oddawało charakter prokurator, która dobrze pamiętała czasy PRL-u, a metody, jakimi posługiwała się podczas śledztw, dalece odbiegały od powszechnie przyjętych standardów.

– Długo kazaliście na siebie czekać – powiedziała. – Myślicie państwo, że nie mam nic innego do roboty?

Wolski zerknął na Lenę. Był pewien, że z trudem powstrzymuje się od złośliwego komentarza.

– Co mamy? – zapytała, mijając prokuratorkę.

– Ciało.

– Zdążyłam się domyślić.

– Zwłoki znalazł poranny biegacz.

– Czyli standard.

W pobliżu stał mężczyzna w sportowym stroju. Przebierał nogami, chuchając w dłonie. Zerkał nerwowo na sportowy zegarek.

– Chodzę do pracy na piętą, dlatego robię trening o tej porze – wyjaśnił policji. – Przygotowuję się do maratonu. Zdziwił mnie widok kobiety siedzącej w środku nocy na ławce, do tego w taką pogodę, więc podszedłem do niej, i wtedy się przekonałem, że jest martwa.

Rudnicka przeszła pod policyjną taśmą. Dwóch mundurowych pilnujących przejścia odwróciło wzrok. Komisarz poczuła, że coś jest nie tak. Atmosfera była napięta.

Lena spojrzała na zwłoki.

– O kurwa – mruknięła pod nosem.

– Kobieta, wiek około trzydziestu pięciu lat – powiedziała prokurator, która podążyła za Rudnicką.

– Coś więcej?

- Tożsamość nieznana.
- Żadnych dokumentów?
- Żadnych.

Kobieta siedziała na ławce, otulona futrzanym paltem. Na nogach miała ciężkie, wojskowe buty. Szkliste oczy patrzyły w górę. Drobne dłonie trzymały bukiet czerwonych róż. Wyglądała, jakby przysiadła na ławce tylko na chwilę. Na jej szyi odznaczała się krwista pręga.

- Poderżnięto jej gardło – zauważyła Rudnicka.
- Według doktora Bani to najprawdopodobniej przyczyna zgonu.

Lena ostrożnie pochyliła się nad ciałem.

– Wykrwawienie – mruknęła. – Umiejętne cięcie. Linia nie ma szarpnięć. Ktoś sprawnie poprowadził ostrze.

– Uznałam, że zanim zabierzemy ciało, powinnaś to zobaczyć. Zdjęcia nie oddałyby tego w pełni.

Rudnicka pomyślała, że nie pamięta, by kiedykolwiek wypły bruderszaft z prokurator.

- Uznaj to za gest przyjaźni – dodała Kmiecik.
- Doceniam.

Komisarz rozejrzała się dookoła, szukając Wolskiego. Stał jakieś sto metrów dalej. Napotkawszy jej wzrok, odwrócił głowę. Zawołała go, a Wolski z ociąganiem ruszył w jej stronę. Cały Marcel. Kiedy tylko mógł, unikał zwłok. Twierdził, że nie może potem spać.

– Tylko się nie porzygaj – rzuciła, kiedy stanął obok.

Marcel przełknął ślinę. Wahał się kilka sekund, zastanawiając się, czy spojrzeć na martwe ciało. Wiedział, że powinien. Szybko zerknął i odwrócił wzrok, co Lena skomentowała cichym westchnieniem. Na widok kobiety z rozdartym gardłem przeszedł go lodowaty dreszcz. Cofnął się o krok, gdy poczuł, że robi mu się niedobrze. Oparł dłonie na kolanach i ciężko oddychał, potem uniósł głowę, zakrywając usta. Jeszcze chwilę, pomyślał, zaraz przejdzie. Skupił się na tym, by nie zwymiotować przy wszystkich. Chłopaki dopiero miałyby używanie na komendzie.

– Przepraszam – odezwała się prokurator. – Czy sierżant Wolski po raz pierwszy w życiu widzi zwłoki?

- Nie, przepraszam... – zająknął się. – Po prostu...
- Zatrął się bułką na stacji – wyjaśniła Lena. – Trochę go teraz cofa.

Wydawało się, że prokurator chciała coś dodać, ostatecznie jednak pokręciła głową i wsunęła dłonie w kieszenie płaszcza. Uznała temat za zakończony.

- Jakież ślady? – zapytała komisarz.
- Technik nad tym pracuje, ale całą noc padał deszcz – odparła Kmiecik. – Może być ciężko.
- Wiadomo, kiedy zmarła?
- Bania stwierdził, że przynajmniej kilka godzin temu.

– Sprawca nie zabił jej tutaj. Mimo deszczu jest zbyt czysto.

– Zwłoki zostały przeniesione.

Alejka, w której znaleziono ciało, była na uboczu, oddalona od głównego wejścia.

– Niech mundurowi sprawdzą park – rozkazała Rudnicka. – Na wszelki wypadek.

– To oczywiste.

– Zamordował ją w innym miejscu, ale może znajdziemy jakiś ślad. Cokolwiek.

Lena spojrzała na ciało. Wskazała bukiet w dłoniach ofiary.

– Ile jest tych chwastów? – zapytała.

– A jak sądzisz?

– Policzyliście?

Nie czekając na odpowiedź, podeszła bliżej i szybko przeliczyła kwiaty. Serce zabiło jej szybciej.

– Trzynaście – powiedziała. – Ona trzyma trzynaście róż.

2

Irena Dunaj uwielbiała palić.

Pierwszego papierosa wypaliła, mając szesnaście, może siedemnaście lat. Dobrze pamiętała tamten wieczór przy ognisku nad rzeką. Dostała zaproszenie od Janka Wasilewskiego, który z uporem się do niej przystawiał, a ona z takim samym uporem odtrącała jego zaloty. Minęło tyle lat, a ona wciąż pluła sobie w brodę, że nie wzięła Janka za męża. Niczego mu nie brakowało – był przystojny, pochodził z zamożnej rodziny – a matka wbiła Irenie do głowy, że jeśli już zdecyduje się rozłożyć nogi przed facetem, najlepiej, żeby miał gruby portfel. Cóż, portfel Janka kilka lat po pamiętnym ognisku okazał się naprawdę gruby. Kiedy jego ojca przejechał samochód, a załamana matka nie była w stanie prowadzić firmy, Janek przejął wszystkie obowiązki. Firma nazywała się Skóry Wasilewski, nazwa może niewyszukana, ale na początku lat osiemdziesiątych nikt nie zwracał na to uwagi. Skóry Wasilewski były prężnie rozwijającym się przedsiębiorstwem. Wyroby skórzane były w cenie, a ojciec Janka miał rozległe znajomości partyjne, co sprawiło, że rodzina Wasilewskich w krótkim czasie dorobiła się sporej gotówki. Dlatego Irena do tej pory żałuje, że nie rozłożyła nóg przed Jankiem Wasilewskim.

Ale w tamtym czasie, kiedy przyszedł przedsiębiorca zabrał ją nad rzekę, nie w głowie jej były romanse. Nie szukała chłopaka. Dobrze czuła się jako singielka. Dość nasłuchiwała się rozmów nieszczęśliwych koleżanek matki, by wdać się w młodzińczy romans i zająć w ciążę. Nigdy nie planowała dzieci. Nie żeby ich nie lubiła, ale miała inne plany. Chciała zrobić karierę – to był jej cel. Niestety, życie potoczyło się tak, że zawodowa droga Ireny skończyła się w sklepie spożywczym.

Wracając do palenia papierosów i imprezy nad rzeką, Irena do dziś ma w pamięci pierwszego papierosa. Było późno, impreza się rozkręcała. Nastolatki popijający wino własnej roboty, zataczający się po plaży i wymiotujący w krzakach. Tak wtedy wyglądały młodzieżowe imprezy i pewnie tak samo wyglądają dziś. W kwestii nastolatków i alkoholu niewiele się zmieniło.

Janek był nałogowym palaczem. Zawsze miał przy sobie paczkę fajek, którymi częstował wszystkich dookoła (do momentu, aż ojciec znalazł w jego pokoju kilka wagonów popularnych i sprzął go na kwaśne jabłko). Ale wtedy nad rzeką Janek kopał jak lokomotywa. Irena się krzywiła, bo dym papierosowy dusił ją w gardle i zwyczajnie śmierdział, co jednak przestało jej przeszkadzać, gdy wypłała połowę butelki wina wiśniowego. Nagle wszystko jej zobojętniało, nawet wędrująca po jej udzie dłoń Janka. Może gdyby rozłożyła wówczas przed nim nogi, jej przyszłość wyglądałaby teraz zupełnie inaczej.

Ale nie rozłożyła. Miała swoją godność. Zamiast zaprowadzić Wasilewskiego w ustronne miejsce, wzięła od niego papierosa. I tak się zaczęło.

Dzisiaj Irena wypala dziennie paczkę cameli. A to i tak, powtarza znajomym, sukces, bo wcześniej z dymem puszczała dwa kartoniki, czterdzieści sztuk, lecz gdy cena paczki papierosów przekroczyła czternaście złotych, uznała to za zniewagę palaczy. Nie będę wspierała tych złodziei, mawiała, tylko wyciągają pieniądze od naiwnych klientów. Jeśli mam płacić za własną śmierć, na pewno nie wydam na nią więcej niż czternaście złotych dziennie.

Irena nie lubi chodzić do lekarzy. Jej rówieśnice często wymyślają sobie choroby, biegają od jednego doktora do drugiego. Często by zabić czas, który na emeryturze wlecze się niemiłosiernie. Ale Irena nienawidzi lekarzy i nie znosi pielęgniarek. Gdyby ktoś siłą zaprowadził ją do przychodni i zrobił zdjęcie jej płuc, zobaczyłaby, że przypominają dwa czarne węgle. Ona jednak machnęłaby na to ręką i odpaliła następnego camela. Przecież gdyby rak chciał ją zabić, toby nie czekał sześćdziesięciu lat.

Irena przez tyle lat nie umarła i uznawała to za jedyny sukces w swoim życiu.

Wszystko inne rozsypało się niczym domek z kart. Janek Wasilewski nie został jej mężem, chociaż bardzo chciał, Irena odrzuciła jego oświadczenia. Dwa lata później ożenił się z Amelią Fisek. Trudno mu się dziwić, w tamtym czasie Amelia była naprawdę piękną dziewczyną. Kto mógł przewidzieć, że kilka lat po ślubie podczas pracy w tartaku odetnie sobie rękę, a dziesięć lat później, dowiedziawszy się o romansie męża, weźmie kabel od przenośnego piecyka i zawisnie na żyrandolu? Janek nie miał szczęścia w życiu, podobnie jak Irena. Dobra passa Skór Wasilewski dobiegła końca. Firma upadła, a sam Janek popadł w alkoholizm, zamienił okazały dom na przedmieściach na kawalerkę na Bałutach z widokiem na śmietnik. Podobno pracował jako kosiarz miejskich trawników.

Irena kilka lat po zapaleniu pierwszego papierosa wzięła sobie za męża Karola Dunaja. Z wiadomych względów małżeństwu przeciwna była jej matka. Karol nie był ani

przystojny, ani bogaty. Pochodził z biednej rodziny, ojciec zapił się na śmierć, a Dunajowa samotnie wychowywała trójkę dzieci. Rodzina liczyła każdy grosz i według matki Ireny nie myli się często. Irena miała inne zdanie. Nie dała się zniechęcić i nadal spotykała się z Karolem. Rzadko zwierzała się matce, wychodząc z założenia, iż nie ma obowiązku dzielenia się swoim prywatnym życiem z kimś, kto sprowadził ją na ten świat zupełnie przypadkiem.

Tak więc, po czterech miesiącach znajomości, Irena wyszła za Karola. Ślub był skromny, co bardzo zniesmaczyło matkę Ireny – bo wesele należy wyprawić z pompą, żeby sąsiedzi mieli o czym mówić. Irena i Karol zaprosili tylko kilka osób i zorganizowali skromne przyjęcie, co według matki było pierwszym zwiastunem porażki, na jaką małżeństwo córki było skazane od początku. Za kilka lat Irena miała na własnej skórze odczuć rozmiary tej porażki.

Pierwsze tygodnie były jednak cudowne. Karol wydawał się wspaniałym mężczyzną. A matka tylko złowróżbnie kiwała głową. Pożyjemy, zobaczymy, mówiła, faceci to zwierzęta, sama się przekonasz. W gruncie rzeczy Irena wcale nie dziwiła się matce. Życie mocno ją doświadczyło i pokarało najgorszym mężem, jakiego było można znaleźć na tej planecie. Irena była przekonana, że jej się poszczęści. Nie wiedziała wówczas, że Bóg w jej przypadku wykaże się specyficznym poczuciem humoru.

3

W komendzie przy ulicy Sienkiewicza panowała przygnębiająca atmosfera.

Komisarz Lena Rudnicka zaparzyła kawę, po czym usiadła przy biurku, opierając nogi na blacie. W dłoniach trzymała parujący kubek. Czuła się senna. Ostatnio źle sypiała. Nie pomagały ziołowe specyfiki z apteki, które zachwalały farmaceutki. Każdego wieczoru, mimo że połknęła tabletkę, pół nocy przekręcała się na łóżku. Miała też świadomość, że nadchodzące dni nie dadzą jej wytchnienia.

Sierżant Wolski wyglądał niewiele lepiej, ale jego bezsenność miała inne podłoże. Od paru tygodni męczyły go koszmary. Budził się w nocy zlany potem. Nie potrafił wygnać z głowy obrazów, które widział za dnia. Przybierały różne kształty i formy. Czasem widywał kobietę bez głowy i rąk, z ciałem trupio bladym, nadgniłym, po którym pełzały larwy. Innym razem nawiedzał go stary mężczyzna z twarzą fioletową niczym dojrzałe winogrono, napuchniętą od alkoholu, z ogromną, krwawiącą dziurą w klatce piersiowej. Wolski podejrzewał, że jeszcze kilka miesięcy w policji, a będzie potrzebował pomocy psychologa.

Do gabinetu wszedł naczelnik. Marcel podał mu dłoń. Ostrowski wykrzywił się w uśmiechu, który przypominał raczej grymas niezadowolenia, wsunął dłoń w kieszenie

żołnierskich spodni i przedefilował po pokoju. Nie pofatygował się, by podać rękę Rudnickiej, ale nie wyglądała na urażoną. Ta dwójka od dawna nie przepadała za sobą.

– Co to za sprawa? – warknął. – Jest czwarta nad ranem.

Rudnicka spokojnie upiła łyk kawy i opadła na oparcie krzesła, splatając dłonie na brzuchu. Jasne, że mogła nie informować Ostrowskiego o dzisiejszym znalezisku w parku. Uznała jednak, że sprawa jest pilna i należy działać jak najszybciej.

– Powiedz to trupom – odparła. – Może któryś zgodzi się poczekać, aż wypijesz poranną kawę, zjesz jajecznicę na maśle i przejrzysz poranną prasę.

Wolski wiele razy się zastanawiał, czy Rudnicka i Ostrowski zakopią kiedyś topór wojenny. Na pewno nie w najbliższym czasie. Naczelnik ostentacyjnie obnosił się ze swoją niechęcią do Leny. W głowie mu się nie mieściło, by kobieta pracowała w policji, miała stopień komisarza i zajmowała się najważniejszymi sprawami, jakie trafiały na komendę. To męski świat, powtarzał i utrudniał Rudnickiej pracę na każdy z możliwych sposobów. Jednym z jego ulubionych było zasypywanie ją stosem dokumentów i raportów. Komisarz nie kwapiła się do ich wypełniania, więc dla załagodzenia konfliktu Wolski często wypełniał papiery za nią. Była mu za to wdzięczna, chociaż nigdy nie podziękowała.

Ostrowski podszedł do ekspresu i zaparzył sobie kawę.

– Spać mi się, kurwa, chce – rzucił. – Nie mogłaś poczekać do jakiejś ludzkiej godziny? O tej porze ciężko mi się myśli.

– Tobie myślenie sprawia trudność o każdej porze.

Ostrowski prychnął.

– Co to za ważny trup? – zapytał.

– Mówiłam przez telefon.

– Powiesz to jeszcze tysiąc razy, jeśli ci każę.

– Z pamięcią też masz kłopot?

Ostrowski zmierzył Lenę wzrokiem, a Wolski wstrzymał oddech.

– Seryjny, tak? – spytał naczelnik, a na jego twarzy pojawił się pogardliwy uśmiezek. – Bez jaj. Nie mam ochoty na żarty.

– Poniekąd.

– Co poniekąd? Co to, kurwa, znaczy poniekąd?

Rudnicka milczała.

– Możesz rozwinąć? – ponaglił ją naczelnik. – Mówże, do cholery, bo nie mam całego dnia.

– Zwłoki kobiety, około trzydziestu pięciu lat, poderżnięte gardło.

– I to powód, by sądzić, że mamy do czynienia z seryjnym? – Zaśmiał się. – Większość rodzinnych morderstw jest popełniana z użyciem noża. Ludzie najczęściej sięgają po to, co mają pod ręką, a najczęściej są to noże.

– Jest tylko pewien szczegół... – Lena zawiesiła głos. – Denatka trzyma w dłoniach bukiet róż. Zgadniesz, ile ich jest, czy potrzebujesz podpowiedzi?

Ostrowski znieruchomiał. Po jego twarzy przemknął cień zaskoczenia. Potrzebował kilku sekund, by przyswoić słowa komisarz.

– Jeśli robisz sobie jaja, wyciągnę konsekwencje – warknął.

– Nie mam aż tak paskudnego poczucia humoru.

– Naśladowca?

– Tak przypuszczam.

– Kurwa – rzucił Ostrowski i odstawił na biurko kubek z kawą. – Jak dowiedzą się o tym media, mamy przejebane. Najogólniej mówiąc.

– Owszem. – Lena skinęła głową. – Ale może na razie uda nam się zachować to w tajemnicy. Media nie są nam do niczego potrzebne.

– Ale wiesz, jaka jazda czeka nas potem?

– Domyślam się.

– Jeśli nie poinformujemy opinii publicznej o zagrożeniu, zjedzą nas żywcem. Już widzę te nagłówki, że łódzka policja zataiła informacje o mordercy grasującym w mieście. Cudownie, kurwa, zapowiada się cudownie.

Lena nie była zaskoczona, że naczelnik bardziej przejął się mediami niż martwą kobietą.

– Jaki naśladowca? – zapytał Marcel, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Znamy tożsamość ofiary? – spytał Ostrowski.

Rudnicka wstała i przespacerowała się po pokoju. Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała przez szybę. Skrzyżowała ramiona i spojrzała na naczelnika.

– Znamy – odparła, łapiąc zaskoczone spojrzenie Wolskiego.

– O ile mi wiadomo, przy zwłokach nie było dokumentów – zauważył.

– Krajewska sprawdziła w bazie danych.

Wolski pochwalił w myślach policyjną technik. W czasie, kiedy on i Rudnicka jedli szybkie śniadanie w fast foodzie, ona zdążyła ustalić tożsamość ofiary. Szybko jej poszło. Szkoda tylko, że Rudnicka wcześniej nie podzieliła się z nim tą informacją.

– Dowiem się wreszcie, kim jest ofiara? – spytał Ostrowski.

– Angelika Krantz – odpowiedziała Lena. – Trzydzieści lat temu została uznana za zaginioną.

Naczelnik patrzył na Rudnicką tępym wzrokiem. Wiedzieli, z czym będzie wiązało się to śledztwo. I nikomu się to nie podobało.

– Trzydzieści lat temu zaginięcie Angeliki zgłosili jej rodzice – ciągnęła komisarz. – Zofia i Lech Krantzowie twierdzili, że córka wyszła do pracy i już nie wróciła. Z dokumentów, które przesłała mi Krajewska, wiem, że policja wszczęła poszukiwania, ale bez rezultatów. Sądzę, że przyjmujący zgłoszenie policjant olał temat. Wszyscy skupiali się wtedy na szukaniu seryjnego mordercy kobiet. Starzy Angeliki mieli wyjątkowego pecha, że trafili na przygłupa. Każdy inny gliniarz wpadłby na to, by połączyć obie sprawy.

– Czekaj, czekaj. – Ostrowski uniósł dłoń. – Martwą znaleźliśmy ją dopiero teraz, a pamiętajmy, że Trzydzieści siedzi w pierdlu. Czyli to nie on stał za zniknięciem

dziewczyny.

- Fakt. Angelika Krantz zmarła maksymalnie parę godzin temu.
- Dunaj nie mógł tego zrobić.
- Dziewczyna albo miała pecha i trafiła na naśladowcę Dunaja, albo coś tutaj śmierdzi. Ostrowski przysiadł na krześle.
- Jeżeli przez trzynaście lat była uznana za zaginioną, musiała gdzieś żyć – zauważył.
- Brawo. Nie wpadłabym na to.
- Nie drwij. Próbuję to jakoś ogarnąć.
- Też mam w głowie mnóstwo pytań, panie naczelniku.
- Kto prowadzi sprawę?
- Kmiecik.
- Bardzo dobrze. Prokurator Kmiecik zna się na swojej robocie. Rudnicka spojrzała na niego z powątpiewaniem.
- Lepiej, żeby stara nie rzucała mi kłód pod nogi – odparła.
- Radziłbym zważać na słowa, pani komisarz.
- Dobrze wiesz, że Kmiecik od dawna jest na wylocie.
- Nie moja wina, że pożarłaś się z większością urzędasów w tym mieście. No – uśmiechnął się krzywo – może oprócz jednego, na którego znalazłaś sposób.
- Żebyś wiedział – odparła Lena spokojnie, choć chętnie przywaliłaby Ostrowskiemu pięścią między oczy. Naczelnik popukał się w skroń.
- Chyba nie nadążam – wtrącił Wolski.
- Nic nowego – burknęła Rudnicka, siadając na skraju biurka. – Kiedy w Łodzi grasował seryjny, ty szczałeś jeszcze w pieluchy. Wolski postanowił nie reagować na zaczepkę.
- O czym mówicie? – spytał. – Jaki naśladowca?
- Rudnicka westchnęła teatralnie, odchyliła się do tyłu, sięgając po grubą teczkę. Podała ją Wolskiemu.
- To akta sprawy sprzed trzynastu lat – wyjaśniła. – Jeśli masz nad tym pracować ze mną, lepiej żebyś się z nimi zapoznał.
- Możesz streścić? – Marcel zważył teczkę w dłoni. – Przeczytanie tego zajmie wieki.
- Nie mogę.
- Ale...
- Zabieraj się.
- Marcel uniósł brwi.
- Chyba żartujesz – mruknął.
- Wyglądam, jakbym żartowała?
- Ale...

– Posłuchaj. – Lena podeszła i wbiła mu palec wskazujący w pierś. – Ten facet zamordował trzynaście kobiet, rozumiesz? Był cholernie sprytny. Kiedy twoje jedyne zmartwienie polegało na ułożeniu wieży z klocków Lego, gliniarze z tej komendy robili wszystko, by dorwać popaprańca. A teraz jakiś świr próbuje go naśladować. Na miejscu zdarzenia nie było żadnych śladów. Zakładam więc, że jest równie przebiegły jak oryginał.

– Jasne, zrozumiałem. – Marcel spojrzął na teczkę. – Może ten cały Trzynaście wyszedł na przepustkę i wtedy ją zamordował?

– Za kogo ty mnie masz?

– Wybacz.

– Sądzisz, że tego nie sprawdziłam?

– Przepraszam.

– Dunaj kibluje w celi dwa na dwa. Nigdzie nie wychodził.

– To ja może poczytam akta.

Marcel wsunął teczkę pod pachę, a kiedy dwie godziny później powrócił do gabinetu Rudnickiej, zastał ją, siedzącą przy biurku z nogami na blacie. Pomiędzy palcami trzymała nieodpalonego papierosa. Na biurku wokół niej piętrzyły się zakurzone pudła wypełnione segregatorami.

– Muszę zorganizować popielniczkę – odezwała się.

– Podobno nie palisz.

– Ostatnio słabo dogaduję się z moją silną wolą.

– Co to takiego? – Wolski wskazał pudła.

– Akta sprawy Dunaja.

Uniósł brwi.

– Sądziłem, że mam je tutaj. – Machnął teczką, po czym położył ją na biurku i usiadł naprzeciwko Leny.

– To tylko ułamek tego, co zgromadziliśmy na komendzie. Podczas gdy ty studiowałeś te papierzyska, ja wybrałam się do archiwum i przyniosłam więcej makulatury. Musiałam odświeżyć sobie pewne kwestie.

– Przejrzałaś wszystko?

– Potrzebowałabym na to jakichś dwóch dni.

Wolski westchnął i zrezygnowany opadł na oparcie.

– Szykuje się gruba sprawa – powiedział.

– Nawet nie przypuszczasz, jak gruba.

– Akta nie napawają optymizmem. Straszny skurwiel z tego Dunaja.

– Jak cię znam, to przejrzałaś je niezbyt dokładnie.

– Dołączono też zdjęcia ofiar.

– Nie rozczulaj się. Nasza robota nie polega na biadoleniu, ale na złapaniu świra, który podrzynał kobietom gardła. – Zdjęła nogi z biurka i sięgnęła po zapalniczkę. – No więc? Czego się dowiedziałeś?

- Uważasz, że mamy do czynienia z naśladowcą? – odpowiedział pytaniem.
- To bardzo prawdopodobne.

Zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Seryjni mordercy często mają naśladowców. Zyskują sławę w mediach i stają się idolami dla kolejnych wariatów. Wprawdzie podczas trwania śledztwa w sprawie Dunaja nie pojawił się nikt, kto z podobnym okrucieństwem mordowałby kobiety, ale prędzej czy później ktoś taki się znajdzie. Świr zafascynowany zbrodniami, który marząc o rozgłosie, podąży śladami słynnego mordercy.

– Między rokiem dwa tysiące piątym a szóstym Dunaj zamordował trzynaście kobiet – przypomniał Marcel. – Karolina Deresz była ostatnia.

Rudnicka kiwnęła głową. Niedługo po tym, jak policja znalazła zwłoki, Trzynaście popełnił błąd i trafił za kratki. Miasto wreszcie mogło odetchnąć. Był tylko jeden szczegół, na który – według Leny – nikt nie zwrócił wówczas uwagi.

- Dunaj chciał zostać złapany – rzuciła.
- Skąd taki pomysł?
- Masz inną teorię?
- Nie, ale...
- Dlaczego Trzynaście dostał taki pseudonim?
- Przy zwłokach zostawiał bukiety róż. Zawsze trzynaście.
- A którą z kolei ofiarą była Deresz?

Wolski potarł podbródek.

- Trzynastą – odparł.
- No właśnie.

Marcel wyjął papierosa i przez chwilę rolował go w palcach. Jeśli Dunaj miał wszystkie klepki na swoim miejscu – a potwierdzała to ekspertyza psychiatryczna – nie dałby się złapać policji. Musiał wiedzieć, że trafi do więzienia i już stamtąd nie wyjdzie, gdy sąd orzeknie najwyższy wymiar kary, resztę życia spędzi za kratami. Równie dobrze mógł zakończyć swoje „dzieło” na trzynastej ofierze i rozpląnąć się w powietrzu. Był dobry w zacieraniu śladów. Gdyby chciał, do tej pory nikt by go nie znalazł. Jaki więc miał powód, by podkładać się policji?

– Jego ksywka wzięła się stąd, że zostawiał zamordowanym kobietom bukiet trzynastu róż – mówiła Rudnicka. – Karolina Deresz była trzynastą ofiarą. Zaraz po odnalezieniu jej ciała policja zawinęła Dunaja, a ten przyznał się do winy. Zbieg okoliczności?

- Może rzeczywiście popełnił błąd.
- Nie sądzę. Dunaj zapisał się w historii polskich seryjnych morderców. Dostał pierwsze miejsce, order największego świra wśród świrów. Wiesz, tacy jak on lubią, kiedy się o nich mówi. Zresztą w przypadku Dunaja można powiedzieć, że nie zabijał dla samej przyjemności, ale dla rozgłosu. Dałabym sobie rękę uciąć, że zanim go zawinęli, chełpił się wszystkimi wzmiankami na swój temat.

- Media rozdmuchały temat.

– Pojawiał się w każdym wydaniu wieczornych wiadomości. W telewizji puszczały programy dokumentalne o seryjnych mordercach. Pseudoeksperci toczyli debaty na temat działań mordercy z Łodzi. Zresztą, co tu dużo mówić, o samym Dunaju powstało kilka dokumentów.

– Pamiętam, że jeden z reporterów dostał pozwolenie na nagranie wywiadu z Dunajem.

– Nic mu z tego nie przyszło. Dunaj ani słowa nie pisał o swoich zbrodniach. Jedyne przyznał się do winy. A potem stulił dziób. I tyle.

Wolski przypomniał sobie zdjęcia, które dołączono do akt. Fotografie ofiar. Dziewczyn, które miały przed sobą całe życie. Marcel wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co siedziało w głowie Dunaja i dlaczego zabił niewinne kobiety. Podrzynał im gardła, porzucał zwłoki w widocznym miejscu, a jako swój znak rozpoznawczy pozostawiał bukiet kwiatów.

Śledczy ujęli Dunaja po znalezieniu zwłok Karoliny Deresz. Przyznał się do winy i dobrowolnie poddał karze. Nie składał wyjaśnień. Milczał przez cały proces. Śledczy dysponowali jednak wystarczającymi dowodami, by skazać go na dożywocie.

Gdy policja poinformowała, że Antoni Dunaj został złapany, nie tylko Łódź odetchnęła z ulgą. Co prawda Trzynaście grasował tylko w tym mieście, ale dopóki pozostawał na wolności, nikt w całym kraju nie czuł się bezpiecznie. Po jego ujęciu każdego dnia na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi. Rodzice wypuścili dzieci z domów, place zabaw znów rozbrzmiały dziecięcym śmiechem, mężowie nie musieli już eskortować żon do pracy, kobiety nie bały się chodzić na zakupy, spacerować z psami, umawiać do fryzjera. Mało kto dziś pamięta, jaką panikę w kraju wywołały zbrodnie człowieka o pseudonimie Trzynaście.

Być może wkrótce miało się to zmienić.

4

Małgorzata Bukowska nie miała pojęcia, że tego poranka jej życie wywróci się do góry nogami.

Dzień zaczęła zwyczajnie – filiżanką zbożowej inki i lekkim śniadaniem w postaci owocowego musu. Zemliło ją. Dzień jak co dzień. Po opróżnieniu żołądka zasiadła na kanapie. Pochłonięta przerzucaniem kanałów, dzwonek do drzwi usłyszała dopiero po kilku długich sekundach. Wpuściła do mieszkania sprzątaczkę i nie zaszczyciwszy jej nawet spojrzeniem, usiadła z powrotem przed telewizorem.

Udawała zainteresowaną tym, co działo się na ekranie, ale w rzeczywistości pilnie obserwowała sprzątaczkę. Tak na wszelki wypadek, gdyby tamta chciała coś ukraść. Z takimi nigdy nic nie wiadomo, myślała Małgorzata.

Czuła, jak puchną jej nogi. Wszystko przez tę cholerną ciężę, westchnęła, gładząc się po brzuchu. W tym pozornie troskliwym geście nie było czułości. Małgorzata myślała tylko

o tym, żeby jak najszybciej wypchnąć z siebie dzieciaka. Dłużej nie wytrzyma. Z każdym dniem czuła się gorzej. Co to za życie, kiedy człowiek ledwo wstaje samodzielnie z krzesła? Cięża była dla Małgorzaty trudnym okresem. Kryzysowym, jak określały to kobiety z facebookowej grupy dla przyszłych mam. Zresztą wchodzenie na tę grupę wpędzało Małgorzatę w jeszcze większą depresję. Przyszłe mamy, takie szczęśliwe na zdjęciach, codziennie chwaliły się, że cudownie znoszą ciężę i nie mogą doczekać się porodu. Małgorzata zaś z każdym dniem czuła się coraz bardziej bezużyteczna, nikomu niepotrzebna. Często zastanawiała się, czy będzie dobrą matką, czy podoła takiemu wyzwaniu. Czy wychowa dziecko na wartościową osobę.

Być może te rozterki brały się z nadmiaru wolnego czasu. I dotyczyły nie tylko ciąży, ale również przyszłości jej małżeństwa, które uważała za wyjątkowo nieudane. W kwestii dziecka na Michała nie miała co liczyć. Mąż był wiecznie zapracowany, ciągle nieobecny. Wiedziała, że po porodzie niewiele się zmieni. Tak to już jest, skoro ugania się za spódniczkami. Zamiast spędzać czas z ciężarną żoną, znajduje sobie ciekawsze rozrywki. Gdyby Małgorzata posłuchała matki, może jej życie potoczyłoby się inaczej. Matka wygadywała różne bzdury, ale co do jednego miała stuprocentową rację, powtarzała córce: Uważaj, żebyś nie zaszła z nim w ciążę, bo wbijesz sobie gwóźdź do trumny. No cóż. Teraz już za późno.

Jeśli chodzi o posiadanie potomstwa, to był ostatni dzwonek. Oboje byli po trzydziestce, a wiadomo – im później człowiek weźmie się za te sprawy, tym trudniej. A Małgorzata nie chciała być starą matką. To znaczy w ogóle nie chciała być matką, ale jeśli miała nią zostać, to teraz, kiedy jest jeszcze stosunkowo młoda. Nie chciała, by jej córka (lub syn) – zabroniła lekarzowi informować o płci dziecka – wstydziła się starych, niedołącznych rodziców. No i chciała mieć zdrowe i ładne dziecko, bo przecież im kobieta starsza, tym większe ryzyko, że urodzi się z jakąś wadą genetyczną. A tego wolą uniknąć. Chore dziecko? To dopiero byłby wstyd.

Ułożyła się wygodnie na kanapie. Zerknęła na zegarek, za dziesięć minut zacznie się jej ulubiony serial. Sprzątaczką kręciła się po salonie, pakując kolorowe płyny do reklamówki. Małgorzata dźwignęła się, by sięgnąć po portfel leżący na stoliku, wyjęła kilka banknotów i podała kobiecie, chociaż najchętniej wytargałaby tę głupią pizdę za włosy, a jej śliczną buźką przetarła świeżo umytą podłogę.

- Dziękuję – powiedziała kobieta, owijając szyję szalikiem. – Do widzenia, pani Gosiu!
- Do widzenia! Miło, że wpadłaś!

Jakie to szczęście, że udało jej się przekonać Michała, by sprzątaczką przychodziła w godzinach jego pracy. Inaczej na pewno już by ją przeleciał.

Ich małżeństwo od dawna było fikcją. Małgorzata nie kochała męża. Miała świadomość, że ich związek to wygoda, która zapewnia stabilizację. Jakiś czas temu Małgorzata podjęła decyzję. Doszła do wniosku, że powinna odejść. I okazało się, że jest w ciąży. Co za niefart! Koleżanki, które poznała na zajęciach jogi, Beata i Zyta, nie miały pojęcia, jak

wygląda małżeństwo Małgorzaty. Kiedy dowiedziały się o ciąży, były zachwycone, jakby to one przez następne dziewięć miesięcy miały dźwigać przed sobą wielki brzuch. Masz świetnego męża, który cię kocha, dobrze zarabia, dba o ciebie, paplały jedna przez drugą. Gówno prawda. Michał był beznadziejny. Nawet w łóżku im się nie układało. Całe szczęście, odkąd zaszła w ciążę, nie musiała z nim sypiać. Zresztą, i tak bardziej niż własną żoną był zainteresowany przelotnymi romansami. Małgorzata ucieszyłaby się, gdyby złapał jakąś chorobę weneryczną. Miałby gnój nauczki.

Nagle znieruchomiała.

Uniosła głowę, omiatając wzrokiem salon i część korytarza. Zdawało jej się, że usłyszała szmer. Z trudem podniosła się z kanapy i ruszyła, by sprawdzić, czy okna są zamknięte. No trudno, tylko mi się zdawało, pomyślała po szybkim obchodzie. Wróciła na kanapę i włączyła serial, jednocześnie przeglądając w telefonie ofertę sklepu internetowego. Szukała ciężowych ubrań. Najchętniej kupiłaby sukienkę, są znacznie wygodniejsze i nie krępują ruchów. Przejrzała kilka stron i zdecydowała się na niebieską kieckę w żółte kwiaty. Michał nienawidził niebieskiego. Wrzuciła zakup do koszyka i zmarszczyła brwi.

Znów ten szmer.

Spojrzała w stronę korytarza. Wydawało jej się, że słyszy czyjś oddech, ale to niemożliwe. Chyba że sprzątaczką czegoś zapomniała i postanowiła wrócić.

– Halo? – zawołała, lecz nikt jej nie odpowiedział.

Ale teraz już była pewna, że nie jest w domu sama. Słyszała czyjś spokojny oddech, tak wyraźny, jakby ktoś stał tuż obok niej. Lodowaty dreszcz przeszedł jej po plecach. Poczula, jak jej serce przyspiesza. Mimowolnie dotknęła brzucha. Może to Michał wrócił z pracy wcześniej? Nie, to niemożliwe. Nigdy nie wraca wcześniej z pracy. Zostaje do późna, by spędzać z żoną jak najmniej czasu.

– Michał? – zapytała.

Nic. Oddech, który wcześniej słyszała, ucichł. Korytarz był pusty. Przecież zamknęła drzwi na klucz. Nikt nie mógł wejść do mieszkania.

Ale czy na pewno?

Miała mętlik w głowie. Może jednak nie przekręciła zamka, kiedy wypuściła sprzątaczkę? W ciąży zrobiła się strasznie roztargniona. Zapominała zakręcić kran, wchodziła do sklepu z pustką w głowie, umawiała się z przyjaciółkami na poranną kawę, a potem spędzała przedpołudnie w łóżku.

Coś było nie tak.

Sięgnęła po telefon. Powinna zadzwonić na policję, ale zamiast tego wybrała numer męża.

Dom rodzinny Angeliki Krantz mieścił się przy ulicy Rokicińskiej na łódzkim Andrzejowie. Parterowy domek z przybudówką z lewej strony. Biała elewacja, dach pokryty falistą blachą.

Zofia Krantz, matka denatki, okazała się kobietą po pięćdziesiątce, miała ufarbowane na rudo włosy, spod których przebijały siwe odrosty. Nie wydawała się zaskoczona wizytą policjantów. Zaprosiła ich do środka, zdjęła kuchenny fartuch i przeprosiła na chwilę. W mieszkaniu unosił się zapach ciasta naleśnikowego.

Kiedy wróciła do niewielkiego salonu, w rękach niosła srebrną tacę. Wolski pomógł zestawić jej zawartość na stół – miseczkę jeszcze ciepłych rogalików nadziewanych dżemem, czekoladowe ciastka z galaretką i talerz herbatników. Do zestawu słodkości dołączyły trzy kawy i mlecznik z wyżłobionymi inicjałami Z.K.

– To pamiątka po mojej matce – wyjaśniła kobieta. – Zuzanna Krantz, tak nazywała się moja matka.

– Ładna rzecz – przyznał Wolski, chociaż w gruncie rzeczy gliniany mlecznik był dość pospolity.

– Zrobiłam państwu kawę. Proszę się częstować. Rogaliki sama upiekłam.

– Bardzo dziękujemy.

– Nie trzeba było – burknęła Rudnicka, która wyczuła jakiś podstęp. Zofia Krantz sprawiała wrażenie przygotowanej na wizytę policjantów. Chyba że spodziewała się innych gości. – Pani wybaczy, że zajmujemy czas – dodała już nieco łagodniej. – Ale...

– Och, nie ma sprawy – przerwała Krantz. – Czekałam na was.

– Czyżby? – Rudnicka uniosła brew. – To ciekawe...

– Nawet nie wiecie, jak długo na was czekałam. Ale wiedziałam, że kiedyś w końcu się zjawicie. – Uśmiechnęła się smutno. – Zimno dzisiaj. Napijcie się kawy, to się rozgrzejecie. Pewnie porządnie zmarzliście.

Rudnicka z przyjemnością upiła łyk gorącej kawy.

Gospodyni usiadła naprzeciwko policjantów. Sięgnęła po kubek z kawą, aby zająć czymś rękę. Nie pytała o nic. Dobrze wiedziała, czemu zawdzięcza wizytę policji o tak wczesnej porze. W końcu była matką. Czekała na ten dzień od dawna.

– Znaleźliście Angelikę, prawda? – zapytała.

Wolski nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Skinął głową.

Twarz kobiety zmieniła wyraz. Zmarszczki się pogłębiły, a w oczach zalśniły łzy, ale Zofia nie płakała. Przynajmniej nie teraz. Spodziewała się takiego obrotu spraw, nie miała jednak pojęcia, jak bardzo zaboli ją ta wiedza. Minęło wiele lat. Sądziła, że jej matczyne serce przygotowało się na złe wieści, ale się myliła. Nie sposób przygotować się na śmierć własnego dziecka.

– Moja córka nie żyje, prawda?

– Naprawdę bardzo nam przykro.

– Boże...

Zofia podniosła wzrok. Zbladła i zemdląła. Osuwając się z krzesła, zaczepiła dłonią o obrus. Kubki z kawą razem ze świeżo wypieczonymi rogalikami spadły na podłogę. Wolski zerwał się na równe nogi, by pomóc zrozpaczonej matce. Uniósł ją pod rękę i posadził na kanapie. Zofia była blada, ale odzyskała przytomność.

Rudnicka mocno trzymała kubek z kawą, który trzymała w dłoni. Jedyny, który się nie stłukł. Marcel pozbiierał skorupy z podłogi i odłożył na stolik. Chętnie zapaliłby papierosa, ale pomyślał, że wyjście na szybkiego dymka będzie nie na miejscu. Informowanie rodziny o śmierci bliskiej osoby nie należało do łatwych zadań. Zawsze mocno się stresował. Każdy reagował w inny sposób. Jedni byli w szoku, inni wpadali w histerię. Rudnicka powtarzała mu, że najważniejsze to jak najszybciej porozmawiać z rodziną zmarłego i nie odkładać rozmowy na później.

– Jak to się stało? – spytała Zofia słabym głosem.

– Angelika została zamordowana – wyjaśniła. – Musimy z panią porozmawiać o wydarzeniach sprzed trzynastu lat.

Zofia patrzyła na nią zszokowana. Przewróciła oczami, a jej oddech stał się nierówny. Złapała się za serce, po czym opadła na oparcie, oddychając ciężko.

– Przepraszam – mruknęła. – Po prostu...

– Rozumiem. Mamy dużo czasu, więc spokojnie – odparł Marcel, a Lena zgromiła go wzrokiem. Czasu mieli bardzo mało.

Akta sprawy dotyczące zaginięcia Angeliki były skąpe. Dziewczyna zaginęła trzynastego października dwa tysiące szóstego roku. Miała wówczas dwadzieścia dwa lata. Wyszła z pracy, miała wrócić do domu, lecz nigdy tam nie dotarła. Ostatnią osobą, która widziała ją żywą, była jej koleżanka z późniejszej zmiany, z którą minęły się w pracy około czternastej.

– Pani Zofio, jest pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań? – zapytał Wolski.

– Pytań?

– Jeżeli nie czuje się pani na siłach, wrócimy jutro.

Zofia zapewniła, że potrzebuje kilku minut, żeby się uspokoić i dojść do siebie. W tym czasie Marcel zgarnął rozbite szkło i wyniósł do kosza. Idąc do kuchni, zwrócił uwagę na stary kredens w kącie salonu. Masywny i podniszczony. Wyglądał na bardzo stary. Uchwyty szuflad były pourywane, górna szuflada zaś się nie domykała. Na kredensie w rzędzie stały figurki Matki Boskiej. Marcel naliczył szesnaście sztuk – mniejsze i większe, porcelanowe, plastikowe, drewniane, a przy nich Jezuski na krzyżu. I jeszcze w centralnym miejscu wytłaczany obraz Jana Pawła II, a obok wyblakłe zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Piękne oczy, dołeczki w policzkach. Angelika Krantz była naprawdę atrakcyjna.

Kiedy gospodyni spojrzała na Wolskiego, ten odwrócił wzrok, jakby przyłapała go na czymś niestosownym.

– To zdjęcie zrobiliśmy trzy miesiące przed zaginięciem Angeliki – wyjaśniła zachrypniętym głosem. – Mąż kupił aparat i uparł się, by robić nam zdjęcia. Strasznie mnie tym denerwował. Kazałam mu przestać, bo marnował klisze, ale dzisiaj dziękuję mu za to zdjęcie. Angelika wygląda na nim tak radośnie.

– To prawda – przyznał Marcel. – Była bardzo ładna.

– Muszę wiedzieć, jak zginęła moja córka.

Wolski się zawahał.

– Ktoś... Ktoś poderznął jej gardło.

Zofia sprawiała wrażenie, jakby ta informacja nie wywarła na niej wrażenia. Patrzyła na policjantów tępym wzrokiem.

– Gdzie ją znaleźliście? – spytała.

– W parku.

– Czy ona...

– Najprawdopodobniej zgon nastąpił parę godzin temu.

– Czyli przez te wszystkie lata gdzieś żyła.

Marcel pomyślał o tym, jak wielkim szokiem była dla Zofii informacja o śmierci zaginionej córki. Krantz od lat czekała na wiadomość o Angelice, czy żyje, gdzie przebywa. Być może spodziewała się wiadomości o jej śmierci. Musiała liczyć się z taką ewentualnością. A teraz okazuje się, że córka z premedytacją nie odzywała się do własnej matki.

– Proszę pytać – oznajmiła Zofia.

– Na pewno jest pani w stanie rozmawiać?

– Tak, młody człowieku. Dam radę.

– Proszę powiedzieć o dniu, w którym Angelika zginęła.

Kobieta wstała i na drżących nogach podeszła do okna. Odwrócona plecami do policjantów cofnęła się trzynastą lat w przeszłość.

Tamtego wieczoru, kiedy Angelika nie wróciła do domu, Zofia i jej mąż zgłosili zaginięcie. Policja nie przyjęła zgłoszenia. Należało odczekać dwadzieścia cztery godziny. Lech Krantz wszczął awanturę. Został zatrzymany za napaść na funkcjonariusza. Domagał się natychmiastowego podjęcia poszukiwań jego córki. Mężczyznę odprowadzono do aresztu, jego żonę zaś poproszono, by przyszła nazajutrz ze zdjęciem córki. Policjant prowadzący śledztwo zapewniał, że najprawdopodobniej dziewczyna w ciągu kilku dni pojawi się w domu. Może poszła na imprezę albo wyjechała z koleżankami, podsunął, niech pani obdzwoni najbliższych znajomych córki i na pewno się znajdzie.

Policjant nie słuchał, kiedy Zofia tłumaczyła, że już dawno to zrobili. Rozmawiali z Patrycją, koleżanką z pracy; pojechali do Małgorzaty, najbliższej przyjaciółki Angeliki, odwiedzili kilkoro znajomych, z którymi córka utrzymywała kontakt, lecz każda wizyta kończyła się tak samo – nikt nie miał pojęcia, gdzie podziała się Angelika.

– To był piątek – mówiła Krantz. – Do końca życia będę pamiętać ten dzień; zastanawiać się, czy jeśli zrobiłabym coś inaczej, Angelika byłaby z nami. Ale wiem, że czasu nie cofnę. Najgorsza jest świadomość, że nic nie można było zrobić – westchnęła. – Dzień zaczął się jak zwykle, nic szczególnego. Angelika wstała o czwartej nad ranem i poszła na pierwszą zmianę w sklepie. Otwierali o szóstej, ale musiała wcześniej przyjąć dostawę towaru. Jej zmienniczka powiedziała policji, że kiedy zjawiała się w pracy około czternastej, Angelika twierdziła, że idzie prosto do domu. Podobno skarżyła się, że się nie wyspała, i zamierzała się zdrzemnąć. To wszystko, proszę państwa, moja córka wyszła z pracy i nigdy więcej jej nie widziałam.

– Miała chłopaka?

– Nie – odpowiedziała Krantz po namyśle. – A przynajmniej nic nam nie wspominała.

– A powiedziałałaby pani, gdyby się z kimś spotykała?

– Myślę, że tak. Miałyśmy dobre relacje.

– A jak ocenia pani działania policji?

– Około osiemnastej, kiedy córka nie wróciła do domu, zaczęłam się denerwować. Poszłam do sklepu, myślałam, że może są problemy ze zmianą, może koleżanka się rozchorowała i Angelika musiała zostać. Ale tam jej nie było. Już wtedy czułam, że coś jest nie tak. Pojechałam do Gosi, ale ona też nie miała pojęcia, dokąd Angelika mogła pójść. Kiedy mąż wrócił z pracy, od razu poszliśmy na policję, ale nas zbyli. Zwyczajnie nas zbyli, proszę pani. Mąż się wściekł, trochę narozrabiał. Wcale mu się nie dziwię. Przyszliśmy poprosić o pomoc, a oni potraktowali nas jak natrętów, którzy zawracają im głowę.

– Musiały minąć dwadzieścia cztery godziny – zauważyła Rudnicka.

– Co to za przepis? – Krantz spojrzała na nią z wyrzutem. – Czy ten, kto ustalił tę głupią zasadę, miał do czynienia z zaginięciem kogoś bliskiego? Nie sądzę. Pierwsze godziny po zaginięciu są najważniejsze. Oczekiwałam, że policja zacznie szukać mojej córki, sprawdzi szpitale, zacznie przeczesywać parki i lasy, ale oni tylko kazali nam czekać. Zlekceważyli nas, pani komisarz. Gdyby rozpoczęli działania szybciej, może Angelika by żyła? Może teraz nie siedzielibyśmy tutaj i nie rozmawiali o jej śmierci?

Komisarz przechyliła głowę. Rozgoryczenie Zofii Krantz było uzasadnione. Gdyby Lena spotkała funkcjonariusza prowadzącego sprawę zaginięcia Angeliki Krantz, powiedziałałaby, co o nim myśli. Zwłoka nie była jedynym zaniedbaniem, do jakiego doszło w tym śledztwie.

– Angelika miała młodszą siostrę, prawda? – zapytała Lena.

Krantz przytaknęła.

– Kasia bardzo przeżyła zaginięcie siostry – dodała Zofia. – Dzielilo je pięć lat, ale były żyte. Długo dochodziła do siebie. Brała udział w poszukiwaniach, całymi dniami roznosiła ulotki i rozklejała plakaty z podobizną Angeliki.

– Czy pomiędzy siostrami dochodziło do kłótni, nieporozumień?

- Słucham? – Krantz uniosła brwi. – Co pani sugeruje?
 - Pytam jedynie, czy dziewczyny się kłóciły?
 - Jak to siostry.
 - To znaczy?
 - Ma pani rodzeństwo?
- Rudnicka zagryzła wargę.
- A więc Angelika miała dobre relacje z siostrą? – dopytywała.
 - Myślę, że Kasia do tej pory nie pogodziła się z tą utratą.
- Komisarz skinęła w stronę Wolskiego.
- Dziękujemy za rozmowę – powiedział i spojrzał na Zofię Krantz. – Naprawdę bardzo nam przykro, że przyszliśmy z takimi wiadomościami.
 - Co teraz? – spytała kobieta. – Kiedy odzyskam ciało córki? Kiedy będę mogła ją godnie pochować?
- Rudnicka posłała kobiecie wymuszony uśmiech.
- Zadzwońmy do pani.

6

Michał Bukowski wszedł do włoskiej knajpy przy Piotrkowskiej. Nowoczesny, lecz oszczędny wystrój. Minimalizm jest w modzie. Styl industrialny, tak to się teraz nazywa. Oczywiście nie miałby o tym pojęcia, gdyby nie żona. Niedawno kupili mieszkanie – na pół z bankiem – i od tamtej pory Małgorzata ogląda programy wnętrzarskie. Całe szczęście, z kredytem nie było większych problemów. Jako adwokat nieźle zarabiał, a do tego mieli spory wkład własny. Długo rozważali, czy warto zadłużyć się na trzydzieści kolejnych lat. To nie była łatwa decyzja, ale ostatecznie zdecydowali się na kupno. Nic specjalnego. Trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Nowe gniazdko urządzili w stylu industrialnym. Chociaż urządzili to za duże słowo, bo to Gośka odkryła w sobie zamiłowanie do aranżacji wnętrz. Gdyby to zależało od Michała, urządziliby je w stylu skandynawskim, czyli pojechał do najbliższej Ikei i kupił wszystko za pół tej ceny, jaką w sumie wydali. Oszczędzone pieniądze mogliby przeznaczyć na wakacje albo odłożyć na czarną godzinę. Warto mieć oszczędności, pomyślał, nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać.

Odwiesił płaszcz. Przyglądził dłonią koszulę, poprawił krawat. Prezentował się korzystnie. Wiedział, że przyciągał wzrok siedzących w restauracji kobiet. Był przystojny i wyglądał, jakby miał w portfelu tyle forsy, by kupić tę knajpę. Kelnerka zaproponowała stolik przy oknie. Miała kasztanowe włosy spięte w schludny kok. Była młoda. Michał oceniał ją na nie więcej niż dwadzieścia lat. Pewnie studentka, która dorabia w restauracji.

Chociaż musiał przyznać, że dziewczyna była atrakcyjna, nie czuł się nią zainteresowany. Nie przepadał za młodymi. Bo niby o czym miałyby z nimi rozmawiać?

Miejsce przy oknie było idealne. Stąd miał świetny widok na ulicę. Mógł obserwować przechodniów. Utkwił wzrok za oknem. Kelnerka chrząknęła, czekając na zamówienie. Wybrał spaghetti z podwójnym serem i czarną kawę. Nigdy nie przepadał za wymyślnymi potrawami, które jadał z kolegami po fachu albo klientami, prowadząc nudne rozmowy o pieniądzach i o tym, kto z kim się przespał, miał dość złotych rad kumpli z sądu – to z góry przegrana sprawa, zostaw, oddaj jakiemuś młodziakowi, niech powalczy. Michał miał dosyć. Samotny obiad bez męczącej paplaniny to coś, czego potrzebował od dawna. W domu również nie miał szans zaznać spokoju. Gośka, odkąd zaszła w ciążę, stała się nieznośna. Kiedy wracał do domu, musiał wysłuchiwać jej wyrzutów. Nic jej nie odpowiadało, czepiała się wszystkiego. Jej humory usprawiedliwiał hormonami, ale nie miał ochoty wracać do domu. Zostawał w biurze, chodził na długie spacery po pracy, włóczył się po galeriach handlowych. Robił wszystko, by spędzać z Goską jak najmniej czasu.

Ale ona nie widziała w tej sytuacji własnej winy. Wręcz przeciwnie – obarczała odpowiedzialnością męża. Była pewna, że spóźnia się do domu, ponieważ ma romans. Michał dawno nie słyszał podobnej bzdury, ale nie zamierzał się tłumaczyć. Jeśli Gośka coś sobie ubzdurała, nikt nie potrafił przekonać jej do zmiany zdania. Zaczęła go szpiegować. Szukała dowodów zdrady na Facebooku (Michał dla świętego spokoju dał jej dostęp do swoich mediów społecznościowych. Dałby jej nawet pieprzony kod do telefonu, żeby udowodnić, że jej nie zdradza). Na próżno. Po całym dniu użerania się z klientami wracał do domu i wysłuchiwał pretensji żony. O której wróciłeś? Co robiłeś po pracy? Z kim jadłeś lunch? A ta blondynka? To nowa sekretarka? Nic o niej nie mówiłeś. Bzykasz ją?

Czasem zastanawiał się, czy ślub z tą kobietą to był dobry pomysł. Kochał Gośkę, to oczywiste, gdyby było inaczej, nie zabrałby jej na Bali i nie poprosił o rękę. Jednak w tej całej miłości coś było nie tak. Ona się zmieniła. A może ślub ją zmienił? Czy już wcześniej była nieznośna? Tego Michał nie wiedział. Był jednak pewien, że jeśli po urodzeniu dziecka nic się nie zmieni, najprawdopodobniej się rozstaną. Już to przemyślał. Zostawi żonie mieszkanie, pomoże jej w spłacie rat hipoteki. Wynajmie kawalerkę – byle nie w industrialnym stylu – i wreszcie będzie miał święty spokój. Pewnie ktoś powie, że jest zwykłym sukinsynem, który zostawia żonę z niemowlakiem, ale Michał miał to gdzieś. Nie zamierzał się męczyć do końca życia z kimś takim jak Gośka. A dziecko? Będzie miało ojca. Kochającego ojca, który będzie o nie dbał. To sobie obiecał.

Kelnerka postawiła przed nim parujący talerz. Świetnie doprawiony sos bolognese. Kolejny punkt sporny w jego małżeństwie. Gośka nienawidziła włoskiej kuchni. Zresztą kwestia jedzenia odgrywała w ich relacji ważną rolę – Michał lubił zjeść coś dobrego, a Gośka nie potrafiła gotować. Przynajmniej tak twierdziła. Michał przypuszczał, że po

prostu jej się nie chce. Była leniwa. Nie tylko gotować jej się nie chciało. Nie chciało jej się chodzić na spacer, wychodzić do knajp, spotykać ze znajomymi. Najchętniej siedziałaby na industrialnej kanapie i oglądała idiotyczne seriale o amerykańskich *housewives*. Szkoda, że sama była beznadziejną gospodynią domową. Sprzątać też jej się nie chciało, więc Michał musiał zatrudnić sprzątaczkę. Nie było to takie proste, jak mogłoby się wydawać. Pierwsza z kandydatek odpadła na wstępie – według Gośki za ładna: a do tego kręci tyłkiem, przekonana, że ją przelecisz; druga zaś – pani Barbara Jakaśtam – była grubo po sześćdziesiątce, nie żeby Michał dyskryminował ludzi ze względu na wiek, ale pani Barbara robiła wszystko w trybie *slow motion*. Umycie zwykłego kibla zabierało jej czasem pół dnia. Potem zjawiała się Jagoda – koło trzydziestki, zadbana, nosiła grube rajstopy, zawsze sprzątała w gumowych rękawicach. Oczywiście Jagoda nie spodobała się jego żonie, ale trzeba oddać jej sprawiedliwość – była dobra w swoim fachu – sumienna, punktualna, szybka i miała rozsądne stawki. Michał przekonał Gośkę. Zgodziła się ją zatrudnić, ale znalazła sposób, by ograniczyć jego kontakty ze sprzątaczką – umawiała ją zawsze, kiedy Michał był w pracy.

Proste?

Michał nawinął makaron na widelec. Kelnerka podeszła, pytając, czy życzy sobie czegoś jeszcze. Jasne, że tak. Życzyłby sobie schłodzonego szampana albo odrobinę whisky. Właściwie to mogłaby być nawet czysta wódka. Michał dawno nie pił wódki. Już prawie zapomniał, jak smakuje. Niestety, w bogatym towarzystwie picie wódki nie jest w dobrym tonie. Na bankietach pija się szampana lub wino. Ewentualnie whisky – na dwa palce, nie więcej. Większa ilość zaraz zostanie odczytana jako alkoholizm. Nie mógł się powstrzymać? Zobaczcie, jak pije, pewnie ma problemy z alkoholem. A żona w ciąży, biedna kobieta. Ale jeśli ktoś naleje sobie whisky na dwa palce, wypije duszkiem i kursuje po dolewkę, nikt nie widzi problemu. Po bankiecie i tak całe towarzystwo przenosi się na miasto, by tam zalać się w pestkę. Wtedy też nikt nie widzi problemu. Złota zasada mówi jednak, że na bankiecie powinieneś zachowywać się elegancko. Podgryzać kanapeczki, kosztować koreczków, delektować się mikroskopijnymi kawałkami ciasta, jakby były największym przysmakiem na ziemi. Co potem? Na afterku obrzygasz kibel? Zrobisz awanturę barmanowi? Super. Będzie temat na następny lunch.

Michał zamówił lemoniadę. Przechylił szklankę i wypił duszkiem. Lekko kwaskowa, całkiem smaczna. Poczł wibrowanie telefonu w prawej kieszeni.

Tylko nie to. Do następnego spotkania zostało czterdzieści minut. By uniknąć kolejnych nudnawych pogawędek, umówił się z klientem w kancelarii. Podobno to jakaś gruba ryba. Ostatnio Michał zaważył kilka spraw. Więc kiedy szef wezwał go do gabinetu, spodziewał się zesłania do gównianych procesów dzieciaków, których starzy mają tak grube portfele, że stać ich na wynajęcie adwokata z jednej z lepszych kancelarii w mieście. Tymczasem szef przydzielił mu jedną z ważniejszych spraw, jakie w ostatnich latach trafiły do

kancelarii. Michał nie powiedział nic Goście. Postanowił zarobione pieniądze odłożyć na prywatne konto. Na wszelki wypadek.

Wyjął telefon. Dzwoniła Gośka.

Miał ochotę wcisnąć czerwoną słuchawkę. Wolałby, aby dzwonił klient. Przynajmniej mógłby się z nim szybko rozmówić. Czego ona może chcieć o tej porze? Zawahał się, lecz po kilku sekundach odebrał połączenie.

– Tak? – mruknął, grzebiąc widelcem w makaronie.

– Michał? – Głos Gośki brzmiał dziwnie, jakby się czegoś bała. Michał zmarszczył brwi.

– Słucham? – Momentalnie się wyprostował. Przez chwilę sądził, że się pomylił, lecz teraz był pewien, że jego żona jest przestraszona. – Co się dzieje? Gosia?

– Michał?

– Co się dzieje, do cholery?

– Ktoś tu jest.

– Gdzie? Gdzie ktoś jest?

– W domu. Ktoś wszedł do naszego mieszkania.

Połączenie zostało przerwane.

7

Chata, na którą patrzył Bogdan Mazurek, wyglądała skromnie i wymagała sporych nakładów finansowych. Przydałby się generalny remont, pomyślał, z takich jak ten ludzie robią naprawdę piękne domy w wiejskim stylu. Na początek wypadałoby odnowić drewnianą elewację. Dom zbudowano w latach sześćdziesiątych. Drewno poczerniało, zaszło mchem, a w ścianach zrobiły się szpary, przez które hulał wiatr. Bogdan myślał o tym, że już dawno powinien wziąć się za odnowienie domu. Co prawda nie był pierwszej młodości, a po opłaceniu rachunków z policyjnej emerytury nie zostawało wiele, ale miał trochę oszczędności i gdyby pracował sam, bez ekipy remontowej, powoli doprowadziłby dom do stanu używalności.

Gdyby tylko żyła jego żona, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze.

Bogdan urwał kawałek ściernego papieru, przykląkł na jedno kolano i zaczął przesuwać papierem po balustradzie. Metodą małych kroków wziął się za odnowienie budynku z zewnątrz. Chciał zmatowić drewno pod warstwę farby ochronnej. Tarł raz w lewo, raz w prawo, myśląc o przeszłości.

Dom należał do jego rodziców, chociaż tak naprawdę ojca nie pamiętał, zmarł, gdy Bogdan miał kilka lat. Wychowywała go matka. Miała twardą rękę. Czasem może zbyt twardą. Kochała go, ale we własny, nieco pokrecony sposób. A przynajmniej tak Bogdanowi się wydawało, bo czym jest prawdziwa miłość, dowiedział się dopiero, kiedy poznał Marysię.

Miał dwadzieścia parę lat i pracował jako śledczy w miejskiej komendzie. Poznali się na wieczorku tanecznym, na który wybrał się z kolegami po służbie. Wcale nie miał na to ochoty, ale kumple go namówili.

Bogdan widział w życiu wiele pięknych dziewcząt, lecz na widok Marysi, stojącej przy jednym ze stolików i uśmiechającej się do koleżanek, poczuł ucisk w gardle, miał wrażenie, że nogi się pod nim ugięły. Trafiała mu strzała Amora, śmiał się potem, ale w pierwszej chwili wcale nie było mu do śmiechu. Nie był typem podrywacza. W tych sprawach czuł się jak słoń w składzie porcelany. Wielki, niezgrabny frajer. Odpuszczenie sobie takiej dziewczyny byłoby jednak wielką głupotą. A chociaż miał ich sporo na koncie, nigdy by sobie nie wybaczył, że nie spróbował się do niej zbliżyć.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Co mi się podoba?

– No... Zabawa, czy ci się podoba.

Potem zaoferował się, że przyniesie jej szklankę piwa. Widział, że wcześniej piła piwo. Nie chciał pytać, czy pije wódkę. Nie chciał wyjść na pijusa, jakich na zabawie w remizie było pełno. Ale ona piła wódkę za dwóch. Nie rozdrabniała się jak niektóre damy, moczące dzióbek, ona piła na całego i machała ręką, by nalać jej więcej.

Kobieta idealna.

Szybko ulotnili się z remizy. Znaleźli ustronne miejsce na pagórku za sklepem. Usiedli na trawie z butelką czystej i pogrążyli się w rozmowie. Bogdanowi z nikim nie rozmawiało się lepiej niż z Marysią. Była świetną słuchaczką, zadawała mnóstwo pytań, była ciekawa rozmówcy, kobieta idealna. Co prawda z wiekiem jej zamiłowanie do alkoholu minęło. Wtedy była młoda, mówiła, głowa już nie taka jak za starych, dobrych czasów. Ale to nie przeszkodziło im w prowadzeniu ciekawych rozmów. Marysia do końca pozostała najlepszym rozmówcą, z jakim Bogdan miał do czynienia. Nawet w chorobie, kiedy Bogdan opowiadał jej o błahych sprawach, ona zadawała pytania, kiwała głową, a w jej oczach tliła się ciekawość.

Bogdan otarł łzę. Miał żal do Boga, że zabrał ją tak wcześnie, ale dziękował mu, że obdarował go kimś tak wspaniałym jak Marysia.

Z zamyślenia wyrwał go pomruk silnika.

Lena Rudnicka zaparkowała jaguara x-type na poboczu. Nie wiedzieć czemu, darzyła ten samochód wyjątkowym uczuciem. Wysiadając, przetarła smugę brudu na drzwiach od strony kierowcy i spojrzała na starą, drewnianą chatę. Jeden silniejszy podmuch wiatru mógłby zmieść ten domek z powierzchni ziemi, pomyślała, otwierając furtkę. Trzymała się

na dwóch zardzewiałych zawiasach, które dawały o sobie znać głośnym skrzypnięciem. Sierżant Wolski szedł tuż za nią.

Z domu wyszedł mężczyzna około sześćdziesiątki. Postawny, o szerokich barach i nogach wielkich jak kłody. Gdyby nie okalające twarz zmarszczki i kępki siwych włosów wystających spod wełnianej czapki, nikt by nie śmiał pomyśleć, że patrzy na emeryta, a nie na kulturystę w sile wieku. Jednak wzrok mężczyzny nie wróżył nic dobrego. Patrzył na gości z cichą nienawiścią, jak gdyby weszli na terytorium należące tylko do niego. Nie musieli się przedstawiać. Facet od razu wiedział, z kim ma do czynienia. I kiedy zdał sobie z tego sprawę, jego twarz przybrała nieco miłszy wyraz.

– Dzień dobry, panie komisarzu – powiedziała Lena, stając naprzeciwko. Gość mierzył z metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Była zmuszona zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Ekskomisarzu – sprostował.

– Stopień nigdy nie przepada.

– Komisarz Rudnicka, jak mniemam? – Skrzyżował ramiona. – Słyszałem o pani. Pod przykrywką pani nie popracuje. Łatwo znaleźć panią w internecie.

– Sława nikomu nie służy.

Uśmiechnął się.

– Poza tym należy lepiej się maskować – poradził. – Już po sposobie chodzenia poznałem gliny. Kabura z giwerą ogranicza ruchy.

– Niech mi pan wierzy, że jeśli chciałabym się maskować, nie wiedziałby pan, z kim ma do czynienia.

Znowu go rozbawiła.

– Bogdan. – Uścisnął dłoń najpierw Lenie, potem Marcelowi. Miał bardzo silny uścisk. – Jestem od was znacznie starszy, więc pozwolę sobie zaproponować, byśmy zwracali się do siebie po imieniu. Usiądziemy? Zapraszam na ganek. Jest chłodno, ale uwierzcie, że wolicie usiąść na zewnątrz niż w środku. Ty, młody, chyba wiesz, o czym mówię? – Puścił oko do Wolskiego. – Mieszkanie samotnego mężczyzny nie należy do najprzyjemniejszych widoków. Przyniosę coś do picia na rozgrzanie.

Zniknął w domu. Policjanci mieli chwilę, by omieść wzrokiem podwórko. Wzdłuż ogrodzenia rosły zaniedbane krzewy. Na środku znajdowała się studnia z wyciągniętym wiadrem i blaszanym daszkiem, dziurawym jak sito. Pomiędzy dwiema jabłoniąmi stała przyczepka samochodowa wypełniona zagrabionymi liśćmi i ziemią. Bogdan Mazurek mieszkał na skraju miasta, prowadziła tu polna droga, wokół nie było żywej duszy, a sam dom sprawiał odpychające wrażenie.

– Nie wygląda najlepiej, prawda? – zagadnął komisarz.

Postawił przed policjantami kubki z parującą herbatą. Lena błyskawicznie sięgnęła po jeden, by ogrzać zmarznięte dłonie.

– Za życia mojej żony wszystko wyglądało inaczej – mówił. – Ogród, teren wokół domu, chatka co prawda niewiele się zmieniła przez te lata, ale wtedy wydawało się, że dom tętni

życiem. Teraz nie ma życia ani w domu, ani w ogrodzie. Sami spójrzcie, wszystko uschnięte, rośliny zmarniały. Powiniennem się za to wziąć, ale nie mam ręki do roślin.

Bogdan Mazurek powiódł wzrokiem po wynędzniałym ogrodzie.

– Ale nie o mnie przyszłście rozmawiać – dodał. – Czemu zawdzięczam waszą wizytę?

– Chodzi o śledztwo, które prowadziłeś trzynaście lat temu – odparła Rudnicka. – Zaginięcie Angeliki Krantz.

– Została odnaleziona martwa?

– Wieści szybko się rozchodzą.

– To nie tak – zaproponował Mazurek. – Zadzwoił do mnie dawny kolega. Wiedział, że informacja o odnalezieniu Krantz jest dla mnie ważna. Kilka razy piłem z nim wódkę i wspomniałem, że...

Mazurek nie dokończył, ale policjanci zrozumieli, do czego zmierza. Każdy gliniarz spotyka na swojej drodze sprawę, która zalega mu w duszy i nie potrafi o niej zapomnieć. Dla komisarza Mazurka taką sprawą było zaginięcie Angeliki Krantz.

– Nie dziwi mnie wasza wizyta – powiedział. – Na waszym miejscu zrobiłbym tak samo. Według was prowadziłem sprawę zaginięcia Krantz, więc powiniennem wam pomóc, ale nie jestem pewien, czy będę w stanie.

Na pierwszy rzut oka było widać, że informacja o znalezieniu zwłok Angeliki wywarła wrażenie na emerytowanym komisarzu. Zacisnął dłoń w pięść, usta ściągnął w cienką linię. Rudnicka uważnie obserwowała jego ruchy.

Przyjechali do Mazurka, żeby porozmawiać o poszukiwaniach Trzynaście. Najwidoczniej nie wiedział, że mają do czynienia z naśladowcą seryjnego mordercy. Mordercy, który został złapany właśnie dzięki niemu. To on dowodził śledztwem i to jego okrzyknięto bohaterem. W mediach nazywano go wyzwolicielem miasta, który sprawił, że mieszkańcy odetchnęli z ulgą.

Kiedy Dunaj trafił do pułka, Mazurek przeszedł na emeryturę. Lena nie potrafiła tego zrozumieć. Po ujęciu Trzynaście dla Mazurka nastał świetny czas, tymczasem on postanowił usunąć się w cień. Udzielił jedynie kilku wywiadów w telewizji, ale już jako cywil.

– Jestem pewna, że możesz nam pomóc – powiedziała Rudnicka. – To ty doprowadziłeś do złapania Dunaja.

– Co masz na myśli?

Mazurek zmarszczył brwi. Powoli docierało do niego, że policjanci nie przyszli porozmawiać tylko o Angelice Krantz. Był zaintrygowany. Oparł się wygodniej na krześle, zarzucając ramię na oparcie. Czekał.

– Potrzebujemy kogoś, kto poznał Antoniego Dunaja – wyjaśniła Lena. – Kogoś, kto zna jego metody i sposób myślenia. Kogoś, kto już raz go złapał.

– Chcesz powiedzieć, że macie do czynienia z naśladowcą?

Rudnicka pokiwała głową.

– Jasna cholera – jęknął Mazurek.

– Dlatego tu jesteśmy.

W czasie, kiedy Lena streszczała poranne wydarzenia, emeryt wstał i przechadzał się po ganku. Drewno skrzypiało pod naporem jego butów.

– Chryste – stęknął, gdy komisarz skończyła opowieść. – To niemożliwe...

– A jednak.

– Jeżeli mamy do czynienia z naśladowcą, możemy również przypuszczać, że sprawca kopiuje metody Dunaja – odezwał się Marcel. – Dlatego powinniśmy poznać modus operandi Trzynaście. Wtedy będzie nam łatwiej go schwytać. Przynajmniej taką mamy nadzieję.

– Oczywiście, rozumiem. Ale nie wiem, czy jestem w stanie powiedzieć wam więcej, niż już zostało powiedziane. Wszystko macie w aktach, a psychologiczny aspekt zbrodni Dunaja został przewalutowany w mediach tysiące razy. Zresztą – spojrzał na Lenę – z tego, co wiem, jesteście psychologiem.

– Dawno odszedł pan na emeryturę? – zapytał Wolski, który nie mógł się przemóc, by mówić do Mazurka po imieniu.

– Trzynaście lat temu.

– Odszedł pan po ujęciu Dunaja. Dlaczego?

– To była moja ostatnia sprawa. – Pokiwał głową. – Kochałem swoją robotę, ale tamto śledztwo mnie wypaliło. Po zamknięciu Dunaja coś we mnie pękło i musiałem odejść.

– Być może potrzebował pan czasu.

– Nie mam go za dużo. Uznałem, że nadszedł czas na odpoczynek. Jestem stary. Chciałem spędzić czas z żoną. Któż mógł przewidzieć, że tak szybko odejdzie? – Mazurek potarł skronie. – Dobrze. Postaram się pomóc. Musicie złapać tego sukinsyna.

– Rodzice Krantz zgłosili zaginięcie, gdy trwały poszukiwania Trzynaście – odezwała się Rudnicka. – Nie myśleliście, żeby powiązać obie sprawy?

– Oczywiście, ale nie chcieliśmy informować o tym rodziców dziewczyny. Dopóki nie mieliśmy pewności, była nadzieja, że Angelika wróci do domu cała i zdrowa. A potem wpadliśmy na trop Dunaja. Ujęliśmy go i...

– Sprawa Krantz zesłała na boczny tor – dokończyła Lena.

– To nie do końca tak.

Rudnicka rozumiała, czym kierowali się policjanci w tamtym czasie. Nie mieli dowodów, więc nie informowali rodziny o swoich podejrzeniach, by nie wzbudzać w nich niepotrzebnej paniki. Ona postąpiłaby tak samo.

– Sprawę Trzynaście prowadziłem wspólnie z Kazikiem Strąkiem – powiedział Bogdan.

– Zmarł jakiś czas temu.

Rudnicka pokiwała głową.

– Pomówmy wreszcie szczerze – odparła. – Sprawy nie wyglądały tak, jak powinny, prawda?

- Czytałaś akta?
- Owszem.
- I uważasz, że rzeczywistość wyglądała inaczej?
- Jestem tego pewna.

Mazurek roześmiał się. Polubił tę policjantkę.

– Pogadajmy prywatnie – zaproponowała. – Nic, co zostanie tutaj powiedziane, nie wyjdzie poza naszą trójkę. To mogę ci obiecać.

– Nie mam żadnej gwarancji. Poza tym... To było trzynaście lat temu...

– Moje słowo powinno wystarczyć. Siedzimy w tym razem. Może ja popełnię mniej błędów niż ty.

– Jesteś zbyt pewna siebie.

– Wiele osób mi to mówi.

Komisarz potarła postrzelony bark. Już raz popełniła błąd. Na własnej skórze przekonała się, że nie ma ludzi nieomylnych, a przesadna pewność siebie może zgubić człowieka.

– Dobrze – zgodził się Mazurek. – Opowiem wam tę historię, ale najpierw zaparzę gorącej herbaty. Zimno dzisiaj.

Trzynastego października dwa tysiące piątego roku dzień zaczął się zwyczajnie. Poranna kawa, papieros, pogaduchy przy ciastkach. Nic nie zapowiadało katastrofy, która przez następny rok będzie łąkać nasze miasto.

Zgłoszenie dostaliśmy chwilę po dziesiątej. Powiedzieli, że znaleziono jakieś zwłoki, sądziłem, że nic specjalnego. Pojechaliśmy z Kazikiem na miejsce, to była kamienica przy Wschodniej. Wiecie, jak tam jest, paskudne miejsce, wyobraźcie sobie więc, jak wyglądało kilkanaście lat temu. Dziki Zachód, kurwa.

Weszliśmy do tej kamienicy, wciąż pamiętam tamten smród. Mieszkanie było na pierwszym piętrze. Całkiem ładnie urządzone, jak na tamte czasy oczywiście. W środku była jakaś dziewczyna, blondynka, strasznie płakała, rzucała się po podłodze jak obłąkana, potem okazało się, że doznała takiego szoku na widok zamordowanej przyjaciółki. Swoją drogą, dziewczyna później wylądowała w psychiatryku. Ponoć silny szok uruchomił w niej jakąś chorobę psychiczną.

Mundurowi wyprowadzili dziewczynę z mieszkania, wybuchła awantura, bo ona nie chciała wsiąść do karetki, zapięli ją w pasy, takie tam, w każdym razie, dopiero kiedy zabrano tę współlokatorkę, mogliśmy spokojnie obejrzeć miejsce zbrodni, przynajmniej tak nam się wtedy wydawało, że to mieszkanie jest miejscem zbrodni. Kazik puścił pawia, normalnie chłop się porzygał, wcale mu się nie dziwię, mnie też cofało, taki smród.

Leżały tam zwłoki dziewczyny, miała dwadzieścia lat. Później oglądaliśmy jej zdjęcia, za życia była bardzo atrakcyjna. Ale kiedy zobaczyliśmy ją w tamtym mieszkaniu... Nigdy nie zapomnę tego widoku. I tego okropnego, drażniącego odoru.

Byliśmy wstrząśnięci okrucieństwem sprawcy. Zastanawialiśmy się, kto mógł to zrobić. Wiecie, w środku żadnych śladów. Sąsiedzi? Oczywiście nikt nic nie widział. Wtedy nie mieliśmy pojęcia, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Kto mógł to wiedzieć? W każdym razie byliśmy w kropce. Prześledziliśmy życie tej dziewczyny. Dobra uczennica, dobra koleżanka, znacie to? Nikt nic nie wie, wszyscy klepią te same frazesy.

Nie mieliśmy pojęcia, od czego zacząć. Później okazało się, że mieszkanie nie było miejscem zbrodni, że sprawca przeniósł zwłoki. Jak to zrobił? Jakim cudem nikt nie zauważył gościa, który tacha ciało dwudziestolatki? Może zrobił to w nocy, kiedy sąsiedzi spali? Taka była hipoteza, no bo jak inaczej to wytłumaczyć.

Czekaliśmy. Nie wiadomo na co. Rodzina ofiary naciskała, ale my nic, kurwa, nic nie mogliśmy zrobić. Nie wiedzieliśmy, kogo szukać. Typowaliśmy potencjalnych sprawców. Może opuścił więzienie? Może wyszedł na przepustkę? Ale nikogo nie dopasowaliśmy. Nic.

No i potem kamień zaczął się toczyć, że tak powiem. Kolejne morderstwo, brak poszlak, i kolejne, i następne. I wciąż to samo – żadnych śladów, miejsce znalezienia zwłok nie było miejscem zbrodni. Nikt nic nie widział, nikt nic nie widział.

Założyliśmy, że sprawca wybiera ofiary przypadkowo. Pomiędzy kobietami nie było związku. Szukaliśmy, ale nie znaleźliśmy powiązań. Jedna była studentką, kolejna kucharką, trzecia pracowała w hotelu. Mówiąc szczerze, błądziliśmy po omacku, aż do dwunastej ofiary. Trzyście popełnił błąd. Niewielki, ale jednak. Ktoś go zauważył. Dwunastą ofiarą była Monika Stępień. Znaleziona na przystanku tramwajowym, oczywiście z różami. Umieścił kwiaty w wiaderku z wodą, żeby nie zwiędły. Dbał o rośliny, ogrodnik jebany. Przy każdej z ofiar znajdowaliśmy te róże, ale to wiecie. No więc po odnalezieniu zwłok Moniki Stępień rozmawialiśmy z ludźmi i tam niedaleko była budka z pieczywem. Na porannej zmianie pracowała Helena Wąs, chyba tak się nazywała, budkę otwierała około szóstej, ale ona przychodziła wcześniej, około czwartej trzydzieści, żeby odebrać pieczywo, poukładać, takie tam. Nie widziała sprawcy w dniu, kiedy odnaleźliśmy zwłoki. Tak łatwo nie było. Ale powiedziała coś ciekawego, że cały tydzień pracowała na poranną zmianę, dostawa pieczywa czasem się opóźniała, więc nie miała nic do roboty. Czekala na kierowców. Była wkurzona na pracodawcę, bo uważała, że dostawcy marnują jej czas, no ale cóż było robić. W każdym razie powiedziała nam coś ciekawego. Widziała dziwnego mężczyznę, który od kilku dni kręcił się o tej samej porze w pobliżu przystanku. Początkowo nie zwróciła na niego większej uwagi, ale kiedy pojawił się któryś dzień z rzędu, nabrała podejrzeń. Uznała, że to jakiś zboczeniec. Przychodził pieszo, stał, rozglądał się i odchodził. Według tej kobiety nigdy nie wsiadł do tramwaju. Z Kazikiem doszliśmy do wniosku, że może to potencjalny sprawca badał miejsce, gdzie zamierzał zostawić swoje dzieło. Tak nazywaliśmy zostawiane przez niego zwłoki – dzieła. Nie wiem, skąd to się wzięło, ale pasowało idealnie. W każdym razie przyjęliśmy, że tamten mężczyzna może być poszukiwanym seryjnym mordercą. Sprawdzał, czy w godzinach, w których chce wystawić swoje dzieło na widok publiczny, kręci się sporo ludzi. Nie kręcił

się nikt, tak powiedziała nam kobieta z budki z pieczywem, sami też potem sprawdziliśmy natężenie ruchu w okolicy. Obok nikt nie mieszkał, ale dwieście metrów dalej działała fabryka, stąd znalazły się tam przystanek i ta budka. Ludzie musieli dojechać do pracy, zazwyczaj kupowali też coś do jedzenia. Fabryka działała od godziny siódmej. Po szóstej zjeżdżali się pracownicy. To właśnie oni znaleźli Monikę Stępień. Kobieta z budki z pieczywem natomiast sądziła, że na przystanku siedzi jakaś dziewczyna i czeka na tramwaj. Fakt, że nigdy wcześniej o tej porze nie widywała tam ludzi, nie wzbudził jej podejrzeń.

Przyjeliśmy, że sprawca porzucił zwłoki niedługo przed przyjazdem pierwszych pracowników. Zapytaliśmy kobietę z budki. Tamtego dnia nie widziała podejrzanego mężczyzny. Dostawa pieczywa przyjechała na czas, więc nie miała czasu na obserwowanie okolicy. Nie ma co, ale tamtego dnia nasz sprawca miał farta.

Kiedy rozmawialiśmy potem z kobietą z budki, podała nam jego rysopis. Nic specjalnego, wysoki, szczupły, na głowie czapka z daszkiem. Właściwie osiemdziesiąt procent mężczyzn w tym mieście wyglądało jak ten, którego opisała. Podała jednak dość ciekawy szczegół, który pomógł nam w schwytaniu mordercy – powiedziała, że mężczyzna miał charakterystyczny chód. Jaki?, spytałem, a ona na to, że dostojny. Wyprostowane plecy, uniesiona głowa. Nie wszyscy tak chodzą, twierdziła, ludzie zazwyczaj spieszą się do pracy, garbią, patrzą w przestrzeń, ten facet był spokojny, jakby wyszedł na spacer i podziwiał okolicę.

Pomimo rysopisu na tamtą chwilę wciąż byliśmy w kropce. Rysopis pokazały wszystkie stacje. Pamiętajcie, że już wtedy Łódź była przerażona. Sprawę Trzynaście omawiano w mediach. Oczywiście zaraz po podaniu rysopisu rozzwoniły się telefony, ludzie twierdzili, że to ich sąsiad, brat, wujek, kolega z pracy, bo idealnie odpowiada podanemu rysopisowi. Jak się domyślacie, większość tych śladów była pudłem.

Mówiąc szczerze, zaczynaliśmy odpuszczać. Sprawa miała najwyższy priorytet, ale nie mieliśmy pojęcia, jak ująć mordercę. Komendant stworzył specjalny zespół. Mieliśmy wsparcie z wojewódzkiej. Wszystko na nic. Trzynaście był nieuchwytny. Przebiegły, sprytny, bardzo inteligentny. Nie działał pochopnie.

Aż nastał dzień znalezienia trzynastej ofiary – Karoliny Deresz. Media nadały mu przydomek ze względu na liczbę róż, a Deresz była trzynastą ofiarą. Zastanawialiśmy się, czy to koniec. Mieliśmy taką nadzieję, wszyscy byliśmy zwyczajnie zmęczeni.

Wtedy dostaliśmy anonimową informację. Mieliśmy sprawdzić parking przy Narutowicza i zainteresować się niebieskim oplem astrą. Marnujemy czas, mówiłem, mimo to wysłałem tam Kazika, żeby osobiście sprawdził, o co chodzi z tym samochodem.

Nie znalazł nic podejrzanego. Ot, zwykły samochód. Sprawdziliśmy tablice – należał do Antoniego Dunaja, ale to żaden dowód, że właściciel samochodu jest seryjnym mordercą. W środku znaleźliśmy włos i damską torebkę. Wtedy zrobiło się gorąco. Przebadaliśmy

włos – należał do Karoliny Deresz. W torebce było kilka damskich pierdótek i dowód osobisty... na nazwisko Angeliki Krantz.

9

Irena Dunaj zapaliła papierosa. Który to już dzisiaj? Przestała liczyć, ale z pewnością nie ostatni. Zakasłała. Dym drażnił gardło, mimo to wtłoczyła do płuc kolejną dawkę nikotyny. Na ganku rozległy się czyjeś kroki. Któż to mógł być? Od lat mieszkała sama i rzadko ktoś ją odwiedzał. Samotność była niełatwa, ale Irena już do niej przywykła.

Usłyszała pukanie, więc zdusiła papierosa w popielniczce, podciągnęła się z fotela i szurając kapciami, podeszła do drzwi, uchylając je na długość łańcucha. Zobaczywszy twarz wnuczka, uśmiechnęła się i wpuściła go do środka.

Artur pocałował ją na przywitanie w policzek i odwiesił kurtkę na wieszak.

– Przeszkadzam? – spytał.

– A skądże. – Machnęła ręką, zapraszając gościa do niewielkiego salonu. – Niby w czym miałbyś mi przeszkadzać, kochany? W telewizji i tak nie ma nic ciekawego.

– Paliłaś?

– Jednego.

– Miałaś nie palić, babciu, lekarz ci zabronił.

– A tam! Gdyby człowiek słuchał konowaków, toby wykitował od bzdur, które wygadują. Poza tym oglądałam w telewizji taki program. No jak to on się nazywał? – Opadła w fotel, drapiąc się w skroń. – Cholerka, zapomniałam. W każdym razie lekarze podpisują umowy z koncernami farmaceutycznymi i potem przepisują to, za co zgarną najwięcej pieniędzy.

– Ale tobie lekarz nie przepisał żadnych leków. Kazał ci tylko ograniczyć palenie.

– No, no. Dam sobie rękę uciąć, że niedługo przepisze mi jakieś świństwo. Nie dam się nabrać. Dzisiaj wszyscy chcą zarobić, takie czasy. Najważniejsze to mieć własny rozum i nie dać się zrobić w konia.

– Chodzi o twoje zdrowie – upierał się Artur.

Odkąd sięgał pamięcią, Irena paliła jak smok. Kiedy myślał o babci, widział ją siedzącą w sfatygowanym fotelu z papierosem w palcach.

Irena się uśmiechnęła. Nie miała nic na swoje usprawiedliwienie. Nie chciała mówić wnuczce, że nie zamierza zrezygnować z papierosów, choćby przez nie miała umrzeć. Wiedziała, że Artur się o nią martwi. Trudno mu się dziwić. Mieli tylko siebie.

Ostatnio bardzo zmęźniał. Irenie wciąż trudno było uwierzyć, że wnuk jest już prawie trzydziestoletnim mężczyzną. Dla niej pozostanie małym Arturkiem, z którym w letnie wieczory spacerowała po parku. Łączyła ich szczególna więź. Matka porzuciła go i uciekła z kochankiem, a ojciec wylądował w więzieniu, więc to Irena przejęła opiekę nad nastolatkiem. A było to niełatwe zadanie. Do nastoletniego buntu doszło rozgoryczenie.

Wyszydzany w szkole, odtrącony przez kolegów, pozostawiony sam sobie nastolatek może zrobić wiele niemądrych rzeczy. Irena bardzo się o niego bała. Kiedy Antoni trafił za kraty, jego syn chodził na spotkania z psychologiem, który stwierdził, że chłopak nie radzi sobie z sytuacją. Nic dziwnego, skoro dowiedział się, że ojciec jest seryjnym mordercą. Świadomość, że żył z kimś takim pod jednym dachem, jest trudna do zniesienia. Irena przekonała się o tym na własnej skórze. Jej również proponowano spotkania z terapeutą, ale odmówiła. Żaden konował nie będzie jej mieszał w głowie i mówił, co ma czuć.

Zajęła się Arturem nie tylko z poczucia obowiązku. Kierowało nią również poczucie winy. To ona sprowadziła na świat potwora, jakim okazał się Antoni. Postanowiła zrobić wszystko, by wnuczek nie poszedł w ślady ojca.

Arturowi długo zajęło otrząśnięcie się z szoku. Wiedziała, że w tajemnicy przed nią śledził doniesienia na temat ojca. Wiedziała też, że się z nim kontaktował. Antoni pisał listy do syna, a ten mu odpowiadał. Pisał również do niej, ale nie odpisała ani razu. Wymazała syna ze swojego życia. Tak jak kiedyś wymazała męża.

Teraz, gdy patrzyła na wnuczka, czuła rodzicielską miłość. Była z niego dumna. Pomimo traumatycznych doświadczeń wyrósł na porządnego człowieka. Był młody, wykształcony, miał dobrą pracę i perspektywy. Tylko jednego mu brakowało.

– Arturku, ostatnio rzadziej do mnie wpadasz – zagadnęła. – Czyżbyś wreszcie znalazł sobie dziewczynę?

Artur skulił ramiona niczym zawstydzony nastolatek.

– Nie ma o czym mówić – bąknął.

– Przecież mnie możesz powiedzieć.

– Ale nie ma o czym. Po prostu mam dużo pracy. Przyjęli mnie na uczelnię, prowadzę zajęcia. Mam kilka grup studentów i czasem trudno to ogarnąć. Powoli układam wszystko, ale potrzebowałem chwili, żeby się wdrożyć.

– Wiedziałam, że daleko zajdziesz.

W głosie babci brzmiała duma, ale Artur nie podzielał jej entuzjazmu. Pracę wykładowcy postrzegał jako porażkę. Jasne, fajnie, że w ogóle miał pracę, o którą w dzisiejszych czasach jest niełatwo, ale swoją przyszłość wyobrażał sobie nieco inaczej. Po zrobieniu doktoratu miał nadzieję na posadę w dobrze płatnej firmie, tymczasem był zmuszony użerać się ze studentami, których nie znosił. Są dowodem na upadek nauki, powtarzał w rozmowach z kolegami po fachu. Są studentami tylko z nazwy. W rzeczywistości to dzieciaki, które zdały maturę i nie mają pomysłu na życie, więc poszły na studia. Dla nich nie miał znaczenia kierunek, na jaki się dostaną. Osiemdziesiąt procent z nich złożyło aplikację na kilka, byleby dostać się gdziekolwiek. A kto nie wierzy, niech idzie na kilka wykładów. Frekwencja? Przy dobrych wiatrach będzie z dziesięć procent. Jakies pytania z sali? Brak. Czy ktoś notuje? Trudno powiedzieć. Głowy ukryte za ekranami laptopów, oczy wlepione w smartfony.

Artur postanowił zmienić temat.

– Rozmawiałaś ostatnio z tatą? – zapytał, choć znał odpowiedź na pytanie. – Kiedy ostatnio do niego dzwoniłem, był w niezłym humorze – dodał.

Irena odwróciła wzrok, dając wnukowi do zrozumienia, że temat jej nie interesuje. Syna wykreśliła ze swojego życia wiele lat temu.

Choć nie zawsze tak było. Kiedy zatrzymano Antoniego, nie uwierzyła w jego winę. Oskarżenia uznała za brednie, spisek przeciwko jej synowi. Podjęła własną walkę, wiedząc, że jest skazana na porażkę. Walczyła z policją, prokuraturą, sądem i mediami. Chciała udowodnić, że się mylą, i oczyścić dobre imię rodziny. Być może to, co robiła, zakrawało na szaleństwo. Samodzielnie przesłuchiwała bliskich ofiar. Czasem wbrew ich woli. Nachodziła, pytała, namawiała do rozmowy. Do czasu, aż matka jednej z zamordowanych zawiadomiła policję, kiedy Irena zaczęła się przy ogrodzeniu i po prostu na nią napadła. To było niemądre, ale powiedzcie to matce, której syna oskarżono o seryjne morderstwa. Każda zrobiłaby wszystko, by pomóc własnemu dziecku. Za wszelką cenę.

– Powinienem go odwiedzić – powiedział Artur. – Niedługo ma urodziny.

Irena posłała wnuczce karcące spojrzenie. Pamiętała o urodzinach syna. Co roku wahała się, czy wysłać Antoniemu życzenia, by wiedział, że matka o nim nie zapomniała, ale w ten sposób złamałaby dane sobie słowo. Ja już nie mam syna, pomyślała.

Walka o Antoniego kosztowała ją sporo nerwów. Mijały dni, tygodnie i miesiące, aż do Ireny dotarła powaga sytuacji. Sąd nie skazałby niewinnego człowieka, a więc Antoni jest winny zarzucanych mu czynów. Wychowała jedynaka na mordercę, który z zimną krwią pozbawił życia niewinne kobiety. Mieszkali razem, jadali wspólne obiady, syn pomagał w pracach domowych, przycinał krzewy, sprzątał ogród, a potem, jak gdyby nigdy nic, mówiąc, że idzie do sklepu, wychodził, by zabijać ludzi. Policja twierdziła, że wykazał się wielkim sprytem. Wszystko miał zaplanowane i dopracowane. Jej jedyne dziecko wyrosło na seryjnego mordercę.

Przyswojenie prawdy zajęło Irenie sporo czasu, ale wreszcie zdała sobie sprawę, kim jest Antoni, i znenawidziła własnego syna. Wymazała ze swojego życia. Próbowwała nawet przeprosić napadniętą kobietę, ale tamta przegoniła ją w diabły, grożąc wezwaniem policji. Irena nie dziwiła się biedaczce. Matka mordercy jej córki nie jest mile widzianym gościem.

Podczas jednej z rozmów – chyba z panią Teresą, matką ofiary numer sześć – Irenie wydawało się, że chociaż jedna z osób będzie w stanie jej przebaczyć. Rozmowa przebiegła w miłej atmosferze. Zdawało się, że tamta pogodziła się z losem. Była spokojna, nawet się uśmiechała, lecz uśmiech bladł, gdy spoglądała na komodę, na której stało zdjęcie córki przepasane czarną wstążką. Kiedy Teresa odprowadzała gościa do drzwi, Irena chciała ją uściskać i jeszcze raz przeprosić. Wiedziała, że nie ma słów, które wynagrodziłyby matce stratę dziecka, nie ma również pieniędzy, które pomogłyby ukoić ból. Wtedy pani Teresa – korpulentna kobieta w wiśniowym fartuszkach – spojrzała na Irenę. Wpatrywała się w nią dłuższą chwilę, a Irenie zdawało się, że całą wieczność. Oczy pani

Teresy pociemniały, a Irena miała wrażenie, że w tym momencie poczciwa pani domu najchętniej wbiłaby jej nóż prosto w serce.

Czy Irena dziwiła się, że wnuk utrzymuje kontakty z ojcem? Nie. Artur kochał ojca. Oczywiście, na początku próbowała odwieść chłopaka od tego pomysłu. Ukrywała listy, odrzucała połączenia z zakładu karnego. Ale to nic nie dało. Artur sam zabiegał o kontakt z ojcem, więc w końcu odpuściła. Antoni ponoć bardzo przeżył odrzucenie przez matkę. Trudno mu się dziwić. Wiele razem przeżyli. Przez lata byli tylko we dwoje. Na dobre i na złe. Ale tego, co zrobił, nie potrafiła mu wybaczyć.

Jej syn jest potworem.

10

Komisarz Rudnicka wstrzymała oddech.

– Nikomu nie zgłosiliście, że w samochodzie Dunaja był dowód Krantz, prawda?

– Owszem – przyznał Mazurek. – Nie było o tym wzmianki w aktach. Jak się domyśliłaś?

Rudnicka posłała mu krzywy uśmiech. Wiedziała, że coś w tej sprawie nie gra. Trudno było uwierzyć, że policjanci nie powiązali zaginięcia Krantz z morderstwami Trzynaście. W policji pracuje wielu półgłówków, ale Bogdan Mazurek zdecydowanie się do nich nie zaliczał. Pozostawało pytanie, dlaczego Mazurek wraz z partnerem nie poinformowali nikogo o znalezieniu dowodu Krantz w samochodzie. Dziewczyna została uznana za zaginioną. Fakt, że znaleziono ją dopiero teraz, nic nie znaczy. Równie dobrze mogłaby być kolejną ofiarą Antoniego Dunaja.

Lena zadała pytanie na głos.

Mazurek wahał się przez dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał, czy warto wtajemniczyć policjantów w wydarzenia sprzed lat.

– Sądziłeś, że mamy kreta na komendzie – wyznał w końcu.

– Kto tak sądził?

– Ja i Kazik byliśmy przekonani, że ktoś z komendy donosi o naszych ruchach. Nie tylko mediom, ale i samemu Dunajowi. Dlatego Trzynaście tak długo robił nas w konia. Znał każdy nasz krok. To nie mógł być przypadek ani sprawka jego domniemanego geniuszu. Może i był sprytny, ale opinia publiczna nieco go przeceniła. Doszło do tego, że nazywali go najinteligentniejszym mordercą powojennej Polski.

– Jak wiele osób było zaangażowanych w śledztwo?

– Okroiliśmy zespół do najbardziej zaufanych ludzi.

Rudnicka podrapała się w skroń. Donoszenie mediom to jedno. Ale współpraca z poszukiwanym mordercą? Jeśli rzeczywiście któryś z gliniarzy miał kontakt z Dunajem, ten musiał mu nieźle płacić. Nikt za darmo nie ryzykowałby tak wiele. Zatajenie informacji

o Krantz miałoby sens. Mazurek i Strąk zyskaliby przewagę nad mordercą. Jedno się nie zgadzało.

– Po odnalezieniu samochodu Dunaja – zauważyła Lena – udało wam się go złapać. Dlaczego wtedy nie ujawniliście informacji o dowodzie osobistym Krantz?

– Masz rację.

Mazurek spojrzał na nią.

Zrozumiała.

– Było za późno – wyjaśnił. – Sprawy nabrały tempa. A jak wiesz, ciała tej dziewczyny nie odnaleziono. Pomyśleliśmy, że uciekła z chłopakiem i odnajdzie się cała i zdrowa.

– Zwyczajnie chroniliście własne tyłki.

– Można tak to nazwać.

– To niedopuszczalne.

– Czyżby pani komisarz zawsze działała zgodnie z literą prawa?

Jasne, pomyślała Lena, o znalezieniu dowodu Angeliki wiedział tylko Mazurek i Strąk. Postanowili zataić znalezisko i szukać dziewczyny na własną rękę. Nie poinformowali przełożonych w obawie, że wiadomość o ich działaniach dotrze do Antoniego Dunaja, a ten znowu ich przechytry. A kiedy dopadli Trzynaście, przyznanie się do zatajania dowodów groziło problemami w pracy, więc postanowili nikomu o niczym nie mówić.

– Szukaliśmy Angeliki – rzekł Mazurek. – Źle się czułem z tym, co zrobiliśmy. Cholera. Naprawdę chciałem dobrze. Wtedy sądziliśmy, że to będzie właściwy ruch i wyprzedzimy Dunaja.

– Zatajanie informacji o dowodach w śledztwie nazywa pan właściwym ruchem? – spytał Wolski.

– Wtedy uznaliśmy, że postępujemy właściwie.

– Trzynaście lat milczeliście! Ta dziewczyna mogła żyć!

– Młody, wyhamuj – warknęła Rudnicka.

– Mam być spokojny? – Wolski wstał. – Ty możesz go spokojnie słuchać? A może uważasz, że dobrze zrobili? – Wymierzył palec w Mazurka. – Baliście się o własne dupy. Tylko o to chodziło. Albo o coś jeszcze. Może o sławę? Gdyby okazało się, że dwójka bohaterów zaważyła sprawę odnalezienia jednej z dziewczyn, którą mógł zamordować Dunaj, nie odszedłbyś na emeryturę w chwale? Nie byłoby wywiadów, odznaczeń i całego tego pierdolnika.

Rudnicka oparła rękę na oparciu krzesła.

– Idź się przejść – rzuciła.

Wolski nie ruszył się z miejsca.

– No już – ponagliła. – Dorośli muszą porozmawiać.

Sierżant zagryzł wargi. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Wyjął z paczki papierosa i bez słowa odszedł w stronę samochodu.

– Młody jest – mruknął Mazurek. – Jeszcze nieopierzony.

– Mhm.

Rudnicka rozumiała złość Marcela, ale nie miała teraz czasu skupiać się na humorach sierżanta.

– Powinniście zgłosić znaleziony dowód – powiedziała. – To prawda. Ale czasu nie cofniemy. – Westchnęła. – Jak złapaliście Dunaja?

– Wszystko jest w aktach.

– No raczej nie wszystko. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Po anonimowym telefonie przyjrzelśmy się samochodowi zostawionemu na parkingu – odparł. – Po numerach doszliśmy, że samochód jest własnością Antoniego Dunaja. Ślady w środku wskazywały na jego winę. Wysłaliśmy po niego patrol. Jego matka strasznie się awanturowała. Najpierw nie chciała wpuścić funkcjonariuszy do środka, potem usiłowała utrudnić wyprowadzenie Dunaja z domu. Jeden z gliniarzy musiał ją unieruchomić. Podobno wyglądała na zdrowo stukniętą.

– Co masz na myśli?

– Po prostu była dziwna. Wiesz, jestem w stanie zrozumieć, że jako matka nie przyjmowała do wiadomości, że synuś jest mordercą, ale potem, kiedy Dunaj siedział już w areszcie, sfiksowała. Udało jej się zdobyć adresy rodzin ofiar. Nachodziła ich, niektórzy ją gonili, inni wpuszczali na rozmowę. Prowadziła własne, pokręcone śledztwo, szukała dowodów, że jej syn jest niewinny. Napadła jedną z matek, nazwisko wyleciało mi z głowy, w każdym razie zaatakowała tamtą kobietę przed jej własnym domem. Zaczęły się szamotać. Irenie nic się nie stało, ale tamta miała pogruchotaną rękę.

– Irena Dunaj uważała, że jej syn jest niewinny?

– Jak to matka. – Mazurek wzruszył ramionami. – Słuchaj, złapaliśmy groźnego mordercę. Miasto mogło odetchnąć.

– Nie żartujmy sobie.

– Ale wyszło na moje, prawda? – Mazurek rozprostował plecy. – Angelikę znaleźliście dopiero teraz, a nie trzynaście lat temu, co jest dowodem na to, że Dunaj nie miał związku z jej zaginięciem.

– Fakt, znaleźliśmy ją – przyznała. – Martwą.

– Dunaj siedzi w więzieniu. Nie mógł jej zabić. Dziewczyna przez te wszystkie lata gdzieś sobie żyła. Może ta torebka w jego samochodzie to przypadek? Może ją podwiózł i zwyczajnie jej zapomniała?

– Jasne. Cudowny zbieg okoliczności.

Mazurek nie odpowiedział.

– Zbadaliście związek pomiędzy Dunajem a Angeliką? Znali się wcześniej?

– Nie odkryliśmy związku pomiędzy nimi.

– Zapytałeś go o to?

– Nie – odparł. – Przecież wiesz, że milczał cały proces.

– Jakie mieliście dowody przeciwko Dunajowi?

– Wystarczające.

– Jakie?

Mazurek westchnął znudzony.

– Kobieta z budki z pieczywem go rozpoznała – powiedział.

– Niedawno mówiłeś, że widok z budki był niewystarczający, by kogokolwiek rozpoznać.

– Rozpoznała Dunaja po sposobie poruszania się i po sylwetce.

– To dowód?

– Jeden z wielu. To nie mógł być przypadek, że wskazała akurat Dunaja.

– Co jeszcze? – dopytywała komisarz.

Mazurek odchylił się na krześle.

– Mamy akta sprawy – nie poddawała się. – Wolałabym jednak dowiedzieć się tego od ciebie.

– Włos należący do ostatniej ofiary, Karoliny Deresz.

– Może też znalazł się tam przypadkowo?

– Karolina Deresz została zamordowana. Istniała jednak szansa, że uda nam się odnaleźć Angelikę żywą.

– Nie udało się.

– Tego nie mogliśmy przewidzieć.

– Dalej – ponagliła komisarz. – Czapka, tak?

– Tak, w pobliżu miejsca zbrodni znaleźliśmy czapkę z daszkiem. A w jej środku DNA Dunaja.

– Skąd się tam wzięła?

– Założyliśmy, że zgubił ją, kiedy transportował zwłoki.

– I zapomniał, że miał na głowie czapkę?

W aktach była wzmianka o czerwonej czapce z daszkiem. Kobieta z budki z pieczywem widziała mężczyznę w takiej czapce i faktycznie w środku znaleziono włosy Antoniego Dunaja. Pytanie – czy można zgubić czapkę z głowy? Jeśli ktoś bardzo się spieszy lub ucieka. Być może Dunaj uznał, że nie warto po nią wracać, ale czy wtedy byłby genialnym seryjnym mordercą, który nigdy nie pozostawił po sobie śladów? Tak bardzo się zabezpieczał, żeby nagle zostawić na chodniku czapkę? Policja nie była w stanie złapać go przez rok, a on po prostu zgubił czapkę?

Albo chciał zgubić. Rudnicka dopuszczała taką ewentualność. Dunaj miał pseudonim Trzynaście. Trzynaście róż, trzynaście ofiar. Może po zamordowaniu Karoliny Deresz uznał, że czas się poddać? Ale dlaczego dobrowolnie miałby poddać się karze? Coś tu nie pasowało. Bystry Trzynaście mógł grać w tę grę do dziś i prawdopodobnie pozostałby na wolności.

Mazurek odchrząknął.

– No i był jeszcze bilet – przypomniał.

- Bilet ze strzeżonego parkingu – mruknęła Rudnicka.
 - Tak. – Kiwnął głową. – Zwyczajny świstek, który wypisuje gość pobierający opłatę. Leżał pod siedzeniem pasażera. Bilet wypisany był na godzinę, a ten parking znajdował się około stu metrów od miejsca znalezienia zwłok na przystanku, przy budce z pieczywem.
 - Ale nie był datowany na dzień, w którym znaleźliście ofiarę.
 - Nie – przyznał Mazurek. – Założyliśmy, że Dunaj najpierw robił rozeznanie.
 - Był ostrożny – zauważyła komisarz. – I zapomniał o głupim bileciku?
 - Może nie sądził, że go złapiemy?
- Rudnicka się uśmiechnęła.
- Kto zadzwonił w sprawie tego samochodu? – zapytała.
 - Samochodu Dunaja?
 - Mhm.
 - Mówiłem. Anonimowe zgłoszenie.
- Lena już miała odpowiedzieć, kiedy rozległ się dźwięk telefonu. Sięgnęła do prawej kieszeni i przyłożyła komórkę do ucha. Z każdą sekundą jej ciało tężało, jakby ktoś napełnił je szybkoschnącym cementem.
- Rozłączyła się i poderwała na równe nogi.
- Młody, spadamy! – zawołała.
 - Co się dzieje? – Mazurek również wstał.
- Lena pokonała już połowę podjazdu, kiedy Mazurek się z nią zrównał. Nawet na niego nie spojrzała.
- Kolejne zaginięcie – rzuciła. – Wygląda na to, że Trzynaście zaczął odliczanie.

11

Pomieszczenie było przestronne. Wyglądało na pokój dzienny, lecz surowe wnętrze nie sprawiało przyjemnego wrażenia. Panował tam chaos. Zdenerwowany mężczyzna, który zadzwonił pod sto dwanaście, krążył między kominkiem i oknem, wymachując rękami i odgrażając się policjantom. Zdawało się, że nikt nie jest w stanie go uspokoić. Wciąż powtarzał, że jego żona zniknęła razem z nienarodzonym dzieckiem. Była w ciąży, to jego pierwsze słowa, które usłyszeli policjanci. Wolski zwrócił uwagę na czas przeszły.

Rudnicka w zamyśleniu wyglądała przez okno.

- Pan usiądzie – zwróciła się do mężczyzny, ale ten nie miał zamiaru wykonać polecenia.
 - Siadaj pan! – warknęła.
- Zatrzymał się i spojrzął na nią zaskoczony.
- Nazywam się Michał Bukowski – powiedział, siadając na kanapie. – Moja żona...
 - Dziesięć wdechów.
 - Ale moja żona...

– Zrób pan dziesięć wdechów, bo inaczej się nie dogadamy.

Michał Bukowski zaczerpnął dziesięć głębokich wdechów. Marcel obserwował tę scenę z pewnym rozbawieniem.

– Pańska żona zniknęła, tak? – zapytała Rudnicka. – Dzwoniła do pana, pan przyjechał i okazało się, że jej nie ma.

– Tak. – Skinął głową i wytarł spocone dłonie w spodnie. – Moja żona nazywa się Małgorzata Bukowska. Chciałbym zgłosić zaginięcie. Dlaczego nikt nie notuje?

– Może wyszła na zakupy albo do fryzjera?

– Ktoś ją porwał.

– Skąd ten wniosek, panie Bukowski?

Mężczyzna jakby się skurczył. Zganił się w myślach za to stwierdzenie. Z policją nie powinno się rozmawiać w ten sposób, pomyślał. Oni lubią łapać za słówka. Nie chciał, by uznali go za podejrzanego. Ale było już za późno. Policjantka mierzyła go zimnym wzrokiem. Obserwowała każdy ruch. Michał miał wrażenie, że zna jego myśli.

– Dlaczego sądzi pan, że ktoś porwał pańską żonę? – powtórzyła.

– Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że ktoś jest w domu.

– Powiedziała, że ktoś się włamał?

– Tak, to znaczy... Powiedziała, że ktoś wszedł do mieszkania.

– Kiedy to było?

– Jakieś... Jakieś półtorej godziny temu.

Rudnicka wsunęła dłonie w kieszenie spodni.

– Czemu tak długo zwlekał pan z zawiadomieniem policji? – zapytała.

– Boże... – Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. – Moja żona... Ona ma skłonności do przesady. Po prostu uznałem, że najpierw przyjadę i sprawdzę, czy wszystko w porządku.

– Gdzie pan był, kiedy zadzwoniła?

– W restauracji.

– Jak długo zajęła panu droga do mieszkania?

– Pół godziny.

– A co z pozostałą godziną?

Po tym pytaniu Michał Bukowski wyglądał na kompletnie skołowanego. Przeniósł wzrok z Leny na sierżanta Wolskiego, a potem na komisarza Mazurka, jakby szukał u nich wsparcia. Na próżno. Żaden nawet nie mrugnął.

– Moja żona zniknęła – powiedział w końcu. – Żądam, abyście zaczęli jej szukać.

– Powoli, panie mecenasie.

Michał ze zdumieniem spojrział na komisarza. Słowem nie wspomniał, że jest adwokatem.

– Co dokładnie mówiła żona, kiedy do pana zadzwoniła? – zapytał Wolski.

– Mówiła, że ktoś wszedł do mieszkania.

– Powiedzmy, że faktycznie ktoś wszedł do waszego mieszkania. Jak mógłby to zrobić? Czy ktoś, oprócz was, posiadał klucze?

- Nasza sprzątaczką.
- Kiedy pan wrócił, drzwi były zamknięte na klucz?
- Tak. Nie. To znaczy... Tak, były zamknięte na klucz. Na górny zamek.
- Czyli sprzątaczką miała własny komplet kluczy?
- Zgadza się.
- Żona również miała własny komplet?
- Tak.
- Gdzie on jest?

Michał popatrzył na niego, jakby nie zrozumiał pytania. Dopiero po chwili przeszedł na korytarz i odsunął drzwi szafy.

- Nie ma! – krzyknął. – Nie ma jej torebki!

Na twarzy Rudnickiej pojawił się nikły uśmiech, ale Marcel nie miał pojęcia, co mogło rozbawić komisarz. Przeniósł spojrzenie na Bogdana Mazurka. Wolski nie był zachwycony obecnością emerytowanego policjanta, jednak Lena uznała, że Mazurek może im się przydać, i pozwoliła, by pojechał z nimi. Zdanie Wolskiego nie miało znaczenia.

- Mogę? – zapytała Rudnicka, wskazując drzwi sypialni.

Bukowski wyglądał na skołowanego. Wszedł za komisarz do sypialni.

- Nie ma torebki mojej żony, czy... – przerwał, gdy Lena uniosła wskazujący palec.

Rozejrzała się po wnętrzu. Woń nowych mebli była silna, co oznaczało, że małżeństwo wprowadziło się niedawno. Ogromne łóżko, dwieście na dwieście dwadzieścia. Nad łóżkiem wisiały zdjęcia z wakacji. Małgorzata Bukowska na łódce, Małgorzata Bukowska na plaży, Małgorzata Bukowska z małpką na ramieniu. Dalej: Michał Bukowski nad jeziorem, Michał Bukowski na górskim szlaku. Michał Bukowski z kolegami. Mężczyźni obejmowali się, śmiejąc do obiektywu. W dłoniach trzymali butelki piwa.

- Czy wasze małżeństwo jest zgodne? – spytała Lena.

- Oczywiście, że tak.

Rudnicka uważnie zwiedzała kolejne pomieszczenia. W mieszkaniu panował porządek. Było świeżo wysprzątane, bibeloty starannie ułożone. Każdy szczegół został przemyślany. Mieszkanie było zbyt idealne. Jakby ktoś je posprzątał przed przyjazdem policji.

- Pana żona pracuje w domu? – zapytała.

- Jest grafikiem, ale ostatnio nie brała zleceń.

- Miała wrogów?

- Skądże! Gosia to...

– Niech pan się zastanowi – przerwała mu komisarz. – Zazdrosna koleżanka, dający się we znaki sąsiad, cokolwiek.

- Naprawdę nie...

- Rozumiem.

Rudnicka spojrzała na Marcela. Nie musiała nic mówić, by wiedział, co jej chodzi po głowie. Po pierwsze, brak torebki mógł świadczyć o tym, że Bukowska dobrowolnie

opuściła mieszkanie, zabierając ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, które kobiety zawsze noszą w torebce. Po drugie, jej mąż kłamał.

– Panie Bukowski – zaczęła. – Ktoś, kto wszedł do mieszkania, miał własny komplet kluczy. Być może były to klucze pańskiej żony.

– Co pani sugeruje?

– Że żona postanowiła się przejść.

– To absurd.

– W drzwiach nie ma śladów włamania.

– To o niczym nie...

– Co pan robił, panie Bukowski, przez godzinę, zanim zadzwonił na policję?

Mężczyzna znieruchomiał.

– Pani mnie o coś podejrzewa? – spytał.

– To rutynowe pytanie.

– A jednak mam wrażenie, że jestem o coś oskarżony.

– Tylko o to, że nie potrafi nam pan wyjaśnić, co robił przez godzinę po powrocie do domu.

Michał podrapał się w skroń. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ nie miał pojęcia, co robił po przyjściu do domu. Zupełnie jakby ktoś wymazał mu z pamięci godzinę życia.

Dwóch mundurowych weszło do mieszkania.

– W bloku nie ma monitoringu – poinformował Rudnicką jeden z nich.

– Nic dziwnego – odparła. – Byłby, gdybyśmy znajdowali się na nowym osiedlu mieszkaniowym, a nie w blokach z wielkiej płyty.

– Natomiast pewna kobieta twierdzi, że widziała podejrzanego mężczyznę w czasie, kiedy Bukowska dzwoniła do męża.

– Zaprowadź mnie do niej.

Rzuciła jeszcze okiem na mieszkanie Bukowskich, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół, a potem wyszła. Mazurek z Wolskim podążyli za nią, choć Marcel nie potrafił ukryć niechęci do emerytowanego policjanta, co Mazurek chyba wyczuł. Wolski wolałby, aby ktoś, kto dopuścił się takich zaniedbań na służbie, nie wyrządził więcej szkód. Najchętniej doniósłby o sprawie przełożonym, ale miał dość problemów na komendzie. Koledzy do tej pory nie pogodzili się z jego sytuacją rodzinną. Wciąż słyszał głupie komentarze na temat ojca komendanta. Nie czuł się z tym komfortowo, ale niewiele mógł zrobić.

Nie mieli pewności, że zniknięcie Małgorzaty Bukowskiej miało związek ze zwłokami, które znaleźli nad ranem w parku. Marcel był zdania – podobnie jak Lena – że nie można tego wykluczyć. Oczywiście wszyscy woleliby, aby Małgorzata wróciła do domu cała i zdrowa, ale przecucie kazało mu sądzić, że nie wyszła z domu z własnej woli.

Mundurowy poprowadził ich do mieszkania na parterze. Starsza pani zaprosiła ich do niewielkiego saloniku. W mieszkaniu było duszno. Szczelnie zamknięte okna nie przepuszczały świeżego powietrza. Siadajcie, zachęcała staruszka i mimo protestów usadziła policjantów na wytartej kanapie. Dwa puszyste koty czmychnęły na zagłówek, trzeci zaś machnął kudłatą kitą i przeciągnął się leniwie. Marcel usiadł obok kocura. Sierściuch spojrział z pogardą.

Kobieta nalała kawy do filiżanek. Świąteczną zastawę wyciągała na specjalne okazje, a za taką uważała wizytę policji.

Rudnicka błyskawicznie upiła łyk. Potrzebowała kofeiny.

– Podobno zauważyła pani kogoś podejrzanego? – zapytała, odstawiając filiżankę.

– Tak, tak. – Kobieta wyglądała na podekscytowaną. Wielkie wydarzenie. Wizyta policji w jej domu! Rzadko przyjmowała gości, a jej jedyną rozrywką w ciągu dnia było rozwiązywanie krzyżówek. Teraz będzie miała o czym opowiadać koleżankom. – Mieszkam tutaj już tyle lat, że znam wszystkich sąsiadów, ale człowieka, którego spotkałam dzisiaj przed klatką, widziałam po raz pierwszy.

– Proszę nam o tym opowiedzieć.

– No więc... – Kobieta nabrała powietrza, a na jej policzki wypłynęły rumieńce. – Wie pani, nie żebym była wścibska, ale jak człowiek siedzi w domu, to widzi to i owo.

Rudnicka pokiwała głową. Wreszcie właściwy człowiek na właściwym miejscu.

– Podobno pani Bukowska zaginęła, to prawda? – zapytała staruszka, niby od niechcienia, choć w oczach lśniła ciekawość.

– Staramy się to wyjaśnić – odparła dyplomatycznie Rudnicka.

– Gdybym wiedziała, że wydarzy się tutaj coś takiego, tobym na policję zadzwoniła, ale skąd miałam wiedzieć? Tamci policjanci pytali, czy widziałam coś podejrzanego, więc powiedziałam prawdę. Według mnie ten mężczyzna wyglądał dziwnie i tyle.

– Proszę opowiedzieć wszystko od początku.

– Byłam na zakupach, w tej nowej Biedronce, co to ją niedawno otworzyli. Jakieś promocje miały być, ale gdzie tam, wszystko wymiecione...

– Proszę...

– A tak, tak. Do rzeczy. Więc wypakowywałam zakupy i krzątałam się po kuchni. Obiad przygotowywałam. Sama mieszkam, dużo nie potrzebuję. Zupę jarzynową planowałam robić, więc warzywa zagotowałam, a tu ktoś wali do drzwi. Jak się wystraszyłam! Myślałam, że coś się pali! Poszłam do wizjera, i patrzę, a to pan Michałek Bukowski. Otworzyłam, a on taki wystraszony, Boże ty mój, taki przerażony pyta mnie, czy widziałam żonę jego, tę Gośkę. Ja mu na to, że nie, że skąd, że w sklepie byłam, że widziałam tylko ich sprzętaczkę, bo żona pana Michałka w ciąży, to sprzętaczkę zatrudnili. Przyjdzie kobiecina, trochę posprząta, ogarnie tu i tam, rozmawiałam z nią, bardzo miła.

Rudnicka upiła łyk kawy. Zanosilo się na dłuższą wizytę.

– I pan Michałek mówi, że jego żona zniknęła – ciągnęła staruszka. – Że ktoś ją porwał. Matko kochana, jak się przeraziłam! Kazałam wezwać policję, ale pan Michałek już to zrobił. Przyszedł spytać, czy coś widziałam, bo ja dużo widzę, mam sporo wolnego czasu, więc czasem posiedzę na balkonie, popatrzę, czy coś się nie dzieje i...

– Rozumiem – przerwała Lena. – Co z tym mężczyzną, którego pani widziała?

– Wchodziłam z zakupami do klatki – odparła kobieta, nieco urażona. – Nie było tego dużo, dwie reklamówki, nie kupuję już dużo rzeczy, bo już mówiłam, że jestem sama, to wiele nie potrzebuję. No i musiałam klucz znaleźć, żeby drzwi do klatki otworzyć, odstawiłam więc jedną torbę i zobaczyłam mężczyznę. Stał ze trzy metry dalej. Wyglądał podejrzanie.

Rudnicka zmrużyła oczy.

– Co to znaczy podejrzanie? – zapytała.

– Rozglądał się na boki, jakby się czegoś obawiał.

– Widziała pani jego twarz?

– Nie, nie. Miał na głowie czapkę z daszkiem. Odwracał głowę i daszek zasłaniał mu całą twarz, a ja wzrok mam słaby, więc...

Lena wymieniła spojrzenie z Marcelem. Bogdan Mazurek siedział nieruchomo, przysłuchując się słowom staruszki.

– Czapkę, mówi pani – podjęła komisarz. – A coś więcej o tym mężczyźnie? Jak wyglądał?

Kobieta się stropiła.

– Gruby czy chudy? Niski czy wysoki?

– Wysoki, dość postawny.

– Co miał na sobie?

– A kurtkę ciemną i dżinsy.

– Rozmawiała pani z nim?

– Nie – odparła kobieta. – Nic. Tylko stał i się rozglądał, jakby na coś czekał.

– Zamknęła pani za sobą drzwi klatki?

– Słucham?

– Czy zamknęła pani za sobą drzwi do klatki schodowej?

Kobieta poczerwieniała.

– One same się zamykają – odparła.

– Ale czy pani je zamknęła?

– Nie, same się zamknęły.

– Słyszała pani, żeby się zamknęły? Spojrzała pani w ich kierunku, by sprawdzić, że są zamknięte?

– Ja... – Zawahała się. – Nie spojrzałam. Nie pamiętam, żebym słyszała trzask zamykanych drzwi, a one zamykają się głośno. Kiedy ktoś wraca po nocy i one walą, to często się budzę...

Kobieta jęknęła.

– O matko... Ja nie wiedziałam, że ten mężczyzna... Że on przeze mnie wejdzie do klatki...

– Musiał przytrzymać drzwi – zauważył Wolski.

– Począł, aż pani będzie w mieszkaniu, i wszedł na klatkę – dodała Rudnicka.

– A jak się dostał do mieszkania Bukowskiej? – zapytał Mazurek.

Komisarz wzniosła oczy ku górze. Odpowiedź na to pytanie wydawała się prosta.

– Sprzątaczką – powiedziała.

12

*Ojcie nasz,
któryś jest w niebie:
święć się imię Twoje,
przyjdź Królestwo Twoje,
bądź wola Twoja jako w niebie,
tak i na ziemi.*

Zofia Krantz powtarzała pacierz. Cierpiała. Dlaczego spotkało ją takie nieszczęście? Dlaczego Bóg odebrał jej dziecko? Dlaczego skazał jej córkę na tak straszliwy los? Czy to rodzaj pokuty? Czy Bóg karze Zofię za grzechy?

*Chleba naszego powszedniego
daj nam dzisiaj.*

Wizyta policjantów wstrząsnęła Zofią tak mocno, że po ich wyjściu długo nie mogła dojść do siebie. Złapała się za serce i opadła na kanapę. W takich sytuacjach lekarz zalecał głęboko oddychać. Po chwili się uspokoiła. Jedynie dłonie jej drżały, gdy zwilżyła wodą usta.

Znaleźli Angelikę. Wreszcie. Wreszcie odnaleziono jej córkę. Czekala tyle czasu. Nieraz myślała, że historia Angeliki skończyła się w dniu jej zaginięcia, że nigdy się nie dowie, kto ją porwał ani co się z nią działo przez te lata. Że już nigdy jej nie zobaczy, że nie będzie mogła pochować własnego dziecka.

Tymczasem dzisiaj, kiedy ktoś zapukał do drzwi, Zofii nawet przez myśl nie przeszło, że to policja. Pewnie listonosz, pomyślała, przekręcając zasuwkę. Kiedy ich zobaczyła, choć jeszcze nie pokazali odznak, wiedziała, że dziś jest ten dzień, na który czekała od trzynastu lat.

*I odpuść nam nasze winy,
jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.
I nie wódź nas na pokuszenie,
ale nas zbaw ode złego.*

Pocałowała krzyżyk. Był wytarty, podobnie jak paciorki różańcowe, które przeplatała między palcami codziennie o tej samej porze, rano i wieczorem. Dzień w dzień modliła się o odnalezienie Angeliki.

Bóg wysłuchał jej prośb.

Podniosła się z kolan, odłożyła różaniec do plastikowego pudełka i poprawiła obrazek Jana Pawła II. Do niego również się modliła. Prosiła, by Bóg oddał jej dziecko.

Przeszła do kuchni zaparzyć herbatę. Z kubkiem mocnego naparu usiadła przy oknie.

Kiedy policjanci wyszli, a ona otrząsnęła się z pierwszego szoku, zadzwoniła do Kasi, drugiej córki. Kasia obiecała, że przyjedzie najszybciej, jak się da. Zofia ucieszyła się z obietnicy córki. Samotność bywa koszmarna. W takim dniu jak ten chciałyby mieć przy sobie kogoś bliskiego. Gdyby Lech żył, może lepiej radziłaby sobie z życiem. Och, gdyby wiedział, że odnaleziono Angelikę!

Nagle spoważniała.

Bóg chciał ją ukarać. Najpierw zabrał jej córkę, potem męża. To nie przypadek. Och, to nie jest przypadek. Bóg wymierza Zofii ciosy, chce, żeby była silna. Właśnie po to jest to wszystko. Zofia ma być silna.

Została wybrana przez Boga.

13

Rudnicka odpięła kaburę i opadła na fotel, oparła łokcie na biurku i ukryła twarz w dłoniach.

– A więc mamy kolejną potencjalną ofiarę? – Naczelnik Ostrowski obracał w palcach nieśmiertelnik, który dyndał na jego szyi.

Do gabinetu wszedł Bogdan Mazurek. Przywitał się z Ostrowskim uściskiem dłoni. Znali się jeszcze z czasów, kiedy Mazurek był policjantem.

– Boguś pomaga nam w śledztwie – wyjaśniła Rudnicka.

– Pomyślałem, że się przydam – dodał Mazurek. – Trochę posiedziałem nad sprawą Dunaja.

– Udało ci się zamknąć świra za kratami – powiedział naczelnik, lecz z tonu jego głosu trudno było zgadnąć, czy żywi do Mazurka podziw, czy raczej pogardę.

– Nie zrobiłem tego sam – sprostował były policjant i zajął miejsce za konferencyjnym stołem. – Niezły pokoik – zwrócił się do Rudnickiej. – Sama tutaj siedzisz?

Lena podniosła wzrok.

– A bo co?

– Nieźle.

Naczelnik długą chwilę patrzył na Mazurka, jakby się zastanawiał, czy rzeczywiście warto skorzystać z jego pomocy, po czym wsunął dłonie w kieszenie spodni i wypiął pierś niczym kapitan statku.

– Możesz się przydać – orzekł. – Pracowałeś nad sprawą, więc pomożesz nam w schwytaniu naśladowcy. Znasz mechanizmy i sposób działania Dunaja. Jeśli naśladowca chce odtworzyć historię jeden do jednego, możemy spodziewać się analogii.

– Przejrzałeś słownik wyrazów obcych? – mruknęła Lena.

– Spróbuję pomóc – zapewnił Mazurek. – Nie powiedziałbym jednak, że dobrze znam Trzynaście. Nie zapominajmy, że milczał podczas procesu.

– Ale przyznał się do winy – zauważył Ostrowski. – Pierdolony świr.

– Przyznał się do winy. – Mazurek podrapał się w czoło. – Pamiętam jego słowa. Przyznaję się do winy. Zamordowałem trzynaście kobiet. Poderżnąłem im gardła. Tak powiedział.

Rudnicka sięgnęła po teczkę i wyjęła z niej gęsto zadrukowany dokument.

– Dunaja poddano obserwacji psychiatrycznej – powiedziała, przebiegając wzrokiem po treści dokumentu. – Nie stwierdzono niepoczytalności.

– Dunaj dostał adwokata z urzędu – dodał Mazurek. – Facet początkowo chciał przyjąć linię obrony i udowodnić, że Dunaj jest chory psychicznie, ale strategia legła w gruzach. Jego klient nie chciał współpracować. Biegła uznała, że robił wszystko, by nie uznano go za niepoczytalnego. Ostateczna opinia brzmiała, że był w pełni władz umysłowych.

– Rozmawiałeś z nim podczas przesłuchania. – Rudnicka spojrzała na Bogdana. – Jak się zachowywał, kiedy go schwytaliście?

– Normalnie – odparł. – Nie protestował, nie uciekał, poddał się bez walki. Posłusznie wsiadł do radiowozu, zajechaliśmy na komendę, gdzie przyznał się do winy. Potem nic więcej nie powiedział. Tylko patrzył pustym wzrokiem.

– Próbowaliście wyciągnąć z niego coś więcej? Pytaliście, dlaczego zabijał? Jak dobierał ofiary?

– Pewnie, że tak. Ale nie odpowiedział na żadne z pytań.

– Próbowaliście innych metod?

– Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Mazurek zawahał się i spojrzał po zebranych.

– Tak – odrzekł po namyśle. – Próbowaliśmy wydobyć z niego zeznania siłą. To znaczy nie ja – znowu się zawahał – ale Kazik lubił takie zabawy. Trochę go przycisnął, ale Dunaj nie pisnął ani słowa.

Rudnicka pokiwała głową.

– Mówiłeś o analogii – zwróciła się do naczelnika. – Mamy kobietę z podejrzanym gardłem i bukietem trzynastu róż.

– Jak trzynaście lat temu – dodał Bogdan. – Dunaj najczęściej wystawiał ofiary w miejscach publicznych. Kilkukrotnie jednak zdarzyło się, że porzucił zwłoki w mieszkaniach, ale również wtedy z szacunkiem, że tak powiem.

– Masz na myśli to, że układał ofiary w specyficzny sposób?

– Dokładnie tak – kiwnął głową. – Nie rzucał ich na ziemię, nie ukrywał w krzakach. Ciała zawsze były ułożone tak, jakby czekały na znalazcę. W pozycji siedzącej, czasem półleżącej, z kwiatami w dłoni lub umieszczonymi obok. Rozmawialiśmy wówczas z psychologiem policyjnym, który uznał, że w ten sposób sprawca okazuje ofiarom szacunek.

– Ta dbałość oznacza, że nie wyzbył się człowieczeństwa. Ofiary były dla niego ważne. Nie wiadomo jednak, czy układał ciała w ten sposób tylko dlatego, że prędzej czy później znalazłaby je policja. Chciał, aby prezentowały się w godny sposób, czy chodziło jeszcze o coś innego? – Rudnicka podrapała się w skroń. – Ciekawy jest też aspekt kwiatów. Być może zostawiając kwiaty ofiarom, uroił sobie w tym chorym łbie, że w ten sposób zrekompensował odebranie im życia? – Zapaliła papierosa i przysunęła spodek od filiżanki. – Zbrodnie Dunaja to spektakl. Widowisko przeznaczone dla mieszkańców, mediów oraz policji. Gdyby chodziło o sam akt zbrodni i okrucieństwa, porzuciłby ofiary gdziekolwiek, może nigdy byśmy ich nie znaleźli, a może po długim czasie. – Strząsnęła popiół. – W każdym razie Trzynaście dbał o ofiary. Dbął o każdy szczegół inscenizacji. Układał zamordowanym włosy, pozostawiał im kwiaty na dowód swojej miłości i szacunku. Oddawał im cześć, nie traktował ich przedmiotowo.

Mazurek zamrugął.

– Nie szarżowałbym z tym naukowym podejściem. Dunaj jest zwykłym mordercą. Dumanie nad jego pobudkami nie zmieni faktu, że odebrał tym kobietom życie.

– Mylisz się – zaoponowała Rudnicka. – Jeśli dowiemy się, co nim kierowało, łatwiej będzie nam znaleźć jego naśladowcę.

– Skoro tak mówisz. – Mazurek uniósł dłonie. – Ty tutaj rządzisz. Ja jestem jedynie konsultantem. Tak się teraz to nazywa?

– Czy róże też coś oznaczają? – zapytał Marcel, zapalając papierosa. Zaciągnął się i powoli wypuścił dym.

– Czerwone róże są symbolem miłości – powiedział Mazurek.
– I szacunku – dodała Lena. – Już doszliśmy do tego, że Trzynaście szanował swoje ofiary.

– Polemizowałbym – odezwał się Ostrowski. – Sprawca podrzynał tym kobietom gardła. Według ciebie to przejaw szacunku?

– Może według jego pokręconej filozofii to właśnie jest przejaw szacunku.

– Ale jakiej filozofii? Wciąż nie wiemy, co nim kierowało w doborze ofiar.

Rudnicka zagryzła wargę. Miała za mało czasu, by zastanawiać się nad schematem działania sprawcy. Sytuacja wymagała skrupulatnego prześledzenia życia każdej z ofiar, wyszukiwania podobieństw między nimi. Musiał istnieć jakiś schemat, według którego Trzynaście wybierał ofiary. Trzynaście lat temu psychologia kryminalna nie była tak rozwinięta jak dzisiaj. Fakt, że Mazurek wraz ze swoim partnerem nie znaleźli związku między ofiarami, nie oznacza, że ten związek nie istniał.

– Dowiem się – zapewniła Lena po namyśle.

– Sprawca ma obsesję na punkcie liczby trzynaście – dodał Marcel. – To nie przypadek, że naśladowca uderzył właśnie teraz.

– Naśladowca może mieć też obsesję na punkcie Dunaja.

– Trzynaście to pechowa liczba – zauważył Wolski. – W niektórych hotelach nie ma pokoju z tym numerem. Trzynaście to wcielenie szatana, symbol ciemności.

– My też się nad tym zastanawialiśmy – przyznał Mazurek. – Uznaliśmy, że Trzynaście postrzega siebie jako wcielenie zła.

– Liczba trzynaście jest zakorzeniona w religii – ciągnęła Lena. – Weźmy Judasza. Trzynasty apostoł. Symbol zła i zdrady.

– Trzynasta karta w tarocie to śmierć.

– Skąd to wiesz? – Rudnicka spojrzała na Wolskiego. – Chodzisz do wróżki?

– Tak słyszałem.

– Mhm.

– Dopóki nie znajdziemy kolejnej ofiary, nie możemy zakładać, że mamy do czynienia z naśladowcą Dunaja – orzekł naczelnik Ostrowski, przechadzając się po gabinecie.

– Dlaczego? – zdziwił się Marcel. – Sposób działania jest taki sam.

– Mamy zwłoki i porwaną kobietę w ciąży – rzuciła Rudnicka bez przekonania. Zastanowiła się chwilę, dopalając papierosa, po czym zdusiła niedopałek. – Wiecie, kim jest ta kobieta w ciąży, prawda?

Bogdan Mazurek pokiwał głową.

– To przyjaciółka Angeliki Krantz – wyjaśniła Rudnicka.

Marcel uniósł brwi. No tak. Że też nie wpadł na to wcześniej. Małgorzata Bukowska. To o niej wspomniała matka Angeliki. Małgorzata była najlepszą przyjaciółką jej córki.

Ostrowski również był zdziwiony.

– No pięknie – rzucił. – Pięknie, kurwa, pięknie. Dopiero teraz, kurwa, to mówisz?

– Małgorzata jest w ciąży – przypomniała Lena. – Nie jestem entuzjastką małych smrodów, ale dziecko to dziecko. Musimy zrobić wszystko, by odnaleźć Bukowską żywą.

– Skończ pierdolić, Rudnicka. Nie udawaj, że zależy ci na czyimś życiu. Wszyscy wiemy, że to nieprawda.

Rudnicka nie dała się sprowokować, choć dobrze wiedziała, do czego pije Ostrowski. Często dawał jej do zrozumienia, że nie szanuje jej podejścia do pracy. Kariera i złapanie sprawcy za wszelką cenę nie są najważniejsze, mówił, ale nie miał pojęcia, że po wydarzeniach w hangarze podejście Rudnickiej uległo zmianie. Ale nie widziała potrzeby, by informować o tym kogokolwiek, a tym bardziej Ostrowskiego.

Jasne, na tym polegała praca policjanta. Ktoś popełnia przestępstwo, a policja ma złapać tego człowieka. Nie wymierza kary, od tego jest sąd. Rudnicka zrozumiała to dopiero po kilkunastu latach w zawodzie. Czasem traciła panowanie nad sobą. Wyścig z przestępcą. Adrenalina. Szukanie śladów. Tropienie sprawcy. Rozwiązywanie zagadki. To stanowiło sens jej życia. Ale nie za wszelką cenę. Już nie.

– Kto zgłosił zniknięcie Małgorzaty Bukowskiej? – zapytał naczelnik.

– Mąż, Michał Bukowski – odparł Marcel.

– Ważniak w gajerku – dorzuciła Lena. – Prawnik.

– Gdzie był w chwili zniknięcia? – pytał Ostrowski.

– Podobno w restauracji. – Lena zakręciła się na krześle. – Trochę ściemnia. Teoretycznie miałby powód, by pozbyć się własnej żony, ale myślę, że jest na to za miękki.

– Skąd wniosek, że miał powód, by pozbyć się żony?

– Ich małżeństwo to porażka – wyjaśniła. – Facet pewnie nie raz wygrażał jej w myślach, najchętniej pozbyłby się jej raz na zawsze. I chociaż uważam, że nie byłby zdolny do morderstwa, na wszelki wypadek posłałam za nim ogon.

– Dlaczego uważasz, że ich małżeństwo jest nieudane?

– Widziałam ich wspólne fotki na ścianie – wyjaśniła, turlając długopis z jednego końca biurka na drugi.

– Ze zdjęć wnioskujesz, że małżeństwo Bukowskich jest nieudane?

– Bingo.

– Kurwa, wyjaśnisz wreszcie? – Ostrowski zacisnął dłoń w pięść i powstrzymywał się od wybuchu.

Rudnicka westchnęła. Zatrzymała długopis w połowie drogi i postukała nim w blat.

– Młode małżeństwo – powiedziała. – Niedawno wzięli kredyt na mieszkanie. Było miło, ale się zepsuło. Dlaczego? Nie wiem. Może ona była zazdrosna, może on zostawał za długo w pracy. Ale coś poszło nie tak. Dlatego wakacje spędzają oddzielnie. Każdy wyjazd traktują jak ucieczkę od toksycznego związku.

– Wnioskujesz ze zdjęć?

– Tak – przyznała. – Na każdym są osobno.

– Jakie to proste.

– Cięża pewnie nie ucieszyła żadnego z nich, ale ciągną związek w przeświadczeniu, że dziecko polepszy sytuację. Najgorsze kretyństwo świata. Kiedy urodzi się dziecko, będzie jeszcze gorzej. – Ponownie poturlała długopis. – Zaczną się nieprzespane noce, nerwy, przrzucanie się winą, a potem opieką nad dzieckiem. Koniec końców on się wyprowadzi, zostawiając żonę i dzieciaka w pięknym mieszkanku, będzie płacił alimenty i przypuszczam, że jeszcze część raty kredytu. Taki typ. Gość ma trochę kasy, pewnie szybko znajdzie sobie dziewczynę. Zaraz zakręci się koło niego jakaś aplikantka i spróbuje wydusić trochę grosza, nie wiedząc, że prawnik ledwo wiąże koniec z końcem, wynajmuje kawalerkę albo gówniane mieszkanie w gównianej okolicy, spłaca kredyt i alimenty. Na drogie prezenty dla kochanki może nie wystarczyć.

Gdyby jakikolwiek inny policjant zaczął opowiadać Ostrowskiemu takie brednie, najprawdopodobniej wywaliłby go za drzwi albo odsunął od sprawy. Czy Lena Rudnicka miała u niego specjalne względy? Nie. Nie znosił tej przemądrzałej suki, ale musiał przyznać jedno – ma łeb na karku. Gdyby powiedziała, że sprawca uciekł rakieta na Marsa, Ostrowskiego wcale by to nie zdziwiło. Może rozważyłby wysłanie patrolu w przestrzeń kosmiczną. I choć Ostrowski nigdy tego nie przyznał, miał świadomość, że Rudnicka nadaje się do tej roboty jak nikt inny.

Co nie oznacza, że nie miałby ochoty jej zabić.

– Jak sprawca dostał się do mieszkania Bukowskich? – zapytał.

– Zaraz się tego dowiemy – odparła. – Wysłałam patrol po sprzątaczkę, która pracowała u nich tego dnia.

– Dała porywaczowi klucz?

– Może.

W gabinecie zapadła cisza. Ostrowski spojrział na Rudnicką.

– Załatw to – powiedział. – Kurwa, złap tego psychopata.

– Jasna sprawa – burknęła.

– Byle szybko. Nie chcę paniki w mieście.

– Mhm.

Kiedy naczelnik wyszedł, Rudnicka zakręciła się na krześle. Potarła skronie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Marcel ściszym głosem, żeby nie usłyszał go Mazurek, który na korytarzu rozmawiał przez telefon.

– Oprócz tego, że szukamy jakiegoś popaprańca, który podrzyna kobietom gardła?

– Nie o to pytam.

– A o co?

Lena wiedziała, do czego zmierza Marcel, ale nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy. Modliła się w duchu, by Mazurek jak najszybciej do nich dołączył. Rozmowy z Wolskim starała się ograniczyć do tematów służbowych.

– Nie wyglądasz najlepiej – odparł.

– Dzięki.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Nie – ucięła. – Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Marcel dostrzegł w jej oczach wściekłość. Pytania o jej samopoczucie zawsze kończyły się tak samo. Postanowił więc odłożyć rozmowę na później, ale obiecał sobie, że po przesłuchaniu sprzątaczkę Bukowskich podejmie kolejną próbę.

Nie miał wówczas pojęcia, że nie będzie im dane porozmawiać z Jagodą Bejcą.

14

Małgorzata Bukowska nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Czuła się kompletnie skołowana. Przebudziła się z potwornym bólem głowy. Miała wrażenie, że jej czaszka zaraz eksploduje i rozprysnie się na milion kawałków. Właściwie to nie byłoby takie złe. Przynajmniej pozbyłaby się tego cholernego pulsowania w skroniach.

Z trudem otworzyła oczy i szybko je przymknęła. Powieki miała ciężkie. Przesunęła dłonią po ziemi. Szorstka, zimna, surowa. Leżała na gołym betonie. Otaczała ją woń wilgotnej ziemi i starej, niewietrzzonej piwnicy i ciemność. Pomieszczenie nie miało okien. Małgorzata nie wiedziała, jakim cudem trafiła w to koszmarnie miejsce, które przyprawiało ją o ciarki na ciele. Jedyne przez szparę w drzwiach sączyła się ledwo widoczna strużka światła. Małgorzata pamiętała, że usłyszała w mieszkaniu dziwne dźwięki. Początkowo pomyślała, że sprzątaczką o czymś zapomniała i wróciła, ale po chwili dotarło do niej, że ten, kto wszedł do mieszkania, usiłował nie robić hałasu. Skradał się. Szybko zadzwoniła do Michała. Telefon wypadł jej z ręki, kiedy zobaczyła, że ktoś stoi w korytarzu.

Potem wsiadła do samochodu, a wtedy intruz przyłożył jej do twarzy nasączoną czymś szmatę. Odpłynęła i obudziła się tutaj. Uświadomiła sobie, że gdyby któryś z sąsiadów zobaczył ją wsiadającą do obcego auta, powiedziała by policji, że nie wyglądała na osobę przymuszoną do czegokolwiek. To nie wyglądało na porwanie. Sąsiad nie mógł wiedzieć, że porywacz trzymał pod kurtką broń, z której do niej celował. W jego oczach Małgorzata dostrzegła szaleństwo. Ktoś taki mógł strzelić do niej na środku parkingu.

Postanowiła rozeznac się w sytuacji. Znajdowała się w zamkniętym pomieszczeniu. Na pewno jest zamknięte, pomyślała. Dla pewności podczołgała się do drzwi i lekko je pchnęła. Nic z tego. Zagrzecotał łańcuch. Była uwięziona. Gdzie? Co to za miejsce? Wytężyła słuch. Kapanie. Regularne, miarowe plum, plum, plum w odstępach może trzech lub czterech sekund. Krople wpadały do czegoś metalowego, może do wiadra albo metalowego zlewu?

Małgorzata doszła do wniosku, że ktoś zamknął ją w piwnicy. Dotknęła dłonią brzucha i poczuła dreszcz przechodzący od czubka głowy aż po koniuszki palców. Co z dzieckiem? Poczowała, że zalewa ją fala paniki. To tylko zły sen, myślała, bardzo zły sen. Niedługo otworzę oczy i obudzę się we własnym łóżku.

Ale to nie był sen.

Uświadomiła sobie, że została porwana. A potem się rozpląkała.

15

Michał Bukowski upił łyk szkockiej. Alkohol zapiekł go w przełyku, rozlewając się przyjemnym ciepłem po żołądku. Michał zawahał się, po czym sięgnął po butelkę i usiadł na kanapie. Odchylił głowę do tyłu. Czuł się zmęczony i zagubiony, to jednak nie przeszkadzało mu wychylić kolejnej szkockiej. Odwołał wszystkie spotkania. Ważniejszych klientów zgodził się przejąć kolega z kancelarii. Marek nie krył zdziwienia. Grubych ryb nie wypuszcza się tak łatwo, skoro można na nich nieźle zarobić. A Michał poprosił szefa o urlop na żądanie. Miał świadomość, że sprzed nosa uciekło mu parę tysięcy złotych, ale miał to gdzieś. Cieszył się, że spokojnie może wypić szklanekę whisky, chociaż nie ma jeszcze siedemnastej.

Już dawno nie siedział we własnym domu, ciesząc się ciszą. Miał świadomość, że nie brzmi to najlepiej – w końcu jego żona zniknęła – ale tę krótką chwilę postanowił poświęcić na odpoczynek, o który w ostatnich tygodniach było tak trudno.

Oczywiście, gdzieś z tyłu głowy krążyła myśl o Małgorzacie. A raczej o ich nienarodzonym dziecku. Kiedy Michał dopuścił tę myśl do siebie, odstawił whisky. Muszę ją odnaleźć, pomyślał. Dziecko nie jest niczemu winne. A Michał już zdążył je pokochać.

Zastanawiał się, czy Małgorzata mogła uciec z własnej woli. Może zaaranżowała porwanie? Zadzwoiła dla niepoznaki, a potem uciekła. Michał nie miał wątpliwości, że byłaby do tego zdolna, byleby zrobić mu na złość. Ale czy byłaby zdolna narażać dziecko tylko po to, by mu dopiec?

Oczywiście, że tak.

Z drugiej strony, Gośka kochała pieniądze. Nie zdecydowałyby się uciec bez grosza przy duszy. Zresztą, dokąd miałyby uciekać, skoro przy boku Michała było jej dobrze. Nie musiała pracować, gotować ani sprzątać. Całymi dniami oglądała telewizję. Kto inny zapewniłby jej takie życie?

Choć przed policjantami Michał starał się przedstawić ich małżeństwo jako szczęśliwe, miał świadomość, że jeśli Małgorzacie coś się stało, prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. A on – jako mąż – będzie pierwszym podejrzanym.

Upił solidny łyk prosto z butelki, wierzchem dłoni otarł usta. A jeśli to prawda? Jeśli Małgorzata zniknęła? Jeśli ktoś ją porwał? Zadrżał na samą myśl. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego ktoś miałby porwać jego żonę? Nagle coś sobie uświadomił. Dłoń mu zadrżała. Odstawił butelkę.

Czy zaginięcie przed laty przyjaciółki Małgorzaty ma związek z dzisiejszymi wydarzeniami? Jak jej było? Angelika? Michał podrapał się po głowie. Angelika Krantz,

przypomniał sobie. Kiedy zaginęła, on i Gośka jeszcze się nie znali, ale opowiadała mu tę historię wiele razy. Wiedział, że mocno przeżyła zaginięcie przyjaciółki.

Kiedy usłyszał tę historię po raz pierwszy, był zaintrygowany. Nie pojmował, jak człowiek może zniknąć jak kamfora. Nikt nic nie wie? Nikt nic nie widział? Wolne żarty. Ktoś musi coś wiedzieć, pytanie, dlaczego nie powiedział o tym policji?

Michał przypomniał sobie wieczór sprzed kilku lat, kiedy zapytał żonę o Angelikę. Wówczas ich związek należał do udanych, dużo ze sobą rozmawiali, byli razem szczęśliwi, nic nie zwiastowało porażki, w jaką później zmieniło się ich małżeństwo. Jak myślisz, co się z nią stało?, spytał. Małgorzata wyglądała na zaskoczoną, nie spodziewała się tego pytania, zakrztusiła się winem z supermarketu (wtedy nie mieli jeszcze pieniędzy, by pijać wino, które kosztowało więcej niż piętnaście złotych za butelkę), a gdy się uspokoiła, spojrzała na Michała z wyrzutem, jakby poruszył zakazany temat, choć niedawno sama chętnie opowiadała o dniu, kiedy jej przyjaciółka zaginęła. W jej oczach Michał dostrzegł pogardę i złość. Nie powinienś zadawać takich pytań, zdawała się mówić i przez następnych kilka minut nie odezwała się ani słowem. Grzebała widelcem w sałacie. Michał nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Małgorzata, nabijając kawałek pieczonego kurczaka na widelec, wyobraża sobie, że wbija ostrze w jego serce. Po raz pierwszy okazała mu wtedy wściekłość. Jakiś czas później złość i niezadowolenie stały się nieodłącznymi atrybutami jego żony, ale wówczas miał wrażenie, że w jej umyśle coś przeskoczyło.

Myślę, że ona nie żyje, powiedziała potem Gośka podczas zmywania naczyń. Skrobała zaschnięty talerz z taką pasją, jakby chciała przełamać go na pół. I myślę, że nie powinniśmy się nią interesować. Właśnie tak powiedziała. Że nie powinniśmy się nią interesować. Co to w ogóle miało znaczyć? Nie szukajmy jej, nie grzebmy w tej sprawie, a ty, Michale, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. W głosie Gośki brzmiała stanowczość. Skąd w niej to przekonanie o śmierci przyjaciółki? Skąd mogła wiedzieć, że Angelika już nie żyje? Czemu nie miała nadziei na szczęśliwy finał tej historii, na odnalezienie Angeliki całej i zdrowej? Chyba że Gośka nie mówiła policji całej prawdy. Z zawodowego doświadczenia Michał wiedział, że w każdej sprawie pojawia się ktoś, kto kłamie, mataczy, ukrywa coś przed wymiarem sprawiedliwości. Gośka powinna mieć nadzieję. Jak każdy człowiek, którego bliska osoba przepadła bez wieści. Tymczasem ona uważała, że Angelika Krantz umarła. Tak po prostu.

Michał wstał i zachwiał się. Alkohol zaczął działać. Dla równowagi przechylił butelkę, upił kolejny łyk i przeszedł do sypialni. Usiadł na podłodze. Otworzył jedną z szuflad w komodzie. Dokumenty dotyczące kredytu, polisy na życie. Otworzył następną, nie mając pojęcia, czego właściwie szuka – stare świadectwa szkolne, albumy komunijne, na cholere ona to wszystko trzyma, pomyślał, otwierając trzecią z szuflad. Zamarł. Dziecięce ubranka. Miniaturowe bluzeczki, kolorowe pajacyki, malutka czapeczka z uszami, buciki.

Michał wziął do ręki jeden bucik. Był taki mały. Nie potrafił wyobrazić sobie miniaturowego człowieczka, na którego pasowałby ten bucik. Jego człowieczka. Jego

dziecka.

Po policzku spłynęła mu łza. Boże... Nie miał pojęcia, że Gośka zaczęła kompletować wyprawkę. Poczł ukłucie w sercu. Był wobec niej niesprawiedliwy. Zrobiło mu się wstyd. Chciał przeprosić ją za wszystko. Spodziewają się dziecka. Powinni być rodziną, a żyli od siebie tak daleko, jakby funkcjonowali na osobnych planetach. Czy zdołają naprawić swój związek? Michał nie wiedział, czy nagła wiara w ich małżeństwo to zasługa wypitego alkoholu, ale czuł się podbudowany. Są rodziną. Powinni być razem. Na dobre i na złe. Razem ze względu na dziecko. Na tę małą istotę, która rośnie w brzuchu Gośki.

Zapłakał.

Dlaczego doceniamy to, jak wiele mamy, dopiero gdy to stracimy? Dlaczego nie potrafimy szanować siebie nawzajem? Czy musi wydarzyć się najgorsze, byśmy zrozumieli własne błędy?

Niewiele myśląc, ściągnął z wieszaka kurtkę. Zszedł na parking i wszedł do samochodu. Nie zastanawiał się nad ilością wypitego alkoholu. Po prostu odpalił silnik i ruszył, nieświadomy, że nieoznakowany samochód policyjny jedzie za nim.

16

Na kolację wybrali się do Irish Pubu. Dochodziła dziewiętnasta, a tego dnia tyle się działo, że Lena nie miała czasu na jedzenie. Przy barze kłębił się tłum gości. Dwóch mężczyzn niosło kufle z piwem. Kelnerka w irlandzkim stroju przemykała pomiędzy stolikami. Zajęli stolik w kącie sali i złożyli zamówienie. Lena zdecydowała się na pierogi z mięsem, Marcel zamówił grillowaną polędwicę. Oboje wzięli po kuflu piwa.

Lena spojrzała na Marcela. Miał smętną minę. Wiedziała, że coś go trapi. I nawet domyślała się co.

– Okej, miejmy to za sobą – powiedziała.

– Słucham?

– Nie zgrywaj się. Widać, że coś ci chodzi po głowie, więc masz swoje pięć minut.

Wolski splótł dłonie na blacie i podniósł wzrok, zastanawiając się, czy komisarz stroi sobie z niego żarty.

Kelnerka przyniosła zamówione piwa. Marcel upił duży łyk, by zyskać na czasie. Przed kilkoma miesiącami znalazł Lenę u niej w mieszkaniu, zażyła masę tabletek przeciwbólowych i była w kiepskim stanie. Kilka razy próbował z nią porozmawiać, ale za każdym razem go zbywała.

W końcu wziął głęboki oddech.

– Dalej łykasz to świństwo? – spytał.

– O czym ty mówisz?

Wolski skrzywił się.

– Nie – odparła. – Nic nie łykam, co nie oznacza, że jestem z tego zadowolona.

– To znaczy?

– Czuję się przez to jak wymięta szmata.

Lena żałowała, że Marcel dowiedział się o jej grzeszkach. Od tamtej pory bacznie ją obserwował. Owszem, wzięła wtedy o parę tabletek za dużo, ale wszystko już wróciło do normy. A przynajmniej musiała przekonać o tym Wolskiego, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

– Zadowolony? – burknęła.

– Uważasz mnie za dumia? Mówisz, że nie łykasz pigułek, bo wiesz, że to chciałbym usłyszeć.

– To nie twoja pieprzona sprawa.

– Otóż jesteś w błędzie.

– Czyżby?

Mierzyli się wzrokiem niczym psy gotowe do walki.

– Każdy alkoholik twierdzi, że nie ma problemu z alkoholem.

– Nie jestem alkoholiczką. – Uniosła kufel. – Zdrówko.

– A więc nie masz problemu z nadużywaniem leków przeciwbólowych?

Lena wypła piwo do połowy, po czym głośno odstawiła kufel. Miała nadzieję, że załatwiła temat przynajmniej na kilka tygodni. Gdyby mogła, cofnęłaby czas i Wolski nie zobaczyłby jej po zażyciu oxycontinu. Nie powinien się dowiedzieć. Nikt nie powinien się dowiedzieć. Dlatego musiała go przekonać, że skończyła z nałogiem.

– Zajmijmy się robotą – burknęła.

– Jasne. – Odchylił się na oparcie. – Ucieknijmy w pracę.

– To nie jest ucieczka – sprostowała. – To zamknięcie tematu, na który nie mam zamiaru rozmawiać z kimś takim jak ty.

– Świetny pomysł. Powinnaś o tym porozmawiać ze specjalistą.

– Nie brnij w to, sierzancie, bo gwarantuję, że nie wyjdiesz z tej rozmowy cały.

Wolski uniósł otwarte dłonie.

– Jak uważasz – odparł i napił się piwa.

Rudnicka podniosła rękę w geście powitania. Marcel obrócił się i zobaczył Bogdana Mazurka, wchodzącego do Irish Pubu.

– Po co go tutaj ściągnęłaś? – spytał, nie kryjąc niezadowolenia.

– Przeszkadza ci?

– Gość jest śliski.

– Być może – przyznała. – Ale zna Trzynaście lepiej od nas, więc może okazać się przydatny.

Wolski zacisnął wargi. Nie ufał temu facetowi. Nie dziwiło go, że Lena nie mówi mu całej prawdy, zaskoczył go natomiast fakt, że chce skorzystać z czyjejś pomocy. Rzadko wspomagała się wiedzą inną niż własna.

– Paskudna pogoda. – Mazurek podszedł do stolika i zajął miejsce obok Marcela. Po chwili zjawiała się kelnerka z menu. Nie zaglądając do środka, zamówił ruskie pierogi. – Trochę żyję na tym świecie, ale nie pamiętam tak okropnej jesieni. Cholernie zimno. W nocy ma być na minusie...

– Fascynujące – przerwała mu komisarz, przesuwając ramię na oparcie krzesła.

Na twarzy Mazurka pojawił się uśmiech. Były gliniarz sprawiał wrażenie, jakby przebudził się ze snu. Odejście na policyjną emeryturę bywa bolesne. Z dnia na dzień człowiek staje się niepotrzebny. Życie na ciągłej adrenalinie zamienia się w ciąg spokojnych dni, które się od siebie niczym nie różnią. Nie każdy jest w stanie się przestawić. Mazurek pomoc w sprawie naśladowcy Dunaja traktował jak wyzwanie. Znowu robił to, co potrafił najlepiej. Był gliną.

– Ona tak zawsze? – zwrócił się do Wolskiego. – Czasem warto na chwilę odpuścić. Wiem, co mówię. Przerobiłem w tej firmie ponad dwadzieścia lat. Co prawda nie dorobiłem się stopnia komisarza, ale znam się na tej robocie.

– Nie mam czasu na kurtuazyjne pogawędki – odparła Lena. – Morderca jest na wolności i dopóki nie wsadzę go za kratki, nie planuję urlopu.

– To może nie być proste.

– Co ty, Boguś, nie powiesz? – zakpiła, ale nie wyglądała na urażonego.

Kelnerka postawiła na stoliku zamówione dania i szklaneczkę whisky dla Mazurka.

Cała trójka zabrała się do jedzenia. Rudnicka czuła, jak burczy jej w brzuchu. Była głodna, jednak kiedy wsunęła do ust pierwszy kęs, nie była w stanie go przełknąć. Popiła piwem.

W tamtym śledztwie Mazurek grał do własnej bramki. Twierdził, że nie zgłosili odkrycia torebki Krantz, ponieważ chcieli znaleźć dziewczynę, nie wzbudzając paniki w mieście. Kłamstwo. Powód był zupełnie inny. Prozaiczny. Spowodowany ludzką pychą i potrzebą uznania. Byli blisko ujęcia Dunaja i mieli dowód w postaci włosa ostatniej ofiary. Woleli zamknąć sprawę, wsadzić Trzynaście za kratki i odejść w chwale. Oto, proszę państwa, bohaterowie, którzy dzięki ciężkiej pracy złapali seryjnego mordercę. Teraz możecie żyć spokojnie, wszystko wróciło do normy. Społeczeństwo potrzebowało bohatera. Dostało dwóch. Posypały się nagrody finansowe, odznaczenia, wywiady. Głód sukcesu, który tli się gdzieś głęboko wewnątrz każdego człowieka, został zaspokojony.

Gdyby wyszło na jaw, że w samochodzie znaleziono torebkę Angeliki Krantz, zaczęłyby się spekulacje. Czy Dunaj na pewno skończył na trzynastej ofierze? Co się stało z zaginioną kobietą? Dlaczego policja nie może jej znaleźć? Dlaczego Bogdan Mazurek, nasz bohater, jej nie odnalazł?

– Smaczne mają tu żarcie, nie ma co – powiedział Mazurek, skończywszy posiłek. Wytarł usta serwetką i napił się whisky. – Cholernie dobra. Irlandzka.

– Będziesz to jadła? – zapytał Wolski.

– Często się. – Rudnicka podsunęła mu swój talerz.

– Z pełnym brzuchem rozmawia się znacznie przyjemniej, prawda? – zagadnął Mazurek.
– Człowiek najedzony, człowiek szczęśliwy. – Uśmiechnął się i widząc sceptyczną minę komisarz, dodał: – Przepraszam, ale ja jestem prosty chłop. Najpierw muszę dobrze pojeść, potem mogę brać się do roboty.

– Jasne.

– Jak jeszcze mam pod ręką popitkę, staję się najszcześniejszym człowiekiem na ziemi.

– Trójca każdego faceta, nie? Pojeść, popić i pociupciać.

Mazurek zaśmiał się.

– No – przyznał. – Coś w tym jest.

– Szkoda, że o to ostatnie tak trudno, prawda, Marcel?

Wolski, zajęty jedzeniem, udał, że nie usłyszał zaczepki.

– No dobra – mruknęła. – Pojedli, popili, możemy wziąć się do roboty?

– Sporo myślałem nad tą sprawą – powiedział Mazurek. – Naśladowca wiele ryzykował, idąc do mieszkania Bukowskich.

– Trzymał się też ryzykował wiele razy. Ekspozował zwłoki w miejscach publicznych. Każdy mógł go zobaczyć.

– Ale nikt nie zobaczył – uściślił Mazurek. – Oprócz kobiety z budki z pieczywem. Trzymał się dobrze wykonywał swoją robotę. Robił rozpoznanie terenu. Pozostawiając zwłoki na przystanku, wiedział, że o tej porze nie będzie tam nikogo. Jasne, ryzyko istniało. Właśnie w tym rzecz, pani komisarz, Trzymał się ryzykował. Może nakręcała go adrenalina, a może był bystrzejszy od nas, dlatego tyle czasu zajęło nam złapanie tego świra.

– To raczej oczywiste.

– Dunaj to cholernie inteligentny gość. Sądzisz, że jest bystrzejszy ode mnie? Być może jestem durniem, ale w końcu udało mi się go złapać. Pytanie, czy tobie się uda?

Rudnicka uśmiechnęła się niewzruszona.

– A co ze sprzątaczką? – zagadnął Marcel.

– Patrol nie zastał jej w domu – poinformowała Lena. – Będą jeszcze próbować.

– Poczekaj – odezwał się Bogdan. – Jakie jest wstępne założenie? Uważasz, że Małgorzata Bukowska wyszła z domu z własnej woli?

– Zakładam, że ktoś ją wyprowadził – odparła Rudnicka. – Może ktoś, kogo znała? Wówczas poszłaby z własnej woli. Ale to nie może być przypadek, że dawna przyjaciółka Krantz znika właśnie teraz.

– Zgadzam się. – Mazurek pokiwał głową. – To nie przypadek.

– Nie wiadomo, czy po wyjściu sprzątaczkę Bukowska przekręciła zamek w drzwiach – ciągnęła komisarz. – Jeśli nie, sprawca miał ułatwione zadanie. Nie dowiemy się tego, dopóki nie znajdziemy sprzątaczkę. Może zgubiła klucze?

– Czekał – odezwał się Marcel, odsuwając pusty talerz. – Czegoś nie rozumiem. Jakim cudem w biały dzień ktoś siłą wyprowadził z bloku kobietę i nikt tego nie zauważył?

– Mogła znać sprawcę i wyjść z własnej woli.

– Albo groził jej bronią – dorzuciła Lena. – I wyszła niczym potulny piesek.

– No tak. – Wolski podrapał się w skroń.

– Zostawmy na chwilę, w jaki sposób to zrobił. Ja zastanowiłabym się raczej, dokąd ją zabrał. – Spojrzała na Mazurka. – Czy podczas śledztwa w sprawie Trzynaście doszliście do tego, gdzie Dunaj przetrzymywał ofiary? Bo nie zabijał ich od razu, prawda?

Mazurek pokręcił głową zrezygnowany.

– Nie – odparł. – Dunaj nie pisał ani słowa. A w jego domu nie znaleźliśmy żadnych śladów. Założyliśmy, że miał kryjówkę. – Mazurek westchnął. – Złapaliśmy go po tamtym anonimowym telefonie. Przypuszczam, że ktoś z jego otoczenia połapał się, że Dunaj jest poszukiwanym mordercą. Może kolega, może sąsiad, to nieistotne. Poradził, byśmy sprawdzili ten cholerny samochód. Kazik, mój partner, uznał, że ktoś widział Dunaja w towarzystwie jednej z ofiar. Donosiciel chciał pozostać anonimowy ze względu na własne bezpieczeństwo. To moje zdanie w tej kwestii, ale myślę, że mam rację.

– A może Dunaj sam postanowił się wystawić? – podsunęła Rudnicka.

Mazurek uniósł brwi.

– Po co? Żeby wylądować w więzieniu? Miał obsesję na punkcie trzynastki. Może po trzynastej ofierze uznał, że wypełnił swoją chorą misję.

Marcel odchrząknął, unosząc palec.

– Skupiamy się na Dunaju – rzekł. – A powinniśmy zająć się naśladowcą.

– Jeśli mamy do czynienia z naśladowcą, musimy skupić się na Dunaju.

– Skupmy się na różnicach pomiędzy nimi – ciągnął Wolski. – Naśladowca może działać podobnie do Dunaja, ale nie tak samo. Świadczy o tym chociażby fakt, że naraził się na ryzyko, idąc do mieszkania Małgorzaty.

– Dunaj również się narażał, eksponując zwłoki w miejscach publicznych.

– Czy w miejscu znalezienia zwłok Angeliki znaleźliście jakieś ślady? – zapytał Mazurek.

Lena pokręciła głową.

– Na razie nic – odparła. – Brak odcisków na skórze, brak naskórka, nie zgubił nawet pieprzonego włosa.

– A co z Małgorzatą?

– Wszystkie jednostki dostały jej zdjęcie, patrole przeszukały szpitale, przepytali jej znajomych i rodzinę, ale jak pewnie się spodziewasz, nic nie mamy.

– Gdzieś ją przetrzymuje?

– Najprawdopodobniej – odparła Rudnicka. – Albo ją zabił.

Wolski się wzdrygnął.

– Przypuszczam, że Małgorzata wiedziała coś o Angelice – powiedziała Lena. – Coś na temat jej zaginięcia.

– Dunaj siedzi w pierdlu. Nie mógł zabić Angeliki z za krat – zauważył Mazurek.

– Dlaczego nie?

Policjanci spojrzeli po sobie. Sens słów komisarz docierał do nich powoli.

– Zlecił zabójstwo? – zapytał Marcel.

– Nie wiem – odparła Lena zgodnie z prawdą.

Przy stoliku zapadła cisza.

– Naśladowca będzie zabijał – powiedział Wolski.

– Będzie zabijał, dopóki nie zamorduje trzynastu kobiet – dodała Lena. – Jeśli nie znajdziemy Bukowskiej, ten świr po prostu ją zabije.

17

Zofia Krantz się modliła.

Panie Boże, spraw, by moja córeczka wróciła do domu.

Sprawnie przerzucała paciorki.

Choć dzisiaj Zofia była żarliwą katoliczką, jej wiara nie zawsze była tak głęboka. W młodości trzymała Boga za plecami. Nie widziała Najwyższego, ponieważ patrzyła w złą stronę. Lekceważyła wiarę, nie chodziła do kościoła, nie spowiadała się. Grzeszyła. Cóż, niech pierwszy rzuci kamieniem ten, kto nie popełniał grzechów. Zofia była przekonana, że teraz Bóg każe jej płacić za wszystkie jej występki. Zofia musi odpokutować, odbyć karę najcięższą z możliwych.

Przeżyć śmierć własnego dziecka.

– Mamo?

Panie Boże, przepraszam za grzechy i złe uczynki, których się dopuściłam.

– Mamo?

Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.

– Mamo!

Zofia się wzdrygnęła.

Rozejrzała się po pokoju, lecz nikogo nie dostrzegła. Czyżby się przesłyszała? Czy rozum splątał jej figła? Przycisnęła mocniej krzyżyk. Och, Panie, czy przysyłasz do mnie moją zmarłą córkę, by mogła pożegnać się z matką po raz ostatni? Panie Boże, zabierz mnie z tego świata, bym mogła dołączyć do Angeliki. Zofia poczuła na plecach powiew zimnego powietrza. Patrzyła prosto na ołtarzyk ustawiony na komódce, na zdjęcie Angeliki, która uśmiechała się do niej tak beztrosko, jak wtedy, gdy była małym dzieckiem.

– Mamo, do cholery, słyszysz mnie?

Zofia zastygła w bezruchu. Ten głos nie należał do Angeliki.

Obróciła się. W progu stała kobieta ubrana w puchową kurtkę z futrzanym kołnierzem, minispódniczkę i wysokie kozaki. Z ustami wysmarowanymi czerwoną szminką wyglądała jak ladacznica. Kaśka. Jej druga córka.

– Jak ty wyglądasz? – burknęła Zofia.

Wielokrotnie usiłowała przekonać córkę do zmiany stylu. Przestrzegała, by nie nosiła się w ten sposób. Kusiła mężczyzn. Żaden nie przejdzie obok niej obojętnie. Igrasz z losem, powtarzała, ściągniesz na siebie nieszczęście. Kobieta powinna być skromna. Nosić zakryte bluzki, długie rękawy. Nie powinna budzić w mężczyznach zwierzęcych instynktów. A do tego sprowadza się noszenie krótkich spódniczek.

Kaśka puściła uwagę matki mimo uszu i podeszła, usiłując podnieść matkę z ziemi.

– Zostaw – warknęła Zofia, wyrrywając ramię. – To moja kara.

– Co twoje?

– Kara. Kara za grzechy.

– Jezu, a ty ciągle swoje?

– Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno!

– Wstawaj, kompletnie ci odbiło.

Zofia wyglądała na słabą, jakby modlitwa wysssała z niej wszystkie siły. Opadła na podłogę, twarzą na chłodną posadzkę.

– Dokończ modlitwę – wymruczała.

– Dobra. – Kaśka bezradnie uniosła ręce. – Jak sobie chcesz.

Przeszła korytarzem i zgarnęła małą walizkę, którą ustawiła pod schodami. Zabrała niewiele rzeczy. Zabawi tu tylko chwilę. Nikt o zdrowych zmysłach nie wytrzyma długo z jej matką. Z pokoju dochodziły pomruki, Zofia kończyła modlitwę, na co Kaśka tylko pokręciła głową. Wstawiła wodę na herbatę. Dopiero przyjechała, a już miała ochotę wracać. Gdyby nie sprawa, która sprowadziła ją do rodzinnego domu, już by jej tutaj nie było. Nienawidziła odwiedzin u matki. Zawsze kończyły się awanturą. Po śmierci męża Zofii odbiło. Nie wypuszczała różańca z rąk, uczęszczała na katechezy i kościelne nauki, gdzie nabijali jej głowę kolejnymi bredniami. Matka uważała, że zaginięcie Angeliki i śmierć ojca jest karą od Boga, który ukarał ją za nieczyste życie. Takich właśnie słów używała – nieczyste życie. Według Zofii Kaśka również była nieczysta.

Czajnik pstryknął.

Kaśka zalała herbatę. Nabrała powietrza w płuca. Chciała zapytać matkę, czy ma ochotę na herbatę, ale ostatecznie uznała, że pogrążona w modlitwie Zofia i tak jej nie odpowie. Zalała więc dwie filiżanki i postawiła na stole. Pomruki ucichły. Zastąpiło je sapanie. Matka podnosiła się z kolan. Kaśka powtarzała jej niestrudzenie, by nie obciążała stawów. Bywały dni, że ledwo chodziła. Ale Zofia wiedziała swoje. Chociaż ich relacje nie należały do najlepszych, Kaśka martwiła się o matkę. W końcu miała tylko ją.

Zofia przyczłapała do kuchni. Szurała kapciami, nie mając siły, by unosić nogi. Na jej twarzy malował się ból, którego źródłem niekoniecznie były udręki fizyczne.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kaśka. – Zaparzyłam herbatę. Napijesz się?

– Angelika... – wysapała Zofia i usiadła przy stole. Dłuższą chwilę zajęło jej uspokojenie oddechu.

– Wiem, mamo. – Kaśka miała ochotę przytulić matkę, lecz ostatecznie zrezygnowała z tego pomysłu. – To straszne.

Tego popołudnia właśnie wybierała się na kawę z przyjaciółką, kiedy zadzwonił telefon. To była jej matka. Kaśka kilka sekund zastanawiała się, czy odebrać połączenie. W ostatnich tygodniach matka dzwoniła tylko w jednym celu – zapraszała ją na jakieś idiotyczne spotkania katechetyczne. W końcu się nawrócisz, mówiła, chciałabym, żebyś odnalazła Boga. Dlatego Kaśka najchętniej odrzuciłaby połączenie, ale coś ją tknęło. Jakiś wewnętrzny głos nakazał jej przeciągnąć zieloną słuchawkę.

Matka milczała długą chwilę, a potem się rozpłakała. Kiedy wreszcie wydukała, z jaką sprawą dzwoni, Kaśka, niewiele myśląc, spakowała walizkę i ruszyła na pociąg relacji Warszawa–Łódź.

Trudno było uwierzyć, że Angelika nie żyje. Przez te wszystkie lata, choć nie dawała znaków życia, gdzieś w środku tliła się nadzieja, że odnajdzie się cała i zdrowa. Kaśka miała świadomość, jak naiwne było to myślenie, jednak nikt nie zrozumie człowieka, któremu zaginął ktoś bliski. Choć nic nie wskazywało na to, by Angelika planowała ucieczkę za granicę, Kaśka uznawała tę opcję za najbardziej prawdopodobną. Chciała myśleć, że Angelika uciekła z własnej woli, że gdzieś tam, w świecie, może nawet na innym kontynencie, żyje i jest szczęśliwa.

Okazało się jednak, że policja odnalazła ciało jej siostry.

Ktoś ją zamordował, powiedziała matka przez telefon. Kaśka postanowiła osobiście dodać matce otuchy. Przypuszczała, że Zofia źle zniosła wiadomość o śmierci Angeliki, ale na razie sytuacja nie wyglądała najgorzej. A przynajmniej tak się wydawało.

– Ja... – wychrypiała matka. – Ja myślałam, że Bóg odda mi moje dziecko. Modliłam się tyle lat, prosiłam, by Angelika wróciła cała i zdrowa.

– Mamo, to tak nie działa.

Zofia spojrzała na córkę. Kaśka dostrzegła w jej oczach coś dziwnego.

– Ty się nie modliłaś – powiedziała z wyrzutem.

– Martwiłam się. Tak samo jak ty.

– Martwiłaś się? – Tym razem z ust Zofii wydobył się rechot. Dziki i niekontrolowany. – Ty się martwiłaś? Kiedy? No powiedz, kiedy się martwiłaś? A może martwiłaś się wtedy, jak machałaś gołym, za przeproszeniem, tyłkiem przed bogatymi staruchami, co?

Kaśka miała ochotę trzasnąć drzwiami i wyjść, ale zdusiła złość i upiła łyk herbaty. Znowu to samo. Matka zaczyna starą śpiewkę. Wyjęła z torebki paczkę slimów i zapaliła jednego.

– Nie smrodź w moim domu! – warknęła Zofia.

Kaśka zaciągnęła się i strząsnęła popiół do zlewu.

– W sytuacji, w jakiej się znalazłyśmy, musimy trzymać się razem – powiedziała. – Nie powinnyśmy się kłócić.

– Ja się nie kłóczę. Mówię tylko prawdę, która najwyraźniej kole cię w oczy.

– Mamo, ty nie mówisz prawdy. Wymyślasz jakieś historie, które potem opowiadasz sąsiadom. Nie bierzesz pod uwagę moich uczuć? Jak mam się czuć, kiedy widzę wzrok sąsiadek, którym moja własna matka opowiada, że jestem dziwką.

– Bo jesteś – mruknęła Zofia.

– Uprawiam taniec na rurze. Nie jestem prostytutką.

– Tańczysz pólnaga.

Kaśka westchnęła.

– Widziałam te tańce w telewizji. – Zofia zadrżała na samą myśl. – To zwykłe dziwkarstwo.

– To jest sport.

– Sport? – Znow ten przerażający rechot. Zofia cała się trzęsła, po jej policzkach płynęły łzy. Zanosila się śmiechem, aż zabrakło jej powietrza. Kaśka patrzyła na matkę z niedowierzaniem, zastanawiając się, czy do cna postradala rozum. Od jakiegoś czasu zachowywała się dziwnie, a teraz ewidentnie się jej pogorszyło. – To zwykłe dziwkarstwo, moja panno – dodała, próbując się uspokoić. – Kręcisz zadkiem za pieniądze. A na to wszystko patrzą i ślinią się ci seksoholicy.

– Jacy seksoholicy? Boże, mamo...

Kaśka miała dość. Rozmowa o jej pracy zawsze kończyła się tak samo. Kaśka prowadziła zajęcia w szkole pole dance. Nie miało to nic wspólnego z tańczeniem w nocnych klubach, ale matka nie widziała różnicy. Tańce na rurze są nieczyste, powiedziała kiedyś i do dziś tak uważała.

– Zostanę u ciebie na kilka dni. – Kaśka zmieniła temat.

Zofia wzruszyła ramionami.

– Dobrze – odparła. – Przyda mi się towarzystwo.

– Pomogę ci trochę w domu. Kiedy przestanie padać, może zajmiemy się ogrodem?

– Ogród jest w porządku.

– Wypadałoby zagrabić liście.

– To je zgrab.

Kaśka westchnęła. Wiedziała, że będzie ciężko, ale nie chciała zostawiać matki samej. Nie teraz. Poczekaj do pogrzebu Angeliki. Zofia nie myśli racjonalnie. Pewnie nie będzie w stanie zająć się całą uroczystością.

Przymknęła oczy. Dam radę, obiecała sobie, a wtedy ten koszmar wreszcie się skończy. Należy zrobić wszystko, by Angelika została godnie pochowana. Tylko tyle możemy dla niej zrobić, pomyślała i kątem oka dostrzegła, że ktoś kręci się w ogrodzie.

Irena Dunaj zamknęła książkę. *Mroczna strefa* Stephena Kinga. Długo nie mogła przekonać się do słynnego autora powieści grozy. Nie przepadała za horrorami, ale musiała przyznać, że historia Johnny’ego Smitha wciągnęła ją bez reszty. Ponadczterystustronicową książkę pochłonęła raptem w dwa dni. Fascynujące tempo, pochwaliła samą siebie. Irena uwielbiała czytać książki. Wydawała na nie krocie, wciąż zapełniając biblioteczkę. Nie potrafiła przekonać się do e-booków. Chociaż jest to rozwiązanie o niebo wygodniejsze, czytnik nigdy nie będzie książką. Nigdy nie będzie papierem, który ma zapach; nigdy nie będzie miał faktury kartki, której można dotknąć czy ją powąchać.

Irena odłożyła Kinga na półkę. Zbiory miała imponujące. Począwszy od powieści obyczajowych, poprzez romanse, literaturę faktu, reportaże, po kryminały, powieści szpiegowskie i thrillery. Na regale powoli zaczynało brakować miejsca. Niedługo będzie musiała wstawić nowy, zwolnić trochę miejsca na półkach i zająć się zapełnianiem nowego regału. Irena kochała ten pokój. Nazywała go czytelnią, co brzmiało dumnie, chociaż w rzeczywistości był to niewielki pokój, w którym upchnęła bibliotekę, wygodny fotel z podnóżkiem, stolik i lampkę. To miejsce miało klimat, szczególnie w zimowe wieczory, kiedy z kubkiem herbaty siadywała w fotelu, zanurzając się w lekturze.

Przeszła do kuchni. W okna bębnił deszcz. Wiatr usiłował wedrzeć się do środka. Włączyła żarówkę i stanęła przy stole, jakby na coś czekała. Po co tutaj przyszła? Ach, tak. Wyjęła z lodówki żółty ser. Zrobi kanapkę i może poogląda telewizję? Nie znosiła tego biadolenia, durnowatych programów rozrywkowych, weekendowych kabaretów, bo w ogóle nie były śmieszne, nie oglądała żadnych seriali – ani tureckich, którymi zachwycały się jej koleżanki, ani polskich taśmociągów, które puszczają w kółko i wałkują te same miłątkie tematy. Nuda, nuda.

Mimo to włączyła telewizor. Czasem cisza była nie do zniesienia. Nastawiła program informacyjny. W Sejmie wybuchła burza, mówiła dziennikarka, na co Irena zaśmiała się w głos. W Sejmie ciągle się kłóca. I biorą za to grube pieniądze. Dalej: potężna wichura pozrywała dachy w Lubuskim, biedni ludzie, ciekawe, czy mieli ubezpieczenie? Starsza pani płakała w obiektyw kamery. Nie miała ubezpieczenia, czeka na wypłaty od rządu. Irena znowu się zaśmiała. Głupia starucha. Wypłaty od rządu, niedoczekanie. Kolejna informacja podana na żółtym pasku. Bardzo ważne informacje zawsze puszczają na żółtym pasku. **W ŁÓDZKIM PARKU ZNALEZIONO ZWŁOKI KOBIETY.** Reporter w eleganckim płaszczu, spod którego wystawał czerwony krawat, mówił o doniesieniach, jeszcze niepotwierdzonych, jakoby dzisiejszego poranka w jednym z łódzkich parków odnaleziono zwłoki około trzydziestoletniej kobiety. **INFORMACJE NIEPOTWIERDZONE.** Irena zamarła. Kobiecie podejrząno gardło. W parku. W Łodzi.

Irena czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Na ciele wystąpiła gęsia skórka. Choć na ekranie dawno pojawiły się reklamy, Irena patrzyła tępo w telewizor. Grzybica pochwy, upławy, wrzody, lek na trawienie. Osunęła się na ziemię, upuściła talerz z kanapką, żółty

ser klapnął na podłogę. Nawet nie spojrzała. W uszach rozbrzmiewały słowa reportera. ZWŁOKI KOBIETY. W ŁÓDZKIM PARKU. PODERŻNIĘTE GARDŁO. NIEPOTWIERDZONE.

Irena nie wiedziała, ile czasu leżała na podłodze. Może raptem kilka minut, lecz zdawało się, że minęła cała wieczność. Nie miała siły wstać. Na początku bała się, że dostała zawału czy jakiejś cholernej zapaści, ale powoli wszystko wracało do normy. Serce odnajdywało rytm. Ciało przestało dygotać. Z trudem dźwignęła się na nogi. Musiała przytrzymać się stołu, by znów nie upaść. Gdzie są te pieprzone papierosy?

Odnalazła je w kuchni. Siedząc w ciemności, zaciągnęła się głęboko. To pewnie kiepski pomysł, by palić, skoro parę minut wcześniej sądziła, że ma zawał, ale dopiero po trzech camelach poczuła, że wraca do siebie.

Odtwarzała w myślach materiał z telewizji. To niemożliwe, by morderca sprzed trzynastu lat znów zaczął zabijać. Przecież mordercą był jej syn, Antoni, a on siedział w więzieniu. Ale wszystko się zgadzało. Wyeksponowanie zwłok, poderżnięte gardło. Historia zatoczyła koło.

Złapała się za skronie. Nie, nie. Znowu ktoś miesza jej w głowie. Pogodziła się, że syn jest mordercą. Zwłoki w parku to przypadek.

Choć Irena akceptowała własny los, po raz pierwszy w życiu poczuła, że przydałoby jej się towarzystwo. Chciałaby mieć kogoś przy boku, kogoś, z kim mogłaby porozmawiać o dręczących ją smutkach. Nigdy wcześniej nie miała takiej potrzeby, udawała twardszą, niż była, z podniesioną głową stawiała czoło problemom. Ale w tym momencie chciała się do kogoś przytulić.

Tak po prostu.

Najbliższymi ludźmi, którzy jej pozostali, byli Antoni oraz wnuk Artur. Irena już dawno zapomniała o mężu. Zresztą, kto wie, czy Karol jeszcze żyje? To śmieć. Zwykły śmieć. Matka miała rację. Ale wówczas Irena wyśmiewała jej obawy, była pewna, że Karol jest najcudowniejszym mężczyzną na ziemi. Ależ była głupia! Życie pokazało jej, że świat jest jedną wielką kupą gówna. Jasne – przez jedną krótką chwilę Irena była z Karolem szczęśliwa. Ale potem zaczął się koszmar. Próbowwała wyrzucić z głowy okropne wspomnienia, lecz obrazy powracały, rozsadzały jej czaszkę. Złapała się za głowę, usiłując się uspokoić.

Czy trauma, jaką przeżył Antoni przez swojego ojca, miała wpływ na to, kim się stał? Irena niejednokrotnie zadawała sobie to pytanie. Czy koszmar, który ciągnął się przez lata, sprawił, że jej syn stał się potworem?

W głowie pojawiło się wspomnienie pewnego wieczoru. Niedługo po ślubie Karol stanął przed nią, ubranie miał utyłane w błocie, ręce brudne od ziemi. Przewrócił się po drodze, pomyślała Irena, kiedy wszedł do kuchni. Otrzeptał buty na świeżo umytą podłogę. Czy zrobił to złośliwie? Irena nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo gdy mąż przysiadł na krześle, od razu zwymiotował.

Podniósł głowę i spojrzał na nią z tym szyderczym uśmiechem na twarzy.

– Czego tak stoisz, głupia kurwo? – spytał. – Posprzątaj.

Głos miał zachrypnięty od alkoholu, przepity. Karola nie było w domu trzy dni. Trzy dni, podczas których siedział z kolegami i pił wódkę. W kuchni unosił się odór potu i rzygowin. Karol nie kąpał się przez cały ten czas. Był nieogolony i śmierdział. Dzień wcześniej Irena podczas zakupów w pobliskim sklepie dowiedziała się, że stracił pracę. Wyrzucili go, a on zamiast przyjść do żony i porozmawiać o tym, co dalej, co zrobią i jak poradzą sobie z małym dzieckiem, poszedł chlać. Irena była wściekła. Miała ochotę walnąć go prosto w ten zapijaczony pysk.

Zamiast tego podała mu herbatę z pigwą. Dobrze ci zrobi na żołądek, powiedziała, a Karol pił, jakby nie widział wody od tygodnia. Nie czuł, że wrzątek parzy mu język. Kiedy skończył, otarł usta zabłoconą dłonią, pozostawiwszy na twarzy brunatną smugę.

– Jesteśmy, kurwa, w dupie – rzekł, rechocząc.

Byli w dupie, to prawda. Irena miała tę świadomość. Mieli na utrzymaniu małe dziecko. Trzeba było coś jeść, przydomowy ogródek nie wykarmi trzyosobowej rodziny. A pracy było jak na lekarstwo. Umrzemy z głodu, pomyślała Irena, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Karol cisnął szklanką o podłogę. Rozsypała się w drobny mak.

– To twoja wina! – warknął.

Irena zachłysnęła się powietrzem. Nienawiść w oczach Karola przeraziła ją. Kiedy później wracała myślami do tamtego wiosennego wieczoru, uznała, że zło, które wtedy ujrzała w oczach męża, tliło się w nim od dawna. Czekają jedynie na odpowiednią porę, by się ujawnić. Strata pracy i widmo śmierci z głodu okazały się wystarczającą przyczyną. Machina ruszyła.

Karol wielu rzeczy nie robił przed ślubem. Na przykład nie nazywał matki Ireny starą ścierą, nie używał pięści, a alkohol pijał sporadycznie. Po stracie pracy to właśnie alkohol stał się nieodłącznym elementem ich życia. Karol urządzał regularne libacje. Zaczynali około szesnastej, kiedy bezrobotni kumple Karola zwlekli tyłki z łóżek, a kończyli grubo po północy. W trakcie posiadówek dochodziło do wielu scen – towarzystwo śpiewało, krzyczało, czasem się biło, a gdy zataczając się, opuszczało dom Dunajów, Karol, w zależności od stopnia upojenia tanią wódką lub domowej roboty bimbrem, padał na kanapie, podłodze lub na ganku. Czasem przychodził do sypialni, w której siedziała skulona Irena i modliła się, by tym razem oszczędził ich synka.

Dzieci jednak nie są głupie. Wręcz przeciwnie – są bardzo mądre; dorosłym wydaje się, że kilkuletni maluch nic nie rozumie. Nieprawda. Dziecko wyczuwa zło, tak jak mały Antoni wyczuwał demona w swoim rodzinnym domu. Demona o twarzy pijanego ojca; demona, który niszczył im życie. Ale cóż może zrobić kilkulatek? Schować się pod łóżko, tak jak Antoni, zdzierając kolana o surowe podłogowe deski. Może też uciec, ale chłopiec wiedział, że jedynym miejscem, do którego może się udać, jest dom babci, czyli matki

Ireny, a tam za żadne skarby nie chciał się znaleźć. Babcia ciągle chorowała, leżała w łóżku, a jej zapadnięta i blada twarz przerażała malca. Wzdrygał się, gdy jej kościste ręce gładziły go po policzku. Szorstka, wyschnięta skóra oblekała ciało niegdyś energicznej i samodzielnej kobiety, która teraz przypominała żywego trupa, czekającego na śmierć. Matka co sobotę ciągnęła go w to upiorne miejsce, w którym śmierdziało lekami i śmiercią.

Kiedy więc ojciec wpadał w pijacki amok, Antek ukrywał się pod łóżkiem. Nie pamiętał ojca sprzed utraty pracy. Tak nazywała to Irena. Karol przed utratą pracy i po utracie pracy. Antoni nie pamiętał, jak wyglądało ich życie, kiedy ojciec przynosił do domu pieniądze, pamiętał zaś czas, gdy całymi dniami siedział w domu, palił tanie papierosy i grał z kolegami w karty. Irena miała nadzieję, że ten trudny czas wkrótce się skończy, lecz koszmar ciągnął się latami, aż do dnia, gdy Karol Dunaj wyszedł z domu.

I już do niego nie wrócił.

Zniknął.

Irena pamiętała tamten dzień, jakby to było wczoraj. Tamten letni parny wieczór. Karol wypił trzy puszki piwa i poszedł do kolegi. Irena odetchnęła z ulgą. Wolała, gdy pił poza domem. Niech robi bałagan u kumpli, myślała, licząc straty po kolejnej libacji. Zarzygana kanapa, wyrwana deska klozetowa, pety na podłodze, porozlewany wokół alkohol. Wtedy wyszedł, a Irena nawet się z nim nie pożegnała. Niech cię szlag trafi, ty cholerny pijusie, pomyślała. Nie wiadomo, czy Bóg okazał łaskę i wysłuchał jej próśb, ale Karola rzeczywiście trafił szlag.

A przynajmniej taką nadzieję miała Irena, gdy mąż trzeci dzień nie wrócił do domu. Czy się martwiła? Nie bardzo. Zajrzała do rudery na rogu, do Jaśka Kowala, starucha, który całe życie poświęcił pędzeniu bimbrowi, więc to u niego alkoholowe towarzystwo zbierało się najczęściej. Jasiek mieszkał sam, a jego chata bardziej przypominała domek letniskowy niż mieszkalny.

Wewnątrz zastała trzech mężczyzn. Od razu ich rozpoznała. Lokalni menele. Pchnęła jednego i drugiego, poszła obudzić trzeciego, potykając się o butelki po wódce walające się po betonowej posadzce. Widzieliście Karola?, pytała. Odpowiedź uzyskała po kilku długich minutach, kiedy cała trójka wychyliła po pięćdziesiątce bimbrowi. Mózgi im zaczęły pracować. Mogli mówić. Nie, nie widzieli go od trzech dni. Irena wzruszyła ramionami i wyszła. Trudno. Nie była jednak głupia. Modląc się w duchu, by Karol już nigdy nie wrócił, poszła na komendę zgłosić zaginięcie. Milicjanci nie przejęli się zbytnio, obiecali zacząć poszukiwania. Niech się pani nie martwi, powiedział jeden, wgryzając się w tłustego pączka, truskawkowe nadzienie wylało się drugą stroną i chlapnęło na wyprasowaną koszulę.

– Kurwa mać, pierdolony pączek – mruknął.

– Znajdziemy męża – dodał drugi. – Proszę czekać.

Irena czekała. Mijały dni, tygodnie, a Karol nie wracał. Co jakiś czas chodziła na komendę, by dowiedzieć się, czy milicjanci znaleźli jakiś trop. Oby nie, myślała, siedząc naprzeciwko gliniarza. Nie, nic nie mamy, pani mąż jakby rozpułynał się w powietrzu, słyszała niezmiennie.

Po upływie kilku miesięcy strach przed powrotem męża zniknął. Irena i Antoni wiedli spokojne życie. Bez przemocy. Bez alkoholu. Antoni dorósł, Irena odkładała pieniądze na remont domu. Półtora roku po zniknięciu Karola odnowiła ganek, odmalowała ściany, wstawiła barierkę, którą pięć lat wcześniej połamał, wyzywając Irenę od najgorszych. Los bywa sprawiedliwy, bo chwilę później potknął się o wyrwaną poręcz, przewrócił i złamał rękę.

Dobrze mu tak.

Irena potrząsnęła głową. Zaśmiała się na to wspomnienie. Dawne czasy, pomyślała, idąc do sypialni. Dawne czasy, a człowiek wciąż pamięta wszystko, jakby to było wczoraj.

19

Lena mieszkała na Księżym Młynie, dawnej dzielnicy włókienniczej, w której najważniejszym i jednocześnie najbardziej dziś znanym obiektem są pofabryczne lofty. Jeden z nich zajmowało małżeństwo Rudnickich. Nie każdy mógł sobie pozwolić na kupno lokalu w tym miejscu, przez co sąsiedztwo składało się głównie z prawników, lekarzy i przedsiębiorców, którzy w przeciwieństwie do Leny byli dumni z faktu, iż stać ich na zakup luksusowego loftu. Nie przywiązywała do tego wagi. To Krzysztof uparł się na Księży Młyn. Ona mogłaby mieszkać gdziekolwiek, nawet w zapuszczonej kamienicy na Bałutach.

Zresztą w urządzaniu wnętrza mieszkania też miała niewiele do powiedzenia. Krzysztof powierzył to zadanie architektowi wewnątrz. Nie protestowała, gdy wnosił do mieszkania tapicerowane fotele w królewskim stylu; nie marudziła, kiedy na ścianach w korytarzu zawisły obrazy w złoconych ramach; udawała, że nie widzi paskudnych rzeźb, które wylądowały na marmurowej posadzce. Gdyby wystrój zależał od niej, wybrałaby proste meble z Ikei. Nie widziała sensu w przepychu i wystawności. Przecież oprócz sprzątaczk nikt ich nie odwiedzał.

Przeszła do kuchni i zdjęła przemokniętą kurtkę. Spacer z Piotrkowskiej okazał kiepskim pomysłem. Tylko czekać, aż kilkunastominutową przechadzkę w deszczu przypłaci przeziębieniem. Sięgnęła do lodówki po puszkę pepsi i usiadła przy kuchennej wyspie, obrzucając spojrzeniem pogrążony w półmroku salon. Wszędzie idealny porządek. Czula zapach środków czyszczących. Najwyraźniej na dzisiaj przypadła wizyta sprzątaczk. Krzysztof będzie wniebowzięty. Uwielbiał porządek.

Usłyszawszy dochodzące z korytarza kroki, obróciła się. Wcześniej sądziła, że Krzysztof został dłużej w pracy. Pomyliła się. Szkoda, bo miała nadzieję, że zdąży pójść spać, zanim on wróci do domu. W ostatnich dniach dużo pracował. Podobno dostał jakąś ważną sprawę, nad którą był zmuszony siedzieć po godzinach.

Na myśl o rozmowie z mężem poczuła zmęczenie.

– Wróciłaś – rzucił.

Miał na sobie koszulkę polo i džinsy. Nawet w domu nie wychodził z roli. Lena widziała go w dresie tylko raz, kiedy wybierał się na kort tenisowy. Wydał wtedy krocie, kupując ubrania z najnowszej kolekcji sportowej. Ale czego się nie robi dla kariery? Umówił się z dyrektorem banku, więc muszę dobrze się zaprezentować, uzasadnił zakup tenisowej rakiетки za tysiąc złotych. Rudnicka nie wnikała, skąd miał tyle pieniędzy. Przypuszczała, że nie tylko z racji sprawowania funkcji prokuratora.

Krzysztof spojrział na przewieszoną przez krzesło kurtkę. Pod spodem utworzyła się spora kałuża.

– Powinnaś powiesić ją w łazience – zauważył.

– Masz rację – odparła, lecz nie wykonała żadnego ruchu, by wykonać polecenie.

W kuchni zapadła ciężka cisza. Lena wiedziała, że igra z ogniem. Krzysztof wiele razy pokazywał, jak bardzo nie lubi bałaganu w domu, ale dzisiaj pokornie zdjął kurtkę z krzesła i zaniósł do łazienki.

– Na jutro powinna wyschnąć – powiedział, wróciwszy do kuchni. Lena szukała na jego twarzy oznak zdenerwowania, ale mąż uśmiechnął się i nalał wody do szklanki. Oparł się plecami o blat i upił łyk. – Byłem dzisiaj na spotkaniu – dodał.

Lena spojrzała na niego, jakby nie miała pojęcia, o czym mówi.

– Z terapeutą – wyjaśnił.

– Ach, tak.

Wyleciało jej z głowy, że miał dzisiaj spotkanie z terapeutą. Powinna zapytać, jak mu poszło, ale nie bardzo ją to obchodziło.

– Nie spytasz, jak mi poszło?

– Jak ci poszło?

– Nieźle – odparł, wyraźnie z siebie dumny. – To dopiero początek, ale jest lepiej, niż się spodziewałem.

Jakiś czas temu podjął decyzję o pójściu do psychologa. Nowy rozdział w naszym życiu, mówił. Choć Rudnicka nie dawała mężowi szans, rzeczywiście się zmienił. A przynajmniej tak jej się wydawało. Zrezygnował z alkoholu, uczęszczał na spotkania AA, dwa razy w tygodniu uprawiał jogę, dzięki której wyciszał się i odzyskiwał wewnętrzny spokój, jak twierdził. Lena nie miała pojęcia, jak długo utrzyma się zmiana w zachowaniu męża, ale czuła się w jego obecności nieswojo. Wcześniej ich kontakty były ograniczone do minimum. Lenie wystarczała poranna rozmowa przy kawie, szybka i nic nieznacząca. Nie chciała więcej, ale odkąd Krzysztof postanowił zmienić swoje życie,

zmienił się również jego stosunek do żony. Chciał wiedzieć, co u niej, pytał, jak się czuje; czy wszystko w porządku; jak minął dzień. Rudnicka początkowo zdawała się zaskoczona pytaniami. Nie przywykła do takich rozmów z własnym mężem i co więcej, wcale ich nie chciała.

– Wiesz... – zaczął. – To krępujące opowiadać obcej osobie o tym... O tym wszystkim.

– Ale to ważne. Być może źródłem problemów jest jakaś sytuacja z dzieciństwa.

Lena nie powiedziała na głos, co ma na myśli, lecz oboje wiedzieli, że chodzi o przemoc domową.

– Nie podobają mi się te rozmowy – wyznał Krzysztof. – Facet każe opowiadać o relacjach z rodzicami, czasach szkolnych, cholera, mam pamiętać, co się działo kilkadziesiąt lat temu? Czy to, że jakiś gówniarz ukradł mi kanapkę z szynką, miałoby wywołać u mnie traumę? Nie wierzę w takie bzdury.

– Terapeuta próbuje wydobyć z ciebie wspomnienia.

– Po co? – Głośno odstawił szklanę. – Myślałem, że będziemy rozmawiać o naszym małżeństwie.

– Z czasem do tego dojdziecie.

– No jasne – zachnął się. – Ty jesteś psychologiem. Mógłbym rozmawiać z tobą zamiast z tamtym gościem. To byłoby znacznie przyjemniejsze niż zwierzanie się podstarzałem gburowi.

– Twój terapeuta jest gburem?

– Niby jest miły, ale widzę, że mnie ocenia.

– Wątpię, by oceniał pacjentów – odparła Lena. – A poza tym, ja nie praktykuję zawodu. Przecież wiesz.

– Ale mogłabyś. – Krzysztof ponownie sięgnął po szklanę i upił łyk wody. – Jako psycholog zarabiałabyś znacznie lepiej niż w policji. Mogłabyś otworzyć prywatny gabinet. Wiesz, ile taki psycholog bierze za jedną sesję?

– Zadowolają mnie ochłapy z policji.

– No tak. Zapomniałem, że niewiele wymagasz od życia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Komentarz Krzysztofa nie wywołał u Leny żadnych emocji. Już wcześniej słyszała podobne uwagi ze strony męża. Od dawna powtarzał, że powinna rzucić pracę w policji i zająć się czymś przyjemniejszym. Mówił, że za dużo pracuje, nie mając pojęcia, że robi to głównie dlatego, bo nie znała innego życia. Wszystko podporządkowała pracy.

– Terapeuta zasugerował, że ty również powinnaś wziąć udział w spotkaniach – odezwał się Krzysztof.

– Mam dużo roboty.

– Oczywiście, rozumiem. – Na jego twarzy pojawił się cień wahania. – Uważam jednak, że powinnaś znaleźć chwilę. Dla dobra naszego małżeństwa.

Lena chciała zaproponować. Choćby oboje wypruwali sobie żyły, ich małżeństwa i tak nie da się uratować. Wspólna terapia z mężem była ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Ale zdawało się, że Krzysztof naprawdę wierzy w sens całego przedsięwzięcia. Lena, jako żona, powinna go wspierać. Żona powinna wspierać męża. Jeśli obojgu zależy na małżeństwie, powinni robić wszystko, by naprawić błędy.

Sęk w tym, że jej dawno przestało zależeć.

– Dobrze, pomyślę – odparła. – A teraz wybacz, jestem cholernie zmęczona.

– Masz rację. Musisz odpocząć. Słyszałem, że macie nową sprawę.

Wieści naprawdę szybko się rozchodzą.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Od prokurator Kmiecik.

Lena zaklęła pod nosem.

– Spokojnie – powiedział. – Na razie nie wychodzi to poza nasze kręgi. Media wiedzą tylko tyle, że znaleziono zwłoki. Nic więcej.

Mówiąc „nasze kręgi”, Krzysztof miał na myśli policję i zaufanych prokuratorów. Czyli przynajmniej kilkadziesiąt osób. Tylko czekać, aż informacja wydostanie się na zewnątrz.

– Świetnie – skwitowała. – Doprawdy, kurwa, świetnie.

Krzysztof obracał szklanekę w dłoniach, zastanawiając się, czy zadać żonie pytanie, które od kilku godzin krążyło w jego głowie.

– Czy to prawda? – spytał.

– Co?

– Czy to prawda, że macie do czynienia z naśladowcą Dunaja?

Lena zgmiotła pustą puszkę po pepsi i wyrzuciła ją do kosza.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Krzysztof nie krył zaskoczenia. – Wszystko w porządku, Lena?

– W jak najlepszym.

– Chcesz pogadać o tej sprawie?

– Nie mogę. Tajemnica śledztwa.

Krzysztof spojrział na nią z politowaniem. Doskonale wiedział, że termin „tajemnica śledztwa” w przypadku Leny to puste słowa. Czasem, gdy miała dobry dzień, dzieliła się szczegółami spraw, które prowadziła.

– Wykąpię się i pójdę spać – powiedziała.

– Weź gorący prysznic. Żebyś się nie przeziębiła po dzisiejszym spacerze. Przechadzki w taką pogodę to kiepski pomysł.

– Jasne – rzuciła, idąc do łazienki.

Dopiero gdy owinęła rozgrzane ciało ręcznikiem, dotarło do niej, że podczas rozmowy z Krzysztofem słowem nie wspominała o tym, że wracała z Piotrkowskiej pieszo. Zaklęła pod nosem. Jeśli Krzysztof znowu ją śledził, musi być bardziej ostrożna. Tym bardziej że oprócz śledztwa ma do załatwienia jeszcze jedną bardzo ważną sprawę.

Kiedy wyszła na korytarz, w sypialni Krzysztofa nie paliło się światło. Najwidoczniej już się położył. Pewnie z samego rana musiał stawić się w prokuraturze. Tym lepiej, skwitowała w myślach, przynajmniej w spokoju zjem śniadanie. Przeszła do swojej sypialni. Było to niewielkie pomieszczenie, które kiedyś służyło Krzysztofowi za gabinet, teraz zaś pełniło funkcję sypialni Leny. Od pewnego czasu nie sypiali ze sobą. Lena nie wyobrażała sobie, by miało się to zmienić. Nie po tym, co zrobił. I chociaż minęło sporo czasu, Lena nie zapomniała. Tamten dzień utkwiał w jej psychice niczym odłamek szkła. Wbił się w pamięć i choćby usilnie próbowała zapomnieć, nie potrafiła. Podobnie jak nie zapomniała wieczorów, podczas których Krzysztof, popijając drogie wino, traktował żonę jak worek treningowy. Bił między jednym kieliszkiem a drugim. Wyładowywał frustrację, a ona następnego dnia cierpiała w ciszy, smarując siniaki maścią na przyspieszenie gojenia.

Wsunęła się pod kołdrę. Sypialnię spowijał mrok. Mieszkanie znajdowało się na wysokim piętrze, więc światło ulicznych latarni nie docierało do okien. Im mniej widać, tym lepiej, pomyślała.

Przymknęła oczy, kiedy zadzwonił telefon.

Sięgnęła na nocną szafkę. Numer nieznany.

– Komisarz Rudnicka, słucham?

Cisza.

– Halo?

– Dobry wieczór, pani komisarz. – Głos po drugiej stronie był metaliczny i sztuczny, jakby przepuszczony przez syntezytor mowy.

– Kto mówi?

– Tik-tak. Zabawa się zaczęła.

Przez chwilę zastanawiała się, komu chciało się robić takie dowcipy o tej porze. Kiedy zrozumiała, przeszły ją ciarki.

– Czas start – dodał głos.

Połączenie zostało przerwane.

Matka już dawno poszła spać, więc Kaśka miała chwilę dla siebie. Wzięła kąpiel i nałożyła ciepłą piżamę. Zawsze tak robiła, gdy spała u matki. Zimne mury przedwojennego budynku nie trzymały ciepła. Okna były nieszczelne, więc wewnątrz szybko się wychładzało, ale akurat dzisiaj Kaśce to nie przeszkadzało. Zaparzyła sobie kakao i usiadła przy balkonowym oknie, wpatrując się w czerń ogrodu. Jak dawniej, gdy była mała. Pamiętała, jaką radość sprawiało jej picie ciepłego kakao i wyglądanie przez okno. Ogród wydawał się tak spokojny, jakby wraz z nastaniem nocy zapadł w sen.

Kaśka upiła łyk i odstawiła kubek, nasłuchując dźwięków z sypialni matki. Wszystko wskazywało na to, że Zofia wreszcie zasnęła, choć przyszło jej to z trudem. Wcześniej długo chodziła po pokoju i głośno się modliła. Skoro to jej pomaga, pomyślała Kaśka, niech się modli. Angelika nie żyje. Każdy ma inny sposób na to, by uporać się ze śmiercią.

Nagle za oknem Kaśka zobaczyła cień. Zmrużyła oczy i dostrzegła ludzką sylwetkę. Ktoś stał za płotem i patrzył wprost na nią.

23 października 2000 r.

Kochana Córeczko!

Do napisania tego listu zbierałem się pięć lat. Trochę to trwało, przyznaję, ale nie jestem pewien, czy to zbyt długo, czy zbyt krótko, by nawiązać z Tobą kontakt. Dla mnie pięć lat to cała wieczność, przypuszczam jednak, że Tobie ten czas minął znacznie szybciej. Jesteś już dużą dziewczynką. Zawsze byłaś dużą dziewczynką, prawda? Wyprzedzałaś inne dzieciaki o kilka lat! Moje dziecko, jak wiele bym dał, żeby Cię zobaczyć. Chciałbym wiedzieć, jak wyglądasz, Ty i Twoja siostra. Bardzo za Wami tęsknię. Być może to zbyt śmiała prośba, ale może kiedyś mnie odwiedzicie? Nie naciskam, nie mówię, że macie przyjść teraz, ale kiedy będziecie gotowe. To pewnie nie będzie dla Was łatwe. Życie ogólnie jest niełatwe, a szczególnie życie w więzieniu. Gliniarz w pace? Czy możesz wyobrazić sobie coś gorszego?

Nie chcę się uzalać nad sobą. Przepraszam. Nie mam do tego prawa. Miałem wszystko. Wspaniałą rodzinę, żonę i dzieciaki. Całkiem przyzwoitą pracę, którą, powiem szczerze, nawet lubiłem. Bywały gorsze momenty. Wiem, że nie było mnie w domu. Wiem, że mnie potrzebowałyście. Gdy teraz o tym myślę, mam wyrzuty sumienia. Powinienem się Wami opiekować, a ja cały poświęciłem się pracy. To nie powinno tak wyglądać, ale czasu nie da się cofnąć. Niestety. Uwierz, że gdybym mógł, nie wahałbym się ani chwili.

Wiem, że mnie nienawidzisz. Dałaś tego dowód w sądzie. Przepraszam, może nie powinienem do tego wracać, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. Nocami tłukę się po łóżku (jeśli w ogóle tę twardą pryczę można nazywać łóżkiem), ciągle myślę o tamtym dniu. Zeznałaś przeciwko mnie. Nie mam pretensji, kochana. Byłaś małą dziewczynką. Zobaczyłaś to, co zobaczyłaś. Wnioski były proste. Twój tatuś jest mordercą. Nie chcę Cię przekonywać, że było inaczej. Nie w ten sposób.

Wiedz jednak, że bardzo chciałbym z Tobą porozmawiać.

Odwiedźcie mnie, kiedy będziecie gotowe, moje kochane!

Twój Tatuś
Seweryn Zalewski

ROZDZIAŁ II

ŚRODA, 18 PAŹDZIERNIKA

1

Po nocnym telefonie Rudnicka zadzwoniła na komendę. Technicy sprawdzili numer, ale jak się spodziewała, ktoś użył karty prepaid zarejestrowanej na słupa.

Obudziła się chwilę po piątej. Pogoda nie zachęcała do wyjścia, ale Rudnicka wypłała szybką kawę i opuściła mieszkanie. Czekał ją spacer do kamienicy Wolskiego, gdzie wczoraj zostawiła samochód. Choć już nie padało, nad miastem kłębiły się ciemne chmury, jakby tylko czekały na odpowiedni moment, by uderzyć potężną ulewą.

Z Marcelem spotkała się dwadzieścia minut później. Czekał na nią w bramie kamienicy przy Szóstego Sierpnia. W ręku trzymał papierową torebkę z McDonalda.

- Jak znam życie, nie zdążyłaś zjeść śniadania, więc kupiłem ci tosty – przywitał ją.
- Nie jestem głodna – burknęła, rozglądając się wokół, jakby kogoś szukała.
- Daj spokój. Powinnaś coś zjeść.

Wyciągnął rękę z torbą. Rudnicka wahała się chwilę, po czym wyciągnęła kanapkę. Papier, w który ją opakowano, przesiąknął tłuszczem. Ugryzła kęs i się skrzywiła.

- Czekamy na kogoś? – zapytał Wolski.
- Ja czekam.

Żałowała, że zostawiła samochód u Wolskiego. Wyleciało jej z głowy, że rano ma ważne spotkanie. Powinna załatwić tę sprawę bez Marcela, więc postanowiła się go pozbyć.

– Skoczysz do sklepu? – zagadnęła, zgniatając papier w kulę. – Wziąłbyś kawę na wynos. Chłodno dzisiaj.

- Jasne.
- Poczekam tutaj.

Żwawo ruszył do sklepu. Gładko poszło, pomyślała. Miała sierżanta z głowy na przynajmniej dziesięć minut. Musi wystarczyć, ponieważ z oddali wyłoniła się znajoma sylwetka. Potężna postura, dwa metry wzrostu, łysa czaszka i skórzany płaszcz.

- Dzieńdoberek – rzucił Pułkownik. – Piękny dzień, prawda, złotko?
- Nie mam czasu na pierdolenie.

– Dawnośmy się nie widzieli, a ty mnie tak witasz?

Pułkownik rozłożył ręce, odsłaniając złoty krzyż na grubym łańcuchu wiszący na jego szyi. Rudnicka mimowolnie rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem żołnierzy Pułkownika. Nie dostrzegła żadnego, co nie oznaczało, że nie czaili się w najbliższym zaułku.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Wiesz, czego chcę.

– Mówiłam, że potrzebuję czasu. Mam kupę roboty.

– Pierdoli mnie to, złotko. Umowa to umowa.

– Dotrzymam słowa.

– Byle na czas.

– Aż tak ci się spieszy?

– Zegar tyka, złotko – zarechotał i wyjął piersiówkę z wewnętrznej kieszeni. Wyciągnął w stronę Leny, ale pokręciła głową. – A ja sobie łyknę – oznajmił.

– Nie krępuj się.

Upił solidny łyk i mlasnął soczyście.

– Pychota – powiedział, oblizując wargi, i uniósł dłoń.

Zza rogu wyjechało czarne bmw.

– Sądziłem, że będziesz miała dla mnie lepsze informacje – dodał, kiedy samochód znalazł się w bezpiecznej odległości. – Obyś następnym razem miała. Nie lubię czekać.

Wsiadł do samochodu w momencie, gdy Marcel wyszedł ze sklepu.

Idąc na parking, Wolski spoglądał na Lenę, która nieco go wyprzedziła. Marcel miał złe przeczucia.

– To był Pułkownik? – spytał, choć dobrze znał odpowiedź na to pytanie.

– Gdzie twój wóz?

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie.

– Chyba go nie ukradli. Kogoś musiałoby nieźle przycisnąć, jeśli połasiłby się na tego strupa.

Marcel zrobił obrażoną minę. Lubił swój samochód, choć często płatał mu figle. Nie było miesiąca, żeby nie musiał w nim czegoś naprawiać. Teraz fabia znowu stała u mechanika, lecz nie chciał dawać Rudnickiej kolejnego powodu do żartów.

– Czego chciał Pułkownik? – zapytał w zamian.

Rudnicka wsiadła do swojego jaguara i odpaliła silnik. Wyjrzała przez szybę.

– Jedziesz?

Wolski posłusznie usiadł na miejscu pasażera. Wyjechała z parkingu i włączyła się do ruchu.

Lena robiła dobrą minę do złej gry. Biła się z myślami. Zagryzała wargę, wpatrując się w sygnalizator, jakby siłą woli próbowała przyspieszyć zmianę świateł. Wolski

obserwował ją, coraz bardziej utwierdzając się w przekonaniu, że spotkanie z Pułkownikiem nie wróżyło niczego dobrego.

Poznał Pułkownika podczas poprzedniego śledztwa. Facet nie wywarł na nim dobrego wrażenia. Próbował porozmawiać na ten temat z Rudnicką, lecz ona bagatelizowała niebezpieczeństwo, jakie wiązało się z gangsterem. Pułkownik trzymał w garści połowę miasta, miał wpływy, znajomości i kupę forsy pochodzącej z nielegalnych interesów. Wszyscy o tym wiedzieli, a mimo to policja nie zdołała go przymknąć. Do tej pory ujeli jedynie kilka płotek, które nie pisnęły ani słowa na temat szefa. W końcu Pułkownik sownie płacił za milczenie.

Właśnie dlatego znajomość Leny z tym facetem nie podobała się Marcelowi. Rudnicka z impetem wjechała na policyjny parking. Naczelnik zwołał naradę na siódmą trzydzieści, a oni byli już spóźnieni. Zatrzymała samochód i uchyliła boczną szybę.

– Zjeżdżaj stąd! – zawołała w kierunku policjanta siedzącego w radiowozie. Mężczyzna rozłożył ręce, a potem uchylił swoją szybę.

– Że co? – zapytał.

– Przeparkuj!

– Niby dlaczego?

Gliniarz przeniósł wzrok na Wolskiego, ale sierżant jedynie pokręcił głową.

– To moje miejsce – warknęła komisarz.

– Gdzieś tak jest zapisane?

– Będzie na twojej twarzy, jeśli w ciągu pięciu sekund nie przeparkujesz tego grata.

Marcel wychylił się w stronę szyby kierowcy.

– To jej miejsce parkingowe – powiedział.

– No widzisz? – zaśmiała się. – Wszyscy o tym wiedzą, więc wypad.

Zatrąbiła.

– Jezu – stęknął gliniarz, odpalając silnik. – Dobra.

Ostrowski już na nich czekał. Siedział przy konferencyjnym stole w gabinecie Leny, popijając kawę z miną, która zapowiadała trudny poranek.

– Spóźnienie – rzucił.

– Korki – burknęła Rudnicka, podchodząc do ekspresu do kawy.

– Sam chętnie bym pospał, a zamiast tego czekam na was od piętnastu minut.

Wolski zerknął na Ostrowskiego. Trudno mu się dziwić. Każdy wolałby poleżeć dłużej w łóżku i spokojnie wypić poranną kawę. Nikt jednak nie powiedział, że służba w policji to przyjemność.

Zanim Lena zaparzyła kawę, do gabinetu weszła technik Krajewska.

– Dobrze, że już jesteście – powiedziała.

– Spóźnieni – dorzucił Ostrowski. – O całe piętnaście minut.

Rudnicka nie zwróciła na nich uwagi. Wydawała się pochłonięta swoją czynnością. Wsypywała łyżeczkę cukru do kawy, mieszała, próbowała i sypała następną. Marcel,

obserwując ją, stracił rachubę, ale przypuszczał, że w kubku wylądowała ilość węglowodanów przewidziana przynajmniej dla trzech osób.

– Mam kilka wiadomości. – Technik przejrzała plik kartek. – Nie wiem, od której zacząć...

– Czy jeśli kawa jest napojem sporządzonym z owoców kawowca, oznacza to, że jest napojem owocowym? – Rudnicka obracała w dłoniach kubek, wodząc wzrokiem po zebranych.

– Co ty pieprzysz? – zapytał Ostrowski.

– Próbuję rozładować atmosferę niezobowiązującym tematem.

– Sprawdziliśmy numer, z którego dzwonił do ciebie naśladowca, ale jak już pewnie wiesz, został zarejestrowany na słupa – oznajmiła Krajewska.

Rudnicka skinęła głową.

– Jaki numer? – podjął Wolski.

– Nie powiedziałaś mu? – Ostrowski rozłożył ręce.

– Dzwonił do mnie naśladowca – wyjaśniła i upiła łyk kawy. – Więc jak z tym napojem owocowym?

– Dzwonił do ciebie naśladowca i nic mi nie powiedziałaś? – Marcel wstał i przeszedł się po pokoju. – Czego chciał?

– Pochwalić się.

– Zbrodnią?

– Nie, nowym zestawem garnków ze stali nierdzewnej.

– Co powiedział?

– Że zabawa się zaczęła. Banał.

Marcel z niedowierzaniem pokręcił głową, zły, że Rudnicka nie powiedziała mu wcześniej o telefonie. Nie powinien dowiadywać się jako ostatni. Jeśli mają prowadzić to śledztwo wspólnie, Lena musi dzielić się z nim takimi informacjami.

Krajewska rzuciła na biurko teczkę.

– Co to jest? – zapytała Lena, kręcąc się na obrotowym fotelu.

– Wyniki sekcji.

– Coś ciekawego?

– Nie zajrzysz do środka?

– Wierzę ci na słowo.

– Albo raczej nie chce ci się czytać.

– Nie mogę się skupić.

Krajewska westchnęła.

– Przycisnęłam trochę Felicjana – powiedziała. – Spędził z naszą Angeliką pół nocy, ale mamy już wstępne wyniki. Między innymi bezpośrednią przyczynę zgonu poprzez podejrzenie gardła.

– Nieciekawie – rzuciła komisarz. – Ale to już wiedzieliśmy.

– Na ciele nie ma też żadnych śladów biologicznych.

– Czyli sprawca był ostrożny. A czas zgonu?

– Około dwudziestej poprzedniego dnia.

– I zaraz potem morderca wystawił ciało na widok publiczny.

– Jest jeszcze coś ciekawego. – Krajewska się zawahała. – Sprawca zabawił się w makijażystę.

– Umalował ofiarę?

– Pokrył jej twarz fluidem i pudrem.

– Po co? – zdziwił się Marcel.

– To już pozostawiam waszej ocenie – odparła Krajewska. – Ja jestem od stwierdzenia faktów, a nie domysłów.

– Żeby ładnie wyglądała – powiedziała Rudnicka jakby do siebie. – Już wcześniej wiedzieliśmy, że sprawca ma zmysł artystyczny. Traktował ofiarę jak swego rodzaju dzieło sztuki.

– To jakiś absurd – mruknął Marcel.

– Postaw się na miejscu mordercy – zaproponowała Lena. – Masz nierówno pod sufitem. Porywasz kobiety, przetrzymujesz je, na własny pokręcony sposób dbasz o nie: dajesz jeść, czeszesz im włosy, one są twoje, należą do ciebie. Możesz zrobić z nimi, co chcesz. Nie były wybierane przypadkowo. Długo wybierał, zanim zdecydował, że to będzie ta jedyna. A potem ją zabił. Miał w tym cel, logikę, której jeszcze nie znamy... Następnie wystawił zwłoki na widok publiczny, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ukrył się wśród gapiów, gdyby śledził internet, przeglądał gazety, programy informacyjne poświęcone kolejnej zbrodni. Był dumny z tego, co zrobił. To jego dzieło. Zadbał o każdy szczegół. Chciał, by ofiara godnie się zaprezentowała. Jej wygląd świadczył o nim...

– Mówisz o Trzynaście czy o naśladowcy?

– O jednym i drugim – odparła. – Oprócz identycznego sposobu eksponowania ofiar łączy ich coś więcej.

Marcel odchylił się na krześle. Zerknął na Ostrowskiego. Naczelnik słuchał, ale bez przekonania. Po chwili upił solidny łyk kawy.

– Pierdolenie – mruknął.

– Lena może mieć rację – odezwała się technik.

Ostrowski posłał jej karcące spojrzenie.

– To świr – mówił naczelnik. – Zabija i zostawia zwłoki w miejscach publicznych. Pierdolony pojeb. Naczytał się o Dunaju w starych gazetach i próbuje zabłysnąć w mediach.

– To niewykłuczone – przyznała Rudnicka. – Ale...

– Masz go znaleźć – przerwał Ostrowski. – Możesz robić analizy psychologiczne, ściągnąć jasnowidza albo wróżyć z magicznej kuli, mnie interesuje tylko jedno: złapanie tego pomyleńca.

- Sprawca obdarza ofiarę czymś w rodzaju uczucia – kontynuowała Lena.
- Skończ. Na samą myśl chce mi się rzygać.
- Mam jeszcze jedną informację – odezwała się Krajewska.
Zebrani jednocześnie przenieśli wzrok na technik.
- Mundurowi wypyтали sąsiadów – powiedziała. – Sprawdzili monitoringi z okolicznych sklepów. Myśleliśmy, że może nagrało się coś interesującego.
- Oho, już wiem, co usłyszę. – Lena opadła na oparcie.
Krajewska pokiwała głową.
- Człowiek widmo – dodała.
Ostrowski się zaśmiał.
- Musi coś być – rzekł. – Nie wierzę, że nikt nie zauważył człowieka w biały dzień.
- Co z mediami? – zapytała Lena. – Powinniśmy opublikować wizerunek Bukowskiej w mediach. Będziemy musieli to zrobić prędzej czy później. Lepiej, jeśli będziemy mieć nad tym kontrolę.
- Nie będziemy mieć kontroli – warknął Ostrowski. – Kurwa, dziennikarzy nie znasz? Już widzę te teorie spiskowe, które pojawiają się jak grzyby po deszczu.
- Nie unikniemy tego.
- Przeciagniemy w czasie.
- Może ktoś rozpozna Małgorzatę na zdjęciu? – włączył się Wolski.
- Jasne – wyśmiał go Ostrowski. – I pobawimy się w odbieranie setek fałszywych połączeń.
- Posłuchaj – powiedziała Lena. – Dobrze wiesz, że nie znoszę współpracy z gazeciarzami...
- Wiesz, co ja tutaj będę miał? – Twarz Ostrowskiego poczerwieniała. – Wiesz, co tu się będzie działo?
- Wiem.
- To stul dziób. Nikt nic nie wie i tak ma zostać.

2

Marcel kręcił się w kółko na fotelu Leny Rudnickiej. Był znudzony. Co chwilę zerkał na zegarek, ale minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Czekał już prawie godzinę. Nie wiedział nawet, dokąd poszła. Po naradzie z Ostrowskim oznajmiła Marcelowi, że musi coś załatwić, i wyszła. Choć jej samochód stał na policyjnym parkingu, Wolski miał wątpliwości, czy komisarz wciąż jest na komendzie.

Rudnicka kazała mu czekać, jednak Marcel miał poczucie, że siedząc beczynn timer, traci czas. Gdyby wiedział, że Lenie zejdzie się tak długo, wzięłyby się za uzupełnianie papierów. Na biurku komisarz urósł pokaźny stos czekający na wypełnienie. Marcel wpadł jednak na

inny pomysł. Dopił kawę i wyszedł z gabinetu. Skierował się do dyżurnego. Misiek, jak potocznie nazywano policjanta pełniącego służbę, zerknął pytającym wzrokiem znad monitora.

- Co tam? – zapytał.
- Macie wolny radiowóz?
- A bo ja wiem?
- Sprawdzisz? Potrzebuję samochodu.
- A wiesz, czego ja potrzebuję?

Marcel spojrzał na zegarek.

- Na jakąś godzinę, półtorej – powiedział.
- Masz własny.
- Chwilowo nieczynny.

Dyżurny westchnął.

- Dobra. A co byś chciał?
- Wszystko jedno. Może być nawet kijanka.
- Oznakowana fabia też się nada? Akurat jest wolna.
- Wyśmienicie.

Kiedy Wolski wsiadł do samochodu, poczuł się jak w domu. Nie ma to jak fabia, pomyślał z rozbawieniem i odpalił silnik. Przypomniawszy sobie, że powinien zadzwonić do mechanika i zapytać, jak postępują prace z jego własną skodą. Niedawno miał małą stłuczkę.

Skręcił w Narutowicza, w kierunku centrum. To była najszybsza trasa na osiedle domków jednorodzinnych. Zaparkowawszy przed posesją, spojrzał na telefon. Zero nieodebranych połączeń i ani jednej wiadomości od Leny. Postanowił działać. Siedzeniem przy biurku nie posunie sprawy naprzód. Zdecydował, że porozmawia z matką zamordowanej.

Wszedł na podwórko, pokonał brukowany podjazd i wcisnął przycisk domofonu. Odczekał chwilę, pocierając zmarznięte dłonie. Na zewnątrz było jakieś pięć stopni, ale za sprawą zimnego wiatru odczuwalna temperatura była znacznie niższa. Raz jeszcze wcisnął domofon i słysząc ruch wewnątrz domu, cofnął się o krok.

Drzwi uchyliła młoda kobieta.

– Dzień dobry – rzekł niepewnie Wolski. Nie przypuszczał, że Zofia Krantz ma gości. – Zastąłem panią Zofię?

- Kim pan jest?
- Przepraszam, powinienem się od razu przedstawić...
- Nie kupujemy żadnych książek i nie mamy pieniędzy na datki.

Już zamykała drzwi, lecz Marcel w porę wyjął policyjną odznakę.

– Sierżant Marcel Wolski z miejskiej komendy – przedstawił się. – Jak przypuszczam, jest pani siostrą Angeliki. Przyszedłem w tej sprawie.

– Pan wybaczy, myślałam, że to znowu jakiś boski świr do matki.

– Słucham?

– Myślałam, że jest pan sługą Jezusa, czy jakoś tak.

Wolski uniósł brwi.

– Proszę wejść. – Kobieta otworzyła szerzej drzwi. – Katarzyna Krantz. – Wyciągnęła dłoń. – Matka właśnie wstała, więc za parę minut powinna do nas dołączyć.

Wolski wszedł do środka. Kiedy poczuł przyjemne ciepło, od razu zrobiło mu się lepiej.

– Napije się pan czegoś?! – zawołała Kaśka z kuchni. – Zapraszam tutaj.

– Jeśli to nie problem...

– Kawy, herbaty?

– Herbata brzmi dobrze.

Obserwował, jak Kaśka krząta się po kuchni. Stała na palcach i wyciągnęła z górnej szafki paczkę ciasteczek zbożowych. Nastawiła czajnik, sięgnęła po szmatkę wiszącą na kaloryferze i zajęła się przecieraniem blatów. W tym czasie Wolski układał w głowie odpowiedź na pytanie, które – był pewien – zaraz padnie z ust kobiety. Bliscy ofiar zawsze o to pytali, a Wolski nie miał pojęcia, kiedy mogą odebrać zwłoki i urządzić pogrzeb. Kaśka jednak milczała, pochłonięta wycieraniem szafek.

– Pan wybaczy – odezwała się, rzucając szmatkę na blat. – Naprawdę myślałam, że jest pan jednym z tych świrów. To nie znaczy, że wygląda pan na świra... – Zmieszała się. – Plotę bzdury.

– Nic się nie stało.

– Mam alergię na tych pomyleńców. Wie pan, matka jest dobrym człowiekiem, ale po zniknięciu mojej siostry dziwnie się zachowuje. Martwię się o nią.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że mama zachowuje się dziwnie?

Kaśka postawiła kubki na stole i usiadła naprzeciwko Marcela. Splotła dłonie na blacie i przez chwilę wpatrywała się w nie tępym wzrokiem. Wyglądała na nieco zawstydzoną, jakby zdała sobie sprawę, że nie powinna poruszać tematu dziwactwa własnej matki przy policjancie.

Po chwili wzięła głęboki wdech.

– Zwyczajnie jej odbiło – powiedziała. – Był pan w salonie?

Wolski skinął głową.

– Widział pan więc ołtarzyk, jaki urządziła? – Kaśka uśmiechnęła się, kręcąc głową. – Chyba nie uważa pan, że to normalne?

Wolski pamiętał setki obrazków na kredensie w salonie. Maryjne figurki, Jezusy na krzyżu. Patrząc na ten ołtarzyk, czuł niepokój. Figurki sprawiały wrażenie żywych, jakby go obserwowały. Marcela ucieszył fakt, że Kaśka zaprosiła go do kuchni. Gdyby znowu przyszło mu siedzieć w towarzystwie wszystkich świętych, nie czułby się komfortowo.

Kaśka nachyliła się nad stołem.

– Moja matka modli się kilka razy dziennie – wyznała cicho. – Wszędzie chodzi z różańcem. Oprócz tego wygaduje dziwne rzeczy. Uważa, że różaniec chroni ją od złego. A wczoraj uznała, że śmierć mojej siostry jest karą, jaką przewidział dla niej Bóg.

– Może modlitwa to jej sposób na poradzenie sobie ze śmiercią pani siostry?

– Chodzenie do kościoła i modlitwa nie jest zbrodnią – powiedziała Kaśka. – Ale moja matka chodzi na jakieś spotkania religijne. Nie wiem, czy jest pan wierzący, ja nie bardzo. Według mnie matka wplątała się w jakąś sektę. Nic innego. To zwyczajna sekta. Nabijają jej głowę bzdurami, które ona powtarza. Wyłączyła własne myślenie. Jestem pewna, że to wszystko, co mówi, to nie są jej słowa. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że oddała tym świram swoje oszczędności.

Marcel zmarszczył brwi.

– Nie mam dowodów. – Kaśka bezradnie uniosła ręce. – To tylko przypuszczenia. Jak pan wie, nie mieszkam tutaj na co dzień. Z jednej strony się cieszę, bo moja matka nie jest łatwym człowiekiem, ale z drugiej strony trochę się martwię. Mam wyrzuty sumienia. Powinnam się nią zająć, a nie uciekać. Ale nie mogę nic poradzić na to, że kiedy przyjeżdżam do tego domu, czuję się, jakby ktoś odciął mi dopływ powietrza.

– Pani relacje z matką nie są dobre?

– Delikatnie powiedziane. Gdyby nie Angelika, nie byłoby mnie tutaj. Nie należę do osób, które z radością wracają do rodzinnego domu. Wręcz przeciwnie. Wyprowadziłam się lata temu. Przywykłam do innego życia, a kiedy przyjeżdżam tutaj i biorę udział w tym wszystkim, co wyczynia moja matka, mam ochotę wziąć nogi za pas i już nigdy nie wrócić. Ale wiem, że tak się nie da. W końcu to moja matka. Jaka by nie była...

W korytarzu rozległo się szuranie kapci.

– Mama już idzie – oznajmiła Kaśka.

Zofia Krantz była w szlafroku, włosy miała rozczochrane, a oczy spuchnięte od płaczu. Marcel dostrzegł wilgotne ślady na policzku starszej pani.

– Och, mamy gościa – powiedziała. – Kasiu, dlaczego mnie nie uprzedziłaś?

– Przepraszam za najście – odezwał się Marcel. – Nie chciałem robić kłopotu.

– Żaden kłopot. Pan jest z policji?

– Sierżant Wolski. Poznaliśmy się wczoraj.

Kobieta spochmurniała. Przypatrywała się Wolskiemu. Objęła się ramionami jak bezbronne dziecko.

– Tak, pamiętam – skłamała. – Dobrze, że pan przyszedł. Odkąd wstałam, myślałam o tym, że chciałabym porozmawiać z kimś z policji. Pan zajmuje się sprawą mojej córki?

– Wspólnie z komisarz Rudnicką.

Zofia Krantz wyglądała, jakby słowa sierżanta w ogóle do niej nie docierały. Wolski zastanowił się, czy podczas wczorajszej wizyty Zofia również była w tak dziwnym stanie, ale pamiętał, że zachowywała się normalnie. Jak na matkę, która dowiedziała się o śmierci własnego dziecka.

- Czy wiadomo już, kiedy będę mogła zabrać moją córeczkę? – zapytała Zofia.
- Mamo, to trochę potrwa – upomniała Kaśka, lecz Zofia zbyła ją machnięciem ręki.
- Nie odpowiadaj za pana policjanta – warknęła.

Ton jej głosu był zaskakująco ostry i nieprzyjemny. Jakby w starszej kobiecie siedziały dwie różne osoby. Jedną z nich była schorowana staruszka, drugą zaś kobieta pozbawiona skrupułów i uczuć.

– Pani córka ma rację – potwierdził Wolski. – Musimy jeszcze poczekać.

– Jaka córka? – spytała przytomnie Zofia.

– Widzi pan? – Kaśka rozłożyła ręce.

– Ach, ona – przypomniała sobie Zofia. – No tak, Kasia to moja córka. Już zdążył pan ją poznać.

– Kiedy tylko dostanę informację, że można zabrać ciało Angeliki, obiecuję, że od razu panią zawiadomię.

– Chcę wyprawić jej pogrzeb.

– Oczywiście, rozumiem. Proszę jednak o cierpliwość.

– Jak długo?

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć dziś na to pytanie.

Kaśka pokręciła głową.

– Mamo, daj spokój – poprosiła.

– To źle, że chcę godnie pochować moje dziecko? Że chcę zapalić świeczkę na jej grobie? Że chcę przynosić świeże kwiaty? To źle? Nie mów mi, żebym dała sobie spokój!

– Chyba tylko o to ci chodzi. Będzie tak samo jak z ojcem. Chcesz zakopać Angelikę, żeby mieć zajęcie. Będziesz chodzić na cmentarz, czyścić pomnik i nosić kwiatki. Tylko o to ci chodzi, prawda?

– Nie bluźnij!

– Spokojnie – odezwał się Marcel. – Wiem, że jesteście panie w trudnej sytuacji, ale usiądźmy i porozmawiajmy spokojnie.

Zofia przytrzymała się szafki, jakby nagle opadła z sił. Marcel musiał przyznać Kaśce rację. Wyglądała słabo. I zachowywała się dziwnie. Jakby żyła w innej rzeczywistości.

– Porozmawiam z panem, ale dopiero jak ona wyjdzie. – Zofia wskazała na córkę.

– Świetnie. Dziękuję, mamusiu.

– Wyprowadza mnie z równowagi, panie władzo. Wie pan, że jest prostytutką?

– Nie jestem prostytutką.

Marcel spojrzał na Kaśkę zdezorientowany.

– Tańczę na rurze – wyjaśniła. – Sportowo. Prowadzę szkołę tańca.

– Nie musi się pani tłumaczyć.

– Chyba muszę, skoro moja matka wygaduje brednie.

– Brednie? – Zofia wzięła zbożowe ciasteczko i wsunęła je do ust. – Prawdę mówię. Powinien był pan zobaczyć, jak ona wyglądała, kiedy tutaj przyjechała. Jak prostytutka.

Taki wstyd przed sąsiadami.

Wolski poczuł się zmęczony. Nie miał ochoty wysłuchiwać słownych przepychanek. Niesamowicie, miał przed sobą matkę i córkę, a odniósł wrażenie, że to dwie nienawidzące się osoby.

– Pani Zofio, przyszedłem zapytać o jedną rzecz – powiedział. – Jeśli pani pozwoli, oczywiście.

– Proszę pytać.

Marcel dopiero teraz dostrzegł, że w lewej dłoni Zofia trzyma różaniec. Krzyżyk bujał się raz w lewo, raz w prawo.

– Pani córka... – zaczął. – Według lekarza sądowego zmarła w dniu poprzedzającym jej znalezienie. To oznacza, że przez ostatnie trzynaście lat żyła w ukryciu. Być może w kraju, może za granicą. Tego jeszcze nie ustaliliśmy, dlatego chciałbym zapytać, czy ma pani przypuszczenie, gdzie córka mogła przebywać w tym czasie?

– Ktoś ją porwał – odparła Zofia z pełnym przekonaniem.

Pewność w głosie staruszki zaskoczyła Wolskiego.

– Albo Angelika sama postanowiła zniknąć i zacząć życie w innym miejscu – dodała Kaśka.

Zofia obrzuciła ją spojrzeniem pełnym nienawiści.

– Bzdura – ucięła. – Moja córeczka nie uciekłaby ode mnie.

– Uważa pani, że ktoś porwał Angelikę? – upewnił się Wolski.

– Oczywiście. Angelika była dobrym dzieckiem. Nie zniknęłaby ot tak, nie dając znaku życia.

Kaśka nie podzielała zdania matki, tym razem jednak powstrzymała się od komentarza.

– Kto mógł porwać pani córkę? – spytał Marcel.

– Nie wiem. Policja powinna się tym zająć, ale jak widać, nic w tej kwestii się nie zmieniło. Dalej nic nie robicie. Zbijacie tylko bąki na tej komendzie.

– Jezu, mam, przestań.

– Nie wzywaj imienia Pana Boga nadaremno.

Wolski zacisnął wargi. Wersja z porwaniem Angeliki była możliwa, ale policyjna intuicja podpowiadała mu, że najprawdopodobniej kobieta zniknęła z własnej woli. Być może kontakty z matką wcale nie były tak dobre. Relacja Zofii z młodszą córką wyglądała kiepsko, więc może relacja z Angeliką była podobna?

Marcel się wzdrygnął, gdy Zofia zwróciła na niego wzrok. Przeszkłone oczy zdawały się przewiercać go na wskroś. Jakby staruszka wiedziała, co zajmowało jego myśli.

– Chciała się ze mną skontaktować – oznajmiła Zofia. – Ale nie mogła.

– Dlaczego? – Marcel zmarszczył brwi.

– Po prostu nie mogła.

– Skąd wiesz, że chciała się z tobą skontaktować? – Kaśka nie dawała za wygraną.

– Bóg dał mi znak.

Przy stole zapadła cisza. Kaśka i Marcel wymienili znaczące spojrzenia.

– Bóg zesłał na mnie sen – dodała Zofia. – Powiedział mi, że Angelika chce wrócić do domu, ale nie może. Wiem to od Boga. Najwyższy nigdy się nie myli.

– Co to był za sen?

– Nie mogę o nim opowiedzieć.

– Nie możesz?

– Pan Jezus zabronił.

Kaśka zerknęła na Marcela, jakby chciała powiedzieć: A nie mówiłam?

3

Strażnik więzienny obracał w dłoniach pęk kluczy, wpatrując się w niego tak intensywnie, jakby trzymał diament wart miliony. Rudnicka siedziała w poczekalni, usiłując zachować cierpliwość. Nerwowo tupiała nogą. Miała wrażenie, że klawisz celowo wydłuża cały proces, ale nic nie mogła na to poradzić. Liczyła jedynie, że w końcu wpuści ją na widzenie. Kolejny raz powołała się na znajomość z komendantem Wolskim.

– Wydaje mi się, że przekracza pani pewne normy, pani komisarz – odezwał się poirytowany klawisz. Był to mężczyzna po czterdziestce, a jego sumiasty wąs zdawał się żyć własnym życiem.

– Muszę zobaczyć się z Antonim Dunajem. To bardzo ważna sprawa.

– Nie wątpię. Wszystkie sprawy są ważne.

Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk zamykania metalowych krat.

– Pani się tu podpisze – powiedział z westchnieniem strażnik. – Moja strata.

– Jaka tam strata. – Rudnicka podpisała świstek i podała go klawiszowi. – Robi pan dobry uczynek. Kolejny plusik, by trafić do nieba.

– Wolałbym nie. Pracuję w piekle. – Rozłożył dłonie. – Szanowna pani komisarz, w niebie to bym szau dostał.

Rudnicka uśmiechnęła się uprzejmie.

– Przywykłem do złego – rzucił klawisz na odchodne i polecił koledze, by zaprowadził Lenę do sali widzeń.

Odgłos kroków, szcęk krat i przekręcania zamków. Rudnicka trzymała się z tyłu. Strażnik bez słowa poprowadził ją do sali. Kiedy zajęła miejsce przy stoliku, kazał jej czekać. Odliczała kolejne minuty, wpatrując się w ścienny zegar. Tik-tak. Opadła na oparcie, tracąc nadzieję. Może Dunaj nie chce się z nią spotkać? Kiedy już miała poprosić strażnika o poprowadzenie do wyjścia, drzwi się otworzyły.

Do pomieszczenia wszedł Antoni Dunaj. Jego twarz była blada i pozbawiona emocji. Nie wyglądał na zaskoczonego wizytą komisarz. W jego oczach nie było też radości. Spojrzenie miał puste, wyprane z uczuć. Bez słowa zajął miejsce naprzeciwko.

Rudnicka rozprostowała plecy. Przypuszczała, że rozmowa z Dunajem nie będzie łatwa. Więziń nie należał do tych rozgadanych, ale mimo to postanowiła spróbować. Wciąż miała w pamięci ich ostatnie spotkanie. I słowa, które od niego usłyszała.

– Dzień dobry, pani komisarz. – Dunaj położył skrępowane kajdankami nadgarstki na blacie. – Miło znów panią zobaczyć.

– Daruj sobie. Nie wiem, kto dał ci cynk o śmierci Angeliki. – Lena pochyliła się nad blatem. – Może masz dobre źródło. A może sam jesteś zamieszany w tę sprawę?

Dunaj odwrócił wzrok. Przez chwilę Lena miała wrażenie, że zobaczyła na jego twarzy smutek, lecz zaraz się zreflektował, przybierając obojętną minę.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała.

– Nie mogłem zapobiec śmierci Angeliki. Stąd nie mogłem nic zrobić.

– Czyżby?

– Nie mogłem.

Rudnicka przesunęła ramię na oparcie. Blefowała, ale skutecznie. Dunaj miał więc na myśli Angelikę, mówiąc, że niedługo się zacznie. Czyli zdawał sobie sprawę, że dziewczyna zostanie zamordowana.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała. – Podczas poprzedniej wizyty chciałeś mnie uprzedzić.

– Jest zbyt wcześnie, by o tym mówić.

– Skądś wiedziałeś, że Angelice Krantz coś grozi. Ktoś ci to powiedział? Może sam morderca?

– Przypuszczałem, że tak się stanie.

– Żartujesz sobie?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Rudnicka miała ochotę potrząsnąć Dunajem. Sprawić, by zrozumiał, że to nie są żarty. A on z nią pogrywał. Wiedział, że w najbliższych dniach wydarzy się coś złego. Dlatego naciskał, by przysłała do więzienia. Chciał ją ostrzec. Bezskutecznie. Trudno zapobiec czemuś, o czym nie miało się pojęcia.

– Zajrzała pani do akt? – zapytał.

– Owszem.

Zmierzyli się wzrokiem.

– Sądziłem, że jest pani dobrym gliną – rzekł. – Widocznie się myliłem.

– Gdybyś nie mówił pieprzonymi zagadkami, łatwiej byłoby nam się dogadać.

– Gdyby uważnie przejrzała pani akta, wiedziałaby pani znacznie więcej.

– Wiesz co? Dość tych gier. Zginęła niewinna dziewczyna i mam dziwne przeczucie, że jej śmierć ma związek z twoją osobą. Jeszcze nie wiem jaki, ale obiecuję, że się dowiem. To kwestia czasu. Byłeś niezły w te klocki, przyznaję. Długo wodziłeś policję za nos, ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. Bystry z ciebie gość, przyznaję. Zbyt bystry, żeby wpaść, prawda?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Podstawiłeś się policji. Anonimowy telefon? Mogłeś wymyślić coś bardziej oryginalnego.

Dunaj milczał przez chwilę.

– Mówiłem, że jestem niewinny.

– No jasne – zaśmiała się.

– Nie jestem tym, za kogo pani mnie bierze. Nie jestem Trzynaście.

– Wolne żarty.

– Zaczynam żałować, że do pani zadzwoniłem. Nie wierzy mi pani? – Przekrzywił głowę. – Gdyby przeczytała pani akta, wiedziałaby pani, o czym mówię. Proszę przejrzeć te dokumenty jeszcze raz.

Rudnicka zerknęła kontrolnie na strażnika krążącego po sali. Kręcił się zdecydowanie zbyt blisko. Odchrząknęła. Speszony odszedł na bok.

– Kiedy widzieliśmy się ostatnio, mówiłeś, że coś niedługo się zacznie – powiedziała. – Miałeś na myśli morderstwa?

– Wiedziałem, że znów zaatakuje.

– Kto?

– Trzynaście.

– A przypadkiem to nie ty nim jesteś?

– Nie – odparł z westchnieniem. – Mówiłem już. To nie ja zamordowałem tamte kobiety.

– Dobrze. – Rudnicka usiłowała uporządkować chaos we własnej głowie. Zawiesiła głos, a potem zapytała: – W takim razie, skąd wiedziałeś, że Trzynaście znów zaatakuje?

– To jedna z rzeczy, których jeszcze nie mogę pani powiedzieć. Dla bezpieczeństwa mojego i moich bliskich.

– Groził ci?

Dunaj nie odpowiedział.

– Okej – westchnęła. – Przyjmijmy, że jesteś niewinny. Skąd w takim razie znalazł się w twoim samochodzie włos ostatniej ofiary i torebka Angeliki Krantz?

– To oczywiste. Ktoś podrzucił dowody.

– Jak sądzę, nie powiesz, kto mógł to zrobić, więc zadam inne pytanie: po co?

– Żeby rzucić na mnie winę.

– Dlaczego akurat na ciebie?

Dunaj odwrócił głowę.

– Po co mnie tutaj ściągnąłeś, skoro nie chcesz gadać? – zapytała.

– Nie zabiłem tych kobiet.

– Już to słyszałam.

– Wierzy mi pani?

Twarz Antoniego ściągnęła się w napięciu, jakby rzeczywiście zależało mu, by policjantka uwierzyła w jego słowa. Ale Rudnicka miała co do tego wątpliwości. To wszystko wydawało się zbyt pokręcone. Oczywiście istniała możliwość, że sąd skazał

niewinnego człowieka. Antoni przyznał się do winy. W jego samochodzie znaleziono włos ostatniej z ofiar. Był idealnym kandydatem na kozła ofiarnego. Ale jeśli mówił prawdę, oznaczałoby to, że prawdziwy morderca przez te wszystkie lata chodził na wolności.

– Przyklepali ci morderstwo trzynastu kobiet – powiedziała. – Trudno z tym polemizować, skoro się przyznałeś. Ale jeżeli rzeczywiście jesteś niewinny, najlepiej dla ciebie będzie, jeśli zaczniesz gadać.

– Wierzy mi pani?

– Moja wiara nie ma tu znaczenia.

– Czy przy zwłokach Angeliki znaleźliście róże?

– Cały bukiet.

– Trzynaście, prawda?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi.

– Tylko marnuję czas – mruknęła Lena, wstając.

Dunaj nawet nie drgnął, gdy strażnik ruszył ku Lenie, jakby na to czekał, i poprowadził ją do wyjścia.

Przed bramą odetchnęła z ulgą, jakby rozmowa z Dunajem wyciągnęła z niej całą energię. Oparła się o maskę jaguara, czując nadchodzący ból głowy. Przestrzelony kilka miesięcy wcześniej bark przeszył ból. Poruszyła ręką, a w głowie pojawiła się myśl o połknięciu tabletki przeciwbólowej.

Wzdrygnęła się.

Potrzebowała tabletki.

Zanurkowała w samochodzie, otworzyła schowek i wyciągnęła fiolkę z lekami. Niedobrze. W opakowaniu pozostało zaledwie kilka pigułek oxycontin.

Nie wahała się długo.

Połknęła jedną.

Albo dwie, bo nawet nie spojrzała, ile wypadło jej na dłoń.

Uświadomiła sobie, że czuła ból, którego nie ma. Bark wcale jej nie bolał. Zupełnie jakby po połknięciu pigułek ból w magiczny sposób zniknął. Wiedziała, że to niemożliwe. A może nic jej nie bolało? Wmówiła to sobie, żeby usprawiedliwić połknięcie tabletek.

Oxycontin był lekiem opioidowym. Szybko uzależnia. Lena nie potrafiła określić dawek, jakie zażywała. Już dawno straciła nad tym kontrolę. Jednego była pewna – były na tyle wysokie, że spokojnie można to nazwać uzależnieniem. I nic nie mogła z tym zrobić.

Nie. Nie była uzależniona.

Kiedy usiadła za kierownicą, jej ciało powoli się odprężyło. Już nie była słaba. Ulga, jaką poczuła, była niesamowita. Świat nabrał kolorów. Lena Rudnicka wracała do pełni sił.

Zatrzymała samochód, zarzuciła na głowę kaptur. Mżawka zamieniła się w solidną ulewę. Pokonując skupisko kałuż, dotarła do miejsca znalezienia zwłok Angeliki Krantz. Zaciągnęła poły kurtki, przyglądając się drewnianej ławce. Nie wyróżniała się niczym. Tuż nad ławką stała uliczna lampa. Po zmroku oświetlała ławkę niczym reflektor.

Jak sprawca przeniósł ciało w to miejsce?

Mógł zaparkować przed bramą parku i przenieść zwłoki na rękach. To jakieś dwieście metrów. A co z kwiatami? Zbyt ryzykowne. Najpierw przyniósł bukiet róż, a potem zwłoki? Czy odwrotnie?

Nie po raz pierwszy podjął zbędne ryzyko. Fakt, w środku nocy trudno o amatora spacerów, ale nie mógł wykluczyć pojawienia się przypadkowego świadka. A jednak nikogo takiego nie było. A przynajmniej nikt nie zgłosił się na policję.

Przykucnęła. Na ziemi nie znaleziono żadnych śladów. Padało od kilku dni. Nawet jeśli jakiegokolwiek były, zanim na miejsce przyjechała policja, deszcz zdążył wszystko zmyć. Zakładając, że jednak ktoś byłby w parku w momencie, kiedy sprawca przetransportował zwłoki Angeliki na ławkę... Sprawca musiał mieć wyjście awaryjne, usprawiedliwienie.

Serce Leny przyspieszyło.

Służby.

Pracownicy porządkowi zazwyczaj wykonują pracę wczesnym rankiem lub późnym wieczorem. Obie pory pasowałyby idealnie.

Lena wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Marcela.

4

Artur Dunaj wodził wzrokiem po auli Uniwersytetu Łódzkiego. Setka studentów, setka głów pochylonych nad arkuszem papieru. Blondynka z trzeciego rzędu gryzła skuwkę długopisu, jej koleżanka zerknęła na nią w poszukiwaniu pomocy. Dwóch chłopaków z ostatnich rzędów wymieniło znaczące spojrzenia. Nic nie umieją. Artur znał ten typ. Obserwowali wykładowcę i marzyli o tym, żeby usiadł za biurkiem i zajął się własnymi sprawami. Wówczas wyjęliby telefony i poszukali pomocy w Google.

Był z siebie zadowolony. Kolokwium zda pewnie trzydzieści procent studentów. Już on się o to postara. Całą noc ślęczał nad pytaniami. Koledzy śmiali się, że lubi męczyć biednych studenciaków. To nieprawda, odpowiadał, jestem tylko wymagający. Jeśli ktoś robił notatki, nie powinien mieć problemu z odpowiedziami.

Skupił się na blondynce z trzeciego rzędu. Miała na sobie obcisły, biały sweter w serek. Okrągłe piersi odznaczały się pod materiałem. Wielkie kule. Artur odwrócił wzrok, by nie wzbudzać podejrzeń. Wiele by dał, by podziwiać je bez sweterka.

– Panie profesorze? – Jakiś chłopak uniósł rękę.

– Tak? – Artur usiadł za biurkiem, by ukryć puchnącą w spodniach erekcję.

– Czy w zadaniu ósmym można wypunktować odpowiedź?

Artur przymknął oczy i uniósł otwarte dłonie.

– Jak sobie życzysz – odparł spokojnie, lecz w głębi duszy miał ochotę się roześmiać. Takie pytanie mógł zadać tylko ten kretyn w okularach. Czasem Artur miał ochotę walnąć

jego durnym łbem o ławkę.

Owszem. Nie lubił studentów.

Zdawał sobie sprawę, że obarcza te dzieciaki winą za własne niepowodzenia. Nigdy nie chciał pracować na uczelni. Zrobił doktorat po to, żeby zatrudnić się w dobrej firmie i zarabiać kupę kasy. Tymczasem tkwił w uniwersyteckiej auli i miał przed sobą kilkudziesięciu studentów. Dzień w dzień wygłaszał wykłady, które nikogo nie obchodziły. Większość tych dzieciaków przyszła tutaj nie po to, żeby zdobyć wiedzę. Poszli na studia, żeby się dobrze bawić. Przecież to proste. Wylatują spod skrzydeł rodziców, mieszkają w akademikach, piją piwo do samego rana i przychodzą na wykłady Artura, skacowani, ledwo żywi, patrzą spod podpuchniętych powiek, kiwając głowami niczym roboty. Oczywiście znalazłoby się parę wyjątków, ale równie dobrze Artur mógłby prowadzić zajęcia dla tej garstki, a reszcie wykłady mejlem wysyłać. Studentom by się ten pomysł spodobał.

Czas dobiegał końca. Artur przewidział minutę na każde pytanie. Trochę za mało, uznał, i z satysfakcją ogłosił, że pozostały jeszcze dwie minuty. Długopisy poszły w ruch. Nawet ci dwaj z tyłu zaczęli coś pisać.

Artur podszedł do cycatej blondynki.

– Przypomnij, jak masz na nazwisko? – zapytał.

– Górska. – Dziewczyna spojrzała wystraszona, jakby profesor przyłapał ją na ściąganiu. I rzeczywiście Artur dostrzegł, że coś chowa pod stolikiem. Pewnie telefon. Mało kto robi dziś zwykłe ściagi. Łatwiej wstukać hasło w Google i spisać pierwszy wynik. Może jakoś uda się zaliczyć.

– Zbierzesz kartki?

– Oczywiście, panie profesorze.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

Miała bardzo ładny uśmiech.

5

Wiktor Nowak i Tomasz Swobodny – powiedział Marcel, pocierając podbródek. – Tych dwóch sprzątało park w dniu znalezienia zwłok.

Rudnicka włączyła kierunkowskaz i zaparkowała przed kamienicą przy Kilińskiego.

– W jakich godzinach? – zapytała, zaciągając hamulec ręczny.

– No i tutaj mamy problem. – Marcel spojrzał na nią. – Zaczynali o piątej rano.

– Dostaliśmy wezwanie przed trzecią.

– Więc nie pasują. Znaleźliśmy zwłoki, zanim zaczęli zmianę.

– To się okaże.

Rudnicka wysiadła z samochodu i przemaszerowała w kierunku głównej bramy. Wcisnęła guzik domofonu. Po upływie kilku sekund brama się otworzyła.

Wnętrze firmy Kwiatkowski–Soleo wyglądało, jakby należało do poprzedniej epoki. Poczekalnia wyłożona linoleum, ciężka meblościanka, zapach aloesowego odświeżacza. Ktoś bezskutecznie próbował zamaskować woń papierosów.

Przywitał ich gruby mężczyzna koło sześćdziesiątki. Cerę miał ogorzałą, resztki siwych włosów przylizane na gładko, a garnitur wymięty, jakby dopiero wyjął go z pralki.

– Policja? – zdziwił się. – W mojej firmie?

– Pan Kwiatkowski? – spytał Wolski.

– We własnej – ukłonił się – skromnej osobie. O co chodzi?

– Rutynowa wizyta – odparła Rudnicka. – Sprawdzamy, czy nie robi pan machlojek.

– Proszę pani, moja firma jest...

– Ten tutaj – przerwała mu. – Dzwonił do pana w sprawie dwóch pracowników.

– Ach, tak – przypomniał sobie Kwiatkowski, splatając dłonie na opasłym brzuchu. – Swobodny i Nowak. Coś nabroili? Chyba musieli, skoro szuka ich policja, prawda?

– Zaraz się okaże.

– Zapewniam panią, że uczciwie prowadzę działalność. Nie doszuka się pani żadnych nieprawidłowości.

Rudnicka zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Tacy jak on nigdy nie prowadzą uczciwej działalności.

– Gdzie oni są? – zapytała.

– Zaraz się zjawią – odparł Kwiatkowski i spojrział na zegarek. Na lewym nadgarstku błysnął stary casio na srebrnej bransolecie. – Kończą zmianę. Powinni wrócić do firmy, by odstawić wóz. W jakiej sprawie pani ich szuka? Ukradli coś?

– Dlaczego ukradli?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu pytam.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, panie Kwiatkowski. Pan się nie interesuje tym, co pana nie dotyczy.

Mężczyzna spuścił wzrok.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytał po chwili. – Zazwyczaj chłopcy są punktualni, ale może utknęli w korku...

– Whisky – odparła Lena. – Z podwójnym lodem.

Kwiatkowski dłuższą chwilę stał w bezruchu, jakby nie wiedział, czy słowa komisarz potraktować jako żart. Obserwował policjantkę, która obeszła jego biurko.

– Tutaj trzyma pan alkohol? – zapytała, wskazując na jedną z szafek.

– Ja nie...

– A może tam? – Wskazała rząd pracowniczych szaf. – Przekonajmy się. – Otworzyła drzwiczki biurkowej szafki. – A jednak tutaj! – W środku stał zestaw win, whisky i drogich

wódek, które właściciel firmy zapewne przyjmował jako łapówki. Na dolnej półce zaś znalazły się kieliszki: pięćdziesiątki, koniakówki, lampki do wina. – Bingo! Ja to mam nosa – skwitowała Lena z uśmiechem.

Kwiatkowski odchylił kołnierzyk koszuli. Na twarz wystąpiły krople potu.

– Pani władzo, ja naprawdę... – Zająknął się.

– Mam to gdzieś – ucięła. – Mógłbyś pan trzymać tu plany broni jądrowej, gównu mnie to obchodzi. Dogadamy się, jeśli znajdziesz pan harmonogram prac wykonywanych w ciągu ostatnich miesięcy. Kto, gdzie i o której godzinie.

– Wszystkich? Obsługujemy prawie...

– Wszystkich.

Drzwi się otworzyły. Do pomieszczenia wpadł powiew zimnego powietrza, a za nim dwóch mężczyzn ubranych w firmowe zielone ogrodniczki. Skinęli głowami na przywitanie i stanęli przy pracowniczych szafkach.

– Chwila – powiedziała Lena. – Pogadamy.

Jeden z pracowników, około czterdziestki, z niedbałym zarostem i przetłuszczonymi włosami, spojrzał na szefa.

– Państwo z policji – oznajmił Kwiatkowski. – Zajmą wam tylko chwilę.

– Jesteśmy po robocie – odparł drugi, znacznie młodszy. Gdy odpiął jedną szelkę ogrodniczki, spod materiału wysunęła się bluza z Polską Walczącą.

– Tylko chwilę – zapewniła Lena.

– Możecie porozmawiać w tamtym pomieszczeniu. – Kwiatkowski wskazał zamknięty pokój. – Zazwyczaj przesiaduje tam księgowa, ale dzisiaj jej nie ma. Nie będę przeszkadzał.

Pracownicy spojrzeli po sobie. Starszy ruszył do przodu, młodszy zaś wpatrywał się w policjantów wzrokiem pełnym niechęci. Rudnicka wsunęła dłonie w kieszenie spodni i kiwnęła głową w stronę drzwi.

– Ruchy, kolego – rzuciła.

Wolski zamknął za nimi drzwi.

Chłopak od Polskiej Walczącej zaciskał pięści. Oczy miał rozbiegane, oddech płytki. Rudnicka przyglądała mu się chwilę, a potem uśmiechnęła się promiennie.

– Park przy Niciarnianej – powiedziała. – Sprzątacie tam, prawda?

– Tak – odparł starszy, wyraźnie znudzony. Skubał materiał spodni, usuwając niewidzialne paprochy.

– Obrabiamy większość parków w tym mieście – dodał młodszy. – Parszywa robota.

– O której zaczęliście wczoraj pracę w tym parku?

Starszy stropił się.

– A bo ja wiem – podrapał się w skroń. – Młody, która mogła być?

– Chwilę po piątej.

– Tak. – Stary kiwnął głową. – Mogło być chwilę po piątej.

– Długo sprzątaacie ten park? – zapytał Wolski.

– Trochę będzie.

– A przedwczorajszego ranka? – włączyła się Rudnicka. – Widzieliście coś dziwnego? Kogoś podejrzanego?

Komisarz celowo spytała o poranek na dzień przed znalezieniem zwłok. Może sprawca, podobnie jak w przypadku innych miejsc, robił wcześniejsze rozeznanie?

– O co chodzi z tymi pytaniami? – obruszył się młody. – Jesteśmy o coś oskarżeni czy kurwa co?

– Ja pytam, ty odpowiadasz – warknęła Rudnicka. – Zrozumiano?

– Nic nie widzieliśmy – odparł starszy i położył dłoń na ramieniu kolegi. – Spokojnie.

– W tym parku znaleziono zwłoki kobiety – poinformowała komisarz.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Wiecie coś na ten temat?

– Że niby kogoś zabiliśmy? – spytał młodszy.

– Pytałam, czy wiecie coś na ten temat.

Chłopak był wyraźnie pobudzony. Szybkim krokiem przeszedł po pokoju. Oczy miał przekrwione od amfetaminy. Próbując uspokoić drżenie rąk, schował jedną dłoń w drugą.

– Pierdolenie – mruknął pod nosem.

– Słucham? – zapytała komisarz. – Co powiedziałeś?

Marcel zerknął kontrolnie na Lenę.

– Pierdolenie – odparł chłopak. – Głucha jesteś czy co?

– Hej! – odezwał się Wolski. – Spokojnie, kolego, chcemy tylko porozmawiać.

– Gówno prawda, psie! Chcesz mnie wsadzić do paki, co? – Uniósł zaciśnięte pięści.

Marcel zaszedł mu drogę, odruchowo sięgając do kabury z bronią. Nie zdążył. Młody uderzył go pięścią w twarz. Wolski zatoczył się na bok, przytrzymał krzesła i runął na ziemię. Starszy z pracowników ruszył na pomoc, jednak wycelowana broń powstrzymała go od jakichkolwiek ruchów. Rudnicka przeładowała pistolet. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund.

– Stać, kurwa, i się nie ruszać! – warknęła.

– Ja pierdolę, ja nie chciałem – powiedział młody, unosząc ręce do góry.

– Rozwalił mi nos! – zawołał Marcel. Dotknął obolałego nosa, z którego leciała strużka krwi. Kilka kropel skapnęło na podłogę.

– On bywa nerwowy – usprawiedliwił kolegę starszy z pracowników.

– Stul pysk i pod ścianę – rozkazała komisarz.

Stary grzecznie podreptał pod ścianę.

– Przepraszam, panie władzo – kwilił młody. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Mówiłem, że bywa nerwowy! – zawołał stary.

– Ty też pod ścianę!

Chłopak zajął miejsce obok kolegi. Patrzył przerażony, jakby powoli docierało do niego to, co zrobił.

– Będę miał siniaka. – Wolski dotknął nosa. – Chyba nie jest złamany.

Otarł nos. Na rękawie kurtki pozostały ślady krwi. Rudnicka wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek i rzuciła Marcelowi.

– Przepraszam, ja pierdołę, co ja narobiłem? – stękał młody. – Nie chciałem pana uderzyć. Coś we mnie wstąpiło.

Rudnicka podeszła do chłopaka.

– Co bierzesz? – zapytała.

– Ja? Nic! Przysięgam.

Popatrzyła na niego z politowaniem, po czym schowała broń do kabury. Uśmiechnęła się i rąbnęła dzieciaka prosto w szczękę. Cios był mocny. Może nawet za mocny, bo chłopak zatoczył się na bok i padł na kolana. Pociągnął nosem, z którego poleciała krew.

– Lena! – Marcel usiłował złapać ją za ramię, lecz odepchnęła go.

– Łapy przy sobie.

Starszy z pracowników przyglądał się zajściu z przerażoną miną.

– Nic nie powiem – obiecał przytomnie. – Wet za wet. – Spojrzał na kolegę. – Lepiej, że ci przywaliła, stary. Przynajmniej nie będziesz miał sprawy w sądzie o napaść na policjanta.

– Kurwa, musiała pani tak mocno? – Chłopak rozcierał nos.

Wolski podał mu paczkę chusteczek.

– Dzięki – mruknął.

Rudnicka poruszyła nadgarstkiem. Chyba nieco go nadwerżyła.

Do pomieszczenia wszedł kierownik firmy.

– Co tutaj się wydarzyło? – Spojrzał na policjanta, potem przeniósł wzrok na pracownika.

– Zderzyli się – wyjaśniła Lena. – Obaj wstali w tym samym czasie. Taki niefart.

– Rozumiem. – Kwiatkowski jedynie pokiwał głową. Lepiej nie wnikać, pomyślał. – Przygotowałem dla pani harmonogram.

Lena odebrała plik kartek i rozłożyła go na biurku. Przejrzała dokumenty.

– A to? – Wskazała linijkę tekstu.

– Nie rozumiem.

– Wasilewski i Wąs zawsze brali auto z tą rejestracją. – Wskazała odpowiedni numer zapisany w harmonogramie. – Są ich podpisy. Wczoraj wzięli inny wóz. Dlaczego?

Kwiatkowski stał zmieszany.

– Tamtego wozu nie było – odparł starszy pracownik. – Gadałem z Wąsem. Mówił, że nie było ich wozu, więc wzięli inny.

– Gdzie był tamten samochód?

Kwiatkowski zajrzał w kartki.

– Wydałem go... – Przerzucił kilka dokumentów. – Wydałem go... Wydałem go panu Swobodnemu.

Lena spojrzała na młodego. Trzymał chusteczkę przy nosie, lecz w chwili, gdy komisarz przeniosła na niego wzrok, odrzucił ją i puścił się pędem przed siebie.

Rudnicka wystawiła nogę. Chłopak runął na ziemię.

– Sierżancie, zakuć go – poleciła. – Mamy podejrzanego.

6

Michał Bukowski mało spał tej nocy. Mimo znieczulenia alkoholem długo przewracał się z boku na bok, a na dokładkę rano bolała go głowa. Połknął tabletkę paracetamolu i z kubkiem gorącej herbaty rozsiadł się na kanapie, czekając, aż lekarstwo zacznie działać.

Nigdy nie miał mocnej głowy do alkoholu, ale wczoraj zdecydowanie przesadził. Gośka ciągle mu powtarzała, żeby ograniczał alkohol. Gdyby wczoraj była w domu, Michał nie musiałby znieczulać się whisky. Ale Gośka zniknęła. Z policji nie zadzwonili, co oznaczało, że najprawdopodobniej nie wpadli na żaden trop. Gdzie ona, do cholery, jest?

Michał zastanawiał się nad wczorajszym wieczorem. Nie miał pojęcia, po co poszedł do domu Zofii Krantz. To była spontaniczna decyzja. Przyszło mu do głowy, że jeśli córka Zofii zaginęła, a teraz zniknęła jego żona, może obie sprawy coś łączy? Może Gośka ukryła się w domu matki dawnej przyjaciółki?

Wsiadł do samochodu, choć nie powinien. Był już lekko wstawiony. Stał przed domem Krantz, ale nie miał odwagi wejść do środka. Postanowił obserwować dom z daleka. Jeśli Gośka ukrywała się u Zofii, powinien ją zobaczyć. Wszedł do ogrodu i ukryty w mroku wpatrywał się w balkonowe okno.

W tym ogrodzie uświadomił sobie, że te sprawy musi coś łączyć. To nie przypadek, że przyjaciółka Gośki zaginęła, a teraz zniknęła również Gośka. Michał czuł się bezradny. Nie miał dobrego kontaktu z własną żoną. Przeszali ze sobą rozmawiać, więc nie miał pojęcia, dokąd mogła się udać, gdyby postanowiła zniknąć z własnej woli. Dopadły go wyrzuty sumienia. Gdyby ich życie potoczyło się inaczej...

7

Tomasz Swobodny, lat dwadzieścia jeden, zaliczony poprawczak, na koncie kilka drobnych kradzieży – przeczytała Rudnicka, zakładając nogę na nogę.

Znajdowali się w pokoju przesłuchań. Tomasz Swobodny kręcił się na krześle, był nerwowy, nie patrzył nikomu w oczy, wzrok wbił w podłogę.

– No, młody – odezwał się Marcel. – Namieszaleś.

– W najgorszym razie przyklepiemy ci morderstwo.

Chłopak uniósł przerażony wzrok.

– Nikogo nie zabiłem! – zawołał.

– W takim razie mamy problem. – Komisarz nachyliła się ponad stołem. – Bo przyznam, że ci nie wierzę.

Skulił się w sobie.

– Ja... – stęknął.

– Udowodnij, że jesteś niewinny. Masz pięć minut.

– Ja nie mogę...

Wymieniła spojrzenia z Marcelem. Oboje byli przekonani, że gówniarz nie jest mordercą, ale postanowili wyciągnąć najcięższy kaliber. Nie mieli czasu na zabawę w ciuciubabkę. Rudnicka uważała, że chłopak kogoś kryje, może sprawcę, i należy jak najszybciej go przycisnąć, aż zacznie mówić prawdę.

– Posłuchaj – powiedziała, zapalając papierosa. – Zabrałeś wóz chwilę przed drugą wczorajszej nocy. A przed trzecią dostaliśmy zgłoszenie o znalezieniu zwłok kobiety w parku. Uważasz, że człowiek byłby w stanie na rękach przenieść czyjeś zwłoki? Otóż nie. Ciało po śmierci puchnie. Staje się cięższe niż za życia. Najpierw pojawia się plama w okolicy żeber. To rozkładające się jelito grube, w którym jest sporo bakterii, więc puchnie jako pierwsze. Wiesz, co dzieje się później? Tworzą się gazy, ciało się wzdyma, z otworów wypływają płyny, gniją narządy wewnętrzne, pojawiają się robaki...

– To obrzydliwe – przerwał chłopak. – Nie chcę tego słuchać.

– Najpierw larwy much składają na ciele jaja...

– Jezu, niech pani przestanie, bo się porzygam.

– Po co wzięłeś ten samochód?

– Nie mogę powiedzieć.

Rudnicka uderzyła dłonią w blat. Chłopak podskoczył.

– Wiesz, jak wyglądały zwłoki, które znaleźliśmy? – rzuciła.

– Ta kobieta miała około trzydziestu lat i przed sobą całe życie – dodał Marcel.

– Ktoś poderżnął jej gardło. Może ty? Miałyś idealne alibi, gdyby ktoś cię przyłapał. Strój pracownika firmy sprzątajacej. Samochód, którym mogłeś przewieźć ciało.

– Nikogo nie zabiłem!

Rudnicka przyjrzała się Swobodnemu. Siedział nieruchomo, zaciskając wargi ze zdenerwowania. Na jego twarzy malowała się bezsilność. Lena była przekonana, że to nie on. Miała nadzieję, że chłopakowi szybko rozwiąże się język.

– Co z samochodem? – zapytała. – Zacznesz wreszcie współpracować?

– Dobrze. – Pokręcił głową. – Powiem. Ale nie zdziwcie się, jeśli znajdziecie jutro moje ciało w jakimś pieprzonym rynsztoku. – Westchnął, by zyskać na czasie. W końcu wziął głęboki oddech i wyznał: – Jakiś koleś mi zapłacił, żebym na chwilę mu pożyczył.

– Jaki koleś?

– Nie znam go.

– Ile ci zapłacił?
– Pięć tysięcy.
– Ładna sumka – przyznała Rudnicka.
– Nigdy w życiu nie miałem takiej kasy. Wie pani, ile płacą w tej gównianej firmie?
– Gówniana firma to gówniane pieniądze.
– Robota niby nie najgorsza – mruknął chłopak. – Ale płacą jakieś ochłapy. Ledwo starcza na życie.
– No tak. – Rudnicka zaciągnęła się i powoli wypuściła dym. – A narkotyki kosztują.
Dzieciak zawstydział się, jak przyłapany na gorącym uczynku. Spłonął rumieńcem, nerwowo drapiąc przedramię. Rudnicka spotkała wielu takich jak on. Tacy ludzie zrobią wszystko, by mieć na działkę.
– Kiedy spotkałeś tego faceta? – zapytał Wolski.
– Przyszedł wieczorem – wyjaśnił Swobodny. – Chyba czekał na mnie przed firmą. Dał trochę koksu. Byłem... No, byłem na lekkim głodzie, więc od razu wciągnąłem. Krucho u mnie z forszą.
– Mówiłeś, że go nie znałeś.
– Bo tak było.
– Skąd wiedział, że bierzesz narkotyki?
Swobodny siedział nieruchomo. Powoli docierało do niego, że mężczyzna, z którym się spotkał, musiał go wcześniej obserwować.
– Co było dalej? – ponagliła komisarz.
– Obiecał, że da mi pięć patyków, jeśli pożyczę mu na chwilę samochód firmowy. Zapewnił, że odda. To znaczy umówiliśmy się, że zostawi go w parku, kluczyki schowa pod wycieraczką. Miałem je odebrać o trzeciej, ale trochę się spóźniłem.
– O której przyszedłeś po samochód?
– Koło czwartej. Wziąłem wóz i odstawiłem do firmy.
– Nikt się nie zorientował, że wzięłeś samochód o tej porze?
– To normalne – wyjaśnił. – Sprzątamy miasto nocą, kiedy jest mniejszy ruch. W parkach zaczynamy nad ranem, wtedy jest widniej. Poza tym... Nikt tego nie kontroluje. Szef przychodzi rano i podpisuje harmonogram wydania samochodu.
– Czyli każdy może wziąć sobie wóz, kiedy chce?
– Teoretycznie tak. Mówiłem, że to gówniana firma.
– Wciąż twierdzisz, że nie spotkałeś wcześniej tego faceta?
Chłopak spochmurniał.
– Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że wzięłem kasę od gościa, który zamordował jakąś pannę? – zapytał.
– Właśnie to chcę powiedzieć.
– O kurwa.
Rudnicka rozłożyła ręce.

– Rozmawiałem z tym świrem? – Chłopak przeniósł wzrok z Marcela na Lenę i z powrotem. – Przecież on mógł mnie zabić! To mogłem być ja!

– Wątpię – mruknęła Rudnicka. – Gość woli dziewczyny.

– Wiedział, że lubisz się zabawić – powiedział Wolski. – Byłeś dla niego łatwym celem. Łatwo dałeś się kupić.

– Boże, a jak on mnie zabije za to, że z wami rozmawiam?! Od początku wydawał się dziwny, ale pięć patoli piechotą nie chodzi, co?

Swobodny poderwał się z krzesła. Rudnicka obserwowała go. Zatoczył kółko wokół własnej osi, oddychając ciężko.

– On mnie zabije – stwierdził przytomnie.

– Jak wyglądał? – zapytał Wolski.

– Nic wam nie powiem. – Uniósł otwarte dłonie. – O nie.

– Skup się – warknęła komisarz. – Kiedy stąd wyjdiesz, wsiądziesz do radiowozu, pojedziesz prosto do domu i nie wyjdiesz stamtąd, dopóki nie usłyszysz w wiadomościach, że policja ujęła groźnego mordercę, rozumiesz? Nikomu nie będziesz otwierał drzwi, a w pracy weźmiesz urlop. Zrozumiałeś?

– Szef na to nie pójdzie.

– Pogadam z nim. A teraz opowiadaj. Każdy szczegół, który zapamiętałeś, może okazać się ważny.

– Było ciemno – odparł po namyśle. – Miał okulary przeciwsłoneczne, więc nie przyjrzałem się jego twarzy. Ale miał wąs. Ciemny taki.

Rudnicka westchnęła, spoglądając na Wolskiego. Sztuczny wąs. Niezła sztuczka. Stara jak świat.

– Miał na głowie czapkę z daszkiem – dodał chłopak.

– Wysoki czy niski? – pytała komisarz.

– Wyższy ode mnie.

– Ile masz wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt sześć.

– Wyższy od niego? – Lena wskazała na Wolskiego.

– No nie wiem. Chyba nie. Ale był duży. Przypakowany.

Marcel miał metr osiemdziesiąt pięć. Wychodzi więc na to, że sprawca może mieć pomiędzy metr siedemdziesiąt sześć a osiemdziesiąt pięć. Rudnicka pokręciła głową. Ta informacja za wiele nie daje.

– Coś więcej? – zapytała. – Zachowywał się dziwnie? Coś wzbudziło twoje podejrzenia czy wzięłeś kasę i ot tak dałeś komuś służbowy samochód?

– Był przekonujący – wyjaśnił chłopak. – Powiedział, że musi coś przewieźć i przydałoby mu się takie auto jak moje. Był miły i uprzejmy, mówił, że nie będzie naciskał, ale ma coś, co mogłoby mnie przekonać. Pokazał forszę. Uznałem, że jeśli gość odda samochód zgodnie z umową, nikt się nie dowie, że komuś go pożyczyłem.

Lena westchnęła. Dzieciak był nie tylko naiwny, ale i głupi. Wystarczyło parę setek, by oddał obcemu służbowy samochód.

Komisarz bez słowa skinęła na Marcela i opuścili pokój przesłuchań.

Teraz przynajmniej wiedzą, jak sprawca przetransportował ciało do parku. Czy ta wiedza coś im dała? Na razie niewiele.

8

Grzegorz Ostrowski powinien przewidzieć, że utrzymanie śledztwa w tajemnicy graniczy z niemożliwością. Nie wnikał, jak media dowiedziały się o sprawie. Wolał nie wiedzieć, że któryś z jego pracowników puścił farbę. Pewnie za drobną opłatą. Sprzedajne kundle. Pieprzone sprzedajne kundle.

Spojrzał na grupkę dziennikarzy w niedużej sali konferencyjnej. Ilu ich było? Dwunastu, może piętnastu. Puszczą informację w wieczornym wydaniu wiadomości. Cudownie, po prostu wręcz cudownie.

Niedawno rozmawiał z komendantem Wolskim. Rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych. Ostrowski przypuszczał, że chodzi o jego synalka. Komendant nie chciał, by młody Wolski brał udział w sprawie, martwił się o bezpieczeństwo syna. Nie wiem, czy jest wystarczająco doświadczony, rzekł, gładząc łysy placek pośrodku głowy. Grzegorz wiedział, że wcale nie chodziło o doświadczenie, ale wiedział też, że jeśli odsunie od śledztwa Marcela, będzie zmuszony odsunąć również Rudnicką. Jeśli ktoś ma złapać tego psychopatę, to tylko Lena Rudnicka, odpowiedział Andrzej Wolski.

Grzegorz zaczął się pocić. Stresował się konferencją, bał się, że rzecznik policji powie za dużo. Wcześniej ustalili, co mają do przekazania. Szczątkowe informacje, żadnych szczegółów, przykazał Monice Brylek, która teraz przygotowywała się do wystąpienia przed kamerami. Szczupła kobieta w policyjnym mundurze podeszła do mikrofonu. Powinna się uśmiechnąć, lecz jej twarz wyrażała przerażenie.

– Witam państwa serdecznie, dziękujemy za tak liczne przybycie – powiedziała drżącym głosem. – Sprawa, z powodu której zebraliśmy się tutaj, jest poważna. Z tego względu jest z nami naczelnik wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji Grzegorz Ostrowski, który postara się odpowiedzieć na każde pytanie. Chcemy, aby opinia publiczna była świadoma zagrożenia.

Ostrowski wyłączył się na chwilę. Wodził wzrokiem po twarzach dziennikarzy. Jedni gapili się w ekrany telefonów, drudzy patrzyli tępo, czekając na możliwość zadania pytania. Gdzieś z tyłu dostrzegł znajomą sylwetkę. Lena Rudnicka stała ze skrzyżowanymi ramionami oparta o ścianę. Uśmiechała się do niego. Ten cholerny, triumfalny uśmiech działał mu na nerwy.

Rzecznik przeszła do odpowiedzi na zadawane pytania. Grubas w szarej marynarce podniósł rękę. W drugiej trzymał mikrofon z logo newsowego portalu INFO24.

– Seryjny morderca nazywany Trzynaście odbywa karę w więzieniu – powiedział. – Chciałbym zapytać, co państwo o tym sądzą? Jak rozumiem, policja zakłada, że mamy do czynienia z naśladowcą?

Ostrowski przełknął ślinę. Podszedł do mikrofonu z rękoma splecionymi z tyłu. Specjalnie na tę okazję włożył służbową koszulę z kołnierzykiem. Nie czuł się komfortowo. Milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Według mojego źródła sprawę prowadzi pewna komisarz – ciągnął dziennikarz. – Nie wiem, czy mogę wyjawić tę informację publicznie. – Rozejrzał się wokół. – Myślę, że wszyscy wiemy, kogo mam na myśli, więc darujmy sobie personalia. Panie naczelniku, czy uważa pan, że to dobry wybór? Uważa pan, że powinna prowadzić tę sprawę?

Ostrowski dostrzegł, że Rudnicka poruszyła się niespokojnie, ale na jej twarzy wciąż majaczył szyderczy uśmieszek. Wpatrywała się w niego z satysfakcją, której nie rozumiał.

– Do czego pan zmierza, redaktorze? – zapytał.

Zarówno naczelnik Ostrowski, jak i pozostali dziennikarze w sali wiedzieli, do czego zmierza reporter INFO24. Rudnicka słynęła z kontrowersyjnych metod, z niewyparzonego języka i pogardliwego stosunku do dziennikarzy. Głównie przez ostatni z tych powodów Rudnicka nie była ulubienicą mediów. Mimo wszystko czuła się przed kamerą jak ryba w wodzie.

– To najlepszy wybór, jakiego mogliśmy dokonać – odparł Ostrowski. Mówił powoli i z rozmysłem, jakby chciał dwa razy się zastanowić, zanim wypowie jedno słowo. Przełknął gęstą ślinę i poczuł, że się czerwieni. Wypowiedzenie tego zdania przyszło mu z trudem.

– Odpowie pan na moje wcześniejsze pytanie?

– Przepraszam, mógłby pan przypomnieć?

– Pytałem, czy mamy do czynienia z naśladowcą seryjnego mordercy sprzed trzynastu lat. Sposób pozostawienia zwłok na to wskazuje.

– Skąd pan uzyskał tę informację?

Redaktor wzruszył ramionami.

– Niestety, nie mogę tego ujawnić – odparł.

– Istnieją pewne podobieństwa, ale powstrzymam się od komentarza.

– Czyli potwierdza pan, naczelniku, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

– Panie redaktorze, seryjnym mordercą można nazwać osobę, która popełniła co najmniej trzy morderstwa.

– Rozumiem. A więc policja czeka, aż zginą kolejne dwie osoby, i dopiero wtedy zacznie działać?

Ostrowski spłonął rumieńcem. Dał się wpuścić na minę. Nie znosił cholernych dziennikarzy. Spojrzał na reportera i dotarło do niego, że wcześniej już gdzieś widział tę

nalaną twarz. Teraz przypomniał sobie, że mężczyzna prowadzi kanał w internecie i w każdym odcinku omawia przypadki nieudolności lub nadużyć policji.

W pomieszczeniu wybuchło zamieszanie. Głowy dziennikarzy odwróciły się w stronę kobiety przepychającej się między stłoczonymi reporterami. Lena Rudnicka kroczyła przez środek sali.

Podeszła do Ostrowskiego, który bezwiednie ustąpił jej miejsca przy mikrofonie.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała z uśmiechem i spojrzała na dziennikarza INFO24. – Tak, prowadzę śledztwo w tej sprawie. Może chciałby pan zadać mi pytanie osobiście?

Zapadło ciężkie milczenie.

– Nie? – spytała, wsuwając dłonie w kieszenie. – No cóż. – Westchnęła teatralnie. – Sytuacja jest poważna. Mamy do czynienia z groźnym przestępcą. Nie wiemy, czy naśladowca popełni kolejne morderstwo, ale nie możemy tego wykluczyć. Musimy mieć się na baczności. Może właśnie teraz nas ogląda. – Spojrzała w stronę kamer. – Nie rozumiem tego, co robisz, ale chciałabym wiedzieć, co skłoniło cię do zamordowania tej kobiety. Dlaczego postępujesz w ten sposób? Czym ona ci zawiniła? Czy była przypadkową ofiarą? Dlaczego akurat ona?

W sali wciąż panowała cisza. Rudnicka skinęła głową i wycofała się w kierunku wyjścia.

Wolski znalazł ją w gabinecie, palącą papierosa przy oknie. Nie widział jej twarzy, jej plecy unosiły się i opadały nerwowo.

– Wszystko gra? – zapytał nieśmiało. – Dlaczego to zrobiłaś?

Lena dopaliła papierosa i odwróciła się do niego. Nie odpowiedziała.

– Ostrowski i rzeczniczka mieli to załatwić – dodał.

– Naśladowca zadzwonił do mnie – powiedziała po namyśle.

– Wiem, ale...

– On chce rozmawiać ze mną, rozumiesz?

– Nie.

Pokręciła głową z rezygnacją.

– Wchodzę w jego grę – wyjaśniła. – Zabawa się zaczęła. Suche fakty i durnowata konferencja niczemu nie służą. Chciałam nawiązać z nim jakąś relację. Jeśli dobrze pójdzie, powinien do mnie zadzwonić. Wtedy postaram się z nim porozmawiać.

– Nadal nic nie rozumiem – przyznał Wolski, pocierając podbródek. Zapalił papierosa, by zająć czymś ręce.

– Posłuchaj. – Zdusiła papierosa i przysiadła na skraju biurka. – Podejrzewam, że naśladowca nie skończy na jednej ofierze. Będzie zabijał, aż mu się nie znudzi. Nie mamy do czynienia ze zwykłym morderstwem popełnionym w afekcie czy w akcie zemsty. Seryjni nie muszą mieć powodu, by zabijać. Wystarczy zwykła, choć dla nas niezrozumiała, chęć mordy. Czerpią przyjemność z zadawania bólu i uśmiercania ofiar. Czasem wracają do normalnego życia, przechodzą w stan uśpienia, by za jakiś czas znów

zaatakować. Nasz naśladowca wiedział, że pozbawia kogoś życia, zrobił to świadomie, a w tym wszystkim jest coś teatralnego. Dlatego nie porzucał zakrwawionych ciał w przypadkowych miejscach. Zostawiał im kwiaty. Tworzył scenę, jakby zbrodnia była sztuką. Nie wystawiał jej dla siebie, ale dla mediów i policji. Jest próżny. Lubi, gdy się o nim mówi. Lubi, gdy ludzie się go boją. Być może ma to podłoże w problemach z dzieciństwa, kiedy był poniżany i gnębiony właśnie przez kobiety, które teraz morduje. Chce pokazać władzę: Patrz, jestem silny, mam kontrolę nad twoim życiem.

– Chcesz nawiązać z nim dialog?

– To, co mówi policja, jest dla niego ważne – odparła. – Gdybyśmy zareagowali negatywnymi opiniami na jego temat, mógłby się wściec i znowu zabić. Należało więc podkreślić, że pragnę zrozumieć motywy jego działania. On chce, by policja uważała go za groźnego. Strach napełnia go satysfakcją. Odpowiednie podejście psychologiczne może być kluczem do schwytania mordercy.

9

Małgorzata otworzyła oczy. Oddychała ciężko. Było jej zimno i drżała na całym ciele. Objęła się ramionami, nasłuchując dźwięków dochodzących z zewnątrz.

Trzask zasuw, a potem kroki. Najpierw ledwo słyszalne. Z każdą sekundą coraz bliższe. Słyszała coś jeszcze. Świszczący oddech. Chwilę zajęło jej uświadomienie sobie, że mężczyzna nie jest sam. Dotarło do niej, że prawdopodobnie zyska towarzystwo.

Kolejny szcęk zasuw. Drzwi się otworzyły, a do środka wpadła smuga światła. Znowu ten świszczący oddech, tym razem bardziej słyszalny. Uderzenie ciała o beton. Smuga światła znikła. Szcęk zasuw. Oddalające się kroki.

– Halo? – szepnęła Małgorzata.

Miała wrażenie, że coś się poruszyło.

Zmrużyła oczy, lecz potrzebowała chwili, by na nowo przywykły do ciemności.

– Halo? – powtórzyła głośniej.

Teraz była pewna, że zyskała towarzystwo. Spod drzwi dobiegł cichy jęk. Małgorzata próbowała przesunąć się bliżej, podparła się na rękach, lecz opadła na ziemię. Była za słaba.

– Hej? – odezwała się. – Słyszysz mnie? Możesz mówić?

Stęknęcie.

Małgorzata zebrała się w sobie i podczołgała o metr, może dwa. Wyciągnęła rękę i natychmiast ją cofnęła.

– Przepraszam – powiedziała.

Ktoś się poruszył. Ciało, którego dotknęła Małgorzata, było lepkie i brudne, lecz wokół rozniosła się woń kwiatowych perfum. Małgorzata kojarzyła ten zapach.

– Możesz mówić? – ponowiła pytanie.

Uznała, że pod drzwiami leży kobieta. Żaden mężczyzna nie użyłby różanych perfum. Poczuli się nieco raźniej, jakby pocieszał ją fakt, że zyskała towarzyszkę niedoli.

– Gdzie ja jestem? – zapytała tamta. Głos miała zachrypnięty. Od kilkudziesięciu godzin usta miała zalepione taśmą. Język wysechł jej na wiór, był szorstki i twardy.

– Też chciałabym to wiedzieć – odparła Małgorzata i przysunęła się jeszcze bliżej.

– Gdzie ja jestem? Nic nie pamiętam.

Małgorzata miała wrażenie, że skądś zna ten głos.

– Spokojnie – powiedziała. – Mam na imię Gosia, a ty?

Kobieta zaczęła się trząść.

– Pani Gosia?

Małgorzata zamarła. To niemożliwe...

– Jagoda? – upewniła się.

– Boże, gdzie my jesteśmy?

Małgorzata nie wiedziała, co odpowiedzieć. Miała mętlik w głowie. Nie miała pojęcia, jak sprzątaczką wpadła w ręce tego samego mężczyzny. Nie przepadała za nią, ale teraz postanowiła schować niechęć do kieszeni.

– Jak tu trafiłaś? – zapytała.

– Wyszłam od pani i szłam na kolejne mieszkanie. – Głos Jagody z każdym słowem słabnął. Odchrząknęła. – Ale ktoś rąbnął mnie w głowę. Nie mam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna. Przebudziłam się w jakimś kufrze. Brakowało mi powietrza. Potem okazało się, że byłam w bagażniku. Nic nie widziałam. Miałam opaskę na oczach. Przeprowadził mnie tutaj.

– Nic nie widziałas?

– Miałam opaskę na oczach – powtórzyła łamiącym się głosem.

– Dobrze, już dobrze. – Małgorzata miała ochotę pogłaskać ją po głowie, ale się powstrzymała. Niechęć okazała się silniejsza, chociaż znalazły się w podobnym położeniu i powinny trzymać się razem.

– On nas zabije, prawda?

– Nie wiem.

– Inaczej by nas nie porywał i nie więził w tym miejscu.

– Nie wiem.

Na chwilę zapadła ciężka cisza.

– Ten facet napadł cię, kiedy wyszłaś ode mnie? – zapytała Małgorzata.

– Tak, zdążyłam pójść do śmietnika i wyrzucić stare szmaty do sprzątaniam.

Małgorzata pomyślała, że właśnie w ten sposób mężczyzna dostał się do jej mieszkania. Ukradł Jagodzie klucze.

– Pamiętasz drogę, którą cię prowadził? – spytała.

– Tutaj?

– Tak, tutaj.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia. Zdecydowanie zbyt długa.

– Pamiętam – przyznała w końcu Jagoda.

10

Irenę często pytano, czy zastanawiała się kiedyś, dlaczego jej mąż tak nagle zniknął. Oczywiście, że się nad tym zastanawiała. Rozważała wiele scenariuszy. Początkowo zakładała, że Karol zwyczajnie dał nogę. Może znalazł sobie inną babę? Ale kiedy głębiej się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że nie miałyby dokąd pójść. Żadna zdrowo myśląca kobieta nie wzięłaby sobie darmożjada na głowę. Na świecie nie było drugiej tak głupiej kobiety jak Irena. Dzięki niej miał ciepłe łóżko, wikt i opierunek. Doszła więc do wniosku, że Karol nie odszedł z własnej woli. Nie miał dokąd. Jego matka nie żyła, a dalsza rodzina unikała go jak ognia.

Irena brała też pod uwagę, że zapił się na śmierć. Może upadł gdzieś w lesie i umarł? Mało prawdopodobne, by do tej pory nikt nie znalazł jego ciała.

Zniknięcie męża było Irenie na rękę. Wspólnie z Antonim odzyskali spokój i mogli zacząć normalne życie, bez alkoholu i przemocy. Oczywiście publiczne okazywanie radości z takiego obrotu spraw nie wchodziło w grę. Zmieniła garderobę na ciemniejszą. Stojąc w kolejce w sklepie, robiła smutną minę, a pytana o postępy w śledztwie, udawała, że z trudem powstrzymuje łzy. Bardzo brakuje mi Karola, odpowiadała wszem wobec, mężczyzna w domu to skarb. Zostałam sama z tym wszystkim, nie wiem, jak sobie poradzimy sami z Antosiem. W rzeczywistości była zaradną kobietą. Nauczyło ją tego życie. Sprawnie rąbała drewno na opał, targała wiadra z węglem, potrafiła naprawić drobne usterki. Dziś mogłaby nazwać siebie kobietą niezależną. Mężczyzna nie był jej potrzebny, ale o tym sąsiedzi nie musieli wiedzieć i Irena bardzo o to dbała.

Zgasiała papierosa i rozparła się w fotelu. Zapaliła następnego, sięgnęła po pilota i przełączyła na kanał informacyjny. Może nie powinna tego robić dla własnego dobra, ale nie mogła się powstrzymać. Od wczoraj śledziła kanały informacyjne i wszystkie doniesienia o morderstwie w łódzkim parku. Prawda była taka, że w jej wnętrzu tliła się tłumiona przez lata nadzieja. Nadzieja na to, że jej syn jest niewinny.

Rozległ się dźwięk dzwonka, Irena aż podskoczyła. Oparła papierosa o popielniczkę i podeszła do wizjera.

Przekreśliła zamki, uchylając drzwi.

– Cześć, babciu. – W progu stał Artur. Z uśmiechem wyciągnął w jej stronę pudełko z logo lokalnej cukierni.

– Kawki? – spytała Irena, odebrała pakunek i ruszyła do kuchni.

– Poproszę! – zawołał z korytarza.

Wszedł do pokoju i zdusił tłącego się papierosa. Tyle razy powtarzał babce, że powinna ograniczyć palenie. Zerknął na telewizor i zamarł. Wpatrywał się tępo w ekran, czując, jak po karku przebiega go lodowaty dreszcz.

– Babciu, nie powinnaś tego oglądać – powiedział.

Nie zwróciła na niego uwagi. Postawiła talerz z pączkami na stole i skrzywiła się, widząc zgaszonego papierosa.

Reporter zdawał relację z konferencji prasowej zorganizowanej przez miejską policję. Irena sięgnęła po pilot i ściszyła głos do minimum.

– Oby złapali tego sukinsyna – mruknął Artur, sadowiąc się w fotelu.

– Wyrażaj się.

Pokręcił głową. Nie musiał słuchać dziennikarza. Znał każdy szczegół tej konferencji. Śledził najnowsze doniesienia, jakie pojawiały się w związku z tą sprawą. On również – choć jeszcze nieświadomie – szukał dowodów na niewinność ojca.

– Zabiłbym go – powiedział.

– Kogo?

Irena spojrzała półprzytomnie, zatopiona we własnych myślach.

– Tego, kto zamordował tę kobietę – odparł.

– Arturze!

– Jeśli ktoś bez skrupułów morduje drugiego człowieka, zasługuje na taką samą śmierć.

Irena przyjrzała się wnukowi. W jego oczach dostrzegła coś dziwnego, jakby cień szaleństwa. Pomyślała, że wnuczek byłby gotów spełnić swoją groźbę. Potrząsnęła głową, karcąc się w myślach. Artur to dobry człowiek, w przeciwieństwie do swojego ojca.

Mimo wszystko poczuła się nieswojo.

– Myślisz, że to prawda? – spytał.

– Czy to prawda, że w naszym mieście grasuje naśladowca twojego ojca?

– Nie. – Pokręcił głową. – Czy to prawda, że ojciec jest niewinny?

– Co ty mówisz, Arturze?

– Przecież wiem, że oboje tak myślimy.

– Nie opowiadaj bzdur.

– Przestań się oszukiwać.

W saloniku zapadło milczenie. Irena nie potrafiła odpędzić od siebie myśli, że z wnukiem jest dzisiaj coś nie tak. Zachowywał się inaczej niż zwykle.

– Może ojciec jest niewinny – mruknął Artur, sięgając po pączka.

– Przyznał się do wszystkiego.

– Może sprawy nie wyglądają tak, jak sądziliśmy.

Irena przypatrywała mu się chwilę.

– Nie wiem, Arturze, co mam przez to rozumieć – odparła.

– Sama nie wierzyłaś w winę ojca. Pamiętam, jak na wszystkie sposoby próbowałaś udowodnić, że nie zamordował tamtych kobiet. Nawet zapewniłaś mu fałszywe alibi.

– Och, nie przypominaj mi o tym. Żadna matka nie uwierzyłaby, że jej syn jest mordercą. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć swój błąd.

– Czyżby?

– Nie rozdrapujmy starych ran.

– A może morderca cały czas przebywał na wolności?

Irena zapaliła papierosa i zaciągnęła się nerwowo. Nie chciała rozmawiać na temat Antoniego. Sprawiało jej to ból. Mimo wszystko musiała przyznać, że wnuczek w jednym miał rację. Jej również przemknęła przez głowę myśl o niewinności Antoniego.

– Skazałaś go na potępienie, babciu – rzekł Artur, odkładając paczka. Sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego. Irena nigdy nie widziała, by palił. – Przestałaś z nim rozmawiać. Ojciec bardzo cię kocha i zabolalo go, że w niego zwątpiłaś.

– Nie chcę o tym słyszeć.

– A ja chcę, żebyś zrozumiała, że nie powinnaś go przekreślać. Jest twoim synem. Matka zawsze powinna wspierać swoje dziecko, a ty tego nie zrobiłaś. Uwierzyłaś gliniarzom, powiedziałaś, że nie masz syna. Sądziłaś, że zapomniałem?

Irena zapadła się w sobie. Przez chwilę w twarzy wnuczka zobaczyła twarz zaginionego męża, przy którym czuła się słaba i bezbronna. Powiedziała, że nie ma syna. Artur miał rację. Powiedziała to dawno temu, ale on wciąż pamiętał.

– Niektóre rzeczy potrafimy zrozumieć dopiero po jakimś czasie – odparła.

– Nie sędzę, abyś ty, babciu, cokolwiek zrozumiała.

Artur wstał i ruszył w stronę wyjścia. Irena się nie poruszyła. Siedziała w fotelu, słysząc, jak drzwi wejściowe się zatraskują. Słyszała kroki na podjeździe i dźwięk silnika. Kilka długich sekund, w ciągu których samochód działał na jałowym biegu, jakby kierowca wciąż się wahał, czy odjechać. Przednie światła mignęły w oknie, gdy wykręcał, a potem warkot silnika umilkł.

Irena znowu została sama ze swoimi myślami.

Odetchnęła głęboko, zduszając papierosa w popielniczce. Odchyliła głowę do tyłu. Czuła się zmęczona, bardzo zmęczona. Myślała o słowach Artura. Może miał rację? Matka nie powinna wątpić we własne dziecko, a Irena już dawno przekreśliła Antoniego. Jej syn przestał dla niej istnieć. Dokładnie tak samo postąpiła z mężem. Wykreśliła go ze swojego życia. Był, a potem go nie było. Irena nigdy nie miała oparcia w mężczyznach. Może niechęć do płci przeciwnej zaszczepiła w niej matka, a może życie nie było dla niej łaskawe. Była nieufna w stosunku do mężczyzn i choć początkowo nie wierzyła w winę syna, ostatecznie wzięła ją za pewnik. W końcu mężczyźni są z gruntu źli i zepsuci.

Irena wzdrygnęła się na dźwięk telefonu. Wstała zbyt szybko, bo zakręciło jej się w głowie. Przytrzymała się stolika, oddychając ciężko. Wysłużony aparat dźwięczał w kuchni. Artur próbował ją namówić na kupno komórki, ale uparcie odmawiała. Telefony komórkowe były dla niej czarną magią. Podobnie jak internet. Podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Słucham? – wysapała, usiłując uspokoić oddech. Powinna na siebie uważać. W końcu nie ma już dwudziestu lat.

– Dzień dobry, mammo.

Irena zamarła. Wszędzie poznałaby ten głos. Na jej czoło wypłynęła strużka potu.

– Mammo? – Głos Antoniego był łagodny i melodyjny, dokładnie taki, jak zapamiętała. Przeszły ją ciarki. – Mammo, słyszysz mnie?

– Tak.

Irena nie była w stanie wydusić z siebie niczego więcej. Gardło zwęziło się do rozmiarów główki od szpilki. Z trudem wydobywała z siebie głos.

– Mammo, zaczęło się.

Nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia, o czym mówił Antoni, i nie chciała tego wiedzieć.

– Zaczęło się, słyszysz?

– Co? – zapytała po krótkiej chwili. – Co się zaczęło?

– Posłuchaj. – Antoni zawiesił głos, jakby zastanawiał się nad doborem słów. – Musisz uciekać. Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i jak najszybciej wyjedź z miasta.

– Skąd dzwonisz? To nie jest numer więzienia.

– Od kolegi – wyjaśnił szybko. – Klawisze nie wiedzą o tym telefonie.

– To niezgodne z prawem.

Irena zdawała sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało. Ale było już za późno. Po drugiej stronie nie usłyszała odpowiedzi. Antoni milczał, po czym wziął głęboki oddech.

– Wyjedź z miasta – powiedział. – Jak najszybciej, rozumiesz?

– O czym ty mówisz? Dlaczego każesz mi wyjechać?

– Jedź w góry albo nad morze. Dokąd chcesz. Zrób sobie wakacje i zniknij na tydzień lub dwa.

– Dlaczego?

– Grozi ci niebezpieczeństwo.

Irena z całej siły ścisnęła telefon przy uchu. Jej dłonie były wilgotne. Miała do syna wiele pytań, lecz zanim zdołała je zadać, w słuchawce zabrzmiał dźwięk kończący połączenie.

Stała ze słuchawką w ręce. Nie wiedziała, jak długo. Nie myślała o niczym. Beznamiętnie wpatrywała się w kuchenne okno.

Odłożyła słuchawkę na widełki i usiadła na krześle. Dlaczego Antoni zadzwonił? Dlaczego kazał jej uciekać? O co w tym wszystkim chodzi? Poczowała, jak robi się jej zimno. Oplotła się ramionami. Coś trzasnęło na zewnątrz. Pewnie wiatr, pomyślała, lecz po chwili znów usłyszała chrzęst, jakby ktoś nastąpił butem na wysypany wokół domu żwir. Spojrzała w zasnute ciemnością okno. Światło ulicznej latarni nie docierało na tyły domu.

Wyprostowała się, dumna, że umysł zaczyna funkcjonować. Za oknem nikogo nie było. To telefon Antoniego wytrącił ją z równowagi. Wokół domu pewnie kręci się bezdomne kocisko, a ona wpadła w panikę. Głupia, stara baba!

Przeszła korytarzem i złapała się za serce.
W oknie balkonowym odbijała się czyjaś sylwetka.
Ktoś stał po drugiej stronie szyby.

11

Szcęk zasuwy. Kroki. Jeden po drugim. Wolne, spokojne. Cichy zaśpiew, jakby ktoś nucił pod nosem. Mężczyzna pokonujący wąski korytarz był w wyśmienitym humorze. Miał dla siebie dwie kobiety. Taka gratka nie trafia się często.

Druga zasuwa ustąpiła.

Wieczór zapowiadał się wybornie. Mężczyzna już wszystko zaplanował. Zawsze miał plan. Nigdy nie działał pod wpływem impulsu. Teraz pozostała jedynie kwestia, którą z kobiet zajmie się jako pierwszą. Długo się nad tym zastanawiał, rozważał za i przeciw, lecz ostatecznie uznał, że sprzątaczką powinna ustąpić pierwszeństwa kobiecie w ciąży.

Zachichotał.

Frapowało go jeszcze jedno. Przyszło mu do głowy, by poczekać, aż kobieta urodzi dziecko. Pomysł był szalony, ale realny. Mężczyzna zastanawiał się, czy byłby dobrym ojcem. Był bardzo samotny i przydałoby mu się towarzystwo, ale musiałby trzymać dzieciaka w ukryciu, żeby nikt się o nim nie dowiedział, a to stanowiłoby spory problem.

Otworzył drzwi i stanął w bezruchu, nasłuchując. Było przeraźliwie cicho. Słyszał, jak nieopodal przebiegła mysz, szurając cienkim ogonkiem po betonie. Jest zdecydowanie za cicho, pomyślał. A potem ktoś uderzył go w głowę. Niezbyt mocno. Napastnik ewidentnie nie miał siły. Mężczyzna odwrócił się i zobaczył przed sobą dwie kobiety gotowe do ataku. W panującej tu ciemności nie widział ich twarzy, ale przyspieszone oddechy kazały sądzić, iż obie są zdeterminowane i gotowe do walki. Ciężarna stała z przodu, lecz mężczyzna był przekonany, że to sprzątaczką go uderzyła.

Poczuł, że zalewa go fala wściekłości. Zamachnął się i uderzył ciężarną w brzuch, tak mocno, że zatoczyła się na bok. Zaśmiał się głośno, po czym uderzył ponownie. Kobieta zacharczała i upadła na ziemię.

Podszedł do tej drugiej. Trzęsa się jak galareta. Błagała o litość, prosiła, by jej nie krzywdził.

– Uderzyłaś mnie – rzekł. – Muszę cię ukarać.

Kiedy szarpnął ją za włosy, uderzyła twarzą w zimny beton.

Straciła przytomność.

12

Niedługo po tym, jak mężczyzna wyprowadził Jagodę Bejcę z kryjówki, komisarz Rudnicka odebrała telefon. Wspólnie z Marcelem wpadli do Irish Pubu na szybki obiad, kiedy zadzwonił dyżurny.

– Znaleźli kolejne zwłoki – poinformowała Lena, odkładając komórkę na stół. Wytarła serwetką usta i splotła ręce na blacie.

Wolski uniósł wzrok znad talerza i odłożył sztućce. Grillowana polędwica smakowała wyśmienicie, lecz sierżant nagle stracił apetyt.

– Twój plan chyba nie wypalił – odparł. – Zdaje się, że morderca miał do ciebie zadzwonić, zanim zabije kolejną ofiarę.

– Skąd ten pomysł?

– Mówiłaś, że...

– Jeśli sam doszedłeś do tego drogą dedukcji, wcale mnie nie dziwi, że jesteś marnym śledczym.

Uregulowali rachunek i pojechali w miejsce, gdzie znaleziono kolejne ciało. Znajdowało się przy leśnej ścieżce, która w lecie mogła stanowić świetną rowerową trasę, lecz teraz zamieniła się w poorany głębokimi koleinami tor przeszkód. Komisarz zaparkowała między samochodem doktora Bani a dwoma radiowozami. Nigdzie nie dostrzegła auta prokurator Kmiecik, co ją ucieszyło, gdyż pozwalało sądzić, że prawniczka już się nie pojawi. Poczyszczająca myśl.

– Co mamy? – zapytała Rudnicka, podchodząc do technik Krajewskiej.

– Sama zobacz.

Technik usunęła się na bok, a Lena spojrzała w stronę policyjnego namiotu. Trzeba jak najszybciej zabrać ciało. Na polecenie Krajewskiej zaczekano z tym do przyjazdu Leny i Marcela. Technik wolała, aby zobaczyli zwłoki w stanie, w jakim pozostawił je morderca.

Komisarz podeszła bliżej. Na wszelki wypadek poruszała się ostrożnie, choć najprawdopodobniej deszcz już zmył ślady na drodze.

Ciało pozostawiono w pozycji siedzącej. Kobieta wyglądała na trzydzieści lat. Włosy miała spięte w kok, kilka kosmyków opadło na twarz. Na szyi widniała krwawa pręga. Oczy miała zamknięte, usta wykrzywione w grymasie cierpienia. Rudnicka była pewna, że kobieta zmarła niedawno. Obok niej leżał bukiet trzynastu róż, a nad ciałem wznosiła się figura Matki Boskiej, z rozpostartymi rękami i twarzą o rysach rozmazanych przez deszcz i wiatr.

– Zostawił zwłoki pod kapliczką – powiedziała komisarz. – Niezły z niego jajcarz.

– Żart raczej z tych kiepskich – odparła technik.

– Odludzie. To trochę dziwne, że akurat tutaj wyeksponował ciało, prawda?

– Fakt, Trzynaście woli miejsca, gdzie kręci się dużo ludzi.

– No właśnie, a teraz wyeksponował zwłoki przy leśnej kapliczce.

– Może nie sądził, że tak szybko znajdziemy ciało.

– Przypuszczam, że tak było, ale jeszcze nie wiem, jaki płynie z tego wniosek. – Lena podrapała się w skroń. – Kiedy zmarła?

– Bania twierdzi, że jakieś półtorej do dwóch godzin temu.

– Nie zdążyła jeszcze ostygnąć.

– Hmm, można tak powiedzieć.

– Kto ją znalazł?

– Kobieta, która wracała tędy z pracy. Skraca sobie drogę przez las. Zauważyła dziewczynę siedzącą przed kapliczką, myślała, że ta zasłabła, ale okazało się, że nie można już jej pomóc.

Rudnicka zdała sobie sprawę, że zgubiła gdzieś sierżanta. Stał jakieś dwieście metrów dalej, a gdy napotkał wzrok komisarz, ze spuszczoną głową ruszył w jej stronę. Zakrył dłonią usta w wiadomym celu.

– Jakież ślady? – pytała, lecz technik pokręciła głową.

– Jeszcze nie skończyłam – wyjaśniła. – Mam nadzieję, że znajdziemy coś w tym błocie. Odcisk buta, cokolwiek. Ale morderca jest sprytny i może być z tym problem. Wiesz, że zagrabił ziemię?

– Słucham?

– Spójrz.

Technik zatoczyła okrąg, wskazując na wilgotną ziemię pokrytą drobnymi rowkami.

– Szukałam śladów opon, bo w końcu jakoś się tutaj dostał – dodała. – Ale koleiny są rozjeżdżone. Przyjechały dwa radiowozy, samochód Bani, moje i twoje auto, no i kobieta, która znalazła zwłoki. W każdym razie nie spodziewam się, byśmy znaleźli coś w tym błocie.

– Na ciele pewnie też nie znajdziemy żadnych śladów.

– Moim zdaniem sprawca nosi rękawiczki.

– A pod paznokciami ofiary?

Rudnicka dostrzegła, że po twarzy Krajewskiej przebiegł cień uśmiechu.

– No i tutaj mam dobrą wiadomość – odparła. – Coś znalazłam.

– Co takiego?

– Zebraliśmy materiał biologiczny. Jak najszybciej wyślemy go do analizy.

– A jednak nasz bystrzacha popełnił błąd.

Lena spojrzała na kapliczkę. Na środku wisiał rzeźbiony krzyż, łukowate wejście przystrojono kwiatami, które teraz wyglądały smętnie, oklapnięte w deszczu. Wewnątrz paliły się świece, a między nimi stała figura Matki Boskiej. Tuż pod nią sprawca pozostawił zwłoki.

Mogła zapobiec tej śmierci i była na siebie zła. Pomyślała o Bukowskiej i jej nienarodzonym dziecku. Po raz pierwszy w życiu wątpiła, że uda jej się złapać mordercę. Miała przed sobą wprawno gracza. Godnego przeciwnika.

Spojrzała na ciało Jagody Bejcy.

Przynajmniej się wyjaśniło, w jaki sposób sprawca dostał się do mieszkania Bukowskich.

13

Rok 1971

Chłopiec miał wówczas dziesięć lat. Od urodzenia mieszkał w Karpinie, kilka kilometrów od Łodzi.

Kiedy stał się dorosłym mężczyzną, wyniósł się do miasta, ale jako dziecko bardzo lubił swoją wieś. Ganiał po lesie, budował bazy pod świerkami, zaglądał w zajęcze nory. Miał psa o imieniu Krakers, kundla z domieszką owczarka niemieckiego, o długich łapach, gęstej, podpalanej sierści i stojących uszach. Krakers towarzyszył mu w wyprawach do lasu. Był naprawdę dobrym kumplem. I jedynym, jakiego posiadał.

Chłopiec lubił też zabawę żołnierzami, które dostał w prezencie od ciotki z Niemiec. Żołnierzyki miały piękne, drewniane pudełko. Po bitwach, jakie stoczyli żołnierze, chłopiec starannie, każdego z osobna, wkładał do pudełka. Najczęściej walczyli Polacy z Ruskimi. Czerwona zaraza, powtarzał ojciec chłopca, trzeba ich wypędzić z naszego kraju.

Chłopiec wychowywał się w rodzinie, w której polityka była bardzo ważna. Ojciec był działaczem opozycyjnym, a przynajmniej tak twierdził, bo chłopiec nigdy nie widział, żeby brał udział w jakimkolwiek przedsięwzięciu. Matka zaś głównie milczała, jakby bała się otwierać usta przy mężu. Zmieniała się natomiast, gdy wychodził do pracy. Wtedy odwiedzały ją koleżanki, z którymi potrafiła paplać dobrych kilka godzin.

Smutne było to, że chłopiec nie miał żadnych przyjaciół (oprócz Krakersa). Jego samotność martwiła matkę, która w końcu zaprowadziła go do lekarza.

– Mój syn jest dziwny – oznajmiła.

– Dziwny, mówi pani? – spytał doktor, przekrzywiając głowę.

Chłopiec siedział na wysokim krześle, machając nogami, i pomyślał, że lekarz jest zdziwiony słowami matki. Nie miał jednak pojęcia, że mężczyzna przed pięcioma laty uległ wypadkowi, przez co jego głowa samoistnie przekrzywiła się w lewo.

– Szanowna pani, proszę wyjaśnić, co to znaczy, że syn jest dziwny.

– Nie bawi się z innymi dziećmi. I w ogóle jest dziwny, pan doktor sam zobaczy.

Doktor spojrzał.

– Jak masz na imię, kolego? – zapytał, na co chłopiec odburknął pod nosem.

– No! Widzi pan? Ciągłe tak burczy. Prawie nic nie mówi, a jak mówi, to burczy. Kto to widział, żeby tak burczeć? Dzieci się z niego śmieją.

– Śmieją się z ciebie? – dopytał lekarz, na co chłopiec wzruszył ramionami. Śmiali się, ale on nie zwracał na nich uwagi.

– Czyta książki – mówiła matka. – Albo lata po polach. Dziwny jakiś. Może da pan jakieś lekarstwo, żeby był normalny? Wie pan, wolałabym, żeby łobuzował, niż tak siedział i gapił się w ścianę.

– Diagnoza pani synka jest prosta.

– Och, tak?

Matka ożywiła się, poprawiła torebkę na kolanach i nadstawiła uszu.

– Syn jest nieśmiały – orzekł lekarz, z czym matka się nie zgodziła i nazwała go konowalem oraz zapchlonym partyjniakiem.

Po tamtej wizycie chłopiec miał dwie zagwozдки. Pierwsza dotyczyła tego, że według matki był nienormalny. Nie do końca wiedział, co to znaczy, ale chciałby zrobić wszystko, żeby stać się normalny. A potem wpadł na pomysł, że jego nowa choroba jest niezłym usprawiedliwieniem.

– Jestem nieśmiały – burczał do matki, kiedy ta pchała go do zabawy z kuzynami, których szczerze nie znosił. Byli starsi i zabierali najlepsze zabawki. A poza tym była tam ich sąsiadka, Henia. Miała czternaście lat i trochę się chłopcu podobała, ale był nieśmiały i bał się do niej podejść.

14

W gabinecie Leny było gęsto od dymu. Wspólnie z Marcelem już drugą godzinę przeglądali akta sprawy Trzynaście.

Rudnicka wzięła do ręki fotografię zwłok jednej z ofiar. Marcelina Koselak, dwadzieścia cztery lata, pracowała jako kelnerka w barze przy Piotrkowskiej, zwłoki pozostawiono w bramie kamienicy przy Wschodniej, śmierć nastąpiła w wyniku poderżnięcia gardła. Obok ciała leżał bukiet róż.

Maja Niemczyk, dwadzieścia siedem lat, aktorka, zamordowana na dzień przed premierą spektaklu, w którym grała główną rolę. Ciało znaleziono na dziedzińcu Teatru Wielkiego, porzucone pod ścianą, ze zwieszoną głową. W rękach trzymała bukiet róż.

Monika Czwartek, trzydzieści jeden lat, pokojówka, ciało pozostawione na placu Wolności przy pomniku Kościuszki. Sprawca prawdopodobnie przetransportował zwłoki nocą. Rudnicka nie miała pojęcia, jakim cudem mu się to udało. W końcu Łódź to studenckie miasto. Dzieciaki kręcą się po Piotrkowskiej nawet w nocy, a mimo to na policję nie zgłosił się żaden świadek, który widział mężczyznę taszczącego zwłoki przez miasto.

Joanna Matyjaszczyk, dwadzieścia osiem lat, pracownica Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego, pozostawiona na pętli tramwajowej w dzielnicy Kurczaki, ręce miała ułożone luźno wzdłuż ciała, obok leżał bukiet róż.

I tak dalej. Plamy opadowe wskazywały, że żadna z kobiet nie zmarła w miejscu, w którym została znaleziona.

Do akt każdej ofiary dołączono krótki życiorys, ale w tamtym czasie nikt nie wpadł na to, by zagłębić się w życie tych dziewczyn i na tej podstawie szukać między nimi powiązań. Co prawda Mazurek twierdził, że nie znalazł punktów styčných, ale Rudnicka miała wrażenie, że sprawę potraktowano po macoszemu.

Lena odchyliła się na krzesło, gryząc skuwkę od długopisu. Usiłowała ułożyć w głowie jakąś tezę dotyczącą Trzynaście. Każde morderstwo zaplanował w najdrobniejszym szczególe. Miejsce, w którym pozostawiał zwłoki, nie było przypadkowe. Robił wcześniej rozeznanie w terenie, sprawdzał, w jakich godzinach kręcą się tam ludzie, prawdopodobnie odmierzał czas potrzebny na przeniesienie ciała. I nie zostawiał żadnych śladów.

Miał też zmysł artystyczny. Dbał o wygląd ofiar, chciał, by w chwili odnalezienia dobrze się prezentowały. Wiedział, że zwłoki prędzej czy później ktoś odnajdzie. Pozostawiał je dla widowni.

Pozostawało jednak pytanie, dlaczego zabijał. Dlaczego zabijał jedynie kobiety? Czy żywił do nich pogardę? Jeśli tak, czym była spowodowana?

Morderca nie był zwolennikiem okrucieństwa. Nie obdzierał ofiar ze skóry, żadna z zamordowanych nie została zgwałcona ani pobita. Jakby czerpał przyjemność z samego aktu zabijania i eksponowania zwłok na widok publiczny.

Wolski zaparzył kawę i usiadł przy biurku.

– Pomijając to, że Antoni przyznał się do winy, dlaczego akurat on pasował policji na mordercę? – zapytał.

– Bo się przyznał – burknęła Lena, przeglądając zdjęcia ofiar. – W jego samochodzie znaleźli włos ostatniej ofiary. No i torebkę Angeliki Krantz.

– Zapomnijmy o tym na chwilę.

– To znaczy?

– Prześledźmy Dunaja.

– Już to zrobiłam.

– I co?

Rudnicka uniosła głowę i zgarnęła kosmyk włosów za ucho, namyślając się nad odpowiedzią.

– Mamy gdzieś materiały dotyczące Dunaja? – zapytał Marcel. – Mam na myśli jego życiorys.

– Gdzieś tu powinny być. – Odszukała jedną z teczek i podała mu. – Żył jak inne dzieciaki w tamtych czasach, trochę wagarował, popijał z kolegami, kilka razy wdał się w szkolną bójkę.

– Według tych papierów jego ojciec zaginął.

– No tak. Irena, matka Antoniego, zgłosiła zaginięcie, ale Karol Dunaj do tej pory nie został odnaleziony. Stary Dunaj uchodził za pijaka i wersja, jaką przyjęli milicjanci, była

taka, że zapił się gdzieś w lesie.

- Ale ciała nie odnaleziono.
- To prawda. Zresztą teraz i tak zostałyby same kości.
- Co tam masz?

Rudnicka zmarszczyła brwi, przyglądając się niewielkiej kartce, a potem podała ją Wolskiemu. Sierżant przebiegł wzrokiem tekst.

- Wygląda jak notatka – ocenił.
- Ciekawe, kto ją napisał.
- Mazurek?
- Miał inny charakter pisma.

Lena wyciągnęła odręczną notatkę Bogdana Mazurka. Koślawe litery pochylały się w lewo, a literę „B” zapisywał z dwoma wielkimi brzuchami.

- Faktycznie – przyznał Marcel. – Tamtą napisał ktoś inny.
- Wygląda na niedokończoną. Zdanie jest w połowie urwane.
- Może w papierach jest reszta?
- Wątpię.
- Braki w dokumentacji?
- Na moje oko tej kartki w ogóle nie powinno tu być.

Marcel przysunął się do Leny i przyjrzał się notatce. Ich ciała dzieliły centymetry, jednak im to nie przeszkadzało. Wpatrywali się w pożółkłą kartkę. Niedbale wyrwana z zeszytu, miała mocno postrzępiony lewy brzeg. Sierżant sięgnął po paczkę papierosów i zapalił jednego.

- Trafiała tu przypadkowo? – zapytał z powątpiewaniem.
- Może. A może było ich więcej, ale ktoś zabrał resztę, a tę niechcący zostawił?
- Okej, brzmi logicznie. Ale kto to napisał?
- Strąk, partner Mazurka.
- Skąd wiesz?

– Tak przypuszczam. – Lena poszukała czegoś w niedbale rozrzuconych teczkach, po czym wyjęła jakiś dokument i porównała pismo. – Tak. To pismo Kazimierza Strąka. Sam zobacz.

– No dobra, ale przecież on i Mazurek prowadzili śledztwo razem, więc wnioski ich obu, nawet odręcznie zapisane, mogły być ważne.

- Dobrze pytanie. Może sam Strąk próbował wyczyścić archiwum.
- Po cholere?

– Zapytaj go. Chociaż nie wiem, czy będzie rozmowny, skoro od jakiegoś czasu wacha kwiatki od spodu.

Marcel pokręcił głową, dając do zrozumienia, że uznaje żart za nieudany. Rudnicka uśmiechnęła się rozbawiona.

Wolski przeczytał:

Karolina Deresz – ostatnia ofiara Trzynaście – rozmowa z T. przyznał się do winy – ślady: włos w samochodzie, torebka. Więcej (?) – porozmawiać z kobietą z budki z pieczywem.

– Bełkot – orzekł Wolski. – Kartka zawieruszyła się w aktach i tyle. Nic tu nie ma.

– Strąk dał nam wskazówkę.

Wolski rozłożył ręce. Nie miał pojęcia, jaką wskazówkę można wyczytać z tej kartki.

– Jakie mamy dowody świadczące o winie Dunaja? – zapytała Lena.

– Kobieta z budki rozpoznała w nim mężczyznę, który kręcił się w pobliżu przystanku.

– Według ciebie to wystarczający dowód?

– Nie zapominajmy o samochodzie.

– To i tak za mało, by skazać kogoś za seryjne morderstwo.

– Ten ktoś przyznał się do winy.

Rudnicka zagryzła wargę, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Miała wrażenie, że błądzą po omacku. Ten cholernie inteligentny przestępca robi policję w konia i świetnie się przy tym bawi.

Zaparzyła kolejną kawę.

– Co powiedziała Irena Dunaj podczas przesłuchania? – zapytała, sypiąc do kubka cukier.

– Z tego, co mówił Mazurek, Irena starała się udowodnić, że jej syn jest niewinny – mruknął Wolski, szukając odpowiedniego dokumentu. – Mam. Irena zeznała, że Antoni Dunaj był z nią w domu, gdy doszło do trzech ostatnich morderstw.

– Mogła kłamać.

– Owszem.

– Każda matka kryłaby własne dziecko.

Wolski skinął głową.

– Irena utrzymywała też, że samochód Antoniego został skradziony – dodał. – I że syn zgłosił kradzież na policję, ale nigdzie nie znalazłem potwierdzenia jej słów.

– Czyli policja nie przyjęła zgłoszenia o kradzieży samochodu.

– Twierdziła, że syn zgłosił kradzież dzień przed znalezieniem dowodów w jego samochodzie – przeczytał Wolski i odłożył kartkę. – Według mnie to bujda. Zmyśliła to, sądząc, że uda jej się wyciągnąć go z opresji.

– Możliwe.

– Gdy zatrzymano Dunaja i oskarżano go o serię morderstw, Irena odchodziła od zmysłów. Nie traktowałbym jej zeznań jako stuprocentowej prawdy.

– Gdybyś przyjmował jakiegokolwiek zeznania jako stuprocentową prawdę, byłbyś beznadziejnym gliną.

Marcel skrzywił się na tę uwagę.

– Jak podsumujemy kilka godzin spędzonych w tych starych i śmierdzących papierzyskach? – zapytała Lena.

– Mam mętlik w głowie, ale na pewno zaraz mnie oświecisz.

– Owszem. Dunaj to nie jest nasz Trzynaście.

Wolski milczał przez chwilę. Według niego przyznanie się Dunaja do winy świadczyło zgoła o czymś innym. W jego samochodzie znaleziono dowody. Zeznania matki były mało znaczące. Kłamała, by chronić syna. Dlatego Marcel był przekonany, że szukają naśladowcy. Nie chciało mu się wierzyć, że prawdziwy Trzynaście tyle lat chodził na wolności, a niewinny mężczyzna trafił do więzienia. Zgasił papierosa i sięgnął po kolejnego, ale paczka była pusta. Westchnął z rezygnacją.

– To niemożliwe – mruknął.

– Nie zamierzam cię przekonywać.

– To dlaczego trzynaście lat nie zabijał?

– Był w okresie wyciszenia.

– Naprawdę sądzisz, że Dunaj jest niewinny?

Rudnicka zeskoczyła z biurka, podeszła do Wolskiego i zawadiacko spojrzała mu w oczy.

– Coś tu nie gra, Marcel – powiedziała. – Musimy dowiedzieć się, kim jest człowiek, który zabija niewinne kobiety. Ale jeśli pytasz, czy według mnie Antoni Dunaj jest niewinny, to moja odpowiedź brzmi: nie wiem. Jestem jednak przekonana, że nie zamordował tamtych kobiet.

Wolski rozłożył ręce.

– Więc? – zapytał. – Co teraz?

– Jedziemy na wycieczkę.

– Dokąd?

– Chętnie poplotkuję przy kawie z Ireną Dunaj.

Wolski wahał się chwilę, lecz ostatecznie dał za wygraną.

Zgarnęli kurtki z wieszaka i już mieli wychodzić z gabinetu, kiedy w drzwiach stanął naczelnik Ostrowski. Wymierzył palec w Rudnicką.

– Wylatujesz – warknął.

– Słucham? – spytała Rudnicka, choć wiedziała, skąd wziął się gniew naczelnika.

– Jaja sobie robisz?

– O co chodzi?

Atmosfera w pomieszczeniu zgęstniała. Wolski zerknął na komisarz, usiłując rozeznaczyć się w sytuacji. Wyglądała na nieco rozbawioną.

– Ty mnie pytasz, o co chodzi? – Ostrowski nerwowym krokiem przemierzył pokój, zatrzymał się przy stole i uderzył otwartą dłonią w blat. – Wylatujesz, Rudnicka. Miarka się przebrała. Po prostu ciebie już nie ma i nawet nie będę z tobą dyskutował.

– Co się stało? – zapytał Marcel.

– Ty też brałeś w tym udział? Ha! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ta wariatka wciągnęła cię w swoje gierki.

– Nie, ja...

– W co ty pogrywasz, Rudnicka, co?

– Robię to, co uważam za słuszne – odparła.

– Naprawdę? Trzymajcie mnie! Naprawdę uważasz za słuszne składanie wizyt seryjnemu mordercy?!

Marcel znieruchomiał.

– Byłaś u Dunaja?

– Co robiłaś u Dunaja tydzień przed pierwszym morderstwem? – wrzeszczał Ostrowski.

– Wpadłaś do niego na kawę, kurwa? Pogawędzić czy co?

Rudnicka zawahała się. To Dunaj ją wezwał. Chciał się z nią spotkać. Czy warto wtajemniczać Ostrowskiego? Był jej przełożonym i powinien o tym wiedzieć.

Wsunęła dłonie w kieszenie spodni.

– Nudziło mi się – mruknęła po długiej chwili.

– Rudnicka – upomniał ją, a Lena uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Chcesz mnie odsunąć od śledztwa? – zapytała.

– Już to zrobiłem.

– I komu dasz tę sprawę? Temu tłuкови Kojarskiemu? Przecież on ma problem z rozwiązaniem krzyżówki. – Zaśmiała się. – A może Cajmerowi? Jeśli chcesz mieć kolejne spierdalone śledztwo, droga wolna.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji.

– Co ty myślisz? Że knułam z Dunajem, jak zamordować Angelikę Krantz? A może sądzisz, że to ja jestem jego wtyką z zewnątrz?

– Jaką wtyką? – zapytał Marcel.

Lena odwróciła się w jego stronę.

– Dunaj wiedział o morderstwach – wyjaśniła.

– Co? – Ostrowski zaczerpnął powietrza, jakby zaraz miał zanurzyć się pod wodą.

– Posłuchaj – mówiła Rudnicka. – Mam pewną teorię, ale nie możesz dać tej sprawy komuś innemu.

– Już to zrobiłem – uciął. – Komendant się wściekł.

Rudnicka zagryzła wargi. Niedobrze.

– I nie chcę być złym prorokiem – odezwał się Ostrowski po chwili. – Ale podejrzewam, że pani prokurator będzie chciała z tobą porozmawiać.

– Słucham? – Rudnicka podniosła wzrok z niedowierzaniem.

- Złożyłaś dwie wizyty seryjnemu mordercy – poinformował Ostrowski. – Tydzień po pierwszej wizycie zginęła pierwsza kobieta.
- Który klawisz mnie sprzedał?
- Ostrowski zaśmiał się w głos.
- Niech komisarz na siebie uważa – powiedział. – Czarne chmury gromadzą się nad twoją głową.

15

Irena nie miała pojęcia, jak długo siedziała zamknięta w łazience. Gdyby wzięła papierosy, przynajmniej miałyby czym zająć ręce, ale tak się wystraszyła, że zwyczajnie ich zapomniała. Dłonie miała śliskie od potu. Nasłuchiwała dźwięków dochodzących zza zamkniętych drzwi, ale nie usłyszała niczego podejrzanego. Siedziała na sedesie kilka długich minut, utwierdzając się w przekonaniu, że umysł spletał jej figła. Człowiek stary, a taki głupi, pomyślała. Telefon od Antoniego napędził jej strachu. Sądziła, że pod oknami kręci się włamywacz, ale to pewnie były bezpieczeństwa koty albo pies sąsiadów. Pora skończyć tę dziecinadę i wziąć się w garść. Wyszła z łazienki, kierując się prosto do salonu, gdzie zostawiła papierosy. Musiała się odstresować.

Paczka leżała na stoliku obok przepełnionej popielnicy. Irena zatrzymała się, czując znajomą woń unoszącego się w powietrzu dymu. Był zbyt mocno wyczuwalny. Zdecydowanie zbyt mocno wyczuwalny, zupełnie jakby ktoś...

Obróciła się.

W kącie pokoju, pomiędzy regałami wypełnionymi książkami, dojrzała ludzką sylwetkę. W mroku nie widziała twarzy, jedynie żarzącą się końcówkę papierosa. Przybysz zaciągnął się i powoli wypuścił dym.

– Witam, pani Dunaj – powiedział mężczyzna. Głos miał chrapliwy, jakby w gardle zalegały mu drobinki żwiru.

Irena mimowolnie się cofnęła. Wiedziała już, że w jej salonie stoi seryjny morderca. Poczula smutek, gdyż uświadomiła sobie niewybaczalny błąd, jaki popełniła. Skreśliła własne dziecko. Uświadomiła sobie, że Antoni był niewinny; że właśnie w tej chwili patrzy na człowieka, za którego jej syn siedzi w więzieniu. Było za późno, aby naprawić ten błąd. Syn ją ostrzegł, ale nie potraktowała go poważnie.

Poczula, że stoi przy krawędzi stolika. Schowała dłoń za siebie w poszukiwaniu telefonu.

– Próżny trud – rzekł mężczyzna, podchodząc bliżej. Miał na sobie propylenowy strój do dezynsekcji, ściągacze na nogawkach i nadgarstkach, rękawiczki na dłoniach i ochronne buty. Jedynie twarz pozostawała odkryta.

Irena знаła tę twarz.

Pomachał jej telefonem. Zadrzała, uświadomiwszy sobie, że została odcięta od jakiegokolwiek pomocy.

– Czego chcesz? – zapytała tonem nadzwyczaj śmiałym jak na sytuację, w której się znalazła.

Mężczyzna uśmiechnął się, a w jego oczach Irena dostrzegła cień szaleństwa. Dotarło do niej, że on ją zabije. Ten mężczyzna nie przyszedł na pogawędkę.

Irena była stara, lecz mimo że ciało czasem odmawiało jej posłuszeństwa, charakter nie pozwalał na uzalanie się nad sobą. Szła do przodu mimo bólu i przeciwności losu. Tak było zawsze. Odkąd wyszła za męża, odkąd życie się posypało, wciąż parła naprzód z podniesioną głową. Nawet w obliczu zagrożenia nie zamierzała się poddać.

Rzuciła się do drzwi, ale on był szybszy. Popchnął ją i upadła na ziemię. Usiłowała wstać, ale nie dała rady.

– Mam coś dla ciebie – powiedział.

– Dlaczego? – Irena otarła łzę, która spłynęła jej po policzku. – Co ja takiego zrobiłam?

– Jesteś dla mnie zagrożeniem.

– Ja?

– Wiesz za dużo, bym pozwolił ci żyć. Nie planowałem tego. Ale muszę być ostrożny.

– Zabiłeś te biedne dziewczyny. To byłeś ty. Mój syn jest niewinny, prawda?

– Gratuluję! – Klasnął w dłonie. – Zagadka rozwiązana.

– Jesteś potworem.

– Czas na zabawę.

Irena podczołgała się do okna balkonowego. Uniosła się na rękach, by otworzyć drzwi. Być może zdołałaby uciec do ogrodu. Mężczyzna spokojnym krokiem zastąpił jej drogę i rzucił coś na ziemię.

– To dla ciebie – powiedział.

Spojrzała na leżący przed nią gruby sznur z ciasnym splotem.

– Co... Co to ma znaczyć?

Oddałaby wiele, by zapalić papierosa. Mężczyzna jakby czytał jej w myślach, gdyż uniósł paczkę, pomachał nią i wyjął coś z kieszeni.

– Pisz – polecił.

– Co mam pisać? – Irena zadrzała. – Nie rozumiem. Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz?

– Napiszesz list pożegnalny. I popełnisz samobójstwo.

Irena dygotała na całym ciele. Płakała.

– Proszę... – stęknęła.

– Pisz.

Podsunał w jej stronę długopis.

– Napisz, że nie wytrzymujesz presji – powiedział mężczyzna. – Twój syn jest mordercą, a ty nie możesz dłużej żyć ze świadomością, że odebrał życie niewinnym kobietom.

Dlatego postanowiłaś odebrać sobie życie. Skończyć ze sobą raz na zawsze.

Irena milczała.

– Przecież to prawda – ciągnął. – Tak czy inaczej twój synalek wylądowałby w pace, doskonale o tym wiesz. Ale nie martw się – przyłożył palec do ust – nikomu nie powiem.

– Jesteś potworem. Zgniesz w więzieniu.

– Nie byłbym tego taki pewien. Antoni zapewnił mi alibi.

Mężczyzna przeszedł przez pokój. Irena zdała sobie sprawę, że jeśli ją zabije, nikt się o tym nie dowie. Wszyscy będą pewni, że popełniła samobójstwo. Strój dobrze go chronił, a wypalony papierosa schował do przedniej kieszonki kombinezonu. Nie pozostawił po sobie żadnych śladów, po których policja będzie mogła go zidentyfikować.

– Pamiętaj, że każdy człowiek ma za sobą różne przeżycia – mówił. – Inaczej odbiera pewne sytuacje. Niektórzy nazwą mnie potworem, inni zaś docenią to, co robię dla społeczeństwa.

– Potrzebujesz psychiatry.

– Moja wizyta u ciebie to zasługa Antoniego. Niestety – rozłożył ręce – musisz umrzeć i jemu możesz za to podziękować. Nie dotrzymał umowy.

– Zostaw mojego syna w spokoju.

– Och, Ireno, po co te nerwy?

– Nie waż się o nim mówić.

– Zawiódł mnie, więc dostanie za swoje.

Irena przymknęła oczy, powstrzymując łzy. Nie miała już nadziei. Wiedziała, że ten mężczyzna ją zabije, a ona nie zamierzała ułatwić mu sprawy. Była stara, ale pozostał w niej hart ducha. Odrzuciła na bok sznur i kartkę. Przytrzymując się krawędzi stołu, z wysiłkiem się podniosła.

– Masz wolę walki – odezwał się. – Nieczęsto się to zdarza. Wszystkie kobiety, które pozbawiłem życia, po prostu odpuszczały.

Irena nie odpowiedziała.

– Wiedziały, że czeka je śmierć – dodał. – Och, to jest takie oczyszczające.

– Uważasz, że zawisnę na tym sznurze i wszyscy pomyślą, że popełniłam samobójstwo? A ty znów się wywiniesz?

– Muszę się ciebie pozbyć. To kara.

– Kara?

– Twój syn ze mną pogrywał – mówił z nienawiścią. – Nie powinien ze mną pogrywać – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Był zły. Tak zły, pomyślała Irena, że byłby w stanie udusić mnie gołymi rękami.

– Twój syn cię kocha – ciągnął. – Głupiec. Byłaś moją gwarancją, ale on nie dotrzymał umowy.

– Jakiej umowy?

Mężczyzna patrzył na nią w sposób, jakby była śmieciem, nie człowiekiem.

– Miał milczeć – odrzekł po chwili, a jego usta ściągnęły się w cienką linię. – Miał milczeć. Przyznać się do winy i milczeć.

Podniósł sznur.

– Już pora – dodał. – Musimy załatwić sprawę szybko.

16

W czasie, gdy Marcel dowiedział się, że śledztwo przejął Dawid Cajmer, Lena siedziała w samochodzie, myśląc nad wcieleniem w życie planu B. Nie była idiotką i doskonale wiedziała, że naczelnik prędzej czy później dowie się o jej wizytach w więzieniu, więc na wszelki wypadek przygotowała plan awaryjny. Nie dziwiła się Ostrowskiemu, miał prawo się wściec. Z jego perspektywy sprawy nie wyglądały najlepiej. Nawet najgłupszy gliniarz wiedziałby, że coś tu nie gra.

Mimo wszystko nie zamierzała odpuścić. Ruszyła z parkingu i po kilkunastu minutach wjechała na osiedle Nowosolna. Nad okolicznymi łąkami unosiła się mgła, widoczność była ograniczona. Zatrzymała samochód na poboczu i zawahała się, spoglądając na parterowy dom z czerwonej cegły. Takich domków było wiele na polskich wsiach i przedmieściach, ale dom Ireny Dunaj – odnowiony, zadbane, z zielonymi okiennicami – prezentował się naprawdę mile dla oka.

Lena podeszła do furki i zadzwoniła domofonem, rozglądając się na boki. Dookoła nie było żywej duszy. W powietrzu unosił się zapach opadłych liści i nadchodzącej zimy. Nacisnęła klamkę i weszła na podwórkę. Pod płótem leżały kupki zagrabionej trawy. Minęła podjazd i zapukała do drzwi, ale nikt jej nie odpowiedział. Sprawdziła drzwi. Zamknięte.

Rudnicka zagryzła wargę. Przeczucie mówiło jej, że coś jest nie w porządku. Obeszła dom, pamiętając, że w salonie Ireny balkonowe okno wychodziło wprost na ogród. Gdyby w tamtym momencie ktoś spytał Lenę, dlaczego kręciła się po czyimś podwórku, nie potrafiłaby tego uzasadnić. Instynktownie wiedziała, że powinna sprawdzić, czy z Ireną Dunaj wszystko w porządku. Starsza kobieta równie dobrze mogła pojechać do miasta na zakupy albo zasnąć w fotelu.

Podeszła do okna i zajrzała do środka. Na stoliku paliła się niewielka lampka, obok której Lena dostrzegła przepełnioną popielniczkę oraz butelkę wody mineralnej. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jakby Irena była w domu. Dlaczego więc nie otwierała drzwi? Kilka sekund zajęło Lenie zrozumienie tego, co zobaczyła ponad stolikiem.

Zamrugła kilkukrotnie, by się upewnić, że wyobraźnia nie płata jej figła, po czym niewiele myśląc, sięgnęła po cholernie ciężki kwiat w kamiennej donicy i walnęła nim w balkonowe okno. Szyba nie pękła, na jej powierzchni zaś utworzyła się pajęczna sieć,

w którą po chwili uderzył ciężki traper Rudnickiej. Szkło runęło z hukiem na posadzkę. Lena przełożyła rękę do klamki i otworzyła drzwi.

Irena Dunaj obracała się najpierw w prawo, potem w lewo. Wisiała na ozdobnym żyrandolu, zdobionym drobinkami mieniących się kamyczków. Bardzo ładna rzecz, lecz już na pierwszy rzut oka było widać, że kamyczki to żadne diamenty, tylko tanie szkiełka. Lena jednak nie miała czasu na podziwianie żyrandola. Szybko oceniła, że Irena Dunaj, choć jeszcze ciepła, prawdopodobnie była nie do odratowania. Mimo to pobiegła do kuchni, znalazła w zlewie nóż i pognąła z powrotem do pokoju. Gdy przecinała sznur, usłyszała policyjne syreny.

Przecież nie wezwała policji...

Zrobił to mężczyzna, który obserwował dom. Ukrył się w pobliskich zaroślach, była gęsta mgła, więc Lena nie zdołałaby go dojrzeć. Właściwie już miał odejść, kiedy zobaczył podjeżdżający samochód tej policjantki. Lepszej okazji nie będzie, pomyślał, wybierając numer sto dwanaście. Kupił kartę na Allegro. Nikt nie powiąże go ze zgłoszeniem.

Widząc nadjeżdżający radiowóz, zachichotał. Zabawa trwa w najlepsze.

17

Pokój był niewielki. Mieścił dwa biurka stojące naprzeciwko siebie, regały wypełnione książkami i segregatorami, stół z czajnikiem elektrycznym i zapasem kawy plujki. Zaciągnięte w oknach żaluzje nie przepuszczały światła, a jedynym jego źródłem był wiszący na suficie słaby halogen. Dawid Cajmer obracał w rękach kubek z Tomem i Jerrym i wzdychał jak śmiertelnie zmęczony człowiek.

Marcel wypił już dwie kawy i był mocno pobudzony. Targały nim sprzeczne emocje. Z jednej strony chciał brać udział w śledztwie, jednak nie mógł pogodzić się z tym, że Lena została odsunięta. Uważał to za błąd. Może nie powinna zatajać wizyt w więzieniu, ale Ostrowski podjął pochopną decyzję, powierzając sprawę temu kretynowi.

– Ale się porobiło, co? – zagadnął Cajmer. Jego niemal stukilowe cielsko kręciło się na krześle. – Nie chcę być nieskromny, ale spodziewałem się takiego obrotu sprawy.

Marcel spojrzał na niego zdumiony.

– Takie jest życie – dodał Cajmer, masując się po wielkim brzuchu. – Powiedzmy sobie szczerze, Rudnicka nie nadaje się do tej roboty. Wszyscy to wiedzą. Naprawdę się zdziwiłem, kiedy twój stary dał jej tę sprawę. Na jego miejscu już dawno bym ją wylał.

Na ścianie, za plecami Cajmera, wisiały jego dyplomy i odznaczenia. Oprawione w ramy, rozłożone symetrycznie, a jeden, najważniejszy – dyplom uzyskania stopnia podkomisarza – w centralnym punkcie.

Marcel poznał Cajmera w trakcie poprzedniej sprawy i podkomisarz nie wywarł na nim dobrego wrażenia. Na komendzie mówiło się, że Cajmer dostał awans tylko dlatego, że

wiedział, komu należy dawać drogie prezenty.

– Do dziś zastanawiam się, skąd te zachwyty nad szanowną panią komisarz – ciągnął Cajmer. – Ona ciągle sprowadza na siebie kłopoty. Stale są z nią jakieś problemy. Nie wiem, jak można funkcjonować w ten sposób, a tym bardziej prowadzić śledztwo. Może ty mi to wytłumaczysz, co, chłopaku? Zdążyłeś poznać jej paskudny charakter.

Marcel odstawił kubek z kawą na biurko.

– Myślę, że każdy policjant ma swój sposób działania – odparł.

– Powinieneś pracować z gliną, od którego mógłbyś czegoś się nauczyć.

– Uważam, że dobrze trafiłem.

Twarz Cajmera pociemniała.

– Ona prędzej czy później wyleci – mruknął. – Myślę, że prędzej niż później.

Wolski już chciał odpowiedzieć, że przez parę miesięcy pracy z Leną nauczył się więcej, niż nauczyłby się przez kilka lat, pracując z nim, gdy do pomieszczenia weszła technik Luiza Krajewska. Rzuciła Marcelowi zaniepokojone spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na podkomisarza.

– Dzwonił Felicjan Bania – poinformowała służbowym tonem. – Chciał, żebyście przyjechali. Podobno ma dla was informacje.

– Nie mógł przez telefon? – prychnął Cajmer. – Widzisz, młody? Właśnie o to chodzi! Pracujemy z niekompetentnymi ludźmi. Zamiast przekazać informacje telefonicznie, ten kretyn woła nas do siebie. To marnowanie czasu. Zaraz do niego zadzwonię i powiem, żeby przekazał informacje przez telefon. Nigdzie się nie wybieram.

– Ja chętnie się przejadę – odezwał się Wolski.

Cajmer zmierzył go wzrokiem.

– No dobrze – mruknął. – Niech będzie, pojedziemy. Ale najpierw powiesz, co do tej pory ustaliliście z Rudnicką.

– Wszystko jest w raporcie.

– Czytałem. Masz mnie za durnia?

– Skąd ten pomysł?

– Przecież wiem, że w raporcie nie ma wszystkiego. Co ty myślisz, że ja dzisiaj się urodziłem? Czekam na informacje, których nie ma – postukał palcem w teczkę – tutaj.

– Raport jest kompletny.

– Nie pleć bzdur, do cholery.

Marcel nie odpowiedział. Jasne, że raport był niekompletny. Nie było w nim przypuszczeń i domysłów, jakie wysnuli wspólnie z Leną, ale nie miał ochoty dzielić się tymi informacjami z Cajmerem. Poza tym wciąż miał nadzieję, że odsunięcie Leny od sprawy jest tylko chwilowe i komisarz wróci zaraz na swoje miejsce, by znów prowadzić śledztwo.

Wolski wątpił w dobre zamiary Cajmera. Był przekonany, że podkomisarz liczy na rozgłos, jaki przyniesie mu złapanie naśladowcy. Właśnie z tego powodu mu nie ufał.

– No więc? – ponaglił go Cajmer. – Co masz do powiedzenia?
– Sądzę, że... – Marcel zawahał się i wsunął dłonie do kieszeni spodni. – Uważam, że to Lena powinna prowadzić tę sprawę.

– Słucham?

– Odsunięcie jej od śledztwa było dużym błędem ze strony mojego ojca.

Tego Cajmer się nie spodziewał. Odchylił się na krześle, wbijając wzrok w sierżanta.

– Idziemy – warknął.

Drogę do zakładu medycyny sądowej pokonali w milczeniu. Kiedy weszli do budynku, w nozdrza uderzyła ich woń roztworu wodnego formaldehydu, czyli formaliny. Woń była mocna, szybko wsiąkała w ubrania i włosy. Po każdej wizycie u Felicjana Bani Wolski przez kilka dni nie mógł się jej pozbyć.

Pomieszczenie, do którego zaprosił ich Felicjan, było przestronne, oświetlone jasnym, niemalże białym światłem jarzeniówek. W centralnym miejscu stały stoły sekcyjne, a za nimi rzędy lodówek. Bania siedział w kącie przy biurku. Marcel dałby sobie rękę uciąć, że skrzywił się na widok Cajmera.

Felicjan wstał. Jasne światło podkreślało jego zapadnięte policzki. Był wysoki i chudy, wyglądał jak narkoman. Rozejrzał się, jakby szukał kogoś wzrokiem, a kiedy nie znalazł, uśmiechnął się bez entuzjazmu.

– Witam w moich skromnych progach – powiedział. – Dobrze, że przyszliście.

– Dobrze i niedobrze – odparł Cajmer. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek i niektóre sprawy da się załatwiać przez telefon, a nie jechać przez pół miasta, żeby oglądać trupy.

– Pan wybaczy, podkomisarzu. – Lekarz złożył dłonie jak do modlitwy. – Spodziewałem się, że sprawę prowadzi komisarz Rudnicka. Ma w zwyczaju załatwiać sprawy osobiście.

Cajmer wzduął się niczym balon.

– Jak widać, komisarz Rudnicka lubi marnować czas – odrzekł. – Nic dziwnego, że mija drugi dzień, a w śledztwie nie widać postępów.

W sali zapadła cisza.

– Jeżeli chodzi o wasze ofiary – powiedział Bania, wysuwając najpierw jedną szufladę lodówki, a potem drugą. Oczom policjantów ukazały się dwie blade twarze. – Jestem skłonny przyznać, że obie zamordował ten sam sprawca.

Cajmer się zaśmiał.

– To ci dopiero odkrycie! – Podparł się pod boki. – Od dawna było wiadomo, że to zrobił ten sam człowiek.

– Ale teraz mamy potwierdzenie – powiedział Marcel.

– Co więcej – kontynuował patolog – śmiem przypuszczać, że ofiary sprzed trzynastu lat oraz te panie, które miałem zaszczyt poznać na stole sekcyjnym, zabiła ta sama osoba. – Lekarz zerknął kontrolnie na Marcela. – Porównałem dane z tamtych spraw. Wówczas nie były tak szczegółowe, ale widać podobieństwa.

– Że co? – Cajmer uniósł brwi. – Szukamy naśladowcy, doktorku. Czy to znaczy, że nasz sprawca idealnie odwzorowuje sposób Antoniego Dunaja?

Lekarz ponownie zerknął na Wolskiego.

– Jeżeli stawia pan pytanie w ten sposób, to owszem – odparł. – Odwzorowanie jest idealne, właściwie identyczne.

– Kurwa. – Podkomisarz przeniósł ciężar na drugą nogę. – Co za bałagan! To nieco utrudnia sprawę, co?

– Rana cięta, z prostymi brzegami. – Lekarz wskazał szyję Angeliki Krantz. – Głęboka, co wyklucza cięcie samobójcze, gdyż takie zazwyczaj jest płytsze. Tutaj mamy do czynienia z raną ciętą zadaną od tyłu, sprawca najprawdopodobniej odsłonił szyję, odchylając głowę ku tyłowi, i poprowadził nóż, przecinając tętnicę szyjną. Na ciałach ofiar brak innych ran, co oznacza, że...

– Nie broniły się – dokończył Marcel.

– Zgadza się. Trudno wytypować konkretne narzędzie zbrodni, jednak obstawiałbym nóż o długości około piętnastu centymetrów, wystarczająco ostry, by sprawca nie musiał poprawiać cięcia.

– Śmierć nastąpiła wskutek wykrwawienia?

– Proszę pamiętać, że przecięcie jednej tętnicy szyjnej nie skutkuje śmiercią. Ofiara jest w stanie się jeszcze poruszać. Ale tak, tutaj mamy do czynienia z wykrwawieniem. Uważam, że w obu przypadkach nastąpiło dość szybko.

– A ofiary sprzed trzynastu lat? – pytał Marcel.

– Ten sam mechanizm. Cięcie od lewej do prawej, głębokość rany taka sama. Mógłbym pokusić się o stwierdzenie, że zbrodni dokonano wtedy tym samym narzędziem.

Cajmer zaklął pod nosem.

– Wedle raportu nie mamy żadnych śladów Małgorzaty Bukowskiej – powiedział podkomisarz. – Obstawiam, że panienka podzieliła los tych tutaj.

– Bukowska jest w ciąży – zauważył Wolski.

– A co to zmienia? – prychnął podkomisarz. – Dla zabójcy to nie ma znaczenia. Podejrzewam, że sprawca mu to jeszcze większą frajdę.

Marcel podrapał się po policzku. Lena miała rację. Miała cholerną rację, mówiąc, że nie szukamy naśladowcy Dunaja, pomyślał. Szukamy prawdziwego Trzynaście. Dunaj nie zabił tamtych kobiet. Marcel z każdą minutą utwierdzał się w tym przekonaniu. Wyciągnął telefon, by zadzwonić do Leny. Musiał z nią pogadać. Dowiedzieć się, o czym rozmawiała z Dunajem. Powstrzymał się jednak w porę. Przecież nie będzie dzwonił przy Cajmerze.

Kiedy już miał schować smartfon do kieszeni, ten zadzwonił.

Spojrzał na ekran. Luiza Krajewska.

– Słucham? – Przyłożył aparat do ucha.

– Marcel?

– Coś się stało?

– Chyba... To znaczy... – Zawahała się. – Lena została zatrzymana. Jest podejrzana o morderstwo.

18

Zwyczajowo przesłuchanie powinno odbywać się w pokoju specjalnie do tego przeznaczonym, jednak w tym przypadku zrobiono wyjątek.

Dawid Cajmer zajął miejsce przy zagraconym biurku, a naprzeciwko niego usiadła Lena Rudnicka. Sprawiała wrażenie zrelaksowanej, jakby wszystko, co działo się wokół, nie bardzo ją obchodziło. Opadła znudzona na oparcie i poprosiła o kubek kawy.

– Strasznie zmarzłam – wyjaśniła.

– To nie jest koncert życzeń, Rudnicka. Nie zapominaj, w jakim charakterze się tutaj znalazłaś.

Lena uśmiechnęła się figlarnie.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo masz przejebane – warknął Cajmer i postukał długopisem w blat biurka.

– Co z tą kawą?

– Wyglądasz, jakbyś doskonale się bawiła, ale zapewniam cię, że to nie jest zabawa.

– I po co te wielkie słowa?

– To twoja sprawa, jak do tego podejdziesz. Masz to w dupie? Proszę bardzo! Mam wyjaśnić, co robiłaś u Ireny Dunaj, skoro zostałam wyłączona ze śledztwa zgodnie z poleceniem naczelnika. Więc? Powiesz, po jaką cholere pojechałaś do tej staruchy?

– Już mówiłam.

– Powiesz to jeszcze tysiąc razy, jeśli tak rozkażę.

– Rozkazywać to ty możesz swojemu małemu w rozporoku, nie mnie.

Cajmerowi powoli puszczały nerwy. Źle znosił, gdy ktoś z nim pogrywał. Oddychał ciężko, co zdradzało narastające zdenerwowanie. Coraz mocniej uderzał długopisem w biurko. Od dawna chciał się pozbyć irytującej komisarz. To właśnie jej komendant przydzielał najważniejsze sprawy, co zdaniem Cajmera było ogromną pomyłką. Teraz miał okazję ją pogrzyźć. Sądził, że sytuacja zagrożenia zmyje Rudnickiej uśmieszek z twarzy, ale się pomylił.

– Zdajesz sobie sprawę, że możesz zostać oskarżona o morderstwo? – zapytał.

– A ty zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi?

Cajmer zagryzł wargi. Na jego koszulce pojawiły się plamki potu.

– Mogę cię posadzić – powiedział. – W każdej chwili.

– A więc zrób to.

– Sama się pograżasz.

– Nie sądzę.

Mierzyli się wzrokiem. W dusznym wnętrzu zapanowała cisza, którą przerwał Marcel. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Lenę. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Was dwóch? – Rudnicka zaśmiała się. – Niezły duecik.

– Tymczasowy – wyjaśnił Wolski.

– No nie wiem, bo twój kumpel zamierza wpakować mnie do więzienia. Jest zdeterminowany, więc może być różnie.

Marcel przeniósł wzrok na Cajmera, ale ten nie zwrócił na niego uwagi.

– Za kogo ty się masz, co? – warknął. – Sądysz, że jesteś nietykalna? Udowodnię ci, że to nieprawda.

– Nie mogę się doczekać.

– Dosyć! – Cajmer wstał, by włączyć elektryczny czajnik. – Koniec tego pierdolenia.

– Wreszcie! – Lena zarzuciła ramię na oparcie. – Z cukrem poproszę.

– Ktoś wezwał policję do domu Ireny Dunaj. Zgłoszenie było anonimowe. W każdym razie zgłaszający twierdził, że w domu Dunaj dzieje się coś niedobrego. Kiedy patrol przyjechał na miejsce, w jej domu byłaś ty, a stara Dunajowa dyndała na sznurku.

– Gwoli ścisłości, gdy przyjechał patrol, Irena już nie wisiała na sznurku.

– Odcięłaś ją?

– Potwierdzam.

– Okej, wrócimy do tego. Po kolei. – Czajnik pstryknął. Cajmer zalał jedną kawę i usiadł z kubkiem przy biurku.

– A dla mnie?

– Ja ci zrobię – odezwał się Wolski, odbierając karcące spojrzenie podkomisarza.

– Idźmy dalej. W domu są twoje ślady, więc albo opowiesz, co się stało, albo cała sprawa źle się dla ciebie skończy.

– Bardzo chętnie. Problem leży jednak w tym, że nie wiem, co się stało.

– Rudnicka! – upomniał ją.

– Byłam w domu, więc logiczne jest, że będą tam moje odciski palców.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

Lena odebrała kawę od Wolskiego i upiła łyk. Mógłby więcej posłodzić, pomyślała, ale dobre i to. Odstawiła kubek na biurko.

– Weszłam do domu przez okno – powiedziała. – Dunajowa już wisiała na żyrandolu. Niewiele mogłam zrobić, chociaż próbowałam.

– Jak weszłaś do domu?

– Wybiłam szybę.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo drzwi były zamknięte.

– Pytam, dlaczego w ogóle weszłaś do tego domu?

– Powiedzmy, że czułam, że coś jest nie tak.

– Słaba odpowiedź.

– Obeszłam dom od strony ogrodu i zobaczyłam Dunajową. Pomyślałam, że jeszcze mogę jej pomóc. Nie udało mi się, ale próbowałam.

– Pukałaś do drzwi, zanim obeszłaś dom?

Lena drwiąco uniosła brwi.

– Kiedy ktoś nie otwiera, może nie ma go w domu? – ciągnął Cajmer. – Nie pomyślałaś o tym?

– Nie jestem tak bystra jak ty.

– Nie drwij.

– Pojęcie intuicji, jak widać, jest ci obce. Niespecjalnie mnie to dziwi, patrząc na twoje wyniki na komendzie. Nie jesteś najwprawniejszym gliną, chociaż moim zdaniem, gdybyś się przyłożył, mógłbyś osiągnąć więcej.

W pokoju zapanowała cisza.

– Co było dalej? – podjął Cajmer. – Wybiłaś szybę, weszłaś do środka, a co potem?

– Pobiełam do kuchni po nóż, żeby ją odciąć.

– Irena miała ranę na szyi, nie widziałaś jej?

– Zobaczyłam tę ranę, gdy odciąłem Irenę. Wtedy już wiedziałam, że niepotrzebnie się spieszyłam.

– Ktoś poderzwał jej gardło.

– Doskonale, Watsonie.

Na widok tej rany pomyślała o Trzynaście. To nie mógł być przypadek. To on ją zabił i to on zawiesił ciało na żyrandolu. Lena nie miała pojęcia, dlaczego to zrobił. Być może chciał upozorować samobójstwo, ale Irena stawiała opór. W takim wypadku, skoro poderzwał jej gardło, po co powiesił ją na lampie? Po co utrudnił sobie zadanie?

– Ktoś poderzwał jej gardło nożem, na którym są twoje odciski palców – powiedział Cajmer. – Potwierdził to lekarz, który oglądał ciało. Na dziewięćdziesiąt procent to był ten nóż.

– Odcinałam nim ciało. Wybacz, że nie nałożyłam rękawiczek.

– Sobie zrobiłaś problem, nie mnie.

Rudnicka westchnęła. Powiodła wzrokiem po suficie.

– Nie chce mi się w to wszystko wierzyć – rzekł podkomisarz. – Twoje wyjaśnienia są mocno naciągane.

– To twoje zdanie. Może zapytamy kogoś postronnego? Na przykład Marcela. Marcel, co sądzisz o tym wszystkim? Czy twoim zdaniem poderznęłam gardło niewinnej starszej pani?

– Daj spokój – zachnął się Cajmer.

– A gdyby morderca wciąż był w domu? – odparł Wolski. – To było zbyt ryzykowne. Niepotrzebnie się narażałaś. Mogłaś poprosić któregoś z nas, żebyśmy z tobą poszli.

- Jaja sobie robisz? – Cajmer odchylił się na oparcie.
- Zrozumiałam, że sierżant Wolski nie wierzy, abym to ja zabiła Irenę Dunaj.
- Lena, nie powinnaś była tam iść – ciągnął Wolski. – Mówię poważnie.
- Może i tak. Teraz mleko i tak się rozlało.
- Mamy dowody, które świadczą przeciwko tobie – rzucił podkomisarz.

Choć bardzo chciała, nie udało jej się doczekać wizyty doktora Bani w domu Dunajowej. Na miejsce przyjechali dwaj młodzi policjanci. Nie znała ich, a oni nie znali jej. Sytuacja potoczyła się bardzo szybko. Uznali komisarz za włamywaczkę. Szybko powalili ją na ziemię, nie słuchając wyjaśnień. Leżąc na parkiecie, Lena zastanawiała się, kto mógł wezwać policję do domu. Miała pewien pomysł, ale na razie zachowała go dla siebie.

– Zabawne – odezwała się w końcu. – Naprawdę sądzisz, że zabiłam Dunajową? Miło było, ale skończmy z tym cyrkiem, bo...

– Moje zdanie nie ma znaczenia – przerwał jej podkomisarz. – Liczą się dowody. A te świadczą przeciwko tobie.

- Świetnie.
- Sama się w to wpakowałam.
- W takim razie mnie zamknij.

Marcel wyjął paczkę i podał papierosa Rudnickiej.

– Tutaj się nie pali – upomniał ją Cajmer.

– Poszłam do Ireny Dunaj, żeby porozmawiać o jej synu. Pamiętasz, że ona od początku uważała, że Antoni jest niewinny? – zwróciła się do Wolskiego.

– Pamiętam.

– No, ale teraz już z nią nie pogadamy. Cholera. Szlag by to trafił. – Zaciągnęła się i wypuściła dym. – Okej, pamiętaj, skup się na tym wątku. Ja na razie nie będę mogła pomóc, bo jak widzisz, chyba wyląduję na dołku.

– Halo, halo! – Cajmer uniósł ręce. – Wyleciałaś ze śledztwa. Nie potrzebujemy złotych rad. Damy sobie radę, zrozumiano?

Rudnicka strząsnęła popiół do kubka Cajmera.

– Nie – ucięła. – A wiesz, dlaczego nie dasz sobie rady? Bo jesteś tutaj. Siedzisz, kurwa, przy biurku, popijasz kawę i usiłujesz mi wmówić, że zamordowałam matkę Dunaja. A powinieneś być na miejscu zdarzenia. A wiesz dlaczego? – Mówiła w sposób, jakby zwracała się do kilkuletniego dziecka. – Bo to Trzynaście zamordował Irenę. To on powiesił ją na żyrandolu. I pewnie on wezwał policję. Gdyby ktoś zapytał mnie, gdzie był ten sukinsyn w czasie, gdy dwóch mundurowych powaliło mnie na ziemię, odpowiedziałabym, że tuż pod naszym nosem. Pewnie siedział w krzakach i obserwował, ale ty nawet o tym nie pomyślałeś, co? Zamiast wziąć się za tę sprawę, wolałeś odgrywać się na mnie i pokazywać, że teraz ty rządzisz. Długo na to czekałeś, co? Możesz mnie zamknąć. Ale pamiętaj, że już dawno przegrałeś. Trzynaście wygrywa z tobą na każdym polu.

Z każdym jej słowem Cajmer robił się coraz bardziej czerwony. Wpatrywał się w Rudnicką z nienawiścią. Od współpracowników wymagał szacunku, a ona ośmieszyła go przed młodszym stopniem kolegą. Najgorsze było to, że prawdopodobnie miała rację.

Cajmer podniósł słuchawkę i warknął polecenie. Po chwili w pokoju zjawił się mundurowy.

– Zabierz ją – polecił mu Cajmer.

Funkcjonariusz wyglądał na niezdecydowanego. Przenosił wzrok z Leny na Cajmera. Rudnicka pamiętała go z firmowego przyjęcia. Nazywał się Adrian Świerk. Zasłynął tym, że na ostatniej policyjnej wigilii urznął się do nieprzytomności. Po imprezie koledzy odwieźli go do domu, wnieśli na czwarte piętro i zostawili w mieszkaniu. Potem okazało się, że Świerk pomylił bloki. Właścicielka mieszkania, starsza pani, jak co rano weszła do łazienki, i omal zawału nie dostała na widok obcego faceta śpiącego nad jej muszlą klozetową. Wezwała policję. I tak wszyscy dowiedzieli się o niefortunnej pomyłce aspiranta.

Świerk stał teraz, nie wiedząc, co zrobić. Szukał ratunku u Wolskiego, ale sierżant utkwił wzrok za oknem, jakby dawał do zrozumienia, że nie zamierza brać udziału w szopce, jaką urządził podkomisarz.

– No już, na co czekasz? – ponaglił go Cajmer, ale Świerk nie ruszył się z miejsca.

– Spoko, stary, ułatwię ci sprawę – burknęła Rudnicka i wyszła. Świerk dogonił ją dopiero w połowie korytarza, gdzie natknął się na Krzysztofa Nawrockiego. Na widok prokuratora szybko się cofnął.

I Lena też się cofnęła. Zobaczyła w twarzy Krzysztofa coś, czego nie widziała od bardzo dawna. Błysk w oku, iskrę, którą widywała tylko wtedy, gdy mąż wpadał w furję. Ta iskra zawsze zwiastowała nieprzespaną noc i siniaki. Jednak teraz złość Krzysztofa nie była skierowana przeciwko żonie. Patrzył gdzieś nad nią. Obróciła się i ujrzała, że w drugim końcu korytarza stoi Dawid Cajmer. Uśmiech na jego twarzy zbladł, a potem znikł.

Mężczyzna nie przepadał za kobietami w garniturach. Jego zdaniem ten strój był typowo męski. Płeć piękna nie powinna nosić czegoś równie ohydneho. Dlatego, kiedy na ekranie telewizora pojawiła się blondwłosa reporterka o ślicznej, drobnej twarzy ubrana w damski garnitur z cienkim krawatem, ze złością zmienił kanał. Trafił na wiadomości ze szczytu Unii Europejskiej. Grupa ludzi siedzących przy okrągłym stole. Przy każdym z miejsc postawiono flagę państwa. Mężczyzna tępo wpatrywał się w migający ekran. Miniony dzień mógł zaliczyć do udanych. Zemsta bywa oczyszczająca. Gdy zabił Irenę Dunaj, poczuł, że postąpił słusznie. Był z siebie zadowolony, chociaż wydarzenia potoczyły się nieco inaczej, niż zaplanował. Bo nie planował jej zabijać. Nie chciał zrobić tego

własnoręcznie, ale wyszło, jak wyszło. Gdyby Dunajowa zamknęła jadaczkę, pewnie wszystko poszłoby zgodnie z planem, ale ona była zbyt uparta i dumna, by dała się zmusić do samobójstwa. Zdenerwowała go, więc zmodyfikował pierwotny plan.

W tym przypadku upozorowanie samobójstwa byłoby proste. Wszystkie ślady wskazywałyby, że starucha się powiesiła. Weszła na krzesło, okręciła wokół szyi pętlę i kopnęła krzesło, chwilę się szamotała i tyle. Mężczyzna zakładał, że ktoś prędzej czy później by ją odwiedził. Z pewnością wezwałby policję i pogotowie, a policjanci, którzy przyjechaliby na miejsce, stwierdziliby samobójstwo.

Ale ta głupia starucha wyprowadziła go z równowagi. Nieczęsto się to zdarza, a jej się udało. Dał się ponieść emocjom, a sprawy przybrały zły obrót. Gdyby nie jej męcząca gadka, może zdołałby się powstrzymać, ale ona nie potrafiła się przymknąć, więc chwycił to, co było pod ręką, i poderżnął jej gardło. Zrobił to, co potrafił najlepiej. Na szczęście się zabezpieczył i miał na dłoniach rękawiczki. Był pewien, że nie pozostawił śladów. Strój ochronny to świetny pomysł. Policja zapyta sąsiadów, czy widzieli kogoś podejrzanego. A oni odpowiedzą: nikogo nie było, był tylko facet od dezynsekcji. A jak wyglądał?, zapyta gliniarz, na co sąsiadka pokręci głową, przecież wszyscy faceci od dezynsekcji wyglądają tak samo.

Powiesił Dunajową na żyrandolu, chociaż nie musiał się trudzić. Mógł zostawić ją na podłodze, ktoś by ją znalazł, wnuczek albo sąsiadka. Sprawa i tak była załatwiona, lecz on nie lubił zmieniać planów. Przeznaczeniem Ireny Dunaj było zawisnąć na żyrandolu i koniec.

Jej śmierć była karą dla Antoniego, który miał trzymać gębę na kłódkę. Odkąd zaczął rozmawiać z tą policjantką, sprawy nabrały tempa. Dlatego zabił jego ukochaną matkę. Wiedział, że Antoni dotkliwie odczuje stratę. Stuli dziób albo zginą kolejne osoby. Żałował, że nie może zobaczyć miny tego przygłupa, gdy dotrze do niego wiadomość o śmierci Ireny.

No i nie mógł się spodziewać, że ta policjantka sprawi mu radość. Gdy zobaczył ją przed domem Dunajowej, od razu pomyślał o nożu, który zostawił na blacie. Pewnie odetnie Irenę, a nóż był pod ręką. Zachichotał. Nawet jeśli ta głupia pizda się wywinie, to i tak sprawiła mu wielką radość.

Dobrze się bawił.

20

Prokurator Nawrocki wsunął dłonie do kieszeni garniturowych spodni. Jego spojrzenie było przepełnione wściekłością.

– Co to za cyrk?! – warknął, lecz nikt mu nie odpowiedział. – Lena, wychodzimy.

– Panie prokuratorze – jąkał się Cajmer. – Oczywiście, rozumiem złość, ale...

- Ale? Jest jakieś „ale”?
- Przepraszam. Są procedury i nie powinniśmy...
- Procedury?

Cajmer stał przez chwilę niczym zdezorientowane zwierzę. Nie wiedział, co odpowiedzieć i jak rozegrać rozmowę z prokuratorem. Nawrocki był na komendzie szanowany, a do tego miał rozległe znajomości, więc narażenie mu się było kiepskim pomysłem. Cajmer nie miał pojęcia, skąd prokurator tak szybko dowiedział się o sprawie, ale to teraz było nieistotne.

- Załatwisz to – rzucił Nawrocki. – Nie wiem jak, ale załatwisz, rozumiemy się?
- Panie prokuratorze...
- Tylko nie narób mojej żonie syfu w papierach.

Pociągnął Lenę za sobą, zostawiwszy podkomisarza w tyle. Z Nawrockim nie było dyskusji. Wiedział to każdy, kto pracował na komendzie przy Sienkiewicza. Wiedział to również podkomisarz Cajmer, dlatego już nie protestował. Choć był wściekły, nie odezwał się słowem.

- Czekaście!

Lena odwróciła się i dostrzegła nadbiegającego Wolskiego. Przez twarz jej męża przemknął grymas niezadowolenia.

- Możemy chwilę pogadać? – spytał Marcel.
- Kiepski pomysł – odparł Nawrocki.
- To ważne. Zajmę tylko chwilę.

Lena się zawahała.

- Marcel mnie odwiezie – powiedziała. – Mamy jeszcze jedną rzecz do omówienia.

Krzysztof poprawił krawat.

– Uważam, że powinnaś wrócić do domu – odparł. – Masz za sobą ciężki dzień, należy ci się odpoczynek. – Spojrzał na Marcela. – Rozmowa może poczekać.

- Będę za godzinę – naciskała Lena.

Nawrocki zmarszczył brwi. Chwilę patrzył na żonę surowym wzrokiem, po czym bez słowa zszedł po schodach. Może później pokaże jej, jak bardzo nie podobał mu się ten pomysł.

- Chodźmy coś zjeść – zaproponowała.
- Kebab?

Dwadzieścia minut później siedzieli w samochodzie na parkingu przy skrzyżowaniu Narutowicza z Piotrkowską. Pożyczyli policyjną kię. To ostatni raz, zaznaczył dyżurny z uśmiechem, zadowolony, że widzi komisarz bez kajdanek. Wieści o ostatnich wydarzeniach musiały dotrzeć także do niego.

W tle grało radio. Z głośników płynął popowy hit, który Lena słyszała po raz pierwszy w życiu. Wyłączyła radio, wgrzyzając się w kebab.

- Nie lubisz Pawła Domagały? – spytał Wolski.

– Nie mam pojęcia, kim jest ten człowiek.

Marcel przyglądał się jej chwilę.

– O czym chciałeś rozmawiać? – zapytała.

– Co?

– Chciałeś porozmawiać – wyjaśniła. – Pytam więc, o czym?

– Ach, tak. Wybacz. – Wytarł serwetką usta, zwinął w kulkę i podrzucił kilka razy. –

O tym wszystkim.

– To wiele wyjaśnia.

– Cajmer chciał cię wrobić w morderstwo.

– Wcale nie – zaoponowała. – Chciał mi zrobić na złość i pokazać, że ma nade mną władzę. Wątpię, by posunął się do wsadzenia mnie za kraty. Jest idiotą, ale nie aż takim.

– Na nożu są twoje odciski.

– I co z tego? – Wzruszyła ramionami. – Sprawa się wyprostuje, ale musisz mi pomóc.

– Zrobiłbym to i bez twojej prośby.

– To nie jest prośba.

Mierzyli się wzrokiem. Na ustach Leny pojawił się nikły uśmiech.

– To nie są żarty – zauważył Wolski. – Nie wiem, co cię śmieszy.

– Uważasz, że zamordowałam Irenę Dunaj?

– Oczywiście, że nie.

– No właśnie. I nikt w to nie uwierzy. Zajmijmy się Trzynaście...

– Obiecuj, że złożysz jutro wyjaśnienia.

– Już to zrobiłam.

– Wcale nie. Zamiast składać wyjaśnienia, robiłaś idiotę z Cajmera.

– Wcale nie musiałam, bo sam świetnie daje sobie z tym radę.

Oboje się uśmiechnęli.

– Obiecuj – naciskał.

Lena spojrzała na Marcela z powątpiewaniem i pomyślała, że gdyby siedział przed nią ktokolwiek inny, najprawdopodobniej by go splawiła, a Wolskiemu nie potrafiła odmówić.

– Dobra – rzuciła. – Jutro złożę wyjaśnienia.

– Obiecuj.

– Nie bądź dzieckiem.

– Obiecuj.

Zawahała się. Dała się podejść jak przedszkolak.

– Obiecuję – powiedziała bez przekonania. – Teraz do rzeczy. – Skończyła kebab, zwinęła papier w kulkę i zapaliła papierosa, uchylając szybę. Dym uciekł przez okno. –

Musisz iść do Dunaja. Mnie już nie wpuszczą.

– Co? Mam iść do więzienia?

– Z tego, co wiem, tam właśnie go znajdziesz.

– Po co miałbym tam iść?

– Będziesz go obserwować.

Marcel nie odpowiedział. W oczach Leny dostrzegł wyzwanie.

– Obserwuj go – dodała. – A potem przejrzyj akta.

– Możesz powiedzieć, o co chodzi?

– Owszem, ale wtedy zepsułabym ci całą zabawę.

Wyglądał na nieprzekonanego. Zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął.

– Chcesz, żeby i mnie odsunęli od sprawy? – spytał.

– Od razu zakładasz najgorszy scenariusz.

– Ale właśnie tak to może się skończyć.

– Zaryzykujemy.

– Po co mam do niego iść?

– Powiesz mu, że Irena nie żyje. Dunaj był z matką bardzo związany, więc przypuszczam, że ta wiadomość nim wstrząśnie.

– Wiadomość o śmierci matki chyba każdym by wstrząsnęła. Zresztą on już pewnie wie. Ktoś w więzieniu musiał go poinformować. Nie znam się na przepisach, ale przypuszczam, że mają taki obowiązek.

– Jeśli tak, powiedz mu to jeszcze raz i obserwuj jego reakcję.

– Ostrowski dowie się, że złożyłem Dunajowi wizytę, i mnie wywali.

– Dunaj i Trzynaście kontaktowali się ze sobą.

To była najlogiczniejsza z opcji. Lena przypuszczała, że Dunaj wie, kto stoi za śmiercią Krantz, ale ukrywa tożsamość mordercy, co świadczy o tym, że Trzynaście ma na niego jakiegoś haka.

– Matka mogła być kartą przetargową – powiedziała. – Dlatego Dunaj nie pisał słowa na procesie. Przyznał się do winy, ale nie powiedział nic więcej. Może stawką było życie bliskich. Jedno już straciło na wartości.

– Dunaj miał syna – zauważył Marcel, po czym niemal zachłysnął się powietrzem, kiedy zrozumiał, do czego dąży Lena. – Chcesz, żebym go zaszantażował?

– Sama bym to zrobiła, ale nie mam wjazdu do pierdła, chyba że ten, który szykuje dla mnie Cajmer. – Opadła na fotel. – Dunaj będzie chronił syna, więc może wreszcie puści parę.

Wolskiemu nie uśmiechała się wizyta w więzieniu. Znał Dunaja z policyjnych raportów i drżał na myśl, że będzie musiał spojrzeć temu człowiekowi w oczy.

Rudnicka wskazała na stacyjkę. Marcel odpalił silnik. Wracali w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach. Rudnicka ocknęła się, dopiero kiedy wjechali na Księży Młyn.

– Wysadź mnie tutaj – rzuciła.

– Podwiozę cię do bramy.

– Przejdę się.

Wolski posłusznie zatrzymał samochód.

- Jak wyjdiesz od Dunaja, przedzwoń do mnie – poprosiła, trzymając dłoń na klamce.
- Zadzwoń.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Twarz Leny ściągnęła się, jakby się nad czymś zastanawiała. Umysł nakazywał wyjść, lecz ona trwała w bezruchu. Wolski dotknął jej dłoni. Delikatnie musnął palcami wystające kostki, a ona nie cofnęła ręki.

- Martwię się o ciebie – rzekł.

Lena podniosła wzrok.

- Wiem – odparła. – Niepotrzebnie.

- Nie umiem inaczej. Zwłaszcza że sama ściągasz na siebie kłopoty.

Lena, nieprzyzwyczajona do czyjejś troski, czuła się nieswojo. Odwróciła głowę i poczuła, że Wolski zamknął jej dłoń w swojej. Pomyślała, że powinna wyrwać rękę, ale zgodziła się na tę chwilową bliskość, której coraz częściej potrzebowała.

- Może dam ci kurtkę? – zapytał Wolski. – Pada deszcz. Nie chcę, żebyś zmokła.

Rudnicka zawahała się, po czym bez słowa wysiadła z samochodu.

21

Tego samego wieczoru, kiedy mężczyzna obserwował Lenę Rudnicką w domu Ireny Dunaj, Zofia Krantz doznała boskiego objawienia. Od rana miała przeczucie, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego. Wprawdzie nie mogła wiedzieć, że Irena Dunaj zostanie zamordowana, ale ufała swemu przeczuciu i czekała.

Przełom nastąpił około godziny dwudziestej pierwszej. Zofia wyszła do ogrodu, by poszukać Mietka, starego kocura. Miewał humory, ale przywykł do wygod i spania na miękkiej kanapie, więc zawsze wracał na noc. Przed kilkoma laty znalazła go w lesie. Ktoś kociaka wyrzucił, a ona go przygarnęła. Sierściuch był brzydki, pod lewym okiem miał bliznę, na której nigdy nie wyrosła sierść, ponadto brakowało mu połowy prawego ucha i ogona. Mietkowi pozostał jedynie kikut, przez co nie był tak sprawny jak inne koty. Z trudem utrzymywał równowagę i zwykle nie spadał na cztery łapy. Był strasznie leniwy i wolał się wylegiwać, niż łapać myszy. Interesowała go pełna micha i spacerowanie po ogrodzie, dokąd Zofia wypuszczała go codziennie około siedemnastej. Mietek spacerował dwie godziny, po czym drapał w balkonowe okno, domagając się wpuszczenia. Zimą spacerowanie było krótsze – kot nie przepadał za zimą, jesienią zaś lubił przesiadywać w altanie, liżąc łapy i obserwując otoczenie. Zawsze jednak wracał do domu. Zofia nie pamiętała, by kiedykolwiek zasiedziało się na zewnątrz tak długo. Popędziła do ogrodu i stanęła jak wryta. Później doszła do wniosku, że do ziemi przyszpiliła ją boska siła. Nie była w stanie się ruszyć. Początkowo nie miała pojęcia, co się dzieje. Nie wiedziała, czym jest dziwne światło spływające z nieba. Nie dostrzegła żadnej twarzy ani sylwetki, dopiero po chwili dotarło do niej, że kształt, który wyłania się z blasku, przypomina Matkę Boską. Zofia

oniemiała. Najświętsza Panienska stała w jej ogrodzie, tak jak stały w nim kamienne krasnale z paskudnymi buziami, które kupiła w ogrodniczym przed paroma laty. Ale twarz Matki Boskiej była czysta i nieskazitelna.

Czy Niepokalana coś powiedziała? Czy przemówiła do Zofii? Otóż nie. Ale Zofia nie dbała o to. Gościła Matkę Boską we własnym ogrodzie. Tylko to się liczyło. Zofia straciła poczucie czasu, ale zapamiętała to, że Maryja rozplynęła się w powietrzu.

A potem Zofia ujrziała Mietka.

Wisiał na gołej, pozbawionej liści jabłonce. Nawet z tej odległości dostrzegła, że gardło kota jest rozerwane. Pomyślała, że rozszarpało go inne zwierzę, ale szybko uświadomiła sobie, że przecież żadne zwierzę nie powiesiłoby go na drzewie.

Ktoś mi zabił Mietka, pomyślała Zofia, a potem runęła jak długa w miejscu, gdzie przed chwilą ukazała się Najświętsza Panienska.

21 czerwca 2002 r.

Kochana Córeczko!

Nie odpisujesz na moje listy. Czasem zastanawiam się, czy mam prawo domagać się Twojej uwagi. Przecież jesteśmy rodziną, jestem Twoim tatą. Wiesz, że chciałbym dla Ciebie jak najlepiej. Ale głosik w mojej głowie mówi: Ona Cię nienawidzi, nienawidzi Cię tak bardzo, że gdyby mogła, wbiłaby Ci nóż prosto w serce. Czy to prawda? Jeśli tak, moja kochana, wiedz, że nie miałbym Ci tego za złe. Przyznam, że często myślę, żeby z sobą skończyć. Cholibka, to byłoby takie proste, prawda? Wbrew pozorom w więzieniu to nie jest takie trudne. Mam trochę znajomości, więc udałoby mi się załatwić jakieś proszki, połknąć i nigdy się nie obudzić. Tak, jestem zbyt tchórzliwy, aby zrobić sobie krzywdę w inny sposób. Czy gdybym ze sobą skończył, byłabyś zadowolona?

Niepotrzebnie się nad sobą rozczulam. Bardzo chciałbym z Tobą porozmawiać, mam i Tobie, i Twojej siostrze wiele do powiedzenia. Wiem, że masz do mnie ogromny żal. Pewnie uważasz mnie za najgorszego człowieka chodzącego po ziemi. Masz prawo tak myśleć.

Pamiętasz, Córciu, zimę, kiedy miałaś może pięć albo sześć lat, byliśmy na wielkiej górze na końcu naszej ulicy. Nie wiem, dlaczego to wspomnienie pojawia się często w moich myślach. Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi. Ty, ja i Twoja siostra. Świetnie się razem bawiliśmy, prawda? Pamiętam, jak Twoja siostra bała się zjechać z górki. Nie dałem rady jej przekonać. Dopiero Tobie się udało. Zawsze miałaś na nią duży wpływ. Wiem, że byłyście ze sobą bardzo zżyte, ale to Ty byłaś górą, Córciu. Ty rządziłaś waszą dwójką. Ona słuchała tylko Ciebie. Miałaś niezwykły dar przekonywania. Podobnie było z zeznaniami w sądzie, prawda? Twojej siostry tam nie było. Niczego nie widziała, a jednak zeznała coś innego. Pewnie nawet nie musiałaś jej długo przekonywać.

Wszyscy zwrócili się przeciwko mnie. Myślą, że jestem mordercą. To nieprawda. Nie mogę wyjaśnić Wam tego w listach.

Proszę, odwiedźcie mnie.

Twój Tatuś
Seweryn Zalewski

ROZDZIAŁ III

CZWARTEK, 19 PAŹDZIERNIKA

1

Mężczyzna siedzący naprzeciwko Marcela oddychał spokojnie. Jego ruchy były wyważone, przemyślane. Sprawiał wrażenie łagodnej osoby. Przypominał Marcelowi polonistę z podstawówki, pana Heldmana, nauczyciela z powołania. Powtarzał, aby nie rozwiązywać problemów przemocą. Cenił rozmowę i pokojowe negocjacje.

I właśnie taki wydawał się Antoni Dunaj.

Więzień był zaskoczony wizytą Wolskiego. Wszedłszy do sali widzeń, przystanął, jakby spodziewał się kogoś innego. Może Leny Rudnickiej? Strażnik usadził go przy stoliku i czujnie stanął w pobliżu.

– Dzień dobry – powiedział Marcel. Czuł, jak serce mu przyspiesza, a dłonie lepią się od potu. Bardzo stresował się tą rozmową, jak żołnierz wysłany na pierwszą linię frontu.

Antoni tylko skinął głową.

– Nazywam się Marcel Wolski, jestem...

– Wiem, kim pan jest.

– Świetnie, w takim razie uprzejmości mamy za sobą. – Marcel odchrząknął. Jego głos brzmiał słabo, niepewnie. Miał wrażenie, że Dunaj od razu wyczuł jego zdenerwowanie. Niedobrze. Idąc tutaj, założył, że to on będzie górą podczas rozmowy. Nie powinien okazywać słabości.

– Proszę wybaczyć moją bezpośredniość – odezwał się Antoni. – Zrobiłem mały research. Jest pan współpracownikiem komisarz Rudnickiej, prawda?

– Zgadza się.

Marcel chętnie by się dowiedział, gdzie Dunaj zrobił swój research, ale tę kwestię postanowił zostawić na później.

– Pani komisarz nie mogła się z panem spotkać – oznajmił nieco pewniej. – Niestety, przynoszę złe wieści.

– Dlaczego komisarz Rudnicka nie mogła przyjść? Czy coś się jej stało?

Antoni poruszył się niespokojnie, jakby na chwilę wypadł z roli. Szybko się zreflektował, ale zmiana zachowania nie uszła uwadze Marcela. Więzień sprawiał wrażenie zaniepokojonego faktem, że Rudnickiej mogło się coś stać.

– W pańskiej sprawie to akurat nie ma większego znaczenia – zauważył Wolski.

– Myli się pan.

– Komisarz Rudnicka już nie będzie mogła do pana przychodzić. Ta informacja powinna panu wystarczyć. Mamy teraz inne problemy.

Marcel pomyślał, że siedzący przed nim człowiek nie sprawia wrażenia groźnego. Miał świadomość, że pozory mylą. Seryjni mordercy są inteligentni, a do takich z pewnością należał Antoni Dunaj. Mimo wszystko Marcel czuł podskórnie, że ten człowiek nie jest tym, za kogo wszyscy go uważają.

– Dobrze – odezwał się Dunaj. – Proszę powiedzieć, czemu zawdzięczam pańską wizytę.

– Jak rozumiem, jeszcze nikt nie przekazał panu tej smutnej wiadomości.

Antoni rozłożył ręce.

– Pańska matka nie żyje – oznajmił Marcel.

Dunaj siedział ze wzrokiem wbitym w blat stolika. Dłonie miał splecione, kciukiem pocierał drugi kciuk.

– Naprawdę... – zaczął Wolski.

– Jak? – przerwał mu Dunaj.

– Została zamordowana.

Te słowa wstrząsnęły Dunajem. Poderwał się z krzesła, zaciskając pięści, zakręcił się wokół własnej osi i uderzył w blat stołu. Strażnik natychmiast znalazł się obok. Chwilę później przybiegło dwóch następnych.

Dunaj krzyczał, wyrywał się, próbował uwolnić, ale trzech mężczyzn leżało mu na plecach, przyciskając twarz do brudnej posadzki.

– Zabieramy go – zarządził jeden, a drugi mu przytaknął.

Marcel uniósł dłoń.

– Muszę z nim porozmawiać – powiedział i zwrócił się do więźnia: – Niech się pan uspokoji, do cholery.

Dunaj szarpnął się jeszcze raz, po czym znieruchomiał. Strażnicy usadzili go z powrotem na krześle.

– Pięć minut – rzucił trzeci. Jego koledzy wyszli i został sam. Tym razem stanął bliżej.

– Kto? – zapytał Dunaj, a potem zaśmiał się nerwowo. – Głupie pytanie. Dobrze znamy odpowiedź.

– Znamy? Doprawdy?

– Niech pan nie udaje idioty, bo pan nie wygląda.

Po policzku Dunaja spłynęła łza. Błyskawicznie ją starł.

– Muszę wiedzieć, kto za tym stoi – naciskał Marcel.

Antoni milczał.

– Ktoś zamordował pańską matkę, panie Dunaj – próbował Wolski. – Ktoś się z panem bawi.

– Bawi? Uważa pan, że to zabawa? Nie ma pan o niczym pojęcia.

– Tak się panu wydaje. Chroni pan kogoś, prawda?

Dunaj odchylił się na oparcie. Na jego twarzy malował się ból.

– Morderca poderżnął jej gardło – ciągnął Wolski. – Obawiamy się, że to samo grozi pańskiemu synowi. Niech pan o nim pomyśli.

Dunaj pomasażował odcisk na serdecznym palcu lewej dłoni.

– Nic pan nie rozumie – mruknął.

– Życie pańskiego syna jest zagrożone. Jeżeli zacznie pan współpracować, obiecuję, że włos mu z głowy nie spadnie.

– Jeśli pan tak twierdzi, jest pan głupcem.

Marcel obserwował Antoniego, który zdawał się powoli uspokajać.

– Niech pan pomyśli nad współpracą – podjął Wolski. – Zapewnimy synowi ochronę.

– Nie mogę, obiecałem.

– Co pan obiecał? Chroni pan kogoś, kto zamordował pańską matkę?

– Nie wierzę policjantom.

– Chcemy pomóc.

– Nie wierzę w wasze dobre intencje, a tym bardziej w ochronę mojego syna. To ściema i pan dobrze o tym wie. A ja i tak tu zostanę. Niczego to nie zmieni. Muszę chronić mojego syna, Artura.

Antoni zerknął na pilnującego ich strażnika. Marcel podążył za jego wzrokiem i wtedy zrozumiał. Dunaj dał mu wskazówkę. Według niego klawisz podsłuchiwał rozmowy. Być może to właśnie on przekazywał informacje Trzynaście.

– Przeze mnie moja matka nie żyje – powiedział więzień.

– Co ma pan na myśli?

Kolejne ukradkowe spojrzenie na strażnika. Dunaj nachylił się ponad stołem. Mówił ciszej, niemalże nie wypowiadając słów na głos:

– On wie, że rozmawiam z policją. Proszę więcej mnie nie nachodzić.

2

Kaśka znalazła matkę w ogrodzie i zadzwoniła na pogotowie. Bała się, że Zofia wyzionęła ducha, ale lekarz błyskawicznie ją uspokoił. To tylko zasłabnięcie. Zrobili jej badania i okazało się, że jest zdrowa jak koń, a omdlenie było wynikiem silnych emocji i stresu.

Kaśka odwiozła matkę do domu. Położyła w łóżku i kazała leżeć. Zofia nie przywykła do rozkazów, od razu wstała, by zaparzyć herbatę z miodem. Herbata z miodem dobrze robi na korę mózgową, oświadczyła, ale Kaśka miała co do tego wątpliwości. Kolejne bzdury,

które matka wyczytała w durnych kobiecych czasopismach. Ale nie protestowała, nie ma co kopać się z koniem.

Zofia zalała napar.

– Matka Boska mi się ukazała – rzuciła od niechcienia.

Kaśka aż się zakrztusiła. Popijała puszkowaną oranżadę, paskudną w smaku, przesłodzoną, o chemicznej nucie pozostającej na języku.

– Co?! – wykrzyknęła.

Matka nie odpowiedziała od razu. Zanurzyła łyżeczkę w herbacie i czekała, aż miód spłynie pod wpływem ciepła.

– Matka Boska u mnie w ogrodzie – mruknęła. – Niesamowite.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. – Zofia dodała kolejną porcję miodu do herbaty. – Zastanawiam się, jak odczytać ten znak od Boga.

– Może się położysz?

– Nie, kochana. Muszę działać. Powiadomię innych o cudzie, który wydarzył się w moim ogrodzie.

Kaśka pokręciła głową. Jeszcze tego brakowało.

– Najpierw pójde do księdza Merkurego – dodała Zofia, zanurzając trzecią łyżeczkę.

– Mamo, chyba przesadzasz z tym miodem?

– Ach, no tak. – Zofia jakby budziła się z letargu. Odłożyła łyżkę i upiła herbaty.

– Do kogo pójdziesz? – spytała Kaśka.

– Do księdza Merkurego.

Kaśce coś się przypomniało. Otworzyła sekretarzyk w korytarzu i wyciągnęła ulotki, które wczoraj segregowała na makulaturę. Wyciągnęła jedną, formatu a4, wydrukowaną na szarym ekologicznym papierze. Czarny, pogrubiony napis zachwalał ewangelię księdza Merkurego. Powróćmy do korzeni, nawoływał, zrezygnujmy z grzechu. Kaśka sięgnęła po telefon i wklepała hasło w Google. Kliknęła w pierwszy wynik i zerknęła na matkę, która popijała miodową herbatkę.

Ksiądz Merkury w rzeczywistości nazywał się Stefan Młynarski. Bóg jeden wie, czy faktycznie był księdzem, tej informacji Kaśka nie znalazła, ale dowiedziała się, że ksiądz pełni posługę, objeżdżając cały kraj, głosi ewangelię i nawraca niewiernych. Dziś ma gościć w Łodzi. Na spotkanie zapisało się trzydzieści osób, wśród których znalazła się, jak przypuszczała Kaśka, również matka. Towarzystwo zgromadzone wokół księdza Merkurego miało kilka oddziałów w całym kraju. Spotykali się trzy razy w tygodniu na modlitwy i głoszenie słowa Bożego. Dzisiejsze wydarzenie będzie niezwykle, jak zapewniał wpis na Facebooku, gdyż w uroczystości weźmie udział sam ksiądz Merkury.

– Nigdzie nie pójdziesz – oznajmiła Kaśka głosem nieznoszącym sprzeciwu, ale Zofia nawet nie spojrzała na córkę.

– Ktoś zabił Mietka – odparła. – Spójrz, wciąż wisi na drzewie. – Wskazała palcem za okno. – Dlaczego go nie ściągnęłaś? Powinniśmy go pochować. Był dobrym kotem.

– Pochowam go. A ty się połóżysz i odpoczniesz.

– Och, nie, kochana. Muszę się przygotować na wieczorne spotkanie z księdzem Merkurym.

– Nie puszczę cię.

Zofia obróciła głowę w stronę Kaśki. Powoli, jakby bała się, że jej ciało rozpadnie się na kawałki.

– Możesz wybrać się ze mną – powiedziała.

– Nie, ani ja, ani ty nie pójdziemy na żadne spotkanie. Koniec z tymi bzdurami. Wdałaś się w jakąś pieprzoną sektę i namieszali ci w głowie.

– Nie bluźnij.

– Mamo, błagam cię. Przejrzyj na oczy.

– Już przejrzałam. I Bóg mi to wynagrodził. Doznałam objawienia. Ksiądz Merkury musi się o tym dowiedzieć. On sam doznał objawienia. Będzie wiedział, co z tym zrobić.

– Nie, mamu. Koniec z księdzem Merkurym i całym tym cyrkiem, który tutaj urządziłaś!

Zofia zrzuciła szklankę na podłogę. Szkło posypało się po kuchni. Herbata z miodem oblepiła szafki. Oczy Zofii poczerniały.

– Kim jesteś, by mi rozkazywać? – zapytała.

– Twoją córką. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Nie jesteś moją córką. Moja córka nie żyje.

– Coraz gorzej z tobą – stwierdziła przytomnie Kaśka. – Zapiszemy cię do lekarza. Przepisze jakieś proszki, może ci się polepszy.

– Słucham?! – Zofia wstała. – Chcesz mnie ogłupiać pigułkami? Uważasz mnie za wariatkę? Kim ty jesteś, by mnie oceniać?! – Splunęła. – Zwykłą dziwką, ladacznicą, która kręci gołym tyłkiem przed chłopami. Tfu! Niewierna!

Kaśka odprowadziła matkę wzrokiem. Ranek był chłodny. Deszcz ustał, ale wiatr wciąż targał suchymi gałęziami. Gdy Zofia wyszła na zewnątrz, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, ale nie wróciła po kurtkę. Naciągnęła rękawy swetra i powędrowała pod drzewo, na którym wisiał kot. Podmuchy wiatru wstrząsały jego martwym ciałem.

Kaśka stanęła przy oknie, obserwując, jak matka ściąga zwłoki. Delikatnie położyła je na ziemi i wróciła ze szpadlem. Grób Mietka wykopała pod płotem, z dala od jabłonki. Pogrzebała przyjaciela daleko od miejsca, które by się mu źle kojarzyło.

Małgorzata nie wiedziała, dlaczego mężczyzna jeszcze jej nie zabił. Odkąd znalazła się w tym miejscu, wciąż zadawała sobie to pytanie. Próbując odgonić natrętne myśli, starała

się skupić na czymś innym. Była strasznie głodna, pomyślała więc o jedzeniu. Wyobraziła sobie skwierczącą karkówkę na grillu i na samą myśl żołądek wydał z siebie groźny pomruk. To nie był najlepszy kierunek. Nie powinna myśleć o jedzeniu. Mężczyzna, który ją więził, rzucał jej tylko suche kromki chleba. Nigdy nie czuła się bardziej bezbronna i poniżona. Bała się. Bała się, że już nie zobaczy męża. Bała się, że straci nienarodzone dziecko. Bała się, że nie wyjdzie żywa z tej paskudnej nory, w której zamknął ją ten świr. Dopiero w sytuacji zagrożenia doceniła swoje dotychczasowe życie. Straciła nadzieję, że wyjdzie z tego żywa. Gdyby jednak miała choć słabe pojęcie o psychologii sprawców zbrodni, wiedziałaby, że skoro porywacz dawał jej jedzenie, choćby najpaskudniejsze, wciąż istniała dla niej szansa. Oznaczało to bowiem, że ten, który ją porwał, do końca nie wyzbył się ludzkich odruchów.

Rozległ się trzask zasuw. Małgorzata skuliła się, wiedząc, co oznacza ów dźwięk. Nadchodził mężczyzna. Z każdym krokiem był coraz bliżej. Jeszcze mocniej wcisnęła się w ścianę. Nie miała pojęcia, czy jest dzień, czy noc. Nie wiedziała również, ile czasu spędziła w tym miejscu. Otaczała ją ciemność, a w takich warunkach łatwo stracić poczucie czasu.

Mężczyzna wszedł do środka. Nie była w stanie dostrzec jego twarzy, czuła jedynie zapach mocnych męskich perfum, który drażnił jej nozdrza.

– Dzień dobry – powiedział, rzucając na ziemię bochen chleba. Świeży i pachnący. Niczym wygłodniałe zwierzę rzuciła się ku niemu, zapominając o strachu. Mężczyzna postawił obok butelkę wody, obserwując, jak Małgorzata odrywa kawałki chleba i mlaszcze, wsuwając je do ust.

– Jesteś dla mnie bardzo ważna – odezwał się. – Przemyślałem sprawę. Ty i ono jesteście dla mnie bardzo ważni.

Uniosła głowę.

– Dziecko – dodał. – Jestem bardzo samotny.

4

Lena musnęła opuszkami skórę policzka. Nie było siniaka ani nawet zaczerwienienia. Wciągnęła golf i rozczesała włosy. Wróciwszy poprzedniego dnia do domu, spodziewała się, że mąż będzie na nią czekał, i się nie pomyliła. Krzysztof pił francuskie wino, którego nazwy nie była w stanie wymówić. Siedział w tym swoim fotelu z kieliszkiem i wystarczyło, że na nią spojrzał, a ona już wiedziała, że jest zły, choć jego twarz pozostała obojętna. Starał się zachować spokój. Toczył wewnętrzną walkę. Usiłował pohamować wybuch, chociaż złość rozsadzała go od środka.

Miał prawo być zły. W końcu jego żona, zamiast wrócić do domu, wolała iść z Wolskim. A sierżant działał Krzysztofowi na nerwy.

Spodziewała się, że wieczór potoczy się w doskonale znany jej sposób, ale tym razem się pomyliła. Zdjąwszy kurtkę, weszła głębiej do salonu. Mąż podszedł do niej, trzymając kieliszek wina za nóżkę, zamieszał zawartość, odstawił na regał i uderzył ją otwartą dłonią w twarz. A potem wyszedł z domu. Musiał wyjść, bo on również wiedział, jak ten wieczór się skończy, jeśli zostanie w domu. Była pewna, że zaraz wróci. Jednak nie wrócił.

Lena spojrzała w lustro, opierając dłonie na umywalce. Usłyszała trzask zamykanych drzwi, odetchnęła i wyszła z łazienki. Skierowała się do kuchni, zaparzyła kawę i przygotowała tosty z serem. Była głodna. Przysiadła przy kuchennej wyspie, popijając kawę, kiedy usłyszała pukanie. Zmarszczyła brwi. Krzysztof miał własne klucze, więc osobą po drugiej stronie drzwi mógł być tylko...

– Marcel – powiedziała. – Co, do cholery, tutaj robisz?

Wolski wzruszył ramionami.

– Czekałem, aż Nawrocki wyjdzie do pracy – odparł.

– Zdurniałeś?

– Trochę mu się zeszło. Zdążyłem porządnie zmarznąć.

Rudnicka zaklęła pod nosem.

– Po co przyszedłeś? – spytała.

– Na śniadanie i poranną kawę.

– Nie denerwuj mnie.

– Musimy pogadać.

– Mogłeś zadzwonić.

– Mhm, więc co z tym śniadaniem?

Lena zawahała się, a potem szerzej otworzyła drzwi. Sporo ryzykowała, wpuszczając Marcela do mieszkania. Przeszli do kuchni. Wolski usiadł przy kuchennej wyspie, obserwując, jak Lena przygotowuje dla niego tosty.

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Jego słowa zawisły w powietrzu. Włączyła ekspres do kawy, młynek zmielił ziarna, z dyszy popłynął czarny napój.

– Ale czuję się nieładnie – odparła.

– Coś się stało?

– Może, ale nie mam zamiaru rozmawiać o tym z tobą.

– Gdybyś...

– Nie – weszła mu w słowo. Postawiła na blacie parujący kubek i podsunęła mu tosty, siadając obok. – Mów, po co przyszedłeś.

– Po raz kolejny jestem zmuszony przyznać ci rację.

– Mhm?

– Rozmawiałem z Dunajem. Według mnie jest niewinny i kogoś kryje.

– Oszłamiające nowiny.

– Wiedziałaś o tym.

– Może tak, może nie, to nie ma znaczenia.

– Mam mętlik w głowie.

– Jak doszedłeś do tego, że kogoś kryje?

– To oczywiste. On się boi. Nie rozumiem tylko, dlaczego na procesie przyznał się do winy i pozwolił zamknąć w więzieniu. Przecież gdyby powiedział prawdę, policja od razu zgarnęłaby prawdziwego sprawcę.

– Może to bardziej skomplikowane.

– Jak sądzisz, kogo kryje Dunaj?

Rudnicka upiła łyk kawy i sięgnęła po tosta.

– Prawdziwy morderca ma wtykę w pierdłu – rzuciła.

– Nawet wiem kogo. W pobliżu ciągle kręcił się jeden strażnik. Przypuszczam, że to właśnie on.

– Też tak sądzę.

– Kiedy poinformowałem Dunaja o śmierci matki, wyglądał na wstrząśniętego. Szarpał się ze strażnikami, którzy chcieli odprowadzić go do celi, uprosiłem ich jednak o jeszcze chwilę rozmowy. I wtedy powiedział mi, że śmierć Ireny jest karą dla niego. Cokolwiek to znaczy.

Rudnicka nie wyglądała na zaskoczoną. Skończyła jeść i odsunęła talerz na brzeg blatu.

– Trzynaście wie, że Antoni kontaktuje się z policją – mruknęła, a Wolski skinął głową. – Może z tego powodu zasłużył na karę.

– Trzynaście boi się, że Dunaj puści parę?

– Właśnie. Chciał go postraszyć. A być może robił to wcześniej, ale nie poskutkowało, więc posunął się do zamordowania Ireny, wiedząc, że uderzy w Antoniego, który był z matką bardzo związany.

– Czyli może dlatego Dunaj przyznał się do winy?

– Dobrze kombinujesz.

– Przyznał się i krył mordercę, aby chronić rodzinę. Irena nie żyje. Kto pozostał Antoniemu?

– Syn.

Logiczne. Jeśli ktoś grozi twojej rodzinie, jesteś w stanie nawet pójść do więzienia, by ją chronić. Dlatego Dunaj przyznał się do zabicia tamtych kobiet. Prawdopodobnie znał tożsamość Trzynaście i wiedział, do czego jest zdolny. Wiedział, że nie ma z nim żartów. Miał milczeć i odsiedzieć karę, ale zaczął rozmawiać z policją, co wzbudziło niepokój mordercy. Być może dał mu sygnał, by się przymknął, lecz Antoni nie posłuchał. Dlatego Trzynaście wymierzył mu karę. Śmierć matki to groźba. Następny będzie jego syn.

– Ponadto... – Marcel się zawahał.

– Co takiego?

– Chyba... Chyba mam coś, co świadczy o niewinności Dunaja.

Rudnicka zmarszczyła brwi, czekając na więcej.

– Jest leworęczny – wyjaśnił Wolski. – Ma odcisk od długopisu na serdecznym palcu lewej dłoni, co świadczy o tym, że pisze lewą ręką. A rany ofiar sugerują, że sprawca wykonywał cięcie od lewej do prawej strony...

– Gdyby morderca był leworęczny, cięcia by szły w przeciwnym kierunku – dokończyła Rudnicka. – Dobra robota, sierżancie.

5

Rok 1971

Chłopiec często wracał myślami do pamiętnej wizyty u lekarza, który orzekł, że jego dziwne zachowanie jest wynikiem dziecięcej nieśmiałości. Matka, która nie mogła pogodzić się z tak prostą i oczywistą diagnozą, postanowiła zasięgnąć opinii kogoś innego, i chłopiec rozpoczął wędrowkę po gabinetach lekarskich. Chodzili od jednego specjalisty do drugiego, lecz żaden nie rozpoznał w dziecku choroby. Wszyscy zgodnie twierdzili, że wszystko z nim w porządku, a niechęć do zabaw z innymi wynika z cichego usposobienia. Nie wszystkie dzieci muszą lubić towarzystwo, orzekł jeden ze specjalistów, wie pani, czym jest introwertyzm? Matka w odpowiedzi wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją prąd, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Miała nadzieję, że wreszcie rozpoznali u jej syna jakąś chorobę.

Chłopiec nie przepadał za wizytami u lekarzy. Niechętnie z nimi rozmawiał, bo skoro mama twierdziła, że na niczym się nie znają, to jaki sens z nimi rozmawiać? Siadał naprzeciwko takiego specjalisty i milczał, majtał jedynie zwisającymi z krzesła nogami, wbijając wzrok w podłogę. A potem, gdy opuszczali gabinet, matka sprawiała chłopcu lanie. Jak on się zachowuje? Jak śmiało nie odezwać się ani słowem do doktora?

Potem nadeszło lato, po nim następne i kolejne, a chłopiec postanowił przełamać swoją nieśmiałość. Nie chciał, by dzieci w szkole nazywały go odludkiem i dziwakiem. Postanowił, że się zmieni. Nie zrobił tego jednak w żaden spektakularny sposób, podszedł do sprawy metodą małych kroków, a mianowicie zaczął grać na gitarze. Początkowo nie szło mu najlepiej. Kilkukrotnie rzucał instrument w kąt, bolały go plecy i opuszki palców. Płakał, a potem sięgał po gitarę i znów grał, robił to tylko dlatego, że starszy kuzyn powiedział mu, że dziewczyny lubią, gdy chłopak gra na gitarze. Chłopiec był już w takim wieku, że śmiało można było nazywać go młodym mężczyzną, ale w środku wciąż czuł się jak bezbronne dziecko, mimo że jego penis puchnął coraz częściej. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, chłopiec nie wiedział, co zrobić, zaraz potem instynkt wziął górę i mimowolnie zaczął pocierać nabrzmiałego penisa ręką. Wybuchnął od razu i od tamtego czasu chłopiec marzył, by umieścić swój skarb w jakiejś pięknej dziewczynie, wcale nie przeszkadzało mu, że ma dopiero trzynaście lat.

Najlepiej, gdyby tą dziewczyną okazała się Henia, sąsiadka. Była starsza, miała ładne, długie nogi i pączkujące piersi, o których chłopiec marzył wieczorami pod kołdrą. Henia lubiła chodzić na zabawy taneczne, na które nie puszczała jej rodzice, ale chłopiec wiedział, że i tak zagląda z koleżankami do remizy. Podobno spotykała się z jakimś chłopakiem. Matka mówiła, że nastolatek, który nachodzi młodą Miśkównę, nosi na plecach gitarę.

Skoro Henia lubiła chłopaków z gitarą, chłopiec postanowił nauczyć się grać. Kiedy palce przywykły, a skóra na opuszkach stwardniała, rozpoczął naukę piosenek. Wybrał romantyczne ballady. Spodziewał się, że Henia doceni jego poświęcenie i po prostu go pocałuje. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był naiwny. W wieku trzynastu lat wszystko wydaje się proste.

Ale Henia go zawiodła.

W sierpniu poszedł ją odwiedzić. Zapukał do drzwi i zlany potem ze strachu odsunął się na kilka kroków. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy już zaczną się całować. Była taka piękna. Drzwi uchyliła Henia, w kusej sukience w kwiaty, ramiona miała odsłonięte, a dekolot wystarczająco głęboki, by chłopiec zaniemówił.

– Tak? – spytała, a ton jej głosu nie zwiastował nic dobrego.

– Cześć – powiedział chłopiec.

– Cześć?

Henia wyglądała na znudzoną. Pewnie zastanawiała się, po co ten gówniarz z gitarą zawraca jej głowę.

– Chciałbym... – Chłopiec zawiesił głos. Wiele razy układał w głowie to zdanie, ale teraz, gdy Henia stała przed nim z tym swoim dekoltem i w kusej kiecce, po prostu zdębiał i zapomniał języka w gębie, a do tego czuł, jak jego krocze zaczyna pulsować.

– Czego chcesz? – zapytała lodowatym tonem. – Po cholere ci ta gitara?

– Chciałbym...

– Jąkasz się? – Przemawiała teraz jak do upośledzonego dziecka. – Spokojnie, zastanów się, co chcesz powiedzieć, i dopiero mów. Znam jednego jąkałę i wiem, jak to jest. Musisz wziąć głęboki oddech.

Chłopiec zrobił, jak kazała.

– Chciałbym zaprosić cię na spacer – oświadczył.

– Po co?

Nie spodziewał się tego pytania i nie miał przygotowanej odpowiedzi. Znów wziął głęboki oddech.

– Bo jest ładna pogoda – wyjaśnił.

– Gorąco. Ledwo oddycham, ale dzięki za zaproszenie.

Już zamykała drzwi, ale chłopiec przytrzymał je dłonią.

– Gram na gitarze – rzekł. – Chcesz posłuchać?

– Tak? – Skrzyżowała ramiona. Z jej miny trudno było stwierdzić, czy jest zaskoczona, czy raczej zdumiona zuchwałością chłopca. – A co grasz?

– Znam parę fajnych kawałków. Mógłbym ci zagrać, chcesz?

– Może – mruknęła. – Ale nie tutaj. Spotkajmy się za godzinę przy strumyku. Wiesz gdzie?

Jasne, że wiedział, w końcu mieszkał tu od małego. Strumyk był popularnym miejscem spotkań młodzieży, ale chłopiec był tam tylko raz, przez przypadek, kiedy poszli z babcią na jagody. Skinął głową i popędził w umówione miejsce, by przećwiczyć kawałki, które zamierzał jej zagrać. Godzina wystarczy, myślał. Zagranie wszystkich piosenek zajęło mu niespełna pół godziny, potem siedział, zerkając na zegarek, i czekał na ukochaną.

Dochodziła szesnasta. Ciekawe, czy Henia pozwoli mu się pocałować? Wypatrywał dziewczyny na leśnej ścieżce. Może przyjdzie inną drogą, zastanawiał się i przeszedł na drugą stronę strumienia. Może nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, idącą na spotkanie z dziwnym dzieciakiem ze wsi, jak nazywali go rówieśnicy i sąsiadki mamy. Jedna z nich, Tereska, powiedziała kiedyś jego babce, że chłopiec wygląda jak opóźniony w rozwoju. Ale on nie był opóźniony w rozwoju. Po prostu jest nieśmiały, tak powiedział lekarz, wyjaśniła babcia.

Godzinę później Heni nadal nie było. Chłopiec stracił nadzieję. Brzdąkał na gitarze smutną melodię. Może coś jej wypadło i dlatego nie przyszła, myślał, a potem doszedł do wniosku, że wcale nie chciała się z nim spotkać. Zwyczajnie go splawiła, a on czekał na nią jak ostatni dureń. Zarzucił gitarę na ramię i ruszył do domu.

Wyszedłszy na główną drogę, wzdłuż której rozciągała się wieś, zobaczył Henię. Stała pod sklepem w towarzystwie grajka z gitarą, o którym mówiła matka. Chłopiec poczuł narastającą wściekłość. W jednej chwili miłość, jaką czuł do Heni, zmieniła się w nienawiść. Poczul się dotknięty do żywego. Gitarę wrzucił w pobliskie zarośla, a sam ukrył się w rowie, zasłonięty zaniedbanym żywopłotem. Gałęzie kłuły go w plecy, wbijały się w przedramiona, ale chłopiec nie zważał na ból. Obserwował Henię i jej wybranka, a po czterdziestu minutach, kiedy zakochani się rozstali, chwycił gitarę i ruszył za dziewczyną.

Dom Heni stał pod lasem. Prowadziła do niego dróżka biegnąca przez jabłoniowy sad. Może gdyby dziewczyny nie naszała ochota na soczyste, czerwone jabłko zwisające z gałęzi, nic złego by się nie wydarzyło? Życiem jednak rządzi przypadek.

Podeszła do drzewa, by zerwać owoc. Musiała stanąć na palcach, jej równowaga była zachwiana, a wtedy chłopiec wyskoczył z krzaków i uderzył ją gitarą w głowę. Dziewczyna upadła na podgniłe owoce leżące na ziemi. Nie straciła przytomności. Patrzyła na chłopca, a jej twarz wyrażała przerażenie. Podczas tych kilku sekund uświadomiła sobie, że przed kilkoma godzinami popełniła wielki błąd, za który teraz przyjdzie jej zapłacić. A potem chłopiec chwycił kamień i uderzył Henię w sam środek twarzy. Rozkwaśił jej nos, wybił zęby. Po tak drobnym chłopcu nikt nie spodziewałby się takiej

siły, ale adrenalina go napędzała, stracił nad sobą kontrolę, nie liczył się z konsekwencjami swoich czynów. Uderzył jeszcze raz, a potem kolejny i jeszcze następny.

Dziewczyna umarła z wykrwawienia. Chłopiec, choć był w szoku, zabrał z sobą gitarę i ukrył ją w piwnicy. Jedna zerwana struna została jednak na miejscu zbrodni. Chłopak z gitarą, który przystawiał się do Heni, nie miał szczęścia, ponieważ używał identycznych strun. Cała wieś widziała, jak Henia z nim spacerowała. Cała wieś wiedziała również, kto zamordował Henię. Zbrodnia wstrząsnęła lokalną społecznością. Śledczy szybko uporali się ze znalezieniem sprawcy. Chłopak miał osiemnaście lat i był sądzony jak dorosły.

Nikt z mieszkańców nawet nie pomyślał, że dziewczynę mógł zabić nieśmiały chłopiec. Przecież prawie w ogóle nie wychodził z domu i unikał kontaktów z innymi dziećmi, a co najważniejsze, nikt nie widział go w towarzystwie Heni.

Cóż. Kto wie, może gdyby tamtego feralnego popołudnia przysła nad strumień i spotkała się z chłopcem, żyłaby do dziś?

6

Po wyjściu Wolskiego Lena zaparzyła kolejną kawę i rozłożyła kopie dokumentów na podłodze. Przezorny zawsze ubezpieczony, jak mawiają, a Lena pierwszego dnia, kiedy dostała sprawę Trzynaście, wszystko skopiowała. Tym sposobem, mimo że wykluczono ją ze śledztwa, mogła pracować na własną rękę.

Znała treść tych dokumentów na pamięć. Przeglądała je wielokrotnie, wciąż mając nadzieję, że coś przeoczyła, że coś jej umknęło. Czuła, że utknęła w martwym punkcie, dlatego pół godziny później zaparkowała jaguara przed budką z pieczywem. Zapytała dziewczynę z porannej zmiany o Helenę Wąs, a ta wyjaśniła, że jej poprzedniczka odeszła na emeryturę.

– Masz jej adres? – zapytała Rudnicka.

Dziewczyna nie miała, ale знаła kogoś, kto mógł wiedzieć, gdzie mieszka pani Helenka. Zadzwoniła do koleżanki z drugiej zmiany i chwilę później podała Lenie karteczkę z adresem.

Dwadzieścia minut później komisarz dotarła na Bałuty. Zaparkowała przed wieżowcem z wielkiej płyty, odnalazła odpowiednią klatkę i weszła na piętro. Zapukała w drzwi, które po chwili na długość łańcucha uchyliła kobieta koło siedemdziesiątki. Włosy miała spięte w ciasny kok. Była ubrana w gładką spódnicę do kostek, kwiecistą bluzkę i żakiet.

– Dzień dobry, komisarz Lena Rudnicka, możemy porozmawiać?

– Policja?

Rudnicka wyciągnęła odznakę.

– Zajmę pani tylko chwilę – zapewniła.

Kobieta patrzyła na nią podejrzliwie.

– Już ja znam takich jak pani – burknęła. – Oszuści.
– Słucham?
– W telewizji mówili, żeby uważać. Przebiera się taka za policjantkę, a potem okrada naiwne staruszki, co? Nie ze mną te numery. Stara może jestem, ale nie głupia.

Lena uniosła brwi.

– Wyglądam na taką, która przebrała się za policjantkę?

Staruszka była nieco zbita z tropu.

– Niby nie – odparła. – Ale kto was tam wie.

– Proszę mnie wpuścić, zajmę pani tylko chwilę.

– W jakiej sprawie?

Rudnicka spojrzała w kierunku schodów, nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi.

– W sprawie sprzed trzynastu lat – wyjaśniła.

Emerytka cofnęła się o krok.

– Pani wejdzie – rzuciła, zamykając drzwi, odciągnęła łańcuch i wpuściła Rudnicką do środka.

Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, mogło mieć trzydzieści sześć metrów kwadratowych. Kuchnia przylepiona do dużego pokoju, duży pokój przylepiony do sypialni. Wystrój z lat osiemdziesiątych. Meblościanka z połyskiem, zdjęcia wnucząt, ceramiczne figurki na półce. W centralnym miejscu niebieski słonik z podniesioną trąbą.

Gospodyni przyniosła krakersy i dwie herbaty w szklankach z koszyczkiem, po czym usiadła naprzeciwko komisarz.

– Przepraszam za moją podejrzliwość – powiedziała. – Ale takie czasy, że człowiek na każdym kroku musi uważać.

– Rozumiem.

– Wybieram się na pogrzeb – wyjaśniła, przyklepując dłonią elegancką spódnicę. – Sąsiadka zmarła. Zosia spod dwójki. Dobra kobieta z niej była, szkoda, że tak szybko się zawinęła. Dwa lata temu udaru dostała i od tamtego czasu ciężko się jej żyło. Może lepiej, że umarła.

– Przykro mi.

– A tam! – Helena machnęła ręką. – Każdy kiedyś umrze, prawda? Mówię: lepiej, że umarła, choć nie powinnam. Ale życie Zośki nie oszczędzało, pani wie, mieszkam tu, odkąd pobudowali te bloki, znamy się jak łyse konie. Wiadomo, wielu dawnych mieszkańców odeszło, wyprowadzili się do nowych mieszkań albo domy pobudowali. Mieszkania na wynajem poszły. Studenci się sprowadzili. Nowe twarze, nowi sąsiedzi. Trochę problemów z tymi studentami było, ale teraz jakoś się żyje. Tu obok – wskazała – mieszkają takie dwie dziewczyny, bardzo miłe, jak imprezę planują robić, przychodzą, mówią, że będzie trochę głośniejsze. A co ja mam odpowiedzieć, proszę pani? Bawcie się, młodzi jesteście. Czas na zamartwianie się przyjdzie później. – Wzięła głęboki wdech. – Pani też młoda jest, o śmierci pani nie myśli, ale w moim wieku to człowiek już się

zastanawia. Zosia łatwego życia nie miała, dlatego mówię, że Bóg słusznie zabrał ją do siebie. Sama na świecie została, dzieci jej poumierały. A najgorsze to pochować własne dziecko.

Rudnicka upiła łyk herbaty.

– Chciałabym porozmawiać z panią o pewnej sprawie – rzekła.

– Mhm, pani jest policjantką. Wizyta policji nie zwiastuje nic dobrego, ale ja nic do ukrycia nie mam. Proszę pytać.

– Trzynaście lat temu złożyła pani zeznania w sprawie zamordowanej dziewczyny.

Helena Wąs zamyśliła się, jakby usiłowała wydobyć z pamięci tamte wydarzenia.

– Pracowała pani w budce z pieczywem – ciągnęła Lena. – Zeznała pani, że widziała sprawcę.

– Ja tam nie wiem, czy to był sprawca – odparła. – Pamiętam tamtą sprawę, choć pamięć może już zawodzić. Ale wówczas wskazałam mężczyznę, który wydał mi się podejrzany. Policja pytała, czy widziałam kogoś podejrzanego, no więc odpowiedziałam. Czy to był sprawca, to już policja powinna wyjaśnić. Ja tylko powiedziałam, co widziałam.

– Tak – zgodziła się Lena. – Proszę sobie przypomnieć tamten dzień. Wznawiamy sprawę i wszystkie szczegóły są istotne.

– Więc ja w tej budce z pieczywem pracowałam. Ale niedawno odeszłam na emeryturę. Lata już nie te. Ledwo dawałam radę, ale ile tej emerytury dostałam? Żal mówić. W tamtym czasie na poranną zmianę robiłam. Jak znaleźli zwłoki tej dziewczyny, policja do mnie przyszła. Pytali, czy coś widziałam. A jakże, widziałam! Ale czy to był morderca, nie potrafię powiedzieć.

– Co pani widziała?

– Faceta jakiegoś. Dziwny był. Chodził, patrzył, rozglądał się. Początkowo myślałam, że w fabryce pracuje, ale nigdy w tamtym kierunku nie poszedł. Powiem pani szczerze, myślałam, że to zboczeniec.

– Widziała pani, jak porzuca zwłoki kobiety na przystanku?

– Tylko później tę dziewczynę – odparła. – Z okienka było niewiele widać, sądziłam, że ona czeka na tramwaj. Skąd mogłam wiedzieć, że nie żyje?

– Nie wydało się pani dziwne, że ktoś o tej porze czekał tam na tramwaj? Podobno w okolicy nie było wielkiego ruchu?

– Nie było, fakt. Teraz pobudowali osiedle, nowe domy wyrosły, to i ludzi więcej, i tramwaje dołożyli. Ale wtedy było pusto. Dopiero jak fabrykę otwierali, pracownicy się zjeżdżali. A czy wydało mi się dziwne, że ktoś tam siedział? Może. Ale byłam zajęta dostawą pieczywa. Ktoś siedział na przystanku i tyle. Gdybym wiedziała, że ona jest martwa, tobym inaczej się zachowała.

– Czy tamtego dnia widziała pani tego dziwnego mężczyznę?

Helena Wąs pokręciła głową. Skubnęła krakersa. Odgryzła połowę. Drugą odłożyła na talerzyk.

- Złożyła pani zeznania – odezwała się Lena. – Podała pani jego rysopis.
- No tak. – Gospodyni kiwnęła głową. – Policja chciała, więc podałam.
- Jak wyglądał?

Helena się zamyśliła.

- Wysoki – powiedziała. – I dziwnie chodził.
- To znaczy?

– Dostojnie. Nigdy nie widziałam, by ktoś chodził w taki sposób. Nie o tej porze, kiedy ludzie spieszą się do pracy. Teraz wszyscy z nosami w telefonach, ale kiedyś patrzyli przed siebie, biegli do roboty, do sklepu. A ten facet spacerował sobie urządzał. Dlatego myślałam, że to zboczenie, proszę pani, o takich nietrudno.

- Zeznała pani, że nosił czapkę z daszkiem..
- Ano nosił czapkę. Niebieską. Z daszkiem. Nic innego sobie nie przypominam.
- Rozumiem.

Lena wstała i z rękoma w kieszeni przeszła po pokoju. Wyjrzała przez okno. Znowu się rozpadało.

- Wie pani, kto został skazany za popełnione trzynaście lat temu zbrodnie, prawda?

– Wiem. W telewizji tyle tych programów nadawali o nim, że trudno nie wiedzieć, proszę pani. Głowa aż pękała od tych makabrycznych informacji. Ja pani powiem, że takiego to ja bym do więzienia nie posłała. Od razu karę śmierci powinien dostać. Ząb za ząb, jak powiadają, prawda? Naprawdę szkoda, że kary śmierci już nie ma, bo taki morderca, tyle krzywdy wyrządził, a teraz w więzieniu sobie spokojnie siedzi...

– Czy Antoni Dunaj pasuje do wizerunku mężczyzny, którego widziała pani z okienka budki?

Helena nie odpowiedziała.

7

Rudnicka weszła na komendę i ruszyła prosto do toalety. Spieszyła się, potrącała ludzi na korytarzu. Zajęła pierwszą kabinę, sięgnęła do kieszeni. Nerwowo wysypała na dłoń dwie tabletki oxycontin. Połknęła bez popijania.

Wychodząc, wpadła na technik Krajewską.

- Wybacz – mruknęła pod nosem.

– Lena?

Rudnicka otworzyła szerzej oczy, rozglądając się dookoła.

- Wszystko w porządku? – zapytała Liz.

– Tak, wszystko gra, dzięki.

– Kiepsko wyglądasz.

– Wszyscy mi to mówią.

– Spałaś w ogóle tej nocy?

Lena wsunęła dłonie w kieszenie spodni.

– Podkomisarz Cajmer chce mi przyklepać morderstwo – odparła. – Wybacz, że nie skaczę z radości pod sufit.

– Słyszałam. Ale na pewno wszystko się wyjaśni, nie martw się. Nikt nie uwierzy w twoją winę. To nie przejdzie. Pewnie chciał cię tylko postraszyć. Wiesz, jaki jest.

– Mam gdzieś jego gierki. Bardziej martwi mnie to, że zostałam odcięta od śledztwa. Cajmer to kretyn. Nie potrafiliby odnaleźć zaginionego psa, a co dopiero Trzynaście.

Liz skrzyżowała ramiona.

– Chyba nie prowadzisz śledztwa na własną rękę? – zapytała.

– Muszę iść. Pogadamy później.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła korytarzem, prosto do gabinetu komendanta.

Zapukała.

Z wewnątrz rozległo się szuranie krzeseł. Potem niewyraźny głos zaprosił ją do środka.

– Dzień dobry, szefie... – Lena zawiesiła głos. Przy biurku Andrzeja Wolskiego siedział Marcel. – A ty co tutaj robisz?

Sierżant wzruszył ramionami.

– Próbuje mnie namówić, bym przywrócił cię do śledztwa w sprawie naśladowcy Trzynaście – wyjaśnił komendant, rozkładając ręce. – Chyba bezskutecznie.

– Dzięki za troskę – rzuciła w stronę sierżanta. – Dam sobie radę.

Komendant westchnął i swoim zwyczajem ściągnął z nosa druciane okulary, po czym schował je w dłoni. Na rogu biurka stało rodzinne zdjęcie. Lena zawiesiła na nim wzrok, po czym bez zaproszenia usiadła obok Marcela.

– Szefie, musimy porozmawiać – powiedziała. – I sierżant Wolski również.

– Nie, Leno.

– Ale...

– Sytuacja jest zbyt poważna.

– Mianowicie?

– Oskarżenia wobec ciebie są poważne. Nie wierzę w twoją winę, to oczywiste, ale powinnaś odsunąć się od sprawy do momentu, aż wszystko się wyjaśni.

Marcel zacisnął usta i spojrzał na ojca, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Patrzył twardo na Rudnicką, która zdawała się nieco zbита z tropu. Jeśli ktokolwiek mógł interweniować w jej sprawie, to właśnie komendant Wolski. Ale on już podjął decyzję.

– Nie mogę przywrócić cię do śledztwa – odparł Wolski.

– Rozumiem, ale przyszłam w innej sprawie.

– Tak?

– Śledztwo zmierza w złym kierunku.

Komendant opadł na oparcie fotela z przeciągłym westchnieniem.

– Cajmer nie powinien się tym zajmować, ale skoro już musi, ktoś powinien go naprowadzić – dodała komisarz. – A wiem, że ode mnie nie przyjmie żadnej rady.
– Co masz na myśli, mówiąc, że śledztwo zmierza w złym kierunku?
– Cajmer szuka niewłaściwego człowieka. Szuka naśladowcy, a powinien... powinien szukać Trzynaście.

Andrzej Wolski spojrział na syna, który pokiwał głową. Właśnie w tej sprawie przyszedł do ojca, ale komisarz Rudnicka jak zwykle go ubiegła.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał komendant.
– Szukamy Trzynaście – odparła Lena. – Nie naśladowcy.
– To żart, prawda?
– Niestety, nie. Skupiliśmy się na naśladowcy. Popełniliśmy błąd, ponieważ zbrodnię sprzed kilku dni popełnił sam Trzynaście.

– Nie, nie, nie.
– Szefie, niech pan posłucha. On jest na wolności. Trzynaście lat temu policja zamknęła niewłaściwego człowieka.

– Antoni Dunaj przyznał się do winy.
– Szef przecież wie, że to niewiele znaczy.

W gabinecie zapadła cisza.

Mimo wszystko ufał swojej podwładnej i niemal za każdym razem wierzył w jej osądy, które później najczęściej okazywały się słuszne. W tym wypadku jednak miał wątpliwości. Pogłaskał dłonią łysy placek pośrodku głowy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Sugerujecie, że w więzieniu siedzi niewinny człowiek, a prawdziwy zabójca przez trzynaście lat pozostawał na wolności? – spytał w końcu. – Że policja się pomyliła?

– Tato, posłuchaj – odezwał się Marcel. – Mamy dowód, że Dunaj nie mógł zabić tamtych kobiet.

Andrzej Wolski przeniósł wzrok na syna.

– Wyjdźcie – rzekł. – Natychmiast.

– Musi nam pan uwierzyć – powiedziała Rudnicka i rozsiadła się wygodniej.

Komendant spojrział w okno i westchnął z rezygnacją.

– Co to za dowód? – spytał.

– Antoni Dunaj jest leworęczny – wyjaśnił Marcel. – A sprawca posługiwał się prawą dłonią.

– Uważacie, że policja przeoczyła tak ważny szczegół? To jakiś absurd.

Rudnicka odchrząknęła.

– Może przeoczyła – powiedziała. – A może nie?

– O nie. – Wolski uniósł dłonie. – Tego już za wiele. Proszę, abyście wyszli.

– Nie, tato. Wysłuchasz nas do końca.

Andrzej Wolski podciągnął się w fotelu, splótł dłonie na plecach i wyjrzał przez okno. Być może był naiwny i łatwowierny, skoro ufał swoim policjantom i nigdy by nie

podejrzewał, że któryś z nich z premedytacją popełnił błąd. Bał się pomyśleć, co by było, gdyby podejrzenia Rudnickiej i Marcela okazały się słuszne. Dziennikarze nie odpuszczają, jeśli dowiedzą się, że niewinny człowiek spędził w więzieniu trzynaście lat.

– Dobrze. Słucham – powiedział.

– Przejrzałam życiorys Dunaja – zaczęła Rudnicka. – Był spokojnym człowiekiem, niekaranym, nawet mandatu nigdy nie dostał. Jasne – uniosła dłonie. – To o niczym nie świadczy. Kiedy był nastolatkiem, zaginął jego ojciec. Matka zgłosiła zaginięcie, ale Karol Dunaj nie wrócił. Zresztą, jak przypuszczam, zniknięcie Karola było rodzinie na rękę. Stary nadużywał alkoholu. Zdarzało mu się uderzyć żonę. Tak twierdzili sąsiedzi Dunajów. Policjanci przyjęli zgłoszenie, popytali wśród sąsiadów, właściwie tyle. Antoni przejął rolę głowy rodziny, dorastał z matką. Poszedł na studia, zrobił doktorat, został wykładowcą na uczelni. W śledztwie pojawiła się hipoteza, że wyszukiwał ofiary właśnie na uniwersytecie, ale to błędne założenie. – Lena wzięła oddech i mówiła dalej: – Bo niektóre z ofiar nie ukończyły nawet zawodówki. Pozostałe nie studiowały albo studiowały na innych wydziałach. Według mnie to błędna teza. Sprawca wyszukiwał ofiary w inny sposób. Może spotykał je na ulicy? Śledził, poznawał i potem zabijał?

– Mimo to Dunaj przyznał się do winy – dodał Marcel. – Sądzę, że ktoś go zastraszył. Po zatrzymaniu i podczas procesu nie odezwał się ani słowem. Tylko przyznał się do zbrodni.

– Nie mógł powiedzieć nic więcej – ciągnęła Lena. – Nie miał pojęcia o tych zbrodniach, nie znał żadnych szczegółów, ponieważ nie zabił tych kobiet.

– W jego samochodzie znaleziono dowody świadczące przeciwko niemu. – Marcel spojrzął na Lenę. Kiwnęła głową. – Torebkę Angeliki Krantz oraz włos jednej z ofiar.

– Jaką torebkę? – zdziwił się komendant.

– Nie ma o niej wzmianki w aktach.

– Dlaczego?

– Angelika zaginęła, a prowadzący sprawę uznał, że policja nie powinna siać paniki, dlatego nie podali tej informacji publicznie. I nie wspomnieli o torebce w aktach sprawy.

– Absurd. Moi ludzie nigdy by czegoś podobnego nie zrobili.

– Pamięta pan, co wówczas działo się w mediach? – zapytała Rudnicka. – Wszyscy bali się wychodzić z domów.

– A złapano potencjalnego mordercę – dodał Marcel. – Czyli Antoniego Dunaja. Informacja przeciekła do mediów, które ogłosiły, że policja ujęła seryjnego mordercę. Miasto mogło spać spokojnie.

– Po ujęciu Antoniego Dunaja morderstwa ustały – zauważył Andrzej Wolski. – Co świadczy o tym, że jest winny. Siedzi w więzieniu, nie może zabijać, więc przez te wszystkie lata nie znaleźliśmy żadnej ofiary pasującej do metody Trzynaście.

– Obstawiam, że morderca przeszedł w okres wyciszenia. – Rudnicka założyła nogę na nogę. – Początkowo dopuściłam wersję, że przeniósł się gdzie indziej, ale przejrzałam

rejstry. W tym czasie w Polsce nie doszło do morderstwa, które można by przypisać Trzynaście.

Lena wstała, wsuwając dłonie w kieszenie spodni.

– Nie bez powodu morderca zyskał swój pseudonim.

Komendant posłał pytające spojrzenie.

– Minęło trzynaście lat – wyjaśniła.

Andrzej Wolski zadumał się, pocierając policzek. Jeśli komisarz ma rację, śledztwo powinno zdążać w zupełnie innym kierunku.

8

Marcel spojrział ze skruchą na strażnika i uśmiechnął się przeprasząco. Znowu poprosił o spotkanie z Antonim Dunajem. Nadużywał uprzejmości klawisza. Dlatego wytoczył najcięższe działa i powołał się na ojca, choć miał świadomość, że wywoła tym jego wściekłość. Konsekwencjami będzie jednak martwił się później, na razie miał ważniejsze sprawy na głowie. Musiał porozmawiać z Dunajem.

Klawisz klikał coś w komputerze, po czym uniósł głowę.

– Antoni Dunaj właśnie przyjmuje gościa – powiedział. – Również z polecenia komendy miejskiej.

Marcel stęknął. Tego się nie spodziewał. Czyżby Cajmer był bystrzejszy, niż wszyscy sądzili?

– Tak, wiem – skłamał. – Proszę mnie wpuścić.

– Co wy macie za burdel na tej komendzie? Nie dogadaliście wizyt?

– Tak wyszło.

– Proszę pana, to jest więzienie, a nie dom spokojnej starości. Tu nie można sobie tak wpadać z wizytą.

– Proszę mnie wpuścić.

Pomiędzy krzaczastymi brwiami strażnika pojawiła się pionowa bruzda. Zastanawiał się, po czym wzruszył ramionami, jakby uznał, że bałagan w komendzie nie jest jego sprawą. Skinął na strażnika, który pełnił wartę przy solidnej kracie prowadzącej w głąb więzienia.

– Pan wchodzi – rzucił. – Kolega pana zaprowadzi.

Przeszli korytarzem. Z oddali dochodziły podniesione męskie głosy, szcęk metalowych krat. Zza rogu wyszło dwóch osadzonych w towarzystwie strażnika, który zobaczywszy nadchodzącego Wolskiego, machnął ręką na więźniów, by przystanęli i ustawili się twarzami do ściany. Obaj posłusznie wykonali polecenie. Marcel minął ich, czując suchość w ustach.

Na salę widzeń wychodziło szerokie okno, ułatwiające strażnikom kontrolowanie sytuacji wewnątrz. Marcel uśmiechnął się, bo przy stoliku naprzeciwko Antoniego Dunaja

siedziała Lena Rudnicka. Mógł się tego domyślić.

Klawisz bez słowa wpuścił Wolskiego do pomieszczenia. Komisarz uniosła głowę i na widok Marcela drgnęły kąci jej ust. Dosiadł się do stolika.

– Dzień dobry, panie Dunaj – powiedział.

Więzień skinął głową.

– Czym zasłużyłem sobie na odwiedziny dwóch gliniarzy naraz? – zapytał. – Miło widzieć państwa razem. Już straciłem nadzieję, bo sierżant mówił, że więcej pani komisarz nie zobaczę.

Rudnicka splotła dłonie na blacie.

– Wiemy, że jesteś niewinny – powiedziała.

– Mówiłem – odparł Antoni. – Nie chciała mi pani wierzyć.

– Wybacz, ale zeznałeś przed sądem, że zabiłeś tamte kobiety, więc twoje słowo jest gównem warte.

– A jednak mi pani uwierzyła.

– Nie tobie, tylko dokumentom, które przejrzałam.

– I co pani tam znalazła?

– Potwierdzenie, że nie zamordowałeś tamtych kobiet.

Przez twarz Antoniego przemknął cień uśmiechu.

– Skąd ta pewność, pani komisarz? – spytał.

W drodze do więzienia zastanawiała się, w jaki sposób poprowadzi tę rozmowę, i ostatecznie uznała, że nie ma czasu na owijanie w bawełnę.

– Jesteś leworęczny – odparła.

– Od urodzenia.

– Nie mogłeś więc zabić tamtych kobiet, ponieważ sprawca był praworęczny. Dam sobie rękę uciąć, że od samego początku o tym wiedziałeś, a mimo to nie wykorzystałeś tego faktu, by dowieść swojej niewinności. A nasze orły z komendy nie wpadły na pomysł, by to sprawdzić.

– Bystra z pani kobieta. – Uśmiechnął się. – Tak, jestem leworęczny.

Lena nachyliła się nad stołem.

– Wyjaśnij mi, co to za szopka?

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Skończ te cholerne gierki i zacznij współpracować.

– Nie rozumiem, pani komisarz.

Rudnicka miała ochotę walnąć głową w ścianę. Mimo że Antoni przed chwilą potwierdził ich podejrzenia, wciąż brnął w kłamstwa, a ona nie miała pojęcia, jak zmusić go do powiedzenia prawdy. Jego matka została zamordowana, a on nadal nie chciał współpracować z policją. Spojrzała na Antoniego i dopiero po upływie kilku sekund do Leny dotarło, że powinna zadawać Antoniemu odpowiednie pytania.

– Skąd wiedziałeś o Angelice? – podjęła.

– Przeczuwałem.

– Nie wierzę.

– Już raz mi pani nie uwierzyła, a okazało się, że miałem rację.

– Posłuchaj mnie teraz bardzo uważnie. Nie przyszedłem tu na pogawędkę, bo nie mamy czasu. Chodzi o życie twojego syna. Kryjesz człowieka, który zabił twoją matkę. Sądzisz, że będzie tak łaskawy i na tym się zatrzyma? Naprawdę jesteś aż tak naiwny?

Maska obojętności zniknęła z twarzy Dunaja. Było widać, że jest przerażony. Czuł teraz lęk, który towarzyszy każdemu rodzicowi – lęk o własne dziecko. Miłość do bliskich to dobra karta przetargowa.

– Zapewnimy Arturowi ochronę – mówiła Lena. – Powiedz nam, kogo mamy szukać, a my zabierzemy twojego syna w bezpieczne miejsce.

– Wtedy on zabije mnie.

Rudnicka uśmiechnęła się w duchu. Bingo.

– Dostaniesz izolatkę – obiecała. – Będziesz chroniony.

– Nie, nie. – Kręcił głową. – To tak nie działa.

– Zrobię wszystko, żebyś miał jak najlepszą ochronę.

Zagrała w ciemno. Nie wiedziała, czy manewr z ochroną przejdzie. Ostrowski na pewno się nie zgodzi, ale może Marcelowi uda się przekonać komendanta, by porozmawiał ze strażnikami więzienia.

Dunaj z namysłem powiódł wzrokiem po sali, zatrzymując spojrzenie na kręcącym się pod ścianą klawiszu. Przymknął oczy i cicho westchnął, po czym nachylił się nad stołem.

– Nie mam nic do stracenia – powiedział najciszej, jak potrafił. – Proszę o ochronę Artura. Nieważne, co ze mną. Zróbcie wszystko, by mojemu synowi nic się nie stało.

– Zgadzasz się na współpracę?

– Tak.

– Załatwione.

Dunaj przełknął ślinę.

– Znałem Angelikę – rzekł. – Poznaliśmy się trzynaście lat temu. Wiedziałem, że teraz grozi jej niebezpieczeństwo, dlatego panią wezwałem. Sądziłem, że zdążycie zapobiec jej śmierci, ale nie mogłem wtedy powiedzieć, o co chodzi.

Rudnicka kiwnęła głową. Zrozumiała, że Antoni miał na myśli podsłuchującego strażnika.

– Dostałeś cynk, że coś jej grozi, prawda?

– Dojdziemy do tego. – Antoni zaczerpnął powietrza i mówił dalej: – Angelikę poznałem w barze. Zwykłe spotkanie. Nie sądziłem, że cokolwiek z tego wyjdzie, ale się udało i umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Nie wiem, czy można nazwać to związkami, chyba było na to za wcześnie. Nie wystarczyło nam czasu, by lepiej się poznać. Ale zależało mi na niej. Była mądra i ładna, czego chcieć więcej? A potem, gdy znaleźli mój samochód... Kazałem jej uciekać.

– Dlaczego?

– Pani komisarz, władza jest władzą. Samochód, który znalazła policja, został skradziony. Zgłosiłem kradzież na komendę, ale nikt się tym nie przejął. Wiedziałem, że nikt nie uwierzy. Może nawalił jakiś policjant, ale i tak koledzy by go kryli.

Rudnicka pomyślała, że trzynaście lat temu właśnie to próbowała udowodnić Irena Dunaj.

– Nie ma żadnej informacji, że zgłaszałeś kradzież samochodu – zauważyła.

– Wiem. Nie mam na to dowodów. A może i bym miał, ale zostały zniszczone.

Lena i Marcel wymienili spojrzenia. Oboje pomyśleli o tym samym – że Antoni Dunaj idealnie pasował na kozła ofiarnego.

– Angelika jechała ze mną samochodem i zapomniała o torebce – ciągnął Antoni. – Miałem jej oddać, ale nie zdążyłem, dlatego była w samochodzie. A on wiedział, że Angelika jest dla mnie ważna, dlatego postanowiłem ją chronić.

– Trzynaście lat temu jej nie zabił – zauważył Wolski.

– Ukryła się. Zrobiła tak, jak jej kazałem.

– I nagle postanowiła wrócić?

– Zadzwoiła do mnie. Było jej bardzo trudno, mówiła, że tęskni za rodziną. Prosiłem, by tego nie robiła, ale nie posłuchała. Twierdziła, że wpadnie na parę dni i potem wyjedzie, że nikt nie zauważy.

– Gdzie była przez cały ten czas?

– Wysłałem ją do Niemiec. Uważałem, że tam będzie bezpieczna. Poza tym chciała uciec od matki, myślała o wyjeździe za granicę, więc idealnie się złożyło. Wynajęła mieszkanie w Berlinie. Nie znam dokładnego adresu.

– Kazałeś jej uciekać, by ją chronić? – zapytała Lena.

– Tak. Przed nim.

Zamilkł. Strażnik podszedł zdecydowanie za blisko.

– Przepraszam, nie mogę państwu pomóc – powiedział Antoni głośno.

Odchylił się na oparcie i gestem przywołał klawisza.

Stojąc za murami więzienia, Rudnicka miała wrażenie, że wyszła stamtąd kilka kilogramów cięższa. Oparła się o maskę jaguara i zapaliła papierosa, przymykając oczy.

– Co o tym sądzisz? – spytał Wolski. – Posunęliśmy się naprzód.

– Trochę.

– Gdyby ten strażnik się tak nie kręcił! Dunaj powiedziałby znacznie więcej. Powinniśmy go jeszcze raz odwiedzić.

Lena pokręciła głową. Nie widziała sensu w ponownej wizycie. Jasne, posunęli się naprzód, ale miała wątpliwości, czy Dunaj kiedykolwiek wyda mordercę. Wciąż się bał. Zachowywał dla siebie ostatnią kartę przetargową. Prawdopodobnie ze względu na syna. Nie ufał policjantom, choć starali się mu pomóc.

Wolski zapalił papierosa.

- Moglibyśmy go przycisnąć – powiedział. – W końcu pęknie. Czuję to.
- Czujesz?
- Mhm. Jeszcze trochę i powie nam, kogo kryje.
- Bardziej interesowałoby mnie, dlaczego to robi.

Marcel zaciągnął się, rozważając słowa komisarz.

Zza rogu wysunęła się sylwetka czarnego mercedesa. Stanęła jakieś trzysta metrów od policjantów. Kierowca mrugnął światłami.

- Zdzwonimy się – rzuciła Lena, zdeptując niedopałek butem.
- Dokąd idziesz?
- Muszę coś załatwić.
- Ej!

Rudnicka ruszyła w kierunku mercedesa, nie oglądając się za siebie. Kiedy wsiadła, a samochód wycofał się i zniknął za zakrętem, Marcel pomyślał, że już gdzieś widział podobny wóz, a potem przypomniał sobie słowa Huberta Janickiego, byłego partnera Leny, któremu jakiś czas temu złożył wizytę: „W tej robocie łatwo przejść na drugą stronę, a Rudnicka chyba już dawno przekroczyła tę granicę”.

9

Zofia Krantz otworzyła szafę i podparła się pod boki. Gdzie ona posiała tę nową sukienkę z butiku? Oliwkową z bufiastymi rękawami. Kupiła ją specjalnie na spotkanie z księdzem Merkurym. Przeszukała szuflady, zajrzała do komody, ale sukienki nigdzie nie było.

Westchnęła. Pamięć coraz częściej płątała jej figle.

Cóż ona teraz zrobi? Na spotkaniu z księdzem Merkurym powinna prezentować się godnie – uroczyście, lecz skromnie. Zwłaszcza że dzisiejszego wieczoru planowała porozmawiać z księdzem na temat objawienia w ogródku. Kto wie, myślała Zofia, może ksiądz Merkury upubliczni tę wiadomość? A wówczas czekają ją wywiady, artykuły, telewizja...

Potrząsnęła głową. Na razie powinna skupić się na znalezieniu odpowiedniego stroju. Skoro oliwkowa sukienka zaginęła, pozostaje bordowa ze zdobieniem na dekolcie. Bardzo twarzowa, pomyślała Zofia, ale czy nie jest zbyt wyzywająca? Wyjęła kolejną, beżową, z długim rękawem, i uznała, że ta będzie najbardziej odpowiednia.

Przeszła do kuchni. Po cichu, by Kaśka nie usłyszała. Zofia wątpiła w uczciwość córki. Podejrzewała, że Kaśkę opętały złe moce, które próbują sprowadzić Zofię na złą drogę. Ksiądz Merkury mówił, by uważać na bliskich. W nich może kryć się szatan, kusiciel usiłujący odciągnąć od wiary. Ale Zofia jest twarda. Od dłuższego czasu podejrzewała, że w ciele córki mieszka diabeł, który jej ustami chce nakłonić ją do złego.

Zaparzyła herbatę z miętą. Dochodziła trzecia po południu. Chmury niespiesznie przesuwały się po niebie. Było ponuro. W pomieszczeniu panował półmrok, lecz Zofia nie zapaliła światła. Wyjęła różaniec i odmówiła dziesiątkę. Niech Bóg da mi siłę, poprosiła w myślach, słysząc kroki na schodach. Proszę, Panie Boże, byś dał mi siłę do walki z szatanem.

Kaśka weszła do kuchni. Początkowo nie zauważyła matki siedzącej przy stole. Dopiero po chwili, gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła pochyloną sylwetkę. Matka mruzczała coś pod nosem, a w dłoni miętoszyła różaniec. Sprawnie przesuwała palcami i udawała, że nie zauważyła wejścia córki.

– Mamo, dlaczego siedzisz po ciemku? – Kaśka zapaliła światło.

– Zgaś! – wrzasnęła Zofia. Jej głos był nienaturalnie wysoki. – Zgaś światło!

Kaśka wykonała polecenie. Zofia odetchnęła głośno, jakby ktoś spuścił z niej powietrze.

– Odejdź, kusicielu – powiedziała Zofia. – Opuść ciało mojej córki.

– Boże drogi, co ty wygadujesz?

– Szatanie! – Zofia wstała. – Wzywam cię, byś opuścił ciało mojej córki.

– Jeśli nie przestaniesz, wezwę pogotowie.

Zofia wyciągnęła różaniec w stronę córki.

Kaśka pokręciła głową i sięgnęła po telefon leżący na blacie, lecz Zofia okazała się szybsza, jakby nagle wstąpiły w nią nadludzkie siły.

– Demonie, wzywam, byś opuścił ciało mojej córki! – krzyknęła, unosząc różaniec wyżej. – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Kaśka cofnęła się o krok. Matka patrzyła na nią dziwnym wzrokiem. Jej oczy zaszyły mgłą, po policzku spłynęła łza.

– Angelika... – wyszeptła. – Angelika, moje dziecko...

– Mamo, nie jestem Angeliką. – Kaśka znowu się cofnęła. – Angelika nie żyje, pamiętasz?

– Nie żyje?

– Mamo, usiądź, dam ci wody.

– Angelika już nie żyje... Ale żyła...

– Boże drogi, co się z tobą dzieje?

– Nie wzywaj imienia Pana Boga.

– Jedziemy do szpitala.

– Angelika – mruknęła Zofia. – Ona żyła. Mówiła do mnie.

– Co? Co ty mówisz?

– Mówiła do mnie. Przez te wszystkie lata Angelika mówiła do mnie.

– Mamo? Wszystko w porządku?

Zofia zastygła w bezruchu. Jej wargi poruszały się, lecz z ust nie wydobyło się żadne słowo. Wyglądała na słabą, lecz nagle wstąpiły w nią nowe siły, odskoczyła na bok, pchnęła córkę na ścianę i wybiegła na zewnątrz. Zanim Kaśka zdążyła zareagować, matka

pokonała połowę drogi do furtki. Gnała przez błoto, zachlapując ubranie. Bóg dał mi moc, myślała, dodatkowe siły, bym mogła uciec przed diabłem mieszkającym w ciele córki.

Zobaczyła siebie, leżącą w szpitalu. U jej boku leżało niemowlę. Dała mu na imię Angelika. Angelika nie żyje. Widziała dziecko bawiące się w piaskownicy. W ręczce trzymało łopatkę. Zofia śmiała się do córeczki. Był to miły, beztroski śmiech dziecka, za którym tak bardzo tęskniła.

Zofia biegła. Przed oczami ukazywały się kolejno obrazy z przeszłości. Pierwszy ząbek Angeliki, pierwsze słowo, pierwszy dzień w szkole. Angelika była uśmiechnięta, wesoła. Zofia kochała córkę. Jej ukochane dziecko. Jedyne. Czyste i niewinne.

Ciemność.

Dzień, w którym po raz ostatni widziała Angelikę. Jej dziecko zniknęło. Płacz, histeria, depresja. Ale Angelika kontaktowała się z nią. To była ona. Teraz Zofia była tego pewna, pomyślała, zanim wybiegła na ulicę. W podomce, w gumowych butach, biegła, ile sił w nogach. Stopy grzęzły w błocie. Uchyliła furtkę. Szybko. Nie ma czasu. Musi uciekać, bo goni ją szatan.

– Mamo, stój, do cholery! – krzyczała za nią Kaśka, lecz Zofia nie zwolniła.

Wbiegła wprost pod przejeżdżającą ciężarówkę. Kierowca wiozący bele drewna nie zdążył zahamować.

10

Antoni Dunaj siedział na pryczy. Była twarda i niewygodna. Choć spędził tu już trzynaście lat, wciąż nie przywykł do tego miejsca. Nienawidził go tak bardzo jak gimnastyki w szkole. Wuefistka miała chyba ze sto lat. Przypominała Bukę z Muminków – pozbawiona talii wielka kula o pustych oczach i wysuniętej dolnej szczęce. Kiedy pani Kaszmirowa pokazywała jakieś ćwiczenie, mały Antoni zastanawiał się, jakim cudem jej ciało się zgina. Wyglądała jak wielka kula mięsa.

Kiedy trafił do więzienia, nie potrafił się odnaleźć. To normalne, usprawiedliwiał się w myślach. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że trafi w takie miejsce. Zimne mury stały się jego nowym domem. Musiał poradzić sobie w tej rzeczywistości, przyzwyczać do zasad, znaleźć wspólny język ze współsadzonymi, a to było najtrudniejszym zadaniem dla kogoś takiego jak Antoni. Jednego był pewien. Nie trafił tu przez przypadek. Zasłużył na taki los. Był mordercą.

Po trzynastu latach zapomniał, jak żyje się na wolności. Czasem zastanawiał się, co byłoby, gdyby wyszedł na wolność, ale nie miał pojęcia. Spędził w więzieniu zbyt wiele czasu, by funkcjonować jako wolny człowiek. Ale dzisiaj wiele by dał, by wyjść chociaż na chwilę. Zza krat trudno mu będzie zrealizować plan. Musi chronić jedyną osobę, która mu pozostała. Musi chronić syna.

Kiedy dowiedział się o śmierci matki, poczuł, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Powinien zapobiec jej śmierci. To jego wina. Matka zapłaciła życiem za jego długi język. Wiedział, że tak się stanie, ale zaryzykował. A teraz jego matkę zakopią w ziemi. Tyle wyszło z dobrych intencji Antoniego. Złamał umowę, a za to należała mu się kara. Miał trzymać gębę na kłódkę. Tak się umówili.

Przez niego zginęły już dwie niewinne osoby.

I zginą następne, pomyślał i zapukał w drzwi celi. Strażnik zajrzał do środka, Antoni poprosił o możliwość skorzystania z telefonu. Klawisz wyglądał na rozbawionego, ale zaprowadził Antoniego do rzędu telefonów. Muszę zaryzykować, pomyślał, wybierając numer syna. Znał go na pamięć. Czekał jak na szpilkach. Artur musi zniknąć. Jak najszybciej. Antoni zrobi wszystko, by go chronić.

11

Artur obserwował przechodzące korytarzem studentki. Wszystkie były śliczne. Miały apetyczne, młode ciała. Poczul erekcję i błyskawicznie zakrył ją aktówką. Chętnie przespałby się z którąś z tych dziewczyn. Ach, co on by robił z nimi w łóżku!

Przeszedł do sali wykładowej. Westchnął, głośno wypuścił powietrze i otworzył laptop. Sprzęt wypożyczył z wydziału, stary rzeźmiał już swoje lata i ledwo chodził, często się zacinał, a ładowanie programów trwało wieki. Ale dzisiaj poszło mu całkiem sprawnie. Co prawda laptop szumiał niczym parowóz i szybko się nagrzewał, ale z pewnością pieniądze z ministerstwa znajdują lepsze przeznaczenie niż nowy sprzęt dla wykładowców.

Uruchomił rzutnik, podłączył odpowiednie przewody, napił się kawy. Studenci powoli napływali do sali. Kiwali głowami. Dzień dobry, panie profesorze. Siadajcie, zaraz zaczynamy, odpowiadał Artur. Obserwował dziewczyny. Jedna bardzo mu się spodobała. Ruda z piegopatym nosem, nieco zadartym, co dodawało jej uroku. Uśmiechała się do koleżanek. Miała bardzo ładny uśmiech. Artur poprosił o zamknięcie drzwi. Za parę minut przyjdzie kilku spóźnionych niedobitków, ale wykład mógł się zacząć.

Znalezienie odpowiedniego pliku zajęło Arturowi chwilę, studenci ze znużeniem obserwowali rzutnik. Tacy już byli. Znużeni. Pokolenie znużonych ludzi. Wpatrzonych w telefon. Przeciągających palcem po ekranie.

Artur często wspomagał się rzutnikiem. Studenci rzadko notowali, więc wypunktowanie najważniejszych informacji na prezentacji nieco ułatwiało współpracę. Komputer myślał. Uruchomienie programu PowerPoint zajęło mu kilka cennych minut. Miał polecenie, po czym ekran zasnuła biel. Nie pojawiły się żadne informacje, które Artur umieścił wczorajszego wieczora, kiedy poprawiał prezentację przed dzisiejszymi zajęciami. Biały ekran zasnuła czerń. Dziwne. Stary grat zaczął wariować. To nie była prezentacja Artura.

Pamiętał, że wybrał zielone, nie czarne, tło. Na biurku zawibrował telefon, lecz Artur nawet na niego nie spojrział.

Na ekranie pojawiło się coś, czego nikt się nie spodziewał.

12

Marcel wyrzwał przez szybę. Deszcz bębnił o parapet, a niebo wisiało nad chodnikami niczym sprana kołdra. Przeniósł wzrok na Dawida Cajmera. Ich spojrzenia się spotkały, lecz podkomisarz spuścił wzrok i wrócił do czytania dokumentów. Marcel nie miał pojęcia, ile czasu Cajmer spędził nad aktami sprawy. Miał wrażenie, że tkwią tutaj przynajmniej kilka godzin, ale w rzeczywistości minęło zaledwie czterdzieści minut, podczas których Wolski obserwował policyjny parking. W przeciwieństwie do Cajmera znał akta wystarczająco dobrze.

Dwóch mundurowych wysiadło z radiowozu. Jeden z nich otworzył klapę bagażnika, z którego wyskoczył owczarek belgijski. Krótka sierść, ciemna kufa, sterczące, czujne uszy. Pies zakręcił się wokół przewodnika i usiadł przy nodze. Był skupiony. Spojrzeniem badał otoczenie.

Kilkanaście metrów dalej Marcel dostrzegł znajomą sylwetkę. Lena Rudnicka czekała na kogoś, rozglądając się na boki. Nie miała parasola. Dłońmi przytrzymywała kaptur, by nie zwał go wiatr. Marcel zmarszczył brwi. Do Leny zbliżał się policjant z psem. Marcelowi przypomniało się, że owczarek wabi się Wago. Był jednym z lepszych śledczych i specjalizował się w wyszukiwaniu narkotyków.

Przewodnik psa, aspirant Kamil Myśliwski, uściśnął dłoń Leny. Uśmiechali się do siebie. Pies posłusznie warował przy nodze. Marcel dałby wiele, żeby słyszeć, o czym rozmawiają. Miał złe przeczucia. Zdawało mu się, że komisarz pakuje się w kłopoty, a on nie potrafił nic na to poradzić. Wciąż pamiętał słowa byłego partnera Rudnickiej, który przez jej nierozważność wylądował na wózku. Ale Wolski nie chciał uwierzyć, że mogłaby przejść na drugą stronę. Nie ona.

A jednak, pomyślał, spotykała się z Pułkownikiem.

Pułkownikiem, który zajmował się handlem narkotykami.

A teraz rozmawia z gliniarzem z wydziału narkotyków.

Ewidentnie coś tutaj nie gra.

Zeszłego lata Marcel złożył wizytę Hubertowi Janickiemu, byłemu partnerowi Leny.

Hubert i Lena prowadzili wspólne śledztwo. Zapowiadało się na zwyczajną sprawę morderstwa kierowcy ciężarówki, ale śledztwo szybko zmieniło priorytet. Okazało się, że w przyczepie zamiast kartonowych skrzynek z ziemniakami znajdowały się kartony z kilogramami narkotyków. Według Janickiego Lena bardzo się nakręciła na tę sprawę. Podobno planowała rozbicie całej siatki, jednak dowiedziawszy się, że we wszystko może

być zamieszany Pułkownik, odpuściła. To niemożliwe, powiedział Hubertowi Marcel, bo nie mieściło mu się w głowie, że komisarz mogłaby odpuścić jakąkolwiek sprawę. Były partner Leny rozpoczął własne śledztwo i odkrył połączenie pomiędzy Leną a Pułkownikiem. Jakże? Tego nie zdradził.

Marcel pluł sobie w brodę, że pomyślał o tym dopiero teraz. „Pieniądze to wielka pokusa. Pułkownik zapewne dobrze płaci swoim ludziom. A gangsterzy lubią mieć swoich w policji”, powiedział mu Hubert Janicki, poklepując koła wózka inwalidzkiego.

– Żyjesz?

Marcel potrząsnął głową i spojrzał na Cajmera. Podkomisarz oparł dłonie na brzuchu i przyglądał się Marcelowi podejrzliwie.

– Pytałem o coś – dodał.

– Przepraszam. Zamyśliłem się. – Wolski ponownie wyjrzał przez okno. Rudnicka wciąż rozmawiała z policjantem z wydziału narkotykowego. – Wybacz, muszę iść – rzucił, zgarniając kurtkę z oparcia krzesła.

– Hej! – zawołał za nim Cajmer. – A ty dokąd?!

Marcel nie odpowiedział. Zbiegł schodami na dół i wyszedł na parking, kierując się do miejsca, w którym jeszcze przed kilkoma sekundami stała Lena Rudnicka.

Ale już jej tam nie było.

Odszukał wzrokiem jaguara. Miał włączony silnik.

Marcel dopadł do szyby od strony kierowcy.

– Odwaliło ci?! – warknęła Rudnicka.

– Musimy pogadać.

– Nie mam czasu.

– To ważne.

Spojrzała na niego spode łba. Jej zacięta mina kazała sądzić, że nie zamierza dyskutować. Mimo to nie ustępował.

– To ważne – powiedział.

– Mam inne sprawy na głowie.

– Wpakowałaś się w coś?

– O czym ty mówisz?

Marcel zacisnął wargi i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Dostrzegł w jej oczach złość.

– Co ty sobie wyobrażasz? – warknęła, wrzucając wsteczny.

Nie dała mu szansy na odpowiedź, zamknęła szybę i wycofała samochód. Został sam pośrodku parkingu. Poczł, że w jego kieszeni wibruje telefon. Dzwonił Cajmer.

Sala wykładowa mogła pomieścić co najmniej sto pięćdziesiąt osób. Była przestronna, przez wysokie okna wpadało dużo dziennego światła, jednak tego dnia, gdyby nie zapalone lampy, pogrążyłaby się w półmroku. Niedawno minęło południe, ale na zewnątrz już zaczynało robić się szaro.

Marcel patrzył na rzędy siedzeń, podest dla wykładowców i nieszczęsny rzutnik, który oglądał właśnie Dawid Cajmer, na dłoniach miał rękawiczki, by nie zatrzeć ewentualnych śladów. Marcel nie miał pojęcia, czego szuka podkomisarz, był jednak pewien, że i tak niczego nie znajdzie. Zero odcisków palców, zero dowodów.

Policję wezwała Amelia Mikołajczyk, jedna ze studentek. Rudowłosa z nieco zadartym nosem. Zadzwoiła pod sto dwanaście i powiedziała, że jej wykładowca jest seryjnym mordercą poszukiwanym przez policję. „Przyjedźcie jak najszybciej, mówiła, bo inaczej wszystkich nas pozabija”. Ale Artur Dunaj nie wyglądał na owładniętego żądzą mordu. Siedział z boku, z kajdankami na nadgarstkach i wzrokiem wbitym w podłogę. Przypominał zagubionego chłopca.

Cajmer podszedł do Marcela. Na twarzy miał irytujący uśmieszek. Dopiął swego. Głowę trzymał uniesioną wysoko niczym zdobywca głównej nagrody.

– Mamy pierdolonego skurwysyna – powiedział.

Wolski jeszcze raz spojrzął na Artura Dunaja. Nie wyglądał na winnego, choć czasem pozory mylą.

– Pierdolony chuj wreszcie się potknął – zarechotał Cajmer. – Taki głupi błąd, kurwa, pomyślałbyś?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – odparł Marcel.

– Ty, młody. – Cajmer podszedł bliżej. – Nie mów mi, co mam robić, dobra?

– Mówię tylko, żebyśmy nie wyciągali pochopnych wniosków.

– Nie ucz ojca dzieci robić. Skoro gównem się znasz na robocie, to lepiej siedź cicho. Niczego cię nie nauczyła ta twoja komisarz. – Splunął. – Kurwa mać.

Marcel zamilkł. Uznał, że dyskusja nie ma sensu. Cajmer już wydał wyrok. Ujął groźnego mordercę. Jeszcze tego wieczoru zostanie okrzyknięty bohaterem. Był tylko jeden problem – Artur Dunaj nie jest mordercą. A przynajmniej tak sądził Wolski i teraz zastanawiał się, jak udowodnić niewinność wykładowcy, który wciąż siedział ze spuszczoną głową. Oczy miał przymknięte i trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. Na polecenie Cajmera pilnowali go dwaj mundurowi. Nadkomisarz uważał, że Dunaj powinien zostać na miejscu, chciał porozmawiać z nim jak najszybciej, ale teraz nie kwapił się do rozmowy. Przechadzał się dumnie, kontrolując pracę technika, który właśnie zdejmował odciski palców z laptopa. Porównają je z bazą, choć Marcel wątpił, by otrzymali jakikolwiek wynik. Wszystko czyste. Żadnych śladów, oprócz odcisków Artura Dunaja, jedynej osoby, która mogła zgrać film na pendrive'a.

Wolski wyobrażał sobie zdumienie studentów, kiedy wykładowca włączył prezentację. Dunaj był przekonany, że na ekranie pojawią się informacje dotyczące tematu zajęć,

a zamiast tego wyświetlił się film. Makabryczne nagranie, na którym mężczyzna podrzyna kobiecie gardło. Ona krzyczy, lecz jej głos cichnie za jednym pociągnięciem. Twarzy mężczyzny nie widać. Nagranie zrealizowano tak, że widać jedynie sylwetkę. Sylwetkę, którą bardzo łatwo można przypisać Arturowi Dunajowi. Opinia publiczna szybko wyda wyrok, Wolski był o tym przekonany. Syn poszedł w ślady ojca. Rodzina morderców.

Spojrzał na młodego Dunaja, zastanawiając się, czy byłby w stanie zamordować Angelikę Krantz. Słyszał w głowie jej rozdzierający krzyk przerażenia. Szybko go nie zapomni.

W korytarzu kłębili się studenci. Zajęcia odwołano. Ciekawskie głowy zerkają do środka przez przeszklone drzwi. Wolski powolnym krokiem podszedł do wykładowcy, a Cajmer błyskawicznie znalazł się obok, uśmiechając się triumfalnie.

– No i co? Mamy cię!

Dunaj milczał, nawet nie podniósł wzroku.

– Nie chcemy gadać, co? – ciągnął Cajmer. – Milczenie tylko pogorszy twoją, i tak nieciekawą, sytuację. Mamy dowody. Wystarczą, żeby cię wsadzić. I bardzo chętnie wpakuję cię do pudła, wiesz? Dołączysz do tatusia – zaśmiał się. – Popierdolona rodzinka, nie sądzisz? – Zerknął na Wolskiego.

– To nieporozumienie – mruknął młody Dunaj. Jego głos zabrzmiał niewyraźnie.

– Co? Coś mówiłeś? Nie słyszałem, wybacz, musisz mówić głośniej. – Cajmer zakrył usta, tłumiąc śmiech.

– To nieporozumienie – powtórzył Artur głośniej.

– Nieporozumienie, mówisz... – Podkomisarz podrapał się w skroń. – Ciekawe, że wszyscy, którym zakładam na łapy bransolety, mówią, że to nieporozumienie. Dziwne, co?

– Mogę to wyjaśnić, tylko proszę mi dać szansę.

– Szansę, powiadasz? No nie wiem. Według mnie nie ma tutaj wiele do gadania. Pomyliły ci się pliki i niechący wrzuciłeś filmik z morderstwa. Proste, prawda? Mamy rozwiązanie. – Wymierzył w niego palec. – Zamordowałeś tę kobietę. Proste jak drut. Nie musisz nic więcej wyjaśniać. Myślałeś, że mnie przechytrzysz? Ha, ha! Nie ze mną te numery. Co, chuju, waliłeś konia do tego nagrania, co? Kręci się śmierć, dupku?

– Nie zabiłem tej kobiety.

To było ważne zdanie, które Artur wypowiedział z pewnością i przekonaniem w głosie. Twarz Cajmera wykrzywił szyderczy uśmiech. Artur westchnął.

– Przygotowałem tę prezentację wczoraj – powiedział. – Nie wiem, jakim cudem na pendrivie znalazło się to nagranie. Przysięgam, nie mam pojęcia. Ktoś musiał podmienić pliki.

– Kto? – zapytał Cajmer. – Święty Mikołaj może, co?

– Morderca.

Na chwilę zapadła cisza. Cajmer przyglądał się zatrzymanemu, jakby stanowił muzealny okaz.

– W jaki sposób morderca mógł podmienić pliki na pańskim nośniku? – Wolski zwrócił się do wykładowcy.

– Nie wiem – odparł Dunaj. – Boże drogi, nie wiem, jak to zrobił, ale to zrobił. Naprawdę pan myśli, że byłbym tak głupi, żeby zgrywać film z morderstwa i pokazywać studentom?

Marcel zmarszczył brwi. Być może Artur Dunaj nie byłby tak głupi, by pokazywać światu podrzynanie gardła Angelice Krantz, ale jeśli nie jest mordercą, oznaczało to, że prawdziwy Trzynaście znów bawi się z policją w kotka i myszkę. Teraz pewnie śmieje się z numeru, jaki wywinął.

– Plik, który pan otworzył, znajdował się na pendrivie? – zapytał Wolski, krzyżując ramiona.

– Tak. Pod taką samą nazwą, pod jaką zapisałem wczoraj prezentację.

– Czyli istnieją dwie opcje. Pierwsza jest taka, że ktoś podmienił pendrive z wcześniej wgranym plikiem, druga zaś, że ktoś wgrał plik na pański nośnik.

– Druga opcja jest niemożliwa. Pendrive miałem przy sobie. O tutaj. – Wskazał aktówkę. – W przegródce.

– Na tym pendrivie było coś jeszcze?

– Nie. Mam kilka nośników. Zgrałem prezentację na pierwszy, jaki miałem pod ręką. Tak mi się wydawało...

– Więc zgodzi się pan, że ktoś mógł podmienić panu pendrive'a?

– Tak, to możliwe.

– W adwokata się bawisz? – mruknął Cajmer. – Te pytania do niczego nie prowadzą. Wolski nie zwrócił na niego uwagi.

– Przypuszcza pan, gdzie i kiedy ktoś miał okazję, by podmienić pendrive? – spytał.

– Nie mam pojęcia. – Dunaj kręcił głową.

Podmienić pendrive'a mógł właściwie każdy. Sprawca nałożył rękawiczki, by nie pozostawić śladów. W deszczową pogodę osoba w rękawiczkach nie wzbudzała podejrzeń. Na policję trafiało wiele zgłoszeń kradzieży ulicznych. Ludzie zauważają stratę dopiero po fakcie. Wpatrzeni w telefony, spieszą się do pracy – są łatwym celem. Wystarczyło, by sprawca miał wprawna rękę, a Artur Dunaj nawet by się nie zorientował, że ktoś grzebał mu w aktówce.

– Podróżuje pan komunikacją miejską? – zapytał Wolski.

Dunaj zaprzeczył.

– Dojeżdżam samochodem – odparł.

– Zatrzymywał się pan w drodze do pracy?

Dunaj zamarł, jakby nagle dotarła do niego powaga sytuacji.

– Wychodząc na parking przed blokiem, zauważyłem, że nie zgasilem światła w kuchni – rzekł. – Trochę się zdziwiłem, bo byłem przekonany, że pogasiłem światła w całym mieszkaniu. Wyjeżdżałem około siódmej. O tej porze było jeszcze ciemnowo i ponuro,

dlatego zapaliłem lampę. Ale wyszedłem na parking i zobaczyłem, że w kuchni pali się światło. Wróciłem więc, by ją zgasić.

– Zostawił pan aktówkę w samochodzie?

– Tak, wziąłem tylko klucze. Ale zamknąłem samochód. Na pewno. Nie było mnie najwyżej dwie minuty, może trzy.

Wystarczająco długo.

Marcel pokiwał głową. Okazja wprost idealna. Otwarcie zamka w samochodzie wcale nie jest trudne. Jeśli Trzynaście miał w tym wprawę, zajęło mu to góra minutę. Podmienienie nośnika to raptem parę sekund. Ale skąd Trzynaście mógł wiedzieć, że Artur wróci do mieszkania? Czy to on zapalił światło w jego mieszkaniu?

– Naciągana historyjka – podsumował Cajmer. – Wiesz, co myślę? – Nachylił się nad Arturem i powiedział: – Że zwyczajnie to wszystko zmyśliłeś, świrze.

– Niech pan posłucha... – zaczął Dunaj.

– Nikt nie uwierzy w te brednie – przerwał mu Cajmer. – Wymyśl coś lepszego, bo taką linię obrony obali nawet student prawa.

– Ale to prawda!

– Koniec przesłuchania.

– Panie władzo, proszę posłuchać...

– Na laptopie będą twoje odciski palców – oświadczył Cajmer urzędowym tonem. – Podobnie na pendrivie. Jesteś skończony. Wejdziemy do twojego mieszkania i jestem pewien, że znajdziemy znacznie więcej.

Artur Dunaj popatrzył policjantowi w oczy.

– Nic nie znajdziecie – odparł, lecz Cajmer już go nie słuchał. Odszedł do mundurowego, który po chwili ujął Artura pod rękę i wyprowadził z sali.

Kiedy Dunaj znalazł się wystarczająco daleko, Cajmer odwrócił się do Marcela.

– Ochujalesz do reszty? – spytał.

– Słucham?

– Popierdoliło cię? To jest przesłuchanie w twoim wykonaniu? Tego nauczyła cię ta, pożałuj Boże, komisarz?

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem – odparł Wolski zmieszany.

– Zadawałeś pytania tak, by wyszło, że Dunaj został wrobiony – rzekł, wypluwając słowa razem ze śliną. Przypominał najeżonego buldoga gotowego do ataku. – Mamy sprawcę, a ty odpierdalasz takie akcje? Złapaliśmy go. Ja go złapałem, a nie komisarz Rudnicka. Czego jeszcze nie rozumiesz?

Marcel wyprostował się.

– Nie sądzę – odparł. – Wersja z podmienionym nośnikiem wydaje się prawdopodobna. A przynajmniej bardziej prawdopodobna niż to, że Artur Dunaj może być seryjnym mordercą. On nie jest tym, którego szukamy. Nie możesz go zamknąć.

– Nie mogę? – Cajmer zaśmiał się. – To się jeszcze okaże. Mamy naśladowcę. Nadszedł czas, żeby całe miasto i cała Polska dowiedziało się, kto go złapał.

14

Rudnicka wyjrzała przez szybę. Okno Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Mikołaja Kopernika wychodziło na ruchliwą ulicę Pabianicką. Samochody przesuwały się niespiesznie, nad ziemią unosiła się mgła.

– Dobrze, że pani jest! – Kaśka Krantz pomachała z końca korytarza.

Lena ruszyła ku dziewczynie. Kaśka zadzwoniła do niej niespełna dwadzieścia minut temu i poprosiła, by komisarz przyjechała do szpitala.

– Co się stało? – zapytała Rudnicka.

Kaśka wzięła głęboki wdech.

– Matkę potrafił samochód – powiedziała. – Ciężarówka.

– Przykra sprawa.

Lena nie wiedziała, czy powinna wygłosić jakieś słowa pocieszenia. Ale nic nie przychodziło jej do głowy, więc uznała milczenie za najlepszą z opcji.

– Coś ją opętało – ciągnęła Kaśka. – Wygadywała bzdury, a potem wbiegła wprost pod tira. Nie zdążyłam jej zatrzymać.

– Wyjdzie z tego?

– Wątpię. Jest w śpiączce.

Rudnicka pomyślała, że Kaśka nie wygląda na zdruzgotaną. Jej twarz była pozbawiona emocji. Najwyraźniej relacja z Zofią nie należała do najlepszych.

– Co ja mam z tym wspólnego? – zapytała Rudnicka.

Minęły je dwie pielęgniarki. Omawiały najnowszy odcinek talent show. Kaśka odczekała, aż przejdą, potem poprawiła sobie apaszkę na szyi.

– Matka powiedziała coś dziwnego. Uznałam, że powinnam powiedzieć o tym policji.

– Mianowicie?

– Musi pani wiedzieć, że mówiła wiele niepokojących rzeczy. Moim zdaniem jakaś religijna sekta wyprała jej mózg. Naprawdę. – Położyła dłoń na sercu. – Przysięgam, że nigdy nie słyszałam gorszych bzdur. Niedawno w naszym ogrodzie wydarzyło się coś dziwnego. To znaczy matka twierdzi, że to był cud, ale według mnie wszystko zmyśliła.

– Jaki cud?

– Matka twierdzi, że objawiła jej się Matka Boska.

– Mhm.

– To nie wszystko – uściśliła Kaśka. – Pomińmy cud. Ja skupiłabym się na czymś innym.

– Wzięła głęboki wdech. – Ktoś powiesił naszego kota.

Rudnicka zmarszczyła brwi.

– Wstyd przyznać – ciągnęła. – Najpierw pomyślałam, że to ona. Sądziłam, że matka wymyśliła ten cud. Twierdziła, że widziała Maryję w naszym ogródku, rozumie pani? Bzdury. Mimo że ktoś poderżnął gardło kotu i powiesił go na drzewie. Potem pomyślałam, że może sąsiad się wściekł, bo kocur łąził po jego trawniku.

Rudnicka nie musiała drążyć tematu, by wiedzieć, kto zabił sierściucha. Miała ochotę na papierosa, ale szybki dymek na szpitalnym korytarzu był kiepskim pomysłem. Przeszła z nogi na nogę.

– Mówiłaś, że matka powiedziała coś przed wypadkiem – rzekła.

– Tak. – Kaśka skinęła głową. – Powiedziała, że przez te wszystkie lata Angelika mówiła do niej, zakazała kontaktów z policją, ale żyła.

– Angelika kontaktowała się z matką?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparła.

– Czy to możliwe, żeby Zofia ukrywała kontakty z Angeliką?

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

Jeżeli kontaktowała się z matką, powinna zostawić jakiś ślad. Antoni Dunaj twierdził, że Angelika przeniosła się do Niemiec. Niemiecka policja miała sprawdzić ten trop. Jeśli się potwierdzi, kontakty Angeliki z matką są prawdopodobne. Być może Zofia, zgodnie z życzeniem córki, nie ujawniła sprawy policji. Może bała się ją spłoszyć i ponownie utracić?

Dopóki się nie wybudzi, Lena nie dowie się niczego więcej.

– Szukałaś w domu jakichś śladów? – zapytała Rudnicka. – Na przykład numeru do Angeliki w notatkach, widokówek, listów?

– Przepraszam, nie pomyślałam.

– W takim razie przejdźmy się.

Kaśka obiecała nieprzytomnej matce, że wróci jak najszybciej. Stan Zofii był ciężki. Rozległe złamania, wstrząs mózgu, urazy narządów wewnętrznych. To cud, że w ogóle żyje, powiedział lekarz.

Komisarz nie przejmowała się przepisami ruchu drogowego. Gwałtownie zwalniała, wyprzedzała, niektórzy kierowcy komentowali jej zachowanie głośnym trąbieniem, inni z politowaniem pukali się w głowę. W drodze Kaśka rozmyślała nad ostatnimi wydarzeniami. Czy to możliwe, by Zofia utrzymywała kontakt z zaginioną córką? Jeśli tak, Angelika musiała być zdesperowana. Jej kontakty z matką były kiepskie – owszem, ale nie aż tak złe jak relacja Kaśki z Zofią. Oczywiście Zofia pamięta wszystko inaczej. Matczyną miłość przelała na zaginioną córkę. Angelika była jej ukochanym dzieckiem. Gdyby była z nami, mówiła, wszystko wyglądałoby inaczej. To nieprawda.

Matka była trudną osobą. Źle znosiła okres dorastania córek. Nie przyjmowała do wiadomości, że któraś z nich może mieć własne zdanie. Okres nastoletniego buntu był koszmarny. Angelika bez zgody matki ścięła włosy. Nosiła skóry i ciężkie głany. Jej znajomi wyglądali jak zlepek wszystkich subkultur świata – anarchiści, punkowcy na

motocyklach, chłopcy z włosami do pasa i mnóstwem naszywek na wojskowych plecakach. Zofia zabraniała Angelice spotykać się z nimi, ale kiedy zabroni się czegoś nastolatce, na pewno zrobi dokładnie na odwrót.

I tak się stało.

Zofia odgrażała się, że wyrzuci Angelikę z domu, lecz nigdy jej nie wyrzuciła. Z pozoru Angelika była dobrym dzieckiem – dobrze się uczyła się, w domu nie sprawiała większych problemów, sprzątała, pomagała w kuchni, ale Kaśka wiedziała, że to tylko pozory. W rzeczywistości, kiedy Angelika mówiła matce, że idzie odrabiać lekcje do koleżanki, szła do opuszczonej chaty niedaleko domu. Zofia powtarzała, że chata jest siedliskiem ćpunów. Pod żadnym pozorem macie się tam nie zapuszczać, przestrzegala córki, na co Angelika kiwała posłusznie głową. Oczywiście, mamo. Ale Kaśka dobrze wiedziała, że Angelika jest stałą bywalczynią przeklętej chaty, gdzie ćpuny śpią pośród strzykawek, piją piwo i gotują kompot. Kaśka nigdy nie widziała, by Angelika brała. Nie widziała również siostry naćpanej, ale Bóg jeden wie, w jakim stanie wracała do domu, kiedy matka, czekając na córkę, drzemała w fotelu. Rankiem Zofia wstawiała zdziwiona i oburzona, że jej córka nie wróciła na noc, szła do pokoju i kiedy widziała Angelikę śpiącą w łóżku jak aniołek, jej serce błyskawicznie się uspokajało. Takie dobre dziecko, myślała, w nocy przeszła do pokoju na palcach, aby nie obudzić zmęczonej matki.

Pozory mylą, a po latach Zofia pamiętała tylko dobre chwile związane z córką, wyrzucając z pamięci wybryki Angeliki i boje o wszystko, które toczyły. Mechanizm wyparcia zadziałał idealnie.

Relacje Kaśki z matką również nie należały do łatwych, a po zaginięciu siostry uległy znacznemu pogorszeniu. Na początku próbowały trzymać się razem, ale z każdym dniem coraz bardziej się od siebie oddalały. Kiedy Angelika i Kaśka były nastolatkami, to Angelika uchodziła za tę bardziej krnąbrną z córek, ale teraz sytuacja się odwróciła. Cały swój żal po stracie dziecka Zofia przelewała na Kaśkę, jakby była zła, że zaginęła nie ta córka, która powinna. Kaśka czasem myślała, że gdyby ona zaginęła, Zofia nawet by tego nie zauważyła.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała komisarz, wrywając Kaśkę z zamyślenia.

Krantzówna potrząsnęła głową.

– Przepraszam – odparła. – Na chwilę się wyłączyłam.

– To zrozumiałe. Twoja matka jest w szpitalu. Pewnie chciałabyś wrócić do niej jak najszybciej.

Kaśka przytaknęła, ale bez przekonania. Wcale nie miała ochoty wracać do szpitala. Propozycję wycieczki z panią komisarz przyjęła z ulgą.

Weszły do domu. W środku panował półmrok. Było cicho. Drewniana podłoga skrzypiała pod naporem ich stóp. Kaśka zapaliła światło w saloniku. Dziesiątki boskich oczu spojrzwały w ich stronę, a papież Polak uśmiechał się dobrotliwie z obrazka.

– Czego właściwie szukamy? – zapytała Kaśka.

Rudnicka przeszła przez pokój i stanęła przy ołtarzyku na komodzie. Wzięła do ręki jedną figurkę i spojrzała plastikowej bozi w twarz, po czym odstawiła ją na miejsce.

– Dobrze pytanie – odparła. – Jeśli twoja siostra przez lata kontaktowała się z matką, powinien zostać jakiś ślad. Może Zofia zapisała jej numer telefonu lub adres? Miała notes?

– Zaraz poszukam. – Kaśka przeglądała szuflady. – Matka miała kołonoatnik. Jeśli gdzieś zapisała numer, to tylko tam.

Rudnicka patrzyła, jak Kaśka przegląda rzeczy matki.

– Co zrobiłaś, kiedy potracił ją samochód? – zapytała.

– Jak to, co? Zadzwoiłam po karetkę.

– Wróciłaś do domu?

– To znaczy?

– Odpowiedz.

– Wróciłam po swoje rzeczy i zaraz pojechałam do szpitala.

– Czyli nie weszłaś do saloniku?

– Nie, po co? Byłam roztrzęsiona. Zabrałam kurtkę przeciwdeszczową i klucze, tylko tyle.

– No właśnie – mruknęła komisarz. – Pada deszcz, na zewnątrz jest paskudnie mokro.

– Nie rozumiem.

– Spójrz. – Rudnicka wskazała na podłogę. – Ktoś tu był.

Kaśka dopiero teraz zrozumiała, o czym mowa. Na podłodze były zaschnięte ślady butów. Ktoś musiał wejść do domu z mokrymi butami. W mieszkaniu było ciepło, więc wilgotna ziemia, która obsypała się na podłogę, zdążyła wyschnąć.

– O Boże... – jęknęła Kaśka.

Komisarz odruchowo sięgnęła po broń.

– Na wszelki wypadek zajrzę do reszty pomieszczeń – powiedziała. – Nie sądzę, by intruz wciąż tu był, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Zostań tutaj, zaraz wrócę.

Krantzówna skinęła głową. Czuła się, jakby ktoś wymierzył jej policzek. Naruszył prywatność. Obce ręce dotykały rzeczy jej matki. Kaśka poczuła złość, ale posłusznie czekała w saloniku. Kolana lekko jej drżały. Uspokoili się, dopiero gdy usłyszała kroki na schodach. Policjantka schodziła szybko. Drewno ugięło się pod jej ciężarem.

– Czysto – oznajmiła Rudnicka, powracając do salonu. – Tak myślałam.

– Kto mógłby włamać się do domu mojej matki? Przecież tutaj nie ma nic wartościowego! – Zaśmiała się. – Może chodziło o te obrazki? To najcenniejsza rzecz dla matuli! Nie ma złota ani pieniędzy, tylko te pieprzone obrazki!

– Trzymała pieniądze w domu?

Lena zadała pytanie dla formalności. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie chodziło o motyw rabunkowy. Włamywacze nie pozostawiali po sobie porządku. Spieszyli się, wywalali szuflady, rozpruwali materace, kartkowali książki w poszukiwaniu schowanych banknotów, wynosili sprzęty. Mieszkanie Zofii Krantz pozostawało nietknięte, jakby

nikogo tutaj nie było. Oprócz śladów butów. Włamywacz albo był głupi i nie przewidział, że pozostawi mokre ślady, albo się spieszył. Ale czego szukał?

– Nie – odparła Kaśka. – Matka miała konto w banku. Sama jej założyłam.

– Rozejrzyj się i sprawdź, czy nic nie zginęło.

Kiedy Kaśka zniknęła w korytarzu, Lena zadzwoniła do Marcela. Odebrał po trzecim sygnale. Głos miał niewyraźny.

– Nie jest dobrze – mruknął.

– Co ty nie powiesz?

Wolski opowiedział Lenie o zatrzymaniu Artura Dunaja i przeprosił, że nie zadzwonił wcześniej.

– Tyle się działo, że nie miałem czasu – dodał. – Za kilka godzin Cajmer otrąbi sukces, a ja nie mogę się z tym pogodzić. Próbowałem go przekonać, żeby się wstrzymał, ale nic do niego nie dociera.

– Faktycznie nie jest dobrze.

– Trzynaście pogrywa z nami, a ten dureń uważa, że przyskrzypił seryjnego mordercę. Jestem pewien, że Artur Dunaj stanie się kozłem ofiarnym, tak jak jego ojciec.

– Jeśli dowiedzą się o tym media, wydadzą wyrok na Dunajów.

– Jaki ojciec, taki syn, prawda?

Rudnicka nie odpowiedziała. Zresztą nie musiała. Oboje z Marcelem wiedzieli, że sytuacja wygląda fatalnie.

– U mnie też jest niewesoło – odezwała się komisarz.

– Co się dzieje?

– Podobno niemiecka policja nie potwierdziła, że Krantz mieszkała na terenie Niemiec?

– Tak, nie było po niej żadnego śladu.

– Słabo to wygląda.

– Co się dzieje? – powtórzył pytanie Marcel.

– Zofia Krantz trafiła do szpitala. Według córki coś się staruszce odkleiło, wpadła w dziwny stan i wybiegła na ulicę pod nadjeżdżającą ciężarówkę.

– Wyjdzie z tego?

– Nie wiem. Mam też gorszą wiadomość. Ktoś włamał się do jej domu.

– Trzynaście?

– Zostawił ślady butów. Nie wiem, czy Trzynaście byłby tak lekkomyślny. A jeśli był, to oznacza, że sprawy wymykają mu się spod kontroli i działa chaotycznie, co dla nas jest akurat dobrym zwiastunem.

– Przyjechać do ciebie?

– Nie, ale mógłbyś przysłać tutaj Liz.

– A Cajmer ma się niczego nie dowiedzieć.

– Jeszcze nie teraz.

Pożegnała się z Wolskim i wsunęła telefon do kieszeni. Miała ochotę na dymka, by uspokoić nerwy, ale paczkę zostawiła w samochodzie.

– Skoczę do samochodu po fajki! – krzyknęła do Kaśki. – Zaraz wracam.

Ale nie wróciła, bo gdy wyszła na zewnątrz, ktoś uderzył ją w głowę tak mocno, że straciła przytomność.

15

Marcel siedział w salonie swojego przyjaciela Tymona Milewskiego. Miał wrażenie, że ktoś przywalił mu między oczy. Dawno się nie widzieli i w pierwszej chwili nie poznał Tymona, który nie przypominał dawnego siebie. Twarz miał bladą, a oczy podkrążone. Dawniej koledzy z komendy pokpiwali z jego misiówatej postury i zdecydowanie za dużego brzuszka, a teraz wyglądał na dziesięć albo piętnaście kilogramów chudszeo, zapadł się w sobie, jego blond czupryna mocno się przeredziła. Patrzył na Wolskiego przeszkłonymi oczami, z których nie dało się nic wyczytać.

– Przepraszam, że cię nachodzę – zaczął. – Jeśli przeszkadzam, może innym razem...

– Nie przeszkadzasz.

– Wiem, że jesteś na urlopie, ale...

Tymon przerwał mu machnięciem ręki i powiódł wzrokiem po salonie. Marcel był tutaj tylko raz, na początku pracy w łódzkiej komendzie, kiedy Milewscy zaprosili go na kolację. Zmieniło się także wnętrze domu. Kiedyś panował tu porządek, było widać kobiecą rękę, dbałość o szczegóły, teraz salon był zaniedbany, jakby dawno nikt tu nie sprzątał. Na stole piętrzyły się brudne talerze i pojemniki po jedzeniu na wynos, brudne kubki i puszki po piwie, w zlewie zalegały niezmyte naczynia, a na krzesłach leżały stopy znoszonych ubrań.

– Wziąłem bezpłatny urlop – wyjaśnił Tymon. – Twój staruszek poszedł mi na rękę. Jestem mu bardzo wdzięczny.

– Ojciec wspominał, że wzięłeś wolne.

Tymon uniósł wzrok i kiedy napotkał pytające spojrzenie Wolskiego, powiedział:

– Moja córka Karolinka ma raka.

Marcel znieruchomiał. Nie miał o tym pojęcia.

– Białaczką – dodał Milewski. – Poprosiłem twojego ojca o dyskrecję. Nie chciałem, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Wolski pomyślał o żonie Tymona, Paulinie, pięknej kobiecie o żywych oczach i pogodnym usposobieniu. Idealnej żonie z idealną rodziną i cudownym, bystrym dzieckiem. Odkąd Marcel znał Tymona, wiodło im się dobrze. Wyglądali na szczęśliwych, chociaż przypomniał sobie, że w ostatnich miesiącach, zanim Milewski poszedł na urlop, przechodzili kryzys, ale nie chciał o tym rozmawiać, więc Marcel nie naciskał.

– Rokowania są kiepskie – odezwał się Tymon. – Ale mała dzielnie się trzyma.

– Rozumiem.

Marcel zdawał sobie sprawę, jak absurdalnie brzmią te słowa, ale nie odnajdywał w głowie innych, adekwatnych do sytuacji. Zresztą, Tymon chyba ich nie oczekiwał.

– Ale nie przyszedłeś rozmawiać o moich problemach. – Tymon spojrzał na niego wyczekująco.

– W takiej sytuacji nie wiem, czy powinienem zawracać ci głowę.

– Śmiało.

– Masz wystarczająco dużo na głowie...

– Skoro pofatygowałeś się na koniec miasta, mów, o co chodzi. Chętnie choć przez chwilę zajmę głowę czymś innym.

– Chodzi o Lenę.

Tymon pokiwał głową ze zrozumieniem. Znał Rudnicką wystarczająco długo, by wiedzieć, że potrafi ściągać na siebie kłopoty.

– Co z nią?

Marcel streścił sytuację. Mówił o Cajmerze, który za cel wziął sobie umieszczenie komisarzy za kratkami. Albo wyrzucenie jej z pracy. Każda opcja, by usunąć ją z pola widzenia, wydawała się temu durniowi świetnym pomysłem.

– Poradzi sobie – orzekł Milewski. – Rudnicka zawsze spada na cztery łapy. Poza tym nawet Ostrowski nie jest taki głupi, by uwierzyć, że mogłaby kogoś zabić.

Przez chwilę oboje patrzyli na siebie, myśląc o tym samym. Lena już raz zabiła człowieka.

– To była zupełnie inna sprawa – stwierdził Tymon. – Przypadek.

– Tak, to był przypadek. Ale teraz na narzędziu zbrodni są jej odciski palców.

– Każdy sąd uchyli taki dowód. Odcięła tę kobietę, więc na nożu będą odciski.

Marcel zwiesił głowę.

– Ale nie z tym do mnie przyszedłeś, prawda? – zagadnął gospodarz.

Wolski powinien wyjść i dać Tymonowi spokój, ale nie znał nikogo innego, kto mógłby mu pomóc. Spojrzał na przyjaciela i poczuł wyrzuty sumienia. Kiedy Tymon zniknął z komendy, powinien się tym zainteresować, a on nawet do niego nie zadzwonił.

Wziął głęboki wdech.

– Znasz Pułkownika? – zapytał.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Znasz gościa?

– Wiem, kim jest.

Zapadła cisza. Tymon spoglądał na Marcela nieco zbity z tropu.

– Lena się z nim spotyka – wyjaśnił Wolski. – Sądzę, że ma wobec niego jakiś dług, i boję się, że przez to ściągnie na siebie kłopoty.

– Pułkownik to gnida.

– Owszem, nie wygląda na przyjemniaczka.

Tymon wstał i przeszedł się po pokoju, wsunął dłonie w tylne kieszenie spodni.

– O co chodzi? – spytał. – Bo chyba nie tylko o koleżankę z pracy, co?

– Nie rozumiem.

– Martwisz się o Rudnicką.

– To oczywiste. Pracujemy razem.

Milewski pokiwał głową z rezygnacją.

– Nie pakuj się w to – poradził. – Mówię poważnie.

– Źle mnie zrozumiałeś.

– Okej. – Tymon uniósł otwarte dłonie. – Dam ci spokój, ale nie powinieneś się w to angażować, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Nie rób sobie niepotrzebnej nadziei, stary.

Marcel pomyślał, że ta rozmowa poszła w zdecydowanie złym kierunku.

– Lena łąduje się w kłopoty – wyjaśnił. – Czuję to. Ale nic nie mogę z tym zrobić, bo gdy tylko poruszam z nią temat Pułkownika, zbywa mnie.

– Skąd wiesz, że ma wobec Pułkownika dług?

– Słucham?

– Mówiłeś, że Lena ma wobec niego dług.

– Tak podejrzewam.

– Coś kręcisz.

Wolski, czując na sobie podejrzliwy wzrok Tymona, spojrział w okno. Wolał nie mówić Milewskiemu o zgubieniu broni i sposobie, w jaki rozwiązała to Rudnicka. Jedno było pewne. Lena miała wobec gangstera dług.

– Dobrze. – Tymon przerwał milczenie. – Nie chcesz, nie mów. – Usiadł w fotelu naprzeciwko Marcela. – Wiesz, czym zajmuje się Pułkownik, prawda?

– Dragi, handel bronią...

– Dragi. To główny temat. Z narkotyków jest największa kasa, a Pułkownik to największy odbiorca na terenie Łodzi i okolic. Sprawdziliśmy. Trzyma wszystkich w garści. Policja ma go na muszce, ale brakuje jej dowodów, dzięki którym można by go posadzić.

– Raz siedział.

– Odsiedział i wyszedł, żeby robić to samo, ale znacznie ostrożniej. Posłuchaj, prawda jest taka, że każdy gram amfy lub koki w tym mieście wychodzi od Pułkownika. Opanował teren, rozumiesz?

Marcel skinął głową.

– Policja łapie płotki, którym Pułkownik płaci za milczenie – ciągnął Tymon. – Nikt go nie wydał. Dostają kasę i pewnie się boją. Wiedzą, że jeśli puszczą parę z gęby, po wyjściu będą mieli przesrane. Zresztą wcale bym się nie zdziwił, gdyby gość miał w garści też kilku gliniarzy. Nikogo nie oskarżam. Nie mam dowodów. To nie są lata dziewięćdziesiąte,

kiedy mafie hulają po mieście, ale różnie może być. Jeśli człowiek potrzebuje pieniędzy, jest gotowy na wiele.

– Chyba nie sugerujesz, że Lena...

– Zwariowałaś? Po każdym mógłbym się tego spodziewać, ale nie po niej.

Wolski przyznał mu rację. Nie posądzał Leny o takie układy z gangsterami, ale gdzieś w środku tliła się wątpliwość.

Bo jeśli nie przeszła na drugą stronę, dlaczego spotykała się z policjantem z wydziału narkotykowego? I z Pułkownikiem? Robocza teoria, jaką wydedukował, była dość pokrętna. Sądził, że Rudnicka przekazuje Pułkownikowi informacje, może dotyczące tego, jak wiele policja wie na jego temat, ale nie miał dowodu na potwierdzenie tych przypuszczeń.

– Jasne, Lena ma talent do pakowania się w gówno – powiedział Milewski. – Chcesz mojej rady?

– Tak?

– Ona mnie zabije, jeśli ci powiem.

– Co mi powiesz?

Tymon wstał i zakręcił się wokół własnej osi.

– Spróbuj pogrzebać w jej przeszłości, a wtedy zrozumiesz, co łączy ją z Pułkownikiem. Tyle ci mogę powiedzieć. Resztę musisz zrobić sam.

16

Marcel dostał informację piętnaście minut po tym, jak mężczyzna w czarnym płaszczu umieścił nieprzytomną Lenę Rudnicką na tylnym siedzeniu samochodu i odjechał w nieznanym kierunku. Sierżant błyskawicznie zawrócił i popędził do domu Zofii Krantz. Na zewnątrz zapadał już zmierzch.

Jaguar Rudnickiej stał zaparkowany na poboczu. Wewnątrz była paczka papierosów, kilka opakowań po kawie na wynos i parasol, którego Lena chyba nigdy nie używała, a przynajmniej Wolski ani razu nie widział, by trzymała go w dłoni. Zajrzał do samochodowego schowka, a Liz krzyknęła, by zrobił to ostrożnie, bo ona jeszcze nie zdążyła tam sprawdzić. W schowku znalazł trzy opakowania oxycontin. Zaklął pod nosem, spojrzał w stronę technik, która była zajęta szukaniem śladów na posesji. Schował lekarstwa do kieszeni kurtki.

Podszedł do stojącej na ganku Kaśki Krantz.

– Na pewno nikogo pani nie widziała?

Kaśka pokręciła przecząco głową. Cała drżała pod polarowym kocem. Wyglądała na przerażoną i winną zniknięcia komisarz. Nerwowo zaciskała wargi.

– Miała za chwilę wrócić – wyjaśniła. – Ja zajęłam się szukaniem...

– Szukaniem czego?

– Pani komisarz zauważyła, że ktoś był w naszym domu. Kazała mi sprawdzić, czy nic nie zginęło.

– A zginęło?

– Raczej nie, ale rzadko bywam u matki i nawet gdyby zniknęło, raczej bym tego nie zauważyła.

Wolski kiwnął głową na znak, że rozumie sytuację. Wyciągnął papierosa, zapalił jednego, wodząc wzrokiem po okolicy.

– Czyli możemy założyć, że jednak zniknęło – powiedział. – Może bał się, że Lena coś odkryje, i postanowił interweniować.

– To znaczy, co się stało z panią komisarz?

Wolski ocknął się, uświadomiwszy sobie, że głośno myślał.

– Przydzielimy pani ochronę – odparł. – Na wszelki wypadek.

– Nie potrzebuję ochrony. Przecież nic nie wiem.

– Jest pani w niebezpieczeństwie.

Zignorował protesty Krantzówny i podszedł do Dawida Cajmera, który palił papierosa oparty o maskę radiowozu. Wyjaśnił podkomisarzowi, dlaczego Kaśka potrzebuje ochrony.

– Popierdoliło cię? – warknął Cajmer. – Niby z jakiego powodu miałbym jej dawać ochronę?

– Ta dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Musimy jej kogoś przydzielić. Lena zaginęła, powinniśmy więc założyć, że...

– Stop! – Cajmer uniósł dłoń. – Skąd pewność, że Rudnicka zaginęła? Może po prostu poszła na spacer, co?

I uśmiechnął się w taki sposób, że Marcel poczuł do niego odrazę.

– Nie robiłbym z tego wielkiej sprawy – dodał podkomisarz. – Zniknęła, to się znajdzie. Poza tym radziłem, żeby nie wtykała nosa w tę sprawę, bo to się może źle skończyć. Jak widzisz, znowu nie posłuchała.

– Technicy muszą zdjąć odcisk buta.

– W domu nie ma żadnego odcisku buta – uciął Cajmer. – To tylko piasek.

Wolski zacisnął dłonie pięści.

– Pod domem niby są jakieś ślady – dodał podkomisarz. – Może z tego uda się coś wykrobać, ale nie liczyłbym na to. Moim zdaniem Rudnicka dała nogę i tyle.

– A to?

Policjanci odwrócili się. Technik Krajewska stała przed nimi z czarnym przedmiotem w dłoni. Marcel zorientował się, że patrzy na telefon Leny. Przeniósł wzrok na Cajmera, jakby chciał powiedzieć: a nie mówiłem? Na podkomisarzu znalezisko nie zrobiło wrażenia.

Półtorej godziny później, po wypiciu czterech mocnych kaw, Marcel usiadł w gabinecie Leny. Zapalił lampkę. Dochodziła dziewiętnasta. Komenda opustoszała, ucichł gwar

rozmów. Idealny czas na realizację jego planu powziętego u Tymona. Zamierzał pogrzebać w przeszłości Leny Rudnickiej.

Długo się wahał. Wiedział, że jeśli ona się dowie, będzie wściekła. Wiedział również, że być może to jedyny sposób, by ją odnaleźć. Bóg jeden wie, gdzie teraz jest, czy nic jej się nie stało. Ponieważ zakładał dwie wersje wydarzeń, musiał się upewnić, która jest bardziej prawdopodobna. Lena niewiele mówiła o swojej przeszłości, właściwie tyle co nic.

Uruchomił komputer i otworzył wewnętrzną sieć.

17

Małgorzata Bukowska schowała twarz w dłoniach. Tarła oczy tak mocno, że zaczęły łzawić. Czuła się bardzo źle. Jej stan psychiczny pogarszał się z każdą godziną. Traciła nadzieję, że wyjdzie z tego żywa.

Szukała na ziemi czegoś, czym mogłaby ogłuszyć porywacza. Postanowiła się stąd wydostać. Kiedy go ogłuszy, zostanie jej raptem kilka sekund na ucieczkę. Pomysł był ryzykowny, bo nie wiedziała, czy znajdzie w sobie dość siły, by uderzyć tego typu. Musiała jednak spróbować.

Podobnie czuł się mężczyzna, który ją więził. Siedział w samochodzie za kierownicą i zapatrzył się na pola ciągnące się aż po horyzont. Od kilkunastu minut stał przed budynkiem, ale jeszcze nie zdobył się na to, by wysiąść z samochodu. Uleciała z niego cała energia. Jakby ktoś wyjął mu baterie.

Sprawy wymykały się spod kontroli, a to zły znak. Na szczęście dopóki wiedział o tym tylko on, miał szansę coś na to zaradzić. Policja nie może się dowiedzieć, że zaczął popełniać błędy, bo to zniszczyłoby jego wizerunek, na który tak długo pracował. Wiadomość, że policjantka prowadząca sprawę została odsunięta od śledztwa, nieco go pocieszyła, ale z drugiej strony zabawa z Cajmerem to już nie to samo. Podkomisarz nie należał do zbyt lotnych gliniarzy. Ten kretyn jest przekonany, że Artur Dunaj to seryjny morderca. Co za brednie! Oczywiście to jego sprawa. Mężczyzna skierował podejrzenia na młodego Dunaja, ale nie sądził, że pójdzie tak gładko. Numer z filmem był naprawdę niezły. Trochę ryzykowny, ale najważniejsze, że się udało. Wystarczyło otworzyć wytrychem drzwi do mieszkania Artura, zapalić światło i pobiec na parking. Młody Dunaj oczywiście zawrócił do mieszkania, a wtedy on podmienił pendrive'a.

I teraz gliniarze myślą, że ujęli mordercę. Świetnie. Wszystko idzie zgodnie z planem.

18

Marcel siedział przy biurku Leny Rudnickiej i wpatrywał się w ekran komputera. Miał poczucie winy, ale gdyby postąpił inaczej, ta sprawa nie dałaby mu spokoju.

Pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów. Zapalił i przysunął spodek od filiżanki, którego użył jako popielniczki. Palił nerwowo, myśląc o tym, gdzie podziewa się Lena. Miał nadzieję, że wszystko z nią w porządku, chociaż okoliczności jej porwania nie były optymistyczne. Jeśli to Trzynaście ją porwał...

Wolski potrząsnął głową i zgasił papierosa. Pora wziąć się do pracy. Nie miał pomysłu, od czego zacząć, wpisał więc nazwisko komisarz i przeszedł wzrokiem wynik.

Magdalena Rudnicka urodzona w roku osiemdziesiątym trzecim, ukończyła psychologię na Uniwersytecie Łódzkim w wieku lat dwudziestu trzech, nic nowego. Wspominała kiedyś, że poszła do szkoły rok wcześniej. Czytał dalej. Kariera w policji przebiegała szybko i Lena w młodym wieku uzyskała stopień komisarza policji, który tak bardzo uwierał wielu kolegów z komendy.

Marcel sięgnął po kubek z kawą, upił łyk i zagłębił się w lekturze. Z każdym przeczytanym słowem czuł, jak na jego twarz występują coraz mocniejsze wypieki.

Magdalena Rudnicka, córka Seweryna Zalewskiego i Barbary Zalewskiej (z domu Rudnickiej), w dziewięćdziesiątym piątym roku trafiła do domu dziecka. Szybko została z niego zabrana przez kogoś z rodziny.

Poczuł, że znowu musi zapalić. Położył paczkę na biurku i zapalił kolejnego papierosa, a czując suchość w ustach, popił kawą. Lena była w domu dziecka. Dlaczego? Co się wydarzyło w jej rodzinie, że trafiła w takie okropne miejsce? Marcel wstał i przeszedł się po pokoju, usiłując zebrać myśli. Lena była specyficzną osobą. Niektórzy powiedzieliby, że ma trudny charakter, lecz zdaniem Marcela była po prostu zamknięta w sobie. Usiadł z powrotem przy biurku, strząsnął popiół na spodek i spojrzał na ekran.

Matka Leny, Barbara, pochodziła z inteligenckiej rodziny. Rodzice pracowali na uczelni jako wykładowcy. Ojciec zajmował się również tłumaczeniami z niemieckiego. Więcej informacji na temat Barbary nie znalazł, przeszedł więc do ojca.

Seweryn Zalewski, były policjant w stopniu aspiranta, odszedł ze służby w dziewięćdziesiątym piątym roku na wcześniejszą emeryturę. Jego kariera była niezbyt błyskotliwa. Według policyjnej bazy nie zasłynął niczym szczególnym, a ostatnią sprawą, jaką prowadził, było poszukiwanie uprowadzonego nastolatka. Podczas pościgu wraz z partnerem otworzyli ogień. Rozpętała się strzelanina. Jeden z nich zginął.

Marcel uświadomił sobie, że już słyszał o podobnej sprawie. Uruchomił przeglądarkę, wklepał hasło i kliknął w pierwszy wynik. Przebiegł wzrokiem tekst, czując, jak dłonie lepią mu się od potu. To była głośna sprawa. Porywacze uciekali z nastolatkiem, policjanci otworzyli ogień. Podczas strzelaniny zginął partner Zalewskiego. Ale nie to było najważniejsze. Gdy Marcel przyjrzał się zdjęciu aspiranta Zalewskiego, z wrażenia aż wstrzymał oddech. Ojciec Leny wyglądał jak klon Pułkownika.

Nie, to nie może być prawda. Wolski pokręcił głową. Dostrzegł, że papieros przygasł między jego palcami. Rzucił go na spodek i zapalił kolejnego. Wpisał w wyszukiwarkę dane ojca Leny. Po chwili miał w głowie kompletny mętlik. Poczuł, że musi odetchnąć

świeżym powietrzem, wyjść na chwilę na dwór i ostudzić umysł, ale nie był w stanie oderwać się od komputera.

Według policyjnej bazy Seweryn Zalewski odsiadywał wyrok dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności. Wolski sądził, że zagłębienie się w przeszłość Leny sprawi, że kilka puzzli wskoczy na swoje miejsce, ale teraz miał wrażenie, że wszystkie elementy się rozsypały. Dlaczego Pułkownik wygląda jak ojciec Leny? To niemożliwe, by Seweryn Zalewski i Pułkownik byli tą samą osobą, skoro Zalewski jest w więzieniu, a Pułkownik na wolności. Nagle w głowie Marcela coś przeskoczyło. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Wrzucił Pułkownika do bazy i otrzymał wynik wyjaśniający wszystko.

W rzeczywistości Pułkownik nazywał się Jerzy Zalewski. Marcel nagle dostrzegł różnice między mężczyznami. Pułkownik był lepiej zbudowany, nadałby się na bramkarza w jakimś klubie. Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że lepiej z nim nie zadzierać. Ojciec Leny był drobniejszy, choć podobny. Marcel porównał ich daty urodzenia. Wyglądało na to, że aspirant Zalewski jest bratem bliźniakiem Pułkownika.

Czyli Pułkownik jest wujkiem Leny.

A więc to miał na myśli Tymon, mówiąc, by Marcel sprawdził Lenę. Wiedział, że Pułkownika i Lenę łączą więzy krwi.

Marcel opadł na oparcie, czując, że od nadmiaru informacji rozboleła go głowa. Potarł podbródek. Przecież nie mógł powiedzieć Lenie wprost. Wściekłaby się. Miał ochotę zadzwonić do Tymona, ale się zmytygował. Nie powinien zawracać Milewskiemu głowy. On miał własne problemy.

Odetchnął głęboko i nachylił się do komputera, kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Lepiej, aby nikt się nie dowiedział, że grzebał w komputerze Rudnickiej. Zamierzał sprawdzić jeszcze jedno, ale postanowił z tym poczekać. I tak sporo się dowiedział.

Zamknął komputer, chwycił kurtkę i wyszedł z komendy.

19

Lena rozwarła powieki. Ujrzała niewielką beczułkę z gęstym, zielonym płynem, konsystencją przypominającym syrop. Beczułka bujała się raz w prawo, raz w lewo, a potem w przód i w tył. Lena poczuła intensywny zapach eukaliptusa. Beczułka znowu się bujnęła, a wtedy Lena zdała sobie sprawę, że to zawieszony na lusterku zapach do samochodu.

– Księżniczka się obudziła, hę?

Człowiek, który wypowiedział te słowa, siedział tuż obok, ręce trzymał na kierownicy i wpatrywał się w czerń za szybą. Musieli znacznie oddalić się od miasta, bo wokół próżno było szukać ulicznych lamp.

– Sorry – rzucił. – Nie chciałem cię tak mocno rąbnąć. Ostatnio chodzę na siłkę i nabrałem pary w łapie.

– Co ty nie powiesz? – mruknęła, dotykając czoła. Pod palcami wyczuła rosnący guz.

Nie wyglądał na gościa z „parą w łapie”. Miał co najwyżej dwadzieścia pięć lat i był strasznie chudy. Policzki miał zapadnięte, oczy podkrążone. Spod czarnego płaszcza wystawała bluza z logo lokalnej drużyny piłkarskiej, sprawiająca wrażenie za dużej o co najmniej dwa rozmiary.

– Kibic? – spytała z przekąsem.

Uśmiechnął się szeroko i uderzył pięścią w klatkę piersiową.

– W moim sercu tylko Widzew Łódź.

– Jasne – odburknęła.

Jechali teraz polną drogą. Pod kołami chrzęścił żwir. W przedniej szybie zamigotały światła. Willa Pułkownika, uświadomiła sobie Lena, ponaddwustumetrowa rezydencja za miastem. Pilnowana przez strażników, naszpikowana kamerami i czujnikami. Była tutaj tylko raz.

Ochroniarz przy bramie zajrzał do samochodu. Na widok chłopaka za kierownicą uśmiechnął się, skinął głową i puścił ich dalej. Wzdłuż podjazdu rosły młode klony o cienkich, gołych pniach i liściach uformowanych w zgrabne kule. Samochód się zatrzymał. Chłopak wysiadł, a Lena za nim. Dopiero teraz się zorientowała, że jej kabura jest pusta. Sukinsyn zabrał jej broń.

– Chodźmy – ponaglił. – Szef czeka.

Bez glocka czuła się jak bez ręki. Ale dała spokój z pretensjami, bo teraz i tak nie oddaliby jej pistoletu.

Dom był ogromny. Urządzony z przepychem, na jaki stać tylko barona mafii narkotykowej. Mosiężne wykończenia, marmurowe podłogi, fortepian w rogu salonu, na którym – jak przypuszczała Lena – nikt nie gra, chyba że po pijaku, dla zgrywy, podczas cotygodniowej imprezy organizowanej przez gospodarza.

Pułkownik stał przy oknie ze splecionymi z tyłu dłońmi. Miał na sobie opięty golf, podkreślający potężną sylwetkę. Na widok Rudnickiej się uśmiechnął.

– Wreszcie się widzimy – rzekł. – Długo każesz na siebie czekać, złotko.

– Twój goryl rąbnął mnie w głowę.

– A więc już się poznaliście? – Klasnął w dłonie. – Skaut dopiero się uczy fachu. Dostaje, takie wiesz, proste zlecenia, co nie, młody? Bystry jest. – Wskazał na chłopaka. – Ale musi trochę przypakować. Nie potrzebuję chuderlaków, tylko silnych chłopów. W tej robocie trzeba być silnym i twardym.

Skaut spuchł z dumy, niczym piesek, który dostał pochwałę od właściciela.

– Spisałeś się. – Pułkownik klepnął go po plecach.

– Zgodnie z rozkazem. Gliniarka w całości. Włos jej z głowy nie spadł, jak szef kazał, tak zrobiłem.

– Dobrze. – Pułkownik przeniósł wzrok na Lenę. – Z tej pięknej główki nie powinien spaść ani jeden włos.

– Możemy skończyć to pierdolenie? Po chuj kazałeś mnie tu przywieźć?

Pułkownik zasiadł w głębokim, skórzanym fotelu. Dłonie złożył jak do modlitwy.

– Mieliśmy umowę – rzekł. – A ty jej nie dotrzymałaś. Pomogłem ci, kiedy potrzebowałaś pomocy. Kultura wymaga, by się odwdzińczyć. Tak jest skonstruowany ten świat, złotko.

– Dotrzymam umowy – odparła. – Potrzebuję więcej czasu.

– Miałaś go aż nadto. Zegar tyka. Umowa to umowa.

Rudnicka zagryzła wargi. To prawda – miała umowę z Pułkownikiem. Pomógł jej odzyskać zgubioną broń Marcela. Jakiś czas temu ten dureń zgubił służbowego glocka, a Pułkownik był jedyną osobą, która mogła się dowiedzieć, czy pistolet trafił na czarny rynek. Rudnicka była mu winna przysługę. Wiedziała, że Pułkownik nie odpuści i odezwie się w odpowiednim momencie.

Kilka tygodni temu poprosił o spotkanie. Dostał od kogoś cynk, że gliny zasadzają się na jego kolejny transport kokainy do kraju.

– Kurewsko duży transport – podkreślił, by oddać powagę sytuacji. – Taki, że jak jebnie, mogę spierdalać na Wybrzeże Kości Słoniowej. Ktoś się wysypał. Mam w szeregach kreta albo konkurencja puściła plotkę, że gliniarze mają mnie na celowniku. Wcale bym się nie dziwił. Tak czy inaczej, transportu nie mogę wstrzymać. Próbowałem, ale sprawy zaszły za daleko. Jest taki człowiek, który bardzo by się wkurwił, gdybym zmienił plany. A zresztą, złotko, tym się nie interesuj. Umiem zadbać o swoje sprawy. Ty masz się dowiedzieć, czy gliny rzeczywiście szykują się na mnie, czy wiedzą coś na temat tej dostawy. Robisz w tej firmie, rusz makówką, posmaruj komu trzeba i załatw sprawę, jak należy.

Sprawa miała dla Pułkownika ogromne znaczenie, ponieważ mógł stracić dużo, bardzo dużo pieniędzy. Lena szybko porozmawiała z kim trzeba i dowiedziała się, że policja nie ma bladego pojęcia o transporcie, o który martwił się Pułkownik. Wystarczyło przekazać mu radosną nowinę i wszyscy rozeszliby się w zgodzie.

– Potrzebuję więcej czasu – powtórzyła.

– Na co? – zapytał Pułkownik podejrzliwie.

– Przypuszczam, że twoja wiedza dotycząca roboty w policji pozostawia wiele do życzenia – burknęła. – Myślisz, że policja to jakaś pieprzona organizacja charytatywna, że mogę pójść do chłopaków z narkotykowego i spytać: hej, nad czym teraz pracujecie? Ojej, nie możecie mi powiedzieć? To wiedza operacyjna? No co wy mówicie, nie miałam pojęcia, że to tajne informacje! – Rudnicka wsunęła dłonie w kieszenie džinsów. – Sądzisz, że oni nie wiedzą, kim jestem, wujaszku?

Pułkownik spojrział na nią spod gęstych brwi i mlasnął przeciągle.

– Ile czasu potrzebujesz? – spytał.

– Nie wiem, mam...

– Góra tydzień – przerwał jej. – Ani dnia więcej. Jeśli się spóźnisz, a ja nie zdążę dojechać na Bahamy, zabiję cię.

Rudnicka wolała nie wiedzieć, czy Pułkownik byłby w stanie spełnić swoją groźbę. Pokiwała głową. To trochę komplikowało plany, ale pomyślała, że prawdopodobnie dałaby radę spiąć wszystko w tydzień. Pułkownik był dziwnie nerwowy. Dawno nie widziała, by aż tak się przejął działaniami policji. Widocznie pieniądze, jakie miał zarobić na tym transporcie, były naprawdę duże.

– Zadzwoń za parę dni i dam znać, jak mi poszło – obiecała.

– Nie. Zadzwoń za trzy dni. Nie mogę dłużej czekać. Muszę mieć informacje jak najszybciej. – Machnął na stojącego nieopodal Skauta. Chłopak wyjął glocka zza paska i podał Lenie, a drugą ręką pogrzebał w kieszeni i dorzucił naboje.

– Następnym razem tego nie rób – uprzedziła. – Nieładnie bawić się czyjąś bronią, smarkaczu.

Skaut bez słowa odprowadził ją do wyjścia.

20

Marcel wyjął z lodówki puszkę schłodzonego piwa i usiadł w fotelu. Pociągnął zawleczkę i włączył telewizor, na dwudziestym trzecim kanale puszczała jakiś teleturniej. Prezenter z uśmiechem zagrzewał uczestników do zabawy. Gra polegała na kręceniu kołem i odgadywaniu haseł. Zerknął na zestaw liter, pokręcił głową z niedowierzaniem i przełączył na kanał muzyczny. Odłożył pilota i pociągnął łyk piwa, wpatrując się tępo w migający ekran, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wstał z ociąganiem. Nie spodziewał się gości, ale pomyślał, że wpadła Liz, która nie lubiła przekazywać informacji przez telefon. Zanim jednak zdążył dojść do drzwi, ktoś pchnął je tak mocno, że odbiły się od ściany.

– Co tak śmierdzi? – spytała Rudnicka z grymasem obrzydzenia.

Kawalerka Marcela była urządzona bardzo skromnie. Materac rzucony na podłogę, trzydziestodwucalowy telewizor i fotel z podnóżkiem, tylko tyle zmieściło się na tej niewielkiej przestrzeni. Kiedy była tutaj ostatnio, czyli kilka miesięcy temu, pod ścianą piętrzyły się nierozpakowane pudła. Wciąż nic się nie zmieniło.

– Przypaliłem zapiekanekę – wyjaśnił, wpuszczając ją do środka. – Co się z tobą działo? – zapytał zbity z tropu. – Zniknęłaś. Wszyscy cię szukają. Zawiadomię Liz, żeby jesteś cała i zdrowa.

Sięgnął po komórkę, ale Rudnicka była szybsza. Wyrwała mu telefon i odłożyła na kuchenny blat.

– Na razie nie wyprowadzajmy ich z błędu – powiedziała. – Masz piwo?

– W lodówce.

Rudnicka wyjęła zielonego lecha. Zapalniczką podważyła kapsel i upiła łyk. Wolski przyglądał się jej podejrzliwie.

– Co się stało? – Rozłożył bezradnie ręce.

– Powiedzmy, że musiałam coś załatwić.

– Co takiego?

– Nic, czym powinienes zaprzętać sobie głowę.

– Zniknęłaś.

– Zwał, jak zwał.

– Wcale nie. Nie wzięłaś samochodu, a Liz znalazła twój telefon, więc nie w mówisz mi, że nagle przypomniałaś sobie o jakiejś niecierpiącej zwłoki sprawie, którą poszłaś załatwić piechotą, a w międzyczasie rzuciłaś telefon w krzaki przy domu Zofii Krantz.

– Cudownie, że macie mój telefon. Dałam za niego kupę forsy. Trochę szkoda byłoby go stracić.

– Daj spokój, Lena. To wcale nie jest zabawne.

Na twarzy Rudnickiej pojawił się zdawkowy uśmiech. Wolski dostrzegł guza na jej czole.

– Ktoś cię uderzył? – spytał.

– Przewróciłam się.

Usiadła w fotelu, zgarnęła pilota i zajęła się przełączaniem kanałów. Robiła to mechanicznie, jakby znajdowała się w innym świecie. Wolski obserwował ją przez chwilę, po czym wyjął z jej rąk pilota, wyłączył telewizor i usiadł naprzeciwko, na materacu.

– Czy twoje zniknięcie ma związek z Trzynaście? – zapytał. – To on cię porwał?

– Skąd pewność, że ktoś mnie porwał?

– Już mówiłem. Gdybyś chciała coś załatwić, wzięłabyś samochód.

Rudnicka nie chciała wtajemniczać Wolskiego w sprawę między nią a Pułkownikiem. Lepiej, żeby trzymał się od tego z daleka. Tak będzie bezpieczniej i dla niego, i dla niej. Marcel miał jednak paskudną cechę – był wścibski i wtykał nos w nie swoje sprawy. Lena była pewna, że dopóki sierżant nie pozna prawdy, nie odpuści.

– Martwiłem się – ciągnął. – Sądziłem, że za twoim zniknięciem stoi Trzynaście.

– To nie miało z nim związku. Zadowolony? – Podrapała się w skroń. – Chociaż w sumie szkoda, bo gdyby ten świr mnie porwał, może udałoby mi się go złapać.

– Gdyby cię porwał, raczej nie miałabyś takiej szansy.

– Może i tak, ale nie mogę znieść myśli, że ten gnój wciąż chodzi wolny i w każdej chwili może znowu zabić. Będzie mordował, dopóki go nie złapiemy.

– Myślałem trochę o całej sprawie.

– Mhm?

– Moim zdaniem zaczął popełniać błędy.

– To już wiemy.

– Może nie chciał zabijać ponownie, ale został do tego zmuszony. – Wolski napił się piwa. – Sprawy wymknęły mu się spod kontroli.

– To znaczy?

– Angelika wróciła wbrew zaleceniom Dunaja. Sądzę, że Krantz zagrażała Trzynaście, dlatego postanowił ją usunąć. Potem sprawy idą lawinowo. Trzynaście otrzymuje informacje o ruchach Dunaja, wie o jego rozmowach z policją, więc postanawia go nastraszyć i zabija jego matkę. To było ostrzeżenie. Jeśli Dunaj nadal będzie z nami rozmawiać, następny w kolejce jest jego syn.

– To ma sens. Ale co z Zofią Krantz? Jestem pewna, że ktoś się do niej włamał. – Nagle oczy Leny pociemniały. – Kaśka mówiła, że Zofia wygadywała różne bzdury przed wypadkiem. Mówiła na przykład, że kontaktowała się z nią Angelika. Kaśka nie chciała w to uwierzyć, ale może właśnie o to chodziło?

– Nie rozumiem?

– Może komuś, kto włamał się do Zofii, chodziło o to, żeby się jej pozbyć.

Lena wstała i z butelką piwa w dłoni przeszła się po pokoju. Marcel obserwował ją, myśląc o tym, że lepszego momentu nie będzie. Postanowił zmienić temat. Zaryzykować.

– Dlaczego do mnie przyszedłeś? – zapytał.

– Mam sobie iść?

– Skąd! Pytam, dlaczego nie pojechałeś do domu? Twój mąż pewnie odchodzi od zmysłów.

– Nie sądzę.

– Myślę, że masz kłopoty.

– O nie, a ty znowu swoje.

– Skoro nie chodzi o Trzynaście, to jest tylko jedna osoba, która może przysparzać kłopotów. Pułkownik. Mam rację?

Rudnicka westchnęła przeciągle, nie mając pojęcia, do czego zmierza ta rozmowa. Może gdyby wiedziała, zdążyłaby uciec.

– Posłuchaj... – Wolski wstał. – Nie chcę, żebyś się na mnie wściekała. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie oprócz tego, że zwyczajnie się o ciebie martwiłem. Pomyślałem, że...

– Do czego zmierzasz? Dziwnie brzmisz.

– Pułkownik jest twoją rodziną, prawda?

Lena opuściła rękę z piwem i wpatrywała się w Wolskiego beznamiętnym wzrokiem. Z jej twarzy trudno było wyczytać, czy jest wściekła czy zdumiona. Podeszła do stolika po paczkę papierosów, wyjęła jednego i zapaliła, siadając w fotelu. Milczała długą chwilę.

– Ależ z ciebie cholerny dupek – mruknęła.

– Masz prawo być zła.

– Sprawdzałeś mnie? Czego szukałeś? Czego chciałeś się dowiedzieć?

– Po prostu...

– Nie pomyślałeś, że mógłbyś mnie zapytać? Myślałam, że jesteśmy kumplami, a ty, zamiast przyjść do mnie, wrzuciłeś mnie na bęben. Przyjaciele tak nie robią.

Wolski spuścił wzrok. Miała rację.

– Nie ukrywałam swojej przeszłości – odezwała się. – Po prostu nie ma się czym chwalić. Ty nie pytałeś, więc ja nie mówiłam. Moja przeszłość nie napawa mnie dumą.

– Przepraszam. Masz rację. Ale pomyślałem, że znowu spuścisz mnie na drzewo.

– Mogło tak być.

Sięgnęła po piwo i upiła łyk. Zdusiła papierosa w popielniczce.

– Proszę – powiedziała. – Pochwal się, czego się dowiedziałeś.

– Daj spokój. Wystarczająco mi głupio. Ale... Spotykałaś się z Pułkownikiem. Wiem, że to był on. Bałem się, że wpakowałaś się w jakieś kłopoty. Musiałem jakoś zacząć działać.

Uwierzyła Marcelowi. Naprawdę się o nią martwił. Nie lubiła grzebać w przeszłości, ale uznała, że jest mu winna wyjaśnienie. Złość szybko minęła. Nie powinien jej sprawdzać, ale miał prawo przypuszczać, że nie będzie z nim chciała o tym rozmawiać. Wycieczki w przeszłość sprawiały jej ból. Dlatego go zbywała.

– Dobrze – powiedziała. – Pułkownik jest moją rodziną.

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz.

– Sam zacząłeś.

– Wiem, ale...

– Pułkownik jest bratem mojego ojca.

Marcel zagryzł wargę. Nie wiedział, w jaki sposób rozegrać tę rozmowę. Nie chciał sprawiać jej przykrości.

– Twój ojciec... – zaczął z lekkim wahaniem w głosie. – Słyszałem o tej sprawie, ale nie miałem pojęcia, że dotyczyła twojego ojca.

– O jakiej sprawie mówisz?

– O pościgu za uprowadzonym nastolatkiem.

– Ach, o tym.

– Nie wiedziałem, że to twój ojciec. Macie różne nazwiska.

– Zmieniłam na panińskie mojej matki.

Przypomniała sobie dzień, w którym zmieniła nazwisko. Długo na to czekała. Nienawidziła swojego ojca. Był potworem. Nie chciała nosić nazwiska potwora.

– Magdalena Zalewska nie brzmiało dobrze – dodała z wymuszonym uśmiechem.

– Czemu zmieniłaś nazwisko? Przecież wypadek i śmierć partnera to nie była wina twojego ojca.

– Chyba nie zrobiłeś dobrego rozeznania.

– To znaczy?

Lena wzięła głęboki wdech.

– Ojciec nie zawsze był zły, ale zmienił się, gdy przeszedł do cywila, niedługo po śmierci partnera. Obwiniął się. I chyba poczucie winy sprawiło, że stał się tym, kim się stał.

Odwalilo mu. Długo się ciskał, nie wiedział, co z sobą zrobić. Nie miał żadnego hobby, żadnej pasji, której mógł się poświęcić, więc nagle stał się bezużyteczny. Snuł się po domu, szukając zajęcia, a potem sobie znalazł. Wódkę. Uznał, że to świetny sposób spędzania wolnego czasu, którego miał w nadmiarze. Może gdyby chodziło tylko o alkohol, nie byłoby tak źle. – Lena opróżniła butelkę piwa. Marcel wyciągnął z lodówki kolejne i jej podał. Podziękowała skinieniem głowy. – Zamienił nasze życie w horror. Mówię poważnie, Marcel. Najgorszemu wrogowi nie życzę czegoś takiego.

– Przemoc?

– Mnie i mojej siostry nie bił, ale wyżywał się na matce. Miałam wrażenie, że po odejściu z pracy zwyczajnie ją znienawidził. Wprawdzie wcześniej nie byli idealną parą, kłócili się, ale chyba naprawdę się kochali. Zresztą, odkąd sięgam pamięcią, ojciec rzadko bywał w domu. Kiedy pracował, często spotykał się z wysoko postawionymi ludźmi, pił z partyjniakami albo po prostu chodził na piwo z kolegami. Wpadał późnym wieczorem, żeby się przespać, i wychodził z samego rana. Matka to tolerowała, bo nie miała innego wyjścia. Wkurzała się o to, ale chyba oboje przywykli do takiej sytuacji. Pomyśl więc, jak musieli się czuć, kiedy ojciec siedział całymi dniami w domu... – Pokręciła głową. – Był dobrym gliną. Może nie najlepszym, ale był dobrym śledczym. A do tego wiedział, gdzie się zakręcić, komu postawić wódkę. W PRL-u tak to właśnie wyglądało. Dzięki ojcu w domu niczego nie brakowało. Matka była twardą babką. Umiała o sobie zadbać i miała własne zdanie, a ludzie ją szanowali. Wszyscy oprócz własnego męża. W gruncie rzeczy żyłyśmy w trójkę – ja, moja siostra i matka. Potem, gdy ojciec odszedł ze służby, zmienił nasze życie w piekło. Tak bardzo znienawidził własną żonę, że... – Lena spojrzała w bok. – Że wreszcie ją zabił.

Marcel siedział nieruchomo, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Elementy układanki wskoczyły na właściwe miejsce. Gdy przeglądał policyjną bazę, był tak podekscytowany, że zapomniał sprawdzić, za co Zalewski trafił do więzienia. Teraz zrozumiał.

– Nie musimy o tym rozmawiać – szepnęła.

– Nie musimy.

Lena uśmiechnęła się, a Wolski pomyślał, że nigdy nie widział smutniejszego uśmiechu. Chciał ją przytulić, ale obawiał się, że źle odbierze ten gest. Usiadł więc naprzeciwko.

– Kilkanaście ciosów nożem – powiedziała Lena. – Sukinsyn zadźgał moją matkę. Wpadł w pijacki szal i ją zabił.

– Siedzi w więzieniu.

– Aha – przytaknęła. – Potem wszystkiego się wyparł. Bydlak myślał, że jak ma znajomości, to uda mu się wywinąć. Przed sądem twierdził, że jest niewinny. Ale ja tam byłam, Marcel. – Spojrzała na niego. – Widziałam martwą matkę. Stał nad nią z zakrwawionym nożem.

Marcel uświadomił sobie, jak bardzo ten widok wpłynął na życie Leny, i zrozumiał, dlaczego jest tak zamknięta w sobie. Sprawia wrażenie wyzutej z emocji, ale jak ma

tryskać radością, skoro jako dziecko widziała własnego ojca chwilę po tym, jak zamordował jej matkę.

– Dostał dwadzieścia pięć lat? – zapytał Wolski.

– Może posmarował sędziemu i dlatego nie dali mu najwyższej kary. Kto wie?

Marcel zapalił papierosa.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział ściszym głosem. – Nie mogę uwierzyć w to, jak wiele przeszłaś.

– Bywa. Każdemu mogło się zdarzyć, prawda?

– A ty i twoja siostra? Trafiłyście do domu dziecka?

– Paskudne miejsce. Krótco tam byliśmy, ale sporo się tam nauczyłam.

– Trudno mi sobie wyobrazić, co czułaś. Byłaś jeszcze dzieckiem.

– Wzięła nas do siebie ciotka od strony matki. Chyba czuła się w obowiązku, by się nami zająć. Pobytu u niej nie wspominam dobrze, ale było lepiej niż w bidulu. Chociaż ciotunia to straszna flądra.

– A co z twoją siostrą?

– W życiu radzi sobie całkiem nieźle. Może nawet lepiej ode mnie. – Przygryzła wargę. – Ona nie uwierzyła w winę ojca. Była taka naiwna... Kiedy to się stało, byliśmy na dworze. Kiedy rodzice się kłócili, wychodziłyśmy na podwórko. Tamtego dnia awantura była naprawdę potężna. Chyba chodziło o jakiegoś faceta. Nie jestem pewna, ale może matka miała kochankę? Nie zdziwiłoby mnie to. Byłyśmy na podwórku, ale okazało się, że nie wzięłyśmy piłki. Krzyki ucichły, więc wróciłam do domu i wtedy go zobaczyłam. – Lena odetchnęła głęboko. – Ona... Mama... leżała na podłodze, bezwładnie jak kukła, wokół było pełno krwi. A on stał nad nią. Zobaczyłam w jego oczach przerażenie, jakby dotarło do niego, co zrobił. Na mój widok odrzucił nóż i zaczął ją reanimować, ale już nie żyła. Nie miało to sensu.

– A co z siostrą?

– Była na podwórku. Nie pozwoliłam, by weszła do środka. Chciałam oszczędzić jej tego widoku. Wystarczy, że jedna z nas ma przesrane.

Zapadła cisza.

– Odpowiadając na twoje pytanie – odezwała się po chwili Lena. – Tak, Pułkownik jest moją rodziną. Nie jestem z tego dumna, ale rodziny się nie wybiera, prawda? Zresztą to zabawne, że jeden brat jest gliną, a drugi gangsterem. Gdybyś miał obstawiać, który siedziałby w pierdlu?

Marcel podniósł wzrok. Nie odpowiedział.

– Pułkownik jest, jaki jest – ciągnęła Rudnicka. – Ale bardzo dużo dla nas zrobił. Może czuł się winny z powodu brata? Może chciał zadbać o rodzinę? Nieważne. Po prostu nam pomagał. Nie tylko finansowo.

– Z tego powodu masz u niego jakieś długi?

– Nie. Nigdy tego nie wypominał.

Rudnicka dopiła drugie piwo i odstawiła pustą butelkę na stolik.

– Przepraszam – powiedział Wolski. – Nie powinienem grzebać w twojej przeszłości. Nie wiedziałem, że tak wiele przeszłaś.

– A gdybyś wiedział, to co? Daj spokój.

– Powinnaś zadzwonić na komendę. Powiedz, że jesteś cała i zdrowa.

– Zrobię to – zapewniła. – Ale najpierw muszę coś załatwić.

– Co takiego?

Tylko się uśmiechnęła.

21

Zofia Krantz wciąż była nieprzytomna, a jej organizm powoli przygotowywał się do śmierci. Trwała w dziwnym stanie, który zrozumie tylko ktoś, kto wrócił z tego świata. Nie mogła mówić ani otworzyć oczu, nie mogła powiedzieć nikomu, że umiera, choć lekarze jeszcze tego nie zauważyli. Tak naprawdę nikt się nigdy nie dowie, o czym myślą ludzie na chwilę przed śmiercią. Wiedzą to tylko ci, którzy odeszli z tego świata. Teraz wiedziała to również Zofia.

Nic nie wyglądało tak jak w filmach. Zofii nie przemknęło przed oczami całe życie, pojawiły się zaś obrazy z przeszłości, krótkie zbitki, wstawki, jakby oglądała pokaz slajdów z wybranych momentów. Ludzie dla niej ważni tłoczyli się w jej umyśle, jak gdyby każdy chciał pożegnać się z umierającą, machali do niej, dziękowali za spotkanie. Dostrzegła w tłumie znajome sylwetki. Wysoka postać trzymała za rękę niższą, drobniejszą. Postacie były niewyraźne, ich kontury się rozmywały, majaczyły w powietrzu. Mimo to wiedziała, kim są. Jej mąż, Lech, wyciągnął do niej rękę, lecz druga z postaci pokręciła głową. Jeszcze nie czas, zdawała się mówić. Zofia najchętniej podbiegłaby do rodziny. Tak bardzo się ucieszyła! Znowu będą razem! Ale Angelika nie pozwalała jej odejść. Zofia czuła, że córka ją blokuje, zabrania postawić krok po tamtej stronie.

Za sprawą tego zimnego spojrzenia Zofia przypomniała sobie dzień zniknięcia Angeliki. Jej serce wypełnił ból. Musisz im powiedzieć, usłyszała głos. Musisz im powiedzieć, powtarzała Angelika, lecz z każdą sekundą jej głos słabł. Zofia chciała krzyknąć, by Angelika nie zostawiała jej samej. Tak bardzo pragnęła dołączyć do córki i męża. Nie chciała żyć. Chciała być z nimi. Ale Angelika zniknęła. Muszę im powiedzieć, powtórzyła w myślach Zofia. O czym?, zastanawiała się, a potem zrozumiała. Angelika nie chciała zostawiać niezłatwionych spraw. Chciała, by człowiek, który odebrał jej życie, zapłacił za to. Zofia musi powiedzieć policji prawdę. Tego chce jej córka. Aby Zofia przeżyła.

Ale Zofia wcale nie chciała żyć.

Kiedy siedząca przy szpitalnym łóżku Kaśka zobaczyła, że nieprzytomna matka kręci głową i zaciska dłonie w pięści, nie wiedziała, że toczy walkę ze śmiercią. Zofia

przypomniała sobie dzień, w którym dostała pierwszy list. To był jeden ze szczęśliwszych dni w jej życiu. Nigdy nie czuła takiego podniecenia jak wtedy, kiedy dostała list od zaginionej córki. List wysłano na adres kościoła. Kopertę przekazał Zofii proboszcz, zaskoczony, że ktoś zaadresował list na plebanię zamiast do Zofii. Nadawca był jej nieznany, lecz gdy tylko otworzyła list, wiedziała, że napisała go córka.

Angelika pisała, że żyje, że musiała uciec, ponieważ groziło jej niebezpieczeństwo. Pisała, by Zofia się nie martwiła i pod żadnym pozorem nikomu nie mówiła o liście. Nikt nie może się dowiedzieć. Powinam zostać uznana za zmarłą, dodała.

Angelika pisała nieregularnie. Czasem Zofia dostawała listy co miesiąc, a czasem zdarzały się niemal półroczne przerwy, podczas których odchodziła od zmysłów, aż do momentu, gdy dzwonił proboszcz, by poinformować ją o kolejnej przesyłce. Ksiądz nigdy nie pytał, od kogo Zofia dostaje tajemnicze przesyłki ani dlaczego nadawca wysyła listy na adres plebanii. Mimo to podczas jednej ze spowiedzi Zofia powiedziała mu prawdę. Mniej więcej wtedy, gdy zawierzyła swoje życie Bogu. Uznała wówczas, że nie powinna mieć tajemnic przed wysłannikiem Chrystusa.

Pan Bóg wszystko widzi.

Ostatni list Angelika przysłała trzy miesiące temu. Napisała, że wkrótce wszystko się zmieni, bo nie może dłużej żyć w ukryciu. Planowała wrócić do Polski i spotkać się z matką. Napisała również coś, co zmroziło krew w żyłach Zofii.

Morderca jest wciąż na wolności. Uważaj na siebie, mamo.

Zofia nie wiedziała, co o tym myśleć. Jaki morderca? Co wiedziała jej córka? Czy dlatego musiała uciekać za granicę i ukrywać się tyle lat? Ile mogłaby powiedzieć, gdyby żyła? Czy właśnie dlatego ktoś ją zamordował?

Pod podłogą. Schowałam je pod podłogą.

Kaśka zerknęła na nieprzytomną matkę, która od kilku minut była pogrążona w dziwnym stanie. Trzęsły jej się dłonie, a pod powiekami było widać szybkie ruchy gałek ocznych. Zofia raz za razem powtarzała dwa zdania.

Pod podłogą. Schowałam je pod podłogą.

Kaśka wezwała lekarza. Wspólnie z pielęgniarką próbowali reanimować pacjentkę, lecz jej serce stanęło.

Zofia Krantz umarła ze świadomością, że spełniła prośbę Angeliki. Przekazała informację o listach, mając nadzieję, że naprowadzą policję na trop człowieka, który zamordował jej ukochaną córkę.

Wolski szedł Piotrkowską. Było chłodno. Powietrze wypełniał drażniący zapach smogu. Marcel podciągnął suwak i postawił kołnierz kurtki, zakrywając usta. Trzymał się prawej

strony chodnika, by w razie potrzeby schować się w bramie. Minął skrzyżowanie z ulicą Jaracza. Zachował odpowiedni odstęp, pamiętając o zasadach obserwacji, których nauczył się w policji. Wprawdzie nigdy wcześniej nikogo nie śledził, ale jak sądził, Lena Rudnicka jeszcze się nie zorientowała, że ma ogon.

Kiedy wyszła z jego kawalerki, pod wpływem impulsu postanowił ją śledzić. Podzieliła się z nim sekretami ze swojej przeszłości, ale czuł, że nie powiedziała mu całej prawdy, że wciąż coś ukrywa. Postanowił to sprawdzić. Szedł za nią dobrych kilka minut, zastanawiając się, dokąd zmierza. Jej mieszkanie znajdowało się przecież po drugiej stronie Piotrkowskiej. Przeszła przez ulicę, wchodząc na plac Wolności. Zatrzymała się przy pomniku Kościuszki. Rozejrzała się, a potem uniosła dłoń. W jej kierunku ruszył jakiś mężczyzna. Marcel rozpoznał go dopiero po chwili. To był Kamil Myśliwski z wydziału narkotykowego.

Wolskiemu mocniej zabiło serce. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego Lena spotyka się z Myśliwskim? Dlaczego zataiła to spotkanie? Wyglądało na to, że oboje nie chcą, by ktokolwiek dowiedział się o tym spotkaniu.

Rozmowa trwała kwadrans, podczas którego Wolski strasznie zmarzł. Przeszepowywał z nogi na nogę, chuchając w lodowate dłonie i masując skostniałe palce. Na zewnątrz były raptem trzy stopnie na plusie. Ucieszył się, zobaczywszy, że Rudnicka i Myśliwski się rozeszli i każde ruszyło w swoją stronę.

Wolski zapalił papierosa. Nie spieszył się już. Szedł wolno, ale nie tracił Rudnickiej z oczu i analizował sytuację. Był pewien, że Lena coś kombinuje. Instynktownie wyczuwał wiszące w powietrzu kłopoty. Nagle skręciła w jedną z bram. Zaskoczony Marcel przyspieszył kroku. Wyrzucił peta i skręcił za nią. Podwórko było pogrążone w mroku. Przeszedł między zaparkowanymi samochodami, pod butami zachrzęściło stłuczone szkło. Wyteżając wzrok, szukał znajomej sylwetki, ale nigdzie jej nie dostrzegł, jakby rozplynęła się w ciemności. Po chwili usłyszał dźwięk przeładowywanego pistoletu.

Zamarł.

– W co ty pogrywasz, sierżancie Wolski?

Usłyszawszy głos Rudnickiej, nieco się rozluźnił i odwrócił w jej stronę. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Lena stała na szeroko rozstawionych nogach i celowała w niego. Nie widział jej twarzy, ale był pewien, że jest wściekła.

– Celujesz do mnie? – spytał zdumiony.

– Jak widać.

– Zwariowałaś?

– Nie robiłabym tego, gdybyś mnie nie śledził. Mówiłam ci, żebyś nie wtykał nosa w nie swoje sprawy? Czego nie rozumiesz? Powiedziałam ci o mojej przeszłości, a ty wciąż nie odpuszczasz.

– Lena, odłóż broń.

– Odłożę, kiedy wyjaśnisz mi, po jaką cholere za mną łazisz.

– Myślę, że to ty powinnaś wyjaśnić mi parę rzeczy.

Na chwilę zapadła cisza wypełniona stłumionymi głosami dochodzącymi z Piotrkowskiej.

– Śledziłeś mnie – warknęła Lena. – Sądysz, że to w porządku?

– A ty coś przede mną ukrywasz. To też nie fair.

– Nie fair? A kim ty niby jesteś, żebym ci się zwierzała, co?

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic.

– Nie jesteśmy – odwarknęła. – I nigdy nie będziemy.

Marcel wciągnął głośno powietrze. Lena miała prawo być zła, ale nie widział innego rozwiązania. Skoro coś przed nim ukrywała, musiał sprawdzić, czy nie wpakowała się w jakieś kłopoty. Zobaczył, że schowała pistolet do kabury, i odetchnął z ulgą.

Lena wsunęła dłonie w kieszenie spodni i podeszła bliżej, zaglądając Wolskiemu w oczy.

– Musimy sobie coś wyjaśnić – oznajmiła. – Powiem to ostatni raz i mam nadzieję, że zrozumiesz i się dostosujesz. Przestań za mną łązić i mnie kontrolować. Nie jesteś za mnie odpowiedzialny. Nie jesteś moim mężem ani przyjacielem. Jesteśmy tylko partnerami w pracy, więc do cholery daj mi wreszcie święty spokój.

– Jeszcze nie.

– Co? Co jeszcze nie?

– Jeszcze nie jestem twoim mężem.

Rudnicka zgromiła go wzrokiem.

– Przestań – odparła.

– Mam przestać się martwić? To nie takie proste.

– Nie. Masz przestać robić sobie nadzieję. Raz poszliśmy do łóżka. Pomyłka. Gdybym mogła, cofnęłabym czas, ale nie mam takiej możliwości, więc musimy się z tym pogodzić i żyć normalnie. Zresztą nie jesteś pierwszym, z którym zdradziłam Krzysztofa, i pewnie nie będziesz ostatnim. Taki mamy układ, a tobie nic do tego. Więc nie rób sobie nadziei, bo dla mnie jesteś jednym z wielu i wspólna noc nic nie znaczy.

– Ja wcale nie...

– Nie ściemniaj, Marcel. Wiem, że o tym myślisz. Nie wiem, co sobie wyobrażałeś, ale musisz przestać, bo nic z tego nie będzie.

Wolski nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie był przygotowany na taki obrót spraw, ale jedno było pewne – Lena miała rację. Chyba postradał zmysły, jeśli sądził, że cokolwiek mogłoby z tego być. Mimo wszystko nie opuszczała go myśl, że prokurator Nawrocki ma niebawem szczęście, ponieważ jest z taką kobietą jak Lena. Wiele by dał, żeby być na jego miejscu.

– Nie wierzę – odparł.

– W co?

– W to, co mówisz. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, Lena. – Głos mu się łamał. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Chcesz, żebym dał ci spokój. Dlatego to

mówisz. Chcesz, żebym się na ciebie wkurzył i odpuścił.

Nie spodziewała się, że Wolski od razu ją przejrzy.

– Masz rację – przyznała. – Chciałabym mieć spokój. Chciałabym, żebyś zostawił mnie w spokoju i zajął się własnym życiem.

– Nie chcę.

– Czego nie chcesz?

– Zostawić cię w spokoju.

Rudnicka cofnęła się.

– Nie brnij w to.

– Jesteś szczęśliwa?

– Słucham?

– Pytam, czy jesteś szczęśliwa?

– O nie. – Podniosła dłonie. – Odpuść sobie te umoralniające gadki.

– Jesteś czy nie?

Lena odwróciła głowę. Wiedział, że jeszcze chwila, a ucieknie. Nie lubiła rozmawiać o swoich uczuciach, dobrze o tym wiedział. Wiedział również, że ma jeszcze kilka sekund, zanim go spławi.

– Dlaczego nie możemy normalnie porozmawiać? – zapytał, a Lena spojrzała na niego z politowaniem.

– Jeśli swoim zachowaniem wprowadziłam cię w błąd i uznałeś, że jesteś dla mnie kimś ważnym, wybacz – odparła. – Nie chciałam. Ale sam musisz się z tym uporać.

Wolski przesunął dłonią po twarzy.

– Wątpię – odrzekł.

– Marcel, musisz przestać.

– Myślę, że jednak jestem dla ciebie ważny. Otworzyłaś się przede mną. To coś znaczy.

– Niby kiedy?

– Opowiedziałas mi o swojej przeszłości.

– Bo zaczęłaś w niej grzebać. Opowiedziałam, żebyś w końcu odpuścił.

Postąpił krok do przodu. Kazała mu się odsunąć, ale nie posłuchał. Patrzył na nią, a ona z każdą sekundą coraz bardziej przypominała zamknięte w potrzasku zwierzę.

– To nie ma sensu, Marcel, wiesz o tym – broniła się.

– Nieprawda. I ty też o tym wiesz.

– Przestań się przekomarzać.

– Ty zaczęłaś.

Patrzył na nią. Wystraszoną i bezbronną. Miał wrażenie, że patrzy na zupełnie inną osobę, jakby maska twardej komisarz spadła z hukiem na ziemię i rozbiła się na tysiące kawałków. Patrzył na prawdziwą Lenę Rudnicką. Kobieta, która wiele przeszła w życiu. Zrobiłby wszystko, by móc cofnąć czas i uchronić ją przed cierpieniem, które sprawiło, że tak bardzo bała się teraz otworzyć przed drugim człowiekiem.

Dotknął dłonią jej policzka.

– Marcel, przestań – upomniała go, ale nie zrobiła nic, by mu przeszkodzić.

Oddychała spazmatycznie. Wiedział, że jest na niego wściekła, ale zamiast odejść, stała w bezruchu.

– Masz ostatnią szansę – szepnął. – Wiesz, co chcę zrobić, i możesz to przerwać.

I pewnie by to zrobiła, ale ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Gdy ich usta się spotkały, odniósł wrażenie, że uszło z niej całe napięcie. Zmarzniętymi palcami dotknął jej ciepłego policzka, a wszystko, co mówiła jeszcze przed chwilą, przestało mieć znaczenie. Przyciągnął ją do siebie, aby poczuć ciepło jej ciała. Wplótł dłonie w jej włosy, pogłębiając pocałunek, kiedy nagle się odsunęła. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zaciskała usta, kręcąc głową.

– Nie... – zająknęła się, lecz nie dał jej dokończyć.

Objął ją ramionami i przytulił.

Pomyślała, że tak dawno nikt jej nie przytulał.

23

Wszystko wskazywało na to, że Dawid Cajmer zostanie za kilka godzin okrzyknięty bohaterem narodowym. Oczami wyobraźni widział tłumy dziennikarzy kłębiących się przed głównym wejściem do komendy. Czekali właśnie na niego, a on czekał na tę chwilę całe życie. Wreszcie zapisał się w historii łódzkiej komendy. To on kierował śledztwem. To on ujął groźnego mordercę. Naśladowcę seryjnego mordercy sprzed trzynastu lat.

Wstał i ze splecionymi z tyłu dłońmi przeszedł po pokoju niczym gospodarz dogląający dobytku. Oblizał wskazujący palec i przejechał po ramce, w którą był oprawiony dyplom ukończenia kursu z zakresu najnowocześniejszych technik śledczych. Właściwie ten dyplom gównie znaczy, pomyślał, ale nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Zaśmiał się w duchu.

Usłyszawszy pukanie, obrócił się w kierunku drzwi.

– Cześć.

Do pokoju weszła technik Krajewska. Cajmer otaksował ją wzrokiem. Miała na sobie koszulę w stokrotki, rękawy podwinęła do łokci, a dwa pierwsze guziki koszuli zostawiła rozpięte, ukazując rowek pomiędzy słusznej wielkości piersiami.

Nie odpowiedział. Zastanawiał się, dlaczego dopiero teraz dotarło do niego, że technik, z którą pracował już kilka lat, to atrakcyjna kobieta.

– Jestem już po pracy – oznajmiła, jakby chciała wytłumaczyć dość swobodny strój. – Ale wpadłam, żeby cię poinformować, że skończyliśmy przeszukanie mieszkania Artura Dunaja.

– No i co? – Podkomisarz udał zainteresowanie. Był przekonany, że technicy coś znaleźli, ale w tym momencie jego myśli krążyły wokół dwóch rozpiętych guzików koszuli pani technik.

– No i nic – odparła, krzyżując ramiona.

Cajmer milczał przez chwilę.

– Jak to nic? – zapytał w końcu. – Co to znaczy nic?

– Nic, panie podkomisarzu. Mieszkanie jest czyste. Wiem, że spodziewaliśmy się czegoś innego, ale nie wyczarujemy śladów ani dowodów przeciwko młodemu Dunajowi.

Cajmer założył ręce za głowę, starając się uspokoić. Nie pomogło.

– Jak to, kurwa, nie ma dowodów?! – wrzasnął. – Mamy go na tacy! Tam musi coś być! Na pewno przeoczyliście!

– Nie sądzę. Tak jak mówiłam, mieszkanie jest czyste.

– A może chcesz mi powiedzieć, że ten skurwiel jest niewinny?

– Tego nie wiem. To wasze zadanie. Ja jestem od zbierania śladów i...

– Nie, nie, nie. – Cajmer krążył po pokoju. – Wróćcie tam i nie wyjdziecie, dopóki czegoś nie znajdziecie.

– Przeszukaliśmy je dobrze, Dawid – powiedziała z naciskiem. – Nic tam nie ma.

Cajmer zaśmiał się.

– Więc ten chuj ma kryjówkę. Musimy ją znaleźć. No, w końcu to logiczne. Nie zabijałby we własnym mieszkaniu, prawda?

Tym razem to Luiza wyglądała na poirytowaną.

– Przyszło ci do głowy, że on faktycznie nie ma nic wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn?

– Słucham?

– Może ktoś próbuje go zrobić? A Trzynaście znów bawi się z policją?

– Chcesz powiedzieć, że Trzynaście mnie oszukał? – Cajmer zacisnął pięści. – Że zrobił mnie w chuja?

– Chcę powiedzieć, że w przypadku tego śledztwa należy brać pod uwagę każdą ewentualność.

– Masz rację – odparł, tłumiąc złość. – Ty jesteś od zbierania dowodów, więc szukanie sprawcy zostaw profesjonalistom. Wnioski wyciągną ludzie, którzy się na tym znają. Ty jesteś dobra w odciskach palców, a ja w łapaniu przestępców. Nie wchodźmy sobie w drogę. A Dunaja i tak posadzimy.

– Nawet jeśli jest niewinny?

– Na każdego znajdzie się dowód. Wystarczy poszukać.

Luiza dopiero teraz zrozumiała, co chodzi Cajmerowi po głowie. On zrobi wszystko, by doprowadzić do skazania wykładowcy. Nie chodziło o sprawiedliwość, ale o chwałę, jaką zyska podkomisarz po wsadzeniu młodego Dunaja za kraty.

Luiza szybko się pożegnała i ruszyła korytarzem w stronę schodów. Kilkoro policjantów kończących służbę skinęło jej na pożegnanie. Przystanęła, rozejrzała się, czy jest sama, i wybrała numer Leny Rudnickiej. Komisarz odebrała po trzecim sygnale.

– Lena? – zaczęła Krajewska. – Jest sprawa. Halo, Lena, jesteś tam?

– Tak. – W tle słychać było gwar przejeżdżających samochodów. – Co to za sprawa?

– Chodzi o Cajmera.

– Oho, zamieniam się w słuch.

– Zrobi wszystko, by wsadzić młodego Dunaja.

– Jak wiesz, zostałam odsunięta od śledztwa. Zresztą, jeszcze niedawno to mnie chciał wsadzić do pierdła.

– Przeszukaliśmy mieszkanie Dunaja.

– Jak przypuszczam, nic nie znaleźliście.

– Właśnie. Ale Cajmerowi brak dowodów nie przeszkadza.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby sam coś podrzucił.

Luiza nie odpowiedziała. Obie wiedziały, że Dawid Cajmer byłby zdolny do zrobienia czegoś takiego.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytała Lena. – Mam związane ręce.

– Według mnie Dunaj jest niewinny.

– A według mnie obaj są niewinni.

– To znaczy, że...

– Spróbuję coś z tym zrobić – przerwała jej Lena. – Nic nie obiecuję. Muszę kończyć...

– Lena? Poczekaj. Chcę, żebyś wiedziała, że nikt na komendzie nie wierzy w twoją winę. To absurd. Zbieg okoliczności.

– Nikt oprócz Cajmera.

– Nikt oprócz Cajmera – powtórzyła Krajewska i uśmiechnęła się, gdy zdała sobie sprawę, że głos komisarz brzmiał inaczej, jakoś lżej i radośniej. Pomyślała, że nigdy nie słyszała jej tak szczęśliwej.

23 stycznia 2008 r.

Kochana Córeczko!

Od mojego ostatniego listu upłynęło wiele czasu. Dla Ciebie to pewnie tylko chwila, dla mnie zaś cała wieczność. Nie łudzę się już, że odpiszesz na którykolwiek z moich listów. Nie wiem nawet, czy je czytasz. Od Twojej siostry wiem, co u Ciebie. Daleko zaszłaś, Córeczko.

Mam nadzieję, że kiedyś mnie odwiedzisz i porozmawiamy. Twoja siostra mówiła, że skończyłaś studia z wyróżnieniem. Mogłaś wybrać wiele ścieżek zawodowych, a mimo to poszłaś w moje ślady. Zastanawiam się, czy to dobra decyzja. Sama wiesz, jak wyglądało moje życie. Nasze życie. Wiesz, że bywało ciężko.

Praca w policji nie należy do łatwych. Ty jesteś twarda. Zawsze byłaś. Od dziecka pokazywałaś, że masz silny charakter. Ale silny charakter to nie wszystko. Do tej pracy trzeba mieć nosa lub, jak powiadają, powołanie. Nie wiem, czy Ty je masz, ale chcę, żebyś wiedziała, że jestem z Ciebie dumny.

Pragnę również, żebyś wybaczyła mi to, że trafiłem do więzienia. Jesteś policjantką. Teraz możesz zobaczyć to, czego wcześniej nie widziałaś. Zobacz, a uwierzysz, że sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny.

Kochałem Twoją matkę, tak jak Kocham Ciebie, Madziu.

Twój Tatuś
Seweryn Zalewski

ROZDZIAŁ IV

PIĄTEK, 20 PAŹDZIERNIKA

1

Śniła o jedenastopiętrowym wieżowcu. Na szarym i brudnym łódzkim blokowisku. Płynęła między budynkami, aż dostrzegła ten najwyższy, najbrudniejszy. Widziała go z daleka. Wysokie anteny na dachu. Musi ich dotknąć. Musi je urwać, wyrwać i rzucić w przestrzeń. Nagle znalazła się na pustyni. Nie było słońca ani chmur. Wszędzie wokół brunatna ziemia, jakby z innej planety. A pośrodku tego pustkowia wieżowiec. Zastanawia się, dlaczego stoi samotnie na pustyni. Gdzie podziały się inne budynki?

Chciała lecieć, choć nie miała skrzydeł. Unosiła się lekka niczym piórko. Czuła się cudownie, błogo. I teraz była ptakiem, wielkim orłem lecącym ponad lasem. Czuła zapach igliwia, widziała leśne zwierzęta przy wodopoju.

A potem ktoś ją zbudził.

– Lenka?

Przekręciła się, zakrywając twarz kołdrą.

– Lenka?

Rozpoznała głos Krzysztofa. Mąż potrząsał jej ramieniem. Mruknęła coś niezrozumiale.

– Lenka, obudź się, twój telefon dzwoni od piętnastu minut.

Z trudem rozwarła powieki. Oślepiło ją światło, więc zacisnęła je z powrotem, dla pewności zasłaniając twarz ramieniem. Potrzebowała kilku sekund, by dotarły do niej słowa Krzysztofa. Kto mógł się dobijać do niej o tak wczesnej porze?

– Która godzina? – zapytała.

– Dochodzi dziesiąta.

Dziesiąta!

Błyskawicznie uniosła się na rękach do pozycji siedzącej. Krzysztof podał jej telefon. Zobaczyła kilka nieodebranych połączeń od Wolskiego.

– Ubierz się – powiedział Krzysztof. – Przygotowałem śniadanie.

Wyszedł. Lena znalazła czyste ubranie, w łazience ochlapała twarz zimną wodą. Za długo spała. Niewiele pamiętała z poprzedniego wieczoru. Kiedy zostawiła Wolskiego

w bramie kamienicy, wróciła do domu, na Księży Młyn, a potem urwał jej się film. Połknęła za dużo pigułek i odpłynęła. Szarpnęły nią wyrzuty sumienia. Cholerne tabletki. Powinna z nimi skończyć. Przestać łykać to świństwo.

Zakręciło się jej w głowie. By utrzymać równowagę, musiała przytrzymać się komody. Wyciągnęła telefon i wybrała numer Wolskiego, lecz po chwili uznała, że rozmowa z Marcelem to słaby pomysł. Nie po tym, co wydarzyło się wczoraj.

Krzysztof przygotował grzanki z masłem orzechowym. Usiadła przy kuchennej wyspie i upiła łyk kawy.

– Nie powinienes być w pracy? – zapytała.

– Mam rozprawę o jedenastej. Pomyślałem, że spędzimy razem poranek, ale kiedy zobaczyłem, jak smacznie śpiesz, uznałem, że nie będę cię budzić.

– Dzięki.

Krzysztof przeglądał gazetę. Przebiegł wzrokiem stronę, po czym spojrzał na Lenę.

– Jak tam sprawy na komendzie? – spytał.

– Nijak.

– Nadal jesteś odsunięta od śledztwa?

– Mhm.

– Zamierzasz coś z tym zrobić?

– Niby co? – Przekrzywiła głowę. – To nie ja decyduję.

– Znam cię, Lenka, i widzę, że zaangażowałaś się w tę sprawę. Wiem, że nie odpuścisz.

– Może powinnam.

Krzysztof przyglądał się żonie. Zdziwiły go jej słowa. Przecież ona kocha swoją robotę i nadaje się do niej jak nikt inny. Nie należy do osób, które odpuszczają. Kiedy jednak patrzył teraz na Lenę, musiał przyznać, że coś się w niej zmieniło. Spojrzenie, wyraz twarzy. Coś jest nie tak. Albo wręcz przeciwnie. Chociaż wygląda na zmęczoną, zdaje się szczęśliwa. Wcale mu się to nie spodobało.

– Co z terapią? – zapytał.

– Jaką terapią?

– Nie pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym, że powinniśmy iść razem na terapię.

– Ach, tak.

– Zapomniałaś?

– Myślę, że to nie jest dobry pomysł.

Zmrużył oczy.

– Sądziłem, że chcesz mi pomóc – powiedział. – I że tobie również zależy, abyśmy wyszli na prostą.

– To nie ma sensu.

– Co nie ma sensu?

No właśnie, pomyślała Lena, co nie ma sensu? Zwlekała z odpowiedzią. Napiła się kawy i ugryzła tost. Żuła bardzo wolno, by zyskać na czasie. Czekał cierpliwie, patrząc na żonę

z coraz większym niepokojem. Powoli docierało do niego, że jej zachowanie musi mieć przyczynę. Coś się wydarzyło. Coś, co mogło mieć związek z tym młodym gliniarzem.

Poczuł narastającą złość.

– Uważasz, że nie ma sensu iść ze mną na terapię? – zapytał. – Czyli, jak rozumiem, nie chcesz mi pomóc, tak?

Lena wstała i z kubkiem kawy w ręce stanęła naprzeciwko męża.

– Tobie nie da się pomóc – powiedziała takim tonem, że po plecach przeszły mu ciarki.

– Nie da mi się pomóc – wymamrotał, wbijając wzrok we własne dłonie. – Jak mam to rozumieć? – Uniósł głowę.

Zastanawiała się teraz, czemu nie przytaknęła mężowi. Miałaby spokój, tymczasem teraz zanosilo się na poważną rozmowę, która mogła zakończyć się awanturą. Już dawno powinni porozmawiać, ale on unikał tego jak ognia.

– Myślę, że wiesz, Krzysiek – odparła.

Zapadło ciężkie milczenie. Powietrze zgęstniało od napięcia.

Krzysztof wstał.

– Nie wiem – powiedział. – Ale liczę, że ty mnie oświecisz. No? Słucham.

– Przestań... – Chciała odstawić kawę, ale wytrącił jej kubek z ręki. Naczynie upadło na posadzkę i z hukiem rozbiło się na kawałki. – Co ty wyprawiasz? To był mój ulubiony kubek.

– Zamknij się.

– Krzysiek...

– Dlaczego nie chcesz iść ze mną na terapię?

– Wiesz, że...

– Chcę to usłyszeć od ciebie.

Lena wzięła głęboki oddech. Wczorajsza rozmowa z Wolskim uświadomiła jej, że nie chce tak żyć; godzenie się na przemoc może mieć tragiczne skutki, czego przykładem była niepotrzebna i bezsensowna śmierć jej matki. Postawiła wszystko na jedną kartę.

– Nasze małżeństwo nie ma sensu – powiedziała.

Nie musiała długo czekać. Dłoń Krzysztofa wylądowała na jej twarzy z głośnym plaśnięciem. Zabolało. Złapała się za policzek, który palił ją żywym ogniem. W oczach męża dostrzegła nienawiść. Szczerą i czystą.

– Powiedziałaś to pierwszy i ostatni raz – warknął. – Zrozumiałaś? Nie chcę słyszeć takich słów. Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Dochodziło wpół do dwunastej, kiedy Lena stanęła przed domem Zofii Krantz. Musiała wrócić po samochód. Obeszła jaguara i już miała usiąść na miejscu kierowcy, kiedy

dostrzegła, że Kaśka macha jej z ganku. Była ubrana w obszerny sweter, którego za długie rękawy naciągnęła na dłonie i ruszyła w kierunku Rudnickiej.

– Dzień dobry – odezwała się. – Przepraszam, że zajmuję pani czas, ale czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

– Coś się stało?

– Nie wiem, czy to ważne... To znaczy...

Rudnicka nie miała ochoty na rozmowę z Kaśką. Kiepsko się czuła, a poza tym miała do załatwienia kilka spraw, jednak na widok jej przepełnionego niepokojem spojrzenia skinęła głową.

– Wejdźmy do środka – powiedziała. – Wszystko mi opowiesz.

Przeszły do saloniku. Rudnicka rzuciła okiem na ołtarzyk Zofii i szybko odwróciła wzrok.

– Mama zmarła – oznajmiła Kaśka bez emocji.

Rudnicka wiedziała, że powinna wyrazić swoje współczucie, ale milczała. Patrząc na Kaśkę, pomyślała, że śmierć matki zdjęła z niej wielki ciężar. Czasem to właśnie śmierć jest najlepszym rozwiązaniem.

– Byłam przy niej. – Krantzówna opadła na krzesło. Rudnicka usiadła naprzeciwko. Milczały przez chwilę: – Kilka minut przed śmiercią dziwnie się zachowywała, coś ją dręczyło.

– Była w śpiączce?

– Tak, ale... Wiem, że to głupio brzmi. Może pomyśli pani, że jestem stuknięta, ale kiedy tam siedziałam, miałam wrażenie, że ona toczy z sobą wewnętrzną walkę. Jakby nie chciała umierać. Albo ktoś nie chciał jej na to pozwolić.

Rudnicka uniosła brwi.

– Tak, wiem – przyznała Kaśka. – To naprawdę głupio brzmi.

– Nie przeczę.

– Ale zanim umarła, powiedziała coś.

Teraz Lena wydawała się zaintrygowana. Jeśli chodzi o wcześniejsze słowa Kaśki, miała wątpliwości. Po śmierci bliskich ludzie różnie odbierają pewne zachowania. W przypadku Zofii chodziło o przedśmiertne konwulsje lub coś takiego. Lena nie bardzo znała się na medycynie, ale odrzucała teorię o wstępowaniu do nieba.

– Matka powiedziała... – zaczęła Kaśka. – Że schowała je pod podłogą.

– Powiedziała: schowałam je pod podłogą?

Kaśka kiwnęła głową.

– Co takiego schowała pod podłogą? – spytała Lena.

– Nie mam pojęcia.

– Sprawdźtaś?

– Nie. Początkowo uznałam, że majaczyła, ale dziś rano doszłam do wniosku, że może faktycznie coś ukryła.

– Czyli nie sprawdziłaś podłóg?

Kaśka zaprzeczyła.

– Okej – powiedziała Lena. – Więc zrobmy to.

Wstała i przeszła korytarzem, zajrzała do kuchni. Stare deski skrzypiały, znacząc każdy krok. Mieszkanie było zaniedbane, jakby pod koniec życia Zofii brakowało sił, by utrzymać porządek. Na kuchennych szafkach zalegał zaschły tłuszcz, w korytarzu na szafce na buty kurz miał kilka centymetrów.

Wróciła do salonu.

– Czego pani szuka? – zapytała Kaśka.

– Czegoś odmiennego.

– Odmiennego?

– Pod podłogą... Wiesz, co twoja matka mogła ukryć?

– Nie zwierzałyśmy się sobie, więc nie mam pojęcia.

– Jasne – przyznała Rudnicka, krążąc po salonie. Szukała czegoś odbiegającego od normy. Na przykład wystającej klepki. – Macie piwnicę?

– Nie. Tylko spiżarkę. Wchodzi się od podwórka.

– Zaprowadź mnie tam.

Spiżarka mierzyła trzy na trzy metry i była zastawiona przetworami w słoikach. Wszechobecny kurz i rozrzucone gdzieś trutki na myszy. Nic więcej. Rudnicka zakłęła pod nosem.

– Napije się pani czegoś? – zapytała Kaśka, kiedy powróciły do domu. – Przepraszam, powinnam wcześniej zaproponować.

– A tam?

– Słucham?

Rudnicka podeszła do kredensu, na którym Zofia urządziła ołtarzyk. W miejscu, gdzie stały nóżki kredensu, parkiet był innego koloru, jakby ktoś często go przesuwiał, ale za każdym razem trafiał w inne miejsce niż poprzednio.

– Pomóż mi.

Kaśka złapała z drugiej strony. Powoli przesunęły kredens. Przewróciło się kilka świętych obrazków. Plastikowy Jezus spadł na podłogę, ale żadna nie schyliła się, by go podnieść.

– Spójrz. – Lena wskazała na jedną z klepek. Wyraźnie obluzowaną. – Co my tutaj mamy? – Kiedy ją uniosła, ich oczom ukazał się stos kopert. Komisarz wzięła je do ręki. Kaśka przykucnęła obok.

– Cholera – mruknęła. – Co to jest?

– Listy.

Lena otworzyła pierwszy z listów. Przebiegła tekst wzrokiem i przekazała Kaśce. Potem następne. Krantzówna usiłowała zachować neutralny wyraz twarzy, ale z każdym przeczytanym listem była coraz bardziej wzburzona.

– Angelika pisała do matki – mruknęła, wstając. Rzuciła kartki na podłogę. – Nie chcę tego czytać. – Pokręciła głową. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Nie możesz uwierzyć, że Angelika kontaktowała się z matką?

– Nie mogę uwierzyć, że mama nic mi nie powiedziała.

– Angelika prosiła o dotrzymanie tajemnicy.

– Doprawdy? – zaśmiała się Krantzówna. – Byłam jej siostrą, do cholery! A ona przez te wszystkie lata nie odezwała się do mnie, tylko do niej! Do matki, której nie znosiła.

Lena sięgnęła po kolejny list.

– Po co to wszystko? – Kaśka rozłożyła ręce. – Cały ten cyrk ze zdjęciem Angeliki? Przepasała je czarną wstążką! Po cholere ten ołtarzyk?! Myślałam, że moja pokręcona matka tak radziła sobie z utratą córki, ale teraz widzę, że ona naprawdę była stuknięta!

– Na twoim miejscu też miałabym żal do matki, ale...

– Żal?! O nie, ja nie mam żalu. Jestem po prostu wściekła na siostrę. Niech pani zabiera te listy. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Zamykam ten etap w moim życiu. Zresztą, w tych listach nic nie ma.

Rudnicka pokiwała głową i schowała listy pod kurtką. Miała na ten temat inne zdanie.

3

Mężczyzna siedział na schodach prowadzących na ganek. W nocy padał deszcz, powietrze było chłodne i wilgotne. Wszystko ma swój początek i koniec, pomyślał, przekonany, że również jego koniec jest blisko. Działał chaotycznie, nie przemyślał kilku ruchów. Widocznie tracił formę, a wiek zrobił swoje. Minęło przecież trzynaście lat. To sporo czasu, a on nie stawał się coraz młodszy. Wcześniej nie ulegał emocjom, a teraz dał się sprowokować Dunajowi i zaraz po tym popełnił serię błędów.

Winien temu jest Antoni.

Gdyby ten dureń nie zakochał się w Krantz, być może wszystko byłoby jak dawniej. Trzymałby głowę na kłódkę, jak się umówili. Ale Dunaj go nie słuchał, więc mężczyzna był zmuszony zlikwidować Angelikę. Musiał się jej pozbyć, ponieważ stanowiła dla niego zagrożenie. Nie wiadomo, jak wiele wiedziała. Równie dobrze Dunaj mógł powiedzieć jej całą prawdę, więc musiała zniknąć. A potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Dunaj przestał słuchać. Mężczyzna bał się, że ten kretyn zacznie sypać, więc musiał działać. Zabił jego matkę. Powtarzał Dunajowi, żeby nie rozmawiał z policją, ale ten nie posłuchał. Sprawa mogła wyjść na jaw, a mężczyzna nie mógł do tego dopuścić.

Wrócił do domu i wyjął z szafki dwie kromki chleba. Posmarował je grubą warstwą masła i przykrył plastrami szynki. Zaparzył zieloną herbatę, którą pijał każdego ranka. Działała na niego kojąco, a od kilku dni był kłębkiem nerwów. Nie mógł się doczekać, kiedy zakończy sprawę i zniknie, zanim jednak to nastąpi, trzeba domknąć pewne kwestie.

Najpierw pozbędzie się tej wężącej suki.

Policja miała już podejrzanego. Artura Dunaja mężczyzna podał im jak na tacy. Wszystko poszło gładko. Najpierw przygotował prezentację, a potem zgrał ją na pendrive'a należącego do wykładowcy. To było banalnie proste. Wiedział, że Artur ma nerwicę natręctw. Przed wyjściem z domu sprawdzał wszystko tysiąc razy. Ależ musiał się zdziwić, kiedy zobaczył włączone w kuchni światło. Mężczyzna zachichotał.

Teraz zajmie się policjantką. Wygląda na taką, która lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Westchnął.

Cóż. Żeby nie deptała mu po piętach, musi ją zlikwidować.

4

Komendant sącył plujkę. Trzymał filiżankę oburącz, nie zważając na wrzątek, który parzył mu palce. Przypatrywał się zebranym z mieszaniną irytacji i zdziwienia. Milczał i kiwał głową niczym mędrzec, który wreszcie zdecydował się wysłuchać swoich uczniów.

Komisarz Rudnicka oparła się plecami o parapet. Ramiona miała skrzyżowane. Mówiła od kilku minut i nikt nie próbował jej przerwać.

– Absurd! – podsumował Cajmer, kiedy komisarz skończyła. – Szef słyszy, co ona wygaduje? Przecież to brednie.

Lena obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem.

– Poczekajcie – rzekł komendant. – Czy ja dobrze zrozumiałem? Ty twierdzisz – wskazał na Cajmera – że ujęliśmy naśladowcę Trzynaście. Ty natomiast – wskazał na Lenę – że w areszcie znalazł się niewinny człowiek?

– Prawdziwy Trzynaście wrobił młodego Dunaja – sprostowała Rudnicka. – Nie mam podstaw, by myśleć, że wykładowca jest mordercą.

– O ile mnie pamięć nie myli, zostałeś odsunięta od śledztwa, więc jakim prawem się wtrącasz? – zapytał wzburzony Cajmer. – Nie dość kłopotów narobiłaś?

– Że co?

– To przez ciebie zginęła Irena Dunaj.

Rudnicka uśmiechnęła się ponuro.

– Doprawdy?

– Przez ciebie są same problemy. Już pomijam fakt, że polazłaś do więzienia i bez zgody zwierzchników spotkałaś się z Antonim Dunajem.

– Gdybyś poświęcił chociaż parę minut na rozmowę z Dunajem, wiedziałbyś, że nikogo nie zabił.

– Właśnie złapałem naszego mordercę. Artur Dunaj przyzna się do winy. To tylko kwestia czasu

– Wystarczy. – Komendant uniósł rękę. – Dawidzie, jakie masz dowody przeciwko młodemu Dunajowi?

Cajmer streścił wydarzenia z sali wykładowej.

– Uważam, że Trzynaście podrzucił Dunajowi pendrive’a – podsumowała Rudnicka.

– Czyli sądzisz, że prawdziwy morderca spędził na wolności trzynaście lat, a teraz postanowił znowu zabijać? – zapytał Andrzej Wolski.

– Został do tego zmuszony.

– Co to znaczy?

– Uważam, że Krantz uciekła za granicę, ponieważ знаła tożsamość prawdziwego sprawcy. Żeby ją chronić, Antoni kazał jej wyjechać i się ukryć, co zrobiła. A kiedy postanowiła wrócić, Trzynaście się o tym dowiedział. Być może widział w niej zagrożenie, dlatego ją zabił. Ma wtykę w więzieniu. Wiedział o rozmowach Dunaja z policjantami.

– Z policjantką – poprawił ją Cajmer. – To ty do niego łączyłaś, co każe sądzić, że jesteś odpowiedzialna również za śmierć tej niewinnej dziewczyny.

– Dość – wtrącił komendant. – Lena, kontynuuj.

Rudnicka wzięła głęboki wdech, a stojący obok niej Cajmer robił się coraz bardziej czerwony ze złości.

– Powinniśmy się skupić na dorwaniu Trzynaście – oznajmiła.

– Kto jest wtyką Trzynaście w więzieniu? – spytał komendant.

– Jeden ze strażników.

– Zajmiemy się nim.

Rudnicka pokiwała głową, wsuwając dłonie w kieszenie spodni. Czowała, że zdołała przeciągnąć komendanta na swoją stronę. Wprawdzie nie aprobował jej metod, wiedziała jednak, że ma do niej zaufanie.

– Każdy dzień zwłoki może kosztować czyjeś życie – powiedziała. – Pamiętajmy, że nie odnaleźliśmy Małgorzaty Bukowskiej. Patrole mają jej zdjęcie, ale co z tego? Jakby zapadła się pod ziemię.

– Naprawdę nie było żadnego śladu? – Komendant nerwowo potarł czoło. – A ty? – Spojrzał na syna. – Co o tym sądzisz?

Marcel wyprostował się zdziwiony. Nie przypuszczał, że ktokolwiek zapyta go o zdanie.

– Myślę, że Lena ma rację – oświadczył po chwili namysłu. – Wszystko wskazuje na to, że młody Dunaj jest niewinny.

– Nie wierzę – bąknął Cajmer i zakręcił się wokół własnej osi.

– Leno? – Komendant złożył okulary w dłoni. – Załóżmy, że twoja teoria jest prawdziwa. Jak chcesz dorwać Trzynaście?

– Mam plan.

– Nie. To tak nie działa. Muszę wiedzieć, co zamierzasz.

– Proszę, niech szef się jeszcze zastanowi – powiedział Cajmer. – Mamy sprawcę i mocny dowód przeciwko niemu. Znajdziemy więcej śladów, które potwierdzą, że poszedł

w ślady ojca. Naprawdę chcemy bawić się w teorie spiskowe?

Komendant milczał przez chwilę.

– Dawid ma rację – rzekł. – Antoni Dunaj przyznał się do winy. Nie mamy żadnego mocnego dowodu oprócz domysłów, a domysłami niewiele zdziałamy.

Rudnicka zagryzła wargi. Nie mogła uwierzyć, że komendant dał się przekonać tak błahym argumentom Cajmera.

– Jasne – mruknęła. – Rozumiem.

Marcel spojrział na nią zaskoczony.

– Może macie rację – dodała, zbierając się do wyjścia.

– No – mruknął Cajmer. – Wreszcie skończymy z tą błazenadą.

Komendant jednak nie wyglądał na przekonanego.

– Nie mam też podstaw, by twierdzić, że Artur Dunaj jest niewinny – rzekł. – Myślę, że Dawid zrobił dobrą robotę. Leno, musisz się z tym pogodzić. Nie zawsze odnosimy sukcesy.

– Rozumiem, szefie – odparła z uśmiechem. – Marcel, mogę cię poprosić na moment? Chciałabym z tobą porozmawiać.

Wolski skinął głową. Przeszli korytarzem i zatrzymali się przy głównym wyjściu z budynku. Odczekali, aż minie ich dwóch mundurowych.

– Nie przypuszczałbym, że tak łatwo ustąpisz – odezwał się Marcel.

– Co?

– No, że odpuścisz. Moim zdaniem Dunaj jest niewinny...

– Musisz mi pomóc.

– Co? W czym? Myślałem, że dałaś sobie spokój.

– Zdurniałaś? – Uniosła brwi. – Przytaknęłam twojemu starszemu, aby Cajmer sądził, że ma zamkniętą sprawę. – Wyszła na zewnątrz i zapaliła papierosa. – Posłuchaj. Musisz wyciągnąć Artura z aresztu.

– Zwariowałaś?

– Wyciągnąć go i pojechać z nim do starego Dunaja.

– Po co? I jak niby miałbym go wyciągnąć?

– Nie wiem, coś wymyślisz.

– Nie. – Marcel również zapalił papierosa. – Nie zrobię tego. Bo niby jak?

– Powiesz, że zabierasz go na przesłuchanie, a potem pojedziecie do więzienia. W razie potrzeby daj w łapę strażnikowi.

– Jezu...

– Zaprowadzisz go na widzenie z Antonim i pozwolisz im porozmawiać. Ale najpierw wtajemniczysz Artura w sprawę. On nie ufa policji. Może odmówić współpracy, więc powiesz mu wszystko. Powiesz mu, że chcemy wyciągnąć jego ojca z więzienia, a jego babcię zabił Trzynaście. Musisz wzbudzić w nim poczucie winy i sprawić, by zmusił Antoniego do wyznania prawdy, kogo krył przez tyle lat.

- Nie wiem, czy mi się uda.
- Owszem, jeśli ruszysz tyłek. Nie mamy czasu.
- Lena, to szaleństwo.
- Ja nie mogę tam jechać, wiesz, że jestem spalona.

5

Kaśka przyglądała się mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko niej przy stole. Miał na sobie niedbale wyprasowaną koszulę z pomiętymi rękawami. Zauważyła też brak dwóch guzików przy kołnierzyku.

– Co pana tutaj sprowadza? – zapytała zniecierpliwiona.

Facet przyszedł dobre dziesięć minut temu, ale jeszcze nie wyjaśnił powodu swojej wizyty.

– Nie wiedziałem, że pani Zofia nie żyje – odparł.

– Znał pan moją matkę. To już ustaliliśmy. Ale ona umarła, więc przyznam, że nie wiem, jak mogę panu pomóc.

– Przepraszam – bąknął.

Kaśka uniosła brwi. Bukowski przypominał jej zagubione dziecko. Wyglądał tak marnie, że miała ochotę go przytulić.

– Nie znałem pani mamy.

– Nie znał pan mojej mamy – powtórzyła nieco zaskoczona. – W takim razie co pan tu robi?

– Przepraszam za najście. Nie powinienem...

Zaczął się podnosić, ale Kaśka położyła dłoń na jego rękę.

– Skoro już pan przyszedł, niechże pan powie, o co chodzi.

– Ja... To znaczy... Moja żona zaginęła.

– Przykro mi, ale co moja matka miała z tym wspólnego?

– Myślę, że nic, ale pani siostra...

Kaśka zeszywniała. Poczowała, jak po jej plecach przebiega lodowaty dreszcz. Dotarło do niej, kim jest ten mężczyzna.

– Moja żona nazywa się Małgorzata. Ona i pani siostra były...

– Wiem, kim jest Małgorzata. Pamiętam ją.

W kuchni zapadła cisza, przerywana tykaniem ściennego zegara. Tik-tak. Wskazówki odmierzały sekundy niezręcznego milczenia.

– Nie wiem, czemu tutaj przyszedłem. Moja żona zniknęła. Bardzo się o nią martwię i pomyślałem, że...

– Rozumiem – odparła Kaśka, chociaż nie bardzo rozumiała, jak może pomóc temu człowiekowi. – Chciał pan porozmawiać, prawda?

– Może... Może tak.

– Bo moja siostra również zaginęła. Ale ja nie potrafię podnieść pana na duchu. W ciągu kilku dni straciłam siostrę i matkę.

– Moja żona jest w ciąży.

Kaśka drgnęła.

– Naprawdę nie umiem panu pomóc. Nie mam pojęcia, gdzie podziewała się moja siostra przez ten czas. Myślałam, że umarła. Przez trzynaście lat człowiek może stracić nadzieję. Ale większe rozczarowanie przychodzi później, kiedy okazuje się, że ona żyła i nie skontaktowała się ze mną. Wie pan, jak ja się teraz czuję?

Bukowski pokręcił głową.

– Lepiej, żeby pan nie wiedział – dodała.

– Chciałem przyjść do pani wcześniej. Nie wiem dlaczego. Pomyślałem, że pani mama mnie zrozumie, że może będzie wiedziała, co się stało z Gosią. To niedorzeczne, ale tak właśnie pomyślałem.

– Niech pan już sobie idzie.

Michał zacisnął wargi. Nie chciał wychodzić. Potrzebował towarzystwa. Od kilku dni czuł się jak zombi. Nie spał, nie jadł. Obwinił się o zniknięcie Małgorzaty. Nie dawała mu spokoju myśl, że to jego wina.

– Oczywiście – powiedział i wstał. – Trafię do drzwi.

Wyszedł na zimne jesienne powietrze. Podciągnął kołnierz kurtki, aby osłonić się przed wiatrem. Wsiadł do samochodu i wrzucił jedynekę.

6

Artur Dunaj w skupieniu słuchał sierżanta Wolskiego. Siedzieli w radiowozie zaparkowanym na poboczu. Z każdą minutą młody Dunaj był coraz bardziej zaskoczony. Jego nieufność powoli ustępowała miejsca niedowierzaniu. Nie mógł uwierzyć, że komukolwiek zależy na tym, by jego ojciec został oczyszczony z zarzutów.

– Rozumiesz? – spytał Wolski, gdy skończył.

Marcel czuł na sobie podejrzliwy wzrok wykładowcy. Początkowo nie wierzył w powodzenie tego pomysłu, ale gliniarz, który wydał mu aresztanta, nie robił problemów. Ot, zwykłe przesłuchanie podejrzanego. Marcel musiał skłamać, by powiódł się plan, który wymyśliła Rudnicka.

– Nie – odparł Dunaj. – Nie rozumiem.

Marcel westchnął bezradnie. Jeśli Artur nie zgodzi się porozmawiać z ojcem, cały plan weźmie w łeb.

– Spełnię jednak pańską prośbę – dodał Dunaj. – Przynajmniej się postaram. Mój ojciec jest niewinny... To niewiarygodne. Wie pan – podrapał się w skroń – odkąd stary trafił do

więzienia, miałem nadzieję, że kiedyś prawda wyjdzie na jaw, ale teraz, kiedy istnieje taka szansa, nie mogę w to uwierzyć.

– Proszę na razie o tym nie myśleć. Musi pan skupić się na rozmowie z ojcem. To bardzo ważne. Może zaważyć również na pańskim życiu. Jeśli powie prawdę, zostanie pan oczyszczony z zarzutów.

– Domyślam się.

– Naprawdę chcemy pomóc. Panu i pańskiemu ojcu.

– Nie miałem dobrego zdania o policjantach, ale chyba będę zmuszony je zmienić.

– Także policjanci czasem popełniają błędy. Myślę, że takim błędem było wsadzenie pańskiego ojca do więzienia.

Artur spojrział w boczną szybę. Milczał kilka minut, podczas których Wolski zapalił papierosa, myśląc o tym, że czeka go jeszcze przeprawa ze strażnikami więziennymi. Modlił się w duchu, by ich wpuścili. Czuł, że z nerwów zawilgotniały mu dłonie. Ze złością wytarł je w spodnie.

– Nie wiem, czy ojciec wyzna mi prawdę – odezwał się Dunaj. – Milczał tyle lat.

– Jest pan jego synem. Przyznał się do winy i zgodził się pójść do więzienia, by chronić bliskich. Teraz ma tylko pana.

– Dobrze. Może pan na mnie liczyć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Wolski skinął głową. Wyrzucił niedopałek przez szybę, odpalił silnik i wyjechał na drogę.

– Jak wejdziemy do więzienia? – spytał Dunaj.

– Damy radę.

Wolski uśmiechnął się blado, jakby chciał przekonać sam siebie. Ku jego zaskoczeniu rzeczywiście udało im się bez przeszkód wejść do sali widzeń. Marcel posadził Artura przy jednym ze stolików, po czym oddalił się za specjalną szybę, dzięki której mógł obserwować, co dzieje się wewnątrz. Młody Dunaj rozglądał się nerwowo i palcem wskazującym drapał w kolano tak mocno, że złamał paznokiec, czego nawet nie zauważył.

Na widok ojca twarz mu się ściągnęła. Zastygł w bezruchu, niepewny, w jaki sposób powinien się z nim przywitać. Ostatecznie uniósł jedynie rękę. Stary Dunaj usiadł naprzeciwko. Marcel uważnie obserwował Antoniego. Na twarzy skazańca malowała się ulga. Wizyta syna ucieszyła go, ale przezornie trzymał emocje na wodzy.

Mieli niewiele czasu. Strażnik dał im zaledwie dziesięć minut. Artur powinien od razu przejść do rzeczy, ale zaczął rozmowę od śmierci Ireny. Wolski nerwowo zerkał na zegarek.

– Grozi mi więzienie – powiedział Artur.

Antoni odchylił się do tyłu. Nie miał pojęcia o podejrzaniach wobec syna.

– Gliny uważają mnie za twojego naśladowcę – dodał Artur. – Zdziwiałem, że ktokolwiek mógł tak pomyśleć.

– Jak to się stało?

Artur w dużym skrócie opowiedział ojcu o zajściu w sali wykładowej.

– Tato – rzekł, gdy skończył. – Zakończmy tę farsę.

– Słucham?

– Obaj wiemy, że kogoś kryjesz.

Antoni nie odpowiedział.

– Skoro jesteś zatrzymany, jak ci się udało tutaj przyjść? – zapytał.

– Tato, po prostu...

– Współpracujesz z policją? Oni cię przywieźli? Po co?

– Chcą, żebyś powiedział, kogo kryjesz.

Stojący za szybą Marcel zaklął pod nosem.

– Kogo kryję... – Antoni potarł podbródek. – Synku, bardzo się cieszę, że cię widzę. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

– Już nigdy więcej możesz mnie nie zobaczyć.

– Nie mów tak.

– W więzieniu również mogą mnie zabić.

Antoni podniósł wzrok.

– Ten człowiek będzie chciał się mnie pozbyć – dodał Artur. – Po to, żeby ukarać ciebie.

– On może zabić każdego.

– Kto? Kim on jest, tato?

Antoni odwrócił głowę. Walczył ze sobą. Zastanawiał się, czy warto zaryzykować i powiedzieć prawdę. Angelika nie żyje. Nie żyje jego matka. Jego syn jest następnym. Artur ma rację, pomyślał. Morderca zabije go tylko po to, by dać mi nauczkę. Chyba że wcześniej dopadnie go policja. Ale jeśli będzie szybszy?

– Poproś policję o ochronę – powiedział. – Chociaż pewnie tu są. Gdzie? Tam? – Wskazał na szybę. – Zapewnijcie ochronę mojemu synowi. Trzyście jest sprytny. Znajdzie sposób, by pozbyć się Artura nawet w więzieniu. Dajcie mu, do cholery, ochronę.

– Tato?

– Nie daruję sobie, jeśli coś ci się stanie.

– Posłuchaj. Oni naprawdę chcą go złapać. Zrobią wszystko, by zamknąć go w pierdlu. Musisz tylko powiedzieć, kim jest.

Antoni przyknuł oczy. Pomyślał o swoim dzieciństwie i o tym, dlaczego zdecydował się kryć mordercę. Uświadomił sobie, że gdyby nie jeden szczegół, jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Otarł łzę, która niespodziewanie spłynęła mu po policzku.

A potem powiedział prawdę.

Rudnicka czekała w gabinecie na wiadomość od Marcela. Od jego wyjazdu z komendy minęła ponad godzina, a sierżant wciąż nie dawał znaku życia. Zaparzyła sobie drugą kawę, usiadła za biurkiem i zakręciła się w fotelu, opierając głowę o zagłówek. Potarła oczy, aby przegnać zmęczenie, sięgnęła po akta sprawy. Kartkowała je bezwiednie, układając w głowie scenariusze spotkania Artura z ojcem. Jeśli Dunaj powie synowi prawdę, dostaną mordercę jak na tacy. Nie brała pod uwagę innego scenariusza. Dunaj nie ma wyboru. Aby chronić życie syna, musi współpracować.

Przypomniała sobie pierwsze spotkanie z Antonim. Minęło raptem parę dni, a miała wrażenie, że to było przed wieloma tygodniami. Zastanawiała się, co chciał jej przekazać. Nie mógł się spodziewać, że ona zapewni Angelice Krantz ochronę. Przecież nie zdawała sobie nawet sprawy, że dziewczyna żyje. Nawet jeśli przejrzałaby akta Trzynaście, nie było tam o niej wzmianki. Podrapała się w skroń. Przypomniała sobie, co jeszcze mówił – że on i tak zostanie w więzieniu. Dopiero teraz to sobie uświadomiła. Skoro nie zamordował trzynastu kobiet, dlaczego miałby zostać w więzieniu? Upiła łyk kawy i pomyślała, że prawdziwy morderca wiedział, co Dunaj ma na sumieniu, i tym go szantażował.

Rozbolała ją głowa, ale powstrzymała się przed połknięciem tabletki. Wziąwszy pod uwagę poranek, była w niezłej formie. Postanowiła spędzić noc w hotelu. Wolała nie wracać do domu po porannej rozmowie z Krzysztofem, który na pewno będzie udawał, że do żadnej rozmowy nie doszło. Nie wracajmy do tego, powie. Nie mogła pozbyć się myśli, że musi zakończyć swoje małżeństwo. Powinna zrobić to już dawno temu.

Z korytarza dobiegł ją gwar rozmów. Zadowolone głosy kolegów z komendy. Wyjęła notatnik. Nie miała nic innego do roboty, więc wzięła się do przeglądania akt.

Każda zbrodnia ma swoją przyczynę. Nikt nie rodzi się zły. Nasze zachowanie determinują czynniki zewnętrzne. Często niezależne od nas. Kim więc jest morderca? Co go skłoniło do zbrodni? Czy jest wariatem? Lena pokręciła głową. Na pewno nie. Jego zbrodnie były starannie przemyślane.

Była niemal w stu procentach pewna, że morderca ma zachwiane poczucie własnej wartości. Może jako dziecko był szkalowany i wyśmiewany przez kobiety? Kobiety go odepchnęły, a on z determinacją chciał im udowodnić, że jest kimś więcej. Dlatego odbierał im życie. Wtedy czuł się kimś ważnym. Odgrywał się na nich za krzywdy. Na jego zachowanie na pewno miało wpływ dzieciństwo. Długo tłumił nienawiść, ale w końcu dał jej upust. Pytanie, kiedy zabił po raz pierwszy? Rudnicka była przekonana, że pierwsza ofiara przypisana Trzynaście w rzeczywistości była kolejną. Zabił już wcześniej. Zbrodnia była zbyt idealna i przemyślana. Nie czerpał przyjemności z samego zabijania, ale z tego, że kobiety były od niego zależne.

Wyprostowała się, bo nagle coś sobie uświadomiła.

Znalazła zeznanie Antoniego. Przyznał się do winy, lecz nie wyjawiał żadnych szczegółów ze swoich rzekomych zbrodni. Nie mógł, ponieważ ich nie znał. Przejrzała akta. Antoniego wychowywała matka. Ojciec zaginął przed wieloma laty. Rudnicka opadła

na oparcie krzesła. Nie wierzyła, by po prostu wyszedł z domu i postanowił tam nie wracać. Musiało go spotkać coś złego.

Trzynaście mordował tylko kobiety. Z nienawiści. Antoni nie pasował do tego modelu. Nie miał powodu nienawidzić kobiet. Był silnie związany z matką. Kochał ją. Kolejny argument świadczący o tym, że jest niewinny.

Włączyła komputer i odczekała kilka sekund, aż ekran się przebudzi. Wpisała w wyszukiwarkę: Kazimierz Strąk. Zginął w wypadku samochodowym niedługo po tym, jak Antoni Dunaj trafił do więzienia. Przejrzała szczegóły dotyczące wypadku w poszukiwaniu czegoś, co wskazywałoby, że wypadek Strąka nie był dziełem przypadku. Nie znalazła jednak nic podejrzanego. Dokument był oszczędny. Zawierał tylko podstawowe informacje. Mimo to przeczucie nie dawało Lenie spokoju. Policyjny nos komisarz mówił, że coś tu nie gra.

Czy wiedział za dużo i ktoś się go pozbył, pozorując wypadek? A może odkrył tożsamość mordercy? Wiedział, kim jest Trzynaście, i dlatego zginął. Zabił go pewnie sam Trzynaście. Ale upozorowanie wypadku samochodowego nie jest proste. Zrobił to ktoś, kto zna się na tej robocie. Albo ma wpływ na treść policyjnych raportów.

Rudnicka poczuła, jak po plecach przebiega jej lodowaty dreszcz. Przełknęła ślinę i przypomniała sobie o notatce zostawionej przez Strąka, świstku papieru, który chyba tylko cudem nie wylądował w koszu na śmieci.

Karolina Deresz – ostatnia ofiara Trzynaście – rozmowa z T. przyznał się do winy – ślady: włos w samochodzie, torebka. Więcej (?) – porozmawiać z kobietą z budki z pieczywem.

Porozmawiać z kobietą z budki z pieczywem... Uzmysłowała sobie w rozmowie z panią Heleną, że źle podeszła do sprawy. Chciała zapełnić luki w jej pamięci, a wcale nie musiała. Helena Wąs wszystko pamiętała doskonale, chociaż twierdziła coś odwrotnego. Lena położyła przed sobą dokument z zeznań. Wąs wskazała Dunaja jako mężczyznę, który mógł kręcić się w okolicach budki, ale teraz Lena była już pewna, że kobieta powiedziała tylko to, co zasugerował jej prowadzący sprawę. W rzeczywistości wcale nie była pewna, czy to był Dunaj, ale umiejętnie poprowadzone przesłuchanie mogło ją doprowadzić właśnie do takich wniosków. Helena Wąs powiedziała coś jeszcze. Twierdziła, że mężczyzna, którego widziała, miał na głowie niebieską czapkę. W aktach zaś była wzmianka o czapce czerwonej. Może to pomyłka, ale czy tych pomyłek nie było zbyt wiele? Do akt dołączono zdjęcie czapki. Rzeczywiście miała kolor czerwony. Czy Helena Wąs mogła być tak zestresowana rozmową z policją, że pomyliła niebieski z czerwonym?

Nie. Lena była pewna, że Wąs widziała niebieską czapkę. Skąd więc pojawiła się czerwona?

Ktoś ją podrzucił.

Rudnicka dopiła kawę, czując, że dłonie jej dygoczą. Przymknęła oczy, usiłując się uspokoić, ale nerwy i rosnąca adrenalina nie odpuszczały. Wiedziała, z kim powinna się teraz spotkać. Przypuszczała również, że odkryła tożsamość mordercy. Człowieka, którego miała tuż obok. I który miał sposobność mieszać w policyjnych raportach, zacierając po sobie ślady.

Zbiegając po schodach, wybrała numer Wolskiego, ale nie odebrał. Napisała mu wiadomość i wskoczyła za kierownicę jaguara.

8

Bogdan Mazurek wrzucił walizkę na tylne siedzenie samochodu. Obejrzał się kontrolnie przez ramię i wszedł z powrotem do domu. Stanąwszy w przedpokoju, powiódł wzrokiem po ścianach. Z ciężkim sercem opuszczał miejsce, które kochał. Spędził tutaj najlepsze chwile swojego życia, a świadomość, że może już nigdy tu nie wróci, sprawiała mu niemal fizyczny ból. Domek na odludziu był jego oazą. Miejscem, w którym odnajdywał spokój ducha.

Zszedł do piwnicy, zakręcił zawór wody i pozamykał wszystkie okienka, a potem przesłonił je tekturą. Wrócił na górę i nastawił wodę na herbatę. Być może ostatnią, jaką wypije w tym miejscu. Miał do załatwienia jeszcze jedną bardzo ważną sprawę, a potem zniknie. Jako były policjant wiedział, co należy zrobić, by rozpuścić się w powietrzu. Jeszcze tylko musiał pozbyć się Rudnickiej. Musiał to zrobić, bo jedynie ona była w stanie odkryć prawdę. Dość już błędów popełnił w ostatnich dniach. Najpierw jednak postanowił zająć się przyjaciółką Angeliki.

Zalał herbatę wrzątkiem i przygotował kanapki ze swoich ulubionych bułek poznańskich, a potem poszedł do bunkra, bo tak nazywał to miejsce. Znajdował się na podwórku, schowany pod ziemią. Solidny, żeliwny wjazd był zakryty samochodową przyczepką. Nikt przecież się nie domyśli, że pod starą przyczepą jest wejście do kryjówki.

Idąc przez ogród, myślał o tym, co będzie, kiedy do mediów dotrze informacja o śmierci komisarza. Zachichotał. Głupia suka wreszcie dostanie za swoje. Kiedy zbliżał się do przyczepki, przystanął, zaniepokojony dziwnym odgłosem dochodzącym od strony bramy. Powiódł wzrokiem po ogrodzie i polach otaczających domek. Odruchowo sięgnął po broń, którą trzymał pod kurtką. Odwrócił się, ale nikogo nie dostrzegł, czuł jednak, że coś jest nie tak. Policyjna intuicja kazała mu zawrócić. Poruszał się bezszelestnie, rozważnie stawiając kroki.

Przez drzwi balkonowe wszedł do salonu. Na drewnianej podłodze dostrzegł ślady mokrej ziemi. Poruszał się wzdłuż ściany, z wyciągniętą przed siebie bronią, gotową do strzału. Wiedział, że w razie potrzeby się nie zawaha. Zabił wiele osób i wcale tego nie żałował.

Zabijanie sprawiało mu satysfakcję. Mścił się za lata upokorzeń ze strony matki, szkolnych kolegów i swojej pierwszej młodzieńczej miłości. Gdy patrzył w oczy tym niewinnym kobietom, czuł satysfakcję. Błagały go o litość, a on mógł decydować o ich życiu. To była jedyna sytuacja, kiedy czuł, że jest górą, że ma nad czymś władzę. W normalnych warunkach te kobiety nawet by na niego nie spojrzały.

Tylko jedna kochała go naprawdę.

Jego żona.

I on kochał ją na swój sposób, ale nie potrafił się powstrzymać. Musiał zabijać. Gdyby jego żona dowiedziała się, kim jest, gardziłaby nim, tak jak gardziły inne kobiety.

Z salonu wyszedł na korytarz. Drzwi wejściowe pozostały uchylone, co kazało mu sądzić, że intruz zapomniał je zamknąć, kiedy wchodził albo kiedy uciekał. Może dał nogę, kiedy zorientował się, że Bogdan wszedł do środka. Może. Trzeba sprawdzić cały dom. Już miał skierować się do kuchni, kiedy usłyszał szmer w drugim końcu domku. W pomieszczeniu, które służyło za sypialnię. Szmer był ledwo słyszalny, ale prawdziwy glina nie mógł go zignorować.

Skierował się do sypialni, gdy poczuł, że ktoś za nim stoi.

Odwrócił się i strzelił.

Zobaczywszy, kogo dosięgnął pocisk, pomyślał, że lepiej być nie mogło. Gąska sama przyszła do zagrody.

Komisarz Lena Rudnicka upadła na ziemię, a jej kurtka zabarwiła się krwią.

9

Marcel spieszył się. Niecierpliwie popędzał młodego Dunaja, idąc więziennym korytarzem. Artur ledwo dotrzymywał sierżantowi kroku, ale ten nie zwracał na niego uwagi. Nie miał na to czasu. Antoni zgodził się na współpracę. Powiedział prawdę. Zdradził, kim jest seryjny morderca. Marcel musiał jak najszybciej wrócić na komendę, wezwać posiłki i zatrzymać Trzynaście. Pchnął Artura przez kratę oddzielającą wejście do dyżurki.

– Ej, ostrożnie – sapnął Dunaj, ale przyspieszył kroku.

Strażnik wypuścił ich na zewnątrz. Od głównej bramy dzieliło ich może sto metrów. Marcel machnął ręką do klawisza pilnującego wejścia, a ten otworzył bramę. Po raz kolejny był zmuszony pchnąć Artura, który potknął się o wystający kamień.

– Cholera! – mruknął.

– Cholera! – powtórzył Wolski i zatrzymał się w pół kroku.

Na parkingu, tuż przy głównej bramie, stał zaparkowany radiowóz. Cajmer opierał się o maskę ze skrzyżowanymi ramionami. Na widok Wolskiego skinął na policjanta siedzącego w samochodzie. Gliniarz wysiadł i ruszył w kierunku Marcela. Cajmer szedł tuż za nim.

– Zabierz podejrzanego – rozkazał.

Mundurowy złapał Dunaja za ramię, zaprowadził do radiowozu i pchnął na tylne siedzenie.

– Co ty tutaj robisz? – spytał Wolski.

Cajmer w odpowiedzi uśmiechnął się szyderczo.

– To ja powinienem o to zapytać – odparł.

– Rozmawialiśmy z Antonim. Wyznał, kto...

– Nie powinieneś tutaj być, sierżancie.

– Posłuchaj...

– Czyj to był pomysł? Rudnickiej? – zarechotał. – Jasne. Sama narobiła sobie problemów, a teraz wciąga ciebie w to bagno. A ty posłusznie robisz to, co ci każe. Jesteś tak głupi? Nie rozumiesz, co właśnie zrobiłeś?

– To nie ma znaczenia, bo...

– Nie ma znaczenia? Uprowadziłeś podejrzanego.

– Nie uprowadziłem – sprostował Wolski. – Miałem zamiar odwieźć go do aresztu.

– Bekniesz za to nie tylko ty, ale też gliniarz, który ci go wydał. Wiesz, że właśnie zniszczyłeś komuś karierę? A może i całe życie?

– Właśnie chciałem go odwieźć do aresztu. Nie przesadzaj, Dawid.

Cajmer teatralnie wciągnął powietrze, zakrywając usta ze zdziwienia.

– Nie przesadzaj? – spytał. – Co mam przez to rozumieć? Żebyśmy zapomnieli o sprawie?

– Wiem, kto jest mordercą...

– Ja też wiem – przerwał mu podkomisarz. – Tamten facet. – Wskazał na radiowóz. – To on zabijał, a przez ciebie mógł nam uciec. Naraziłeś całe miasto na niebezpieczeństwo.

– On jest niewinny.

– Czyżby?

Marcel miał dość. Podeszedł do Cajmera i spojrzał mu w oczy.

– Wyślij ludzi po Bogdana Mazurka – rzekł. – I lepiej się pospiesz, bo inaczej to ty będziesz miał problemy. I to poważne.

– Grozisz mi?

– Ostrzegam.

– Patrzcie go, jaki waleczny. Kto cię wkurzył? Ja? A może tatulek, który ciebie i tę twoją dupę wystawił do wiatru?

Wolski zacisnął dłonie w pięści. Odwrócił wzrok, by ukryć złość.

– Mówię poważnie – powiedział. – Wyślij kogoś do...

– Jasne. A teraz posłuchaj uważnie. Jedziemy na komendę i tam będziesz się gęsto tłumaczył z porwania podejrzanego. Tatuś nie będzie zadowolony. Hm... – Podrapał się w skroń. – Myślę, że komisarz Rudnicka namówiła cię do tego. Myślę też, że dobrze by było, gdyby ona również poniosła konsekwencje. Oboje jesteście zdrowo popieprzeni. Wiesz, gdy cię poznałem, pomyślałem, że jesteś równy gość. Myliłem się. Jak widać, nawet najlepszy gliniarz może się pomylić. Gdyby ojciec przydzielił cię do pary z kimś innym, byłby z ciebie dobry śledczy, ale z Rudnicką nie miałeś szans.

Marcel wziął głęboki wdech.

– Trzynaście to Bogdan Mazurek – rzekł. – Pospiesz się. Musisz go zatrzymać, inaczej ucieknie i już nigdy...

– Nie rozśmieszaj mnie. Znam Mazurka. To świetny gliniarz. Gorszych bzdur nie mogłeś wymyślić. Nawet nie chce mi się komentować tych twoich rewelacji.

– Musisz mi uwierzyć.

– Mamy podejrzanego – uciął Cajmer.

– Ale...

– Jacek? – Cajmer odwrócił się do mundurowego, który stał przy samochodzie. – Skuj go.

– Chyba żartujesz. – Wolski uniósł brwi. Nie wierzył, że to dzieje się naprawdę.

Mundurowy zatrzasnął kajdanki na jego nadgarstkach.

– Odpowiesz za to – warknął Marcel do Cajmera. – Obiecuję, że za to odpowiesz.

Zajął miejsce z tyłu radiowozu. Tam, gdzie przewożeni są podejrzeni. Myślał o wszystkim, co właśnie się wydarzyło. O tym, że jak najszybciej musi skontaktować się z ojcem, by ten wysłał ludzi po Mazurka.

Najgorsze jednak było to, że nawet nie pomyślał, by sprawdzić telefon. Gdyby to zrobił, wiedziałby, że Lena Rudnicka pojechała do Mazurka bez żadnej ochrony czy wsparcia.

Nie miał również pojęcia, że została ranna w brzuch i powoli się wykrwawia.

Podobno ból daje ukojenie, ale Antoni Dunaj miał co do tego wątpliwości. Siedział na pryczy i dygotał, wpatrując się w wyżłobioną w ścianie dziurę i nerwowo drapiąc przedramię aż do krwi. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, wyznając Arturowi całą prawdę. Wiedział, że to było jedyne wyjście, by chronić życie syna, ale nie czuł ulgi. Nie miał też poczucia, że wielki kamień spadł mu z serca, wręcz przeciwnie. Przez te wszystkie lata przywykł do kłamstwa, to była jego karta przetargowa. Teraz już nie miał wpływu na bieg wydarzeń. Jeśli jego synowi coś grozi, on nie może mu pomóc. Cała nadzieja w policji.

Liczył na to, że dopóki nie znajdą Mazurka, jego syn będzie chroniony. I tylko ta nadzieja mu pozostała.

Antoni czekał na spotkanie z prokuratorem, o które sam poprosił. Ku jego zaskoczeniu prokurator obiecał jeszcze tego dnia pojawić się w więzieniu. Pewnie zaskoczyła go wiadomość, że skazaniec, który milczał przez trzynaście lat, postanowił złożyć wyjaśnienia. Antoni musiał to zrobić. Skoro powiedział prawdę synowi, teraz musi uporać się z prokuratorem. Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Koniec kłamstw.

Oczywiście podczas rozmowy z synem miał świadomość, że przysłuchują im się policjanci. Nie był głupi i wiedział, że to oni wysłali Artura, sądząc, że rozmowa z synem sprawi, że Antoni zmięknie. I mieli rację. Nie mógł dłużej milczeć. Nie mógł pozwolić, by Artur podzielił jego los.

Mimo wszystko wiedział, że wyznanie prawdy niczego w jego życiu nie zmieni. I tak zostanie w więzieniu. Nie spodziewał się, by ktokolwiek go zrozumiał, i nie liczył na wyrozumiałość organów ścigania ani wymiaru sprawiedliwości. Nie miał takiego prawa. Był mordercą. Zabił własnego ojca.

Co by powiedziała Irena, gdyby знаła prawdę?

Wrócił pamięcią do tamtego wieczoru. Dzień powoli ustępował nocy. Wtedy Karol Dunaj uderzył żonę po raz ostatni. Nie miał pojęcia, że syn ich obserwuje. Był przekonany, że już dawno śpi, więc nawet nie próbował się hamować. Chłopak siedział na półpiętrze i patrzył na kolejną awanturę. Jego rodzinny dom od lat był pełen wyzwisk i przemocy. A on już nie mógł patrzeć, jak matka cierpi. Był już prawie mężczyzną i czuł się w obowiązku jej pomóc. Nie wiadomo, czy pomyślał o tym w tym właśnie momencie, czy może ta myśl od dawna krążyła w zakamarkach jego umysłu. W każdym razie właśnie wtedy postanowił położyć temu kres.

Postanowił pozbyć się ojca.

Począł, aż przestanie ją bić. Po pijackich awanturach stary zwykle wychodził na papierosa, żeby się uspokoić. Wtedy również wyszedł na podwórko. Z petem w palcach chodził wokół domu. Po chwili ze zdziwieniem zauważył, że ma towarzystwo. Kilka metrów dalej stał Antoni i mu się przyglądał.

– Ej, gówniarzu, chodź tu do mnie! – krzyknął.

– Tato, pokażę ci coś!

– Co?

– Podejdź i zobacz!

Antoni obawiał się, że ojciec odmówi, a wtedy cały plan weźmie w łeb, ale ten niczego nie podejrzewał, zdeptał papierosa i ruszył w stronę syna. Chłopak aż dygotał z przerażenia, ale napędzany adrenaliną i żądzą zemsty, nie myślał o konsekwencjach.

Poprowadził ojca za stodołę, zapewniając, że w krzakach znalazł coś naprawdę ciekawego. Stary chwiał się na boki, ledwo utrzymując równowagę. Był kompletnie pijany,

co ucieszyło chłopaka, bo łatwiej rozprawić się z pijanym niż trzeźwym ojcem. Za stodołą ciągnęła się łąka, nad którą unosiła się wieczorna mgła. Wokół nie było nikogo.

Najpierw uderzył ojca w tył głowy. Cios może nie był najmocniejszy, lecz trzonek siekiery okazał się wystarczająco twardy, by powalić pijanego mężczyznę. Uderzył po raz drugi i się odsunął. Stary runął w trawę. Chłopak czuł, jak do gardła podchodzi mu żółć, ale wiedział, że gdyby zostawił ojca w takim stanie, ten odzyskałby przytomność i sprął go na śmierć. Nie zdobył się jednak na to, by uderzyć po raz trzeci. Zaczął kopać. Musiał się spieszyć, zanim ojciec się przebudzi. Machał łopata, po twarzy spływały mu strużki potu.

W końcu wykopał dół na tyle głęboki, że Karol nie miał szans, by się z niego wydostać.

Przykłęknął przy ojcu, który śmierdział wódką i tanimi papierosami. Popatrzył na niego po raz ostatni, a potem wepchnął ciało do dołu. Ojciec spadł z głuchym łoskotem na zimną ziemię.

Pogrzebał własnego ojca. Żywcem.

Antonim targały sprzeczne emocje. Z jednej strony był szczęśliwy, że wreszcie po tylu latach rodzinny koszmar się skończył; ale też docierało do niego, co zrobił. Patrzył na zasypany dół, wiedząc, że pod grudami ciężkiej ziemi leży jego ojciec. Chłopak sądził, że po wszystkim poczuje ulgę, ale tak nie było. Był przerażony. Cofnął się kilka kroków, nie spuszczać grobu z oczu, a wtedy za pagórkiem przesłoniętym gałęziami niewysokiego krzewu zauważył jakąś postać. Rozmywała się w mgle, ale Antoni był pewien, że się nie pomylił. Ktoś go obserwował.

Intruz zrobił kilka kroków i Antoni rozpoznał go. To był Bogdan Mazurek, młody policjant z sąsiedniej wsi. Antoni wpatrywał się w niego tępym wzrokiem. Spodziewał się, że gliniarz zakuje go w kajdanki i odprowadzi na komisariat. Zastanawiał się, co powie matka, kiedy dowie się o jego zbrodni. Ale Mazurek tylko uśmiechnął się i odszedł. W jego uśmiechu było coś niepokojącego. Coś, czego Antoni nie potrafiłby opisać słowami. Zadowolenie, może porozumienie dusz, jakby rozumiał Antoniego, chociaż nie zamienili ze sobą słowa.

Następne dni były koszmarem. Antoni wszędzie widział Bogdana Mazurka. Miał wrażenie, że gliniarz go śledzi, że jest wszędzie, że czeka tylko na odpowiedni moment, by wsadzić chłopaka za kraty. Ale Mazurek się nie pojawił i zbrodnia młodego Dunaja nie wyszła na jaw. Matka była uszczęśliwiona zniknięciem męża, ale zachowała pozory. Chodziła na policję, a w rozmowach z sąsiadkami odgrywała zasmuconą żonę. Antoni miał poczucie, że uratował swoją rodzinę. Zniknięcie ojca sprawiło, że ich życie wróciło do normalności. Matka nigdy nie zapytała o kawałek świeżo usypanej ziemi za stodołą. Dla niepoznaki, by nikt nie nabrał podejrzeń, Antoni postawił tam metalowe beczki na deszczówkę. Ale prawda była taka, że sąsiadów nie obchodziło zniknięcie pijaka.

Antoni obawiał się jednak, że Mazurek kiedyś pojawi się w jego życiu. I tak się stało. Pewnego dnia policjant złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Antoni początkowo odmówił, ale szybko zrozumiał, że nie ma innego wyjścia. Musiał się zgodzić, jeśli nie

chciał narażać bliskich na niebezpieczeństwo. Przyznał się do zabicia trzynastu kobiet. Wziął na siebie winę za zbrodnie Mazurka.

– Znam twoją tajemnicę – powiedział Bogdan. – Pozwoliłem ci zostać na wolności, choć już dawno powinieneś zapłacić za swój czyn. Widziałeś w telewizji te okropieństwa? W mieście grasuje seryjny morderca, a ja muszę jako policjant coś z tym zrobić. Potrzebuję kogoś, kto przyzna się do winy. Muszę kogoś zamknąć. Pomyśl o tym. Ty i tak powinieneś trafić do więzienia. – Podrapał się w skroń, uśmiechając się. – A co u twojej dziewczyny? To twoja dziewczyna, prawda? Ma na imię Angelika?

Antoni od razu zrozumiał groźbę.

To wszystko miało jednak wyglądać zupełnie inaczej. Angelika wprowadzie dla własnego bezpieczeństwa zniknęła i ten cholerny psychopata przez trzynaście lat jej nie znalazł, ale z każdym rokiem robiła się coraz mniej uważna, a w końcu postanowiła wrócić. Sądziła, że zagrożenie minęło, że nic złego jej nie spotka. Myliła się. Mazurek przypuszczał, że Angelika wie znacznie więcej, niż w rzeczywistości wiedziała. Była dla niego zagrożeniem, więc ją zabił. I przez te wszystkie lata w więzieniu miał Dunaja na oku. Strażnik więzienny nie miał pojęcia, że donosi prawdziwemu mordercy. Był pewien, że pomaga koledze z policji.

– Panie Dunaj?

Drzwi celi się otworzyły. Antoni podniósł głowę.

– Idziemy.

11

Marcel w dzieciństwie nie sprawiał żadnych problemów. Świetnie się uczył – podstawówkę skończył z wyróżnieniem; po szkole, zamiast włączyć się z kolegami, wracał do domu i posłusznie odrabiał lekcje. Rodzice wbili mu do głowy, że oceny są bardzo ważne, a dzięki nauce osiągnie sukces. W dorosłym życiu doszedł do wniosku, że spełnianie marzeń rodziców nie jest drogą do bycia szczęśliwym. Zawsze był karny i spokojny, robił to, co powinien, a nie to, na co miał ochotę. Dlatego niepokorność, którą przejawiał w ostatnim czasie, tak bardzo dziwiła jego ojca.

– Synu, mówię do ciebie.

Marcel milczał, pogrążony w myślach. Sądził, że ojciec okaże swoją wściekłość za podstęp z więzieniem i Arturem Dunajem, ale na razie komendant siedział spokojnie ze splecionymi na biurku dłońmi i wpatrywał się w syna, oczekując wyjaśnień.

– Słyszałem – odparł Marcel.

– To dlaczego nie odpowiadasz?

Marcel zastanawiał się, co zrobić. To, co naprawdę chciał powiedzieć, ojcu z pewnością by się nie spodobało.

Andrzej Wolski miał wrażenie, że patrzy na innego człowieka. W spojrzeniu Marcela pojawiła się hardość, która go zaniepokoiła. Syn nigdy nie patrzył na niego w ten sposób.

– Próbowałem cię przekonać, że Dunaj jest niewinny – odezwał się Marcel. – Ale ty nie słuchałeś.

– To nie było twoje zdanie. To Lena próbowała mnie przeciągnąć na swoją stronę. Początkowo wydawało mi się, że jej teoria ma szansę się obronić, ale gdy Dawid Cajmer znalazł...

– Daj spokój. Nie do wiary, że stanąłeś murem za Cajmerem.

– Czasem warto mieć własny rozum, Marcelu.

– Słucham?

– Nie wszystko, co powie Lena, jest słuszne. Zapamiętaj moje słowa.

– Och! – Marcel klasnął w dłonie. – Kolejna złota rada, tatusiu, dziękuję.

– Marcel? Wszystko w porządku?

– Oczywiście, dlaczego pytasz?

– Brzmisz jakoś dziwnie.

– Dziwnie? – Marcel uśmiechnął się niewesoło. – No tak. Bo pierwszy raz robię coś wbrew twojej woli.

Komendant wzdrygnął się, usłyszawszy ostry ton w głosie syna.

– Próbowałem pomóc – ciągnął Marcel. – A najbardziej frustrujące jest to, że twój przydupas Dawid Cajmer przywiózł mnie tutaj i nic nie mogę zrobić, chociaż wiem, że Dunaj jest niewinny. Obaj są niewinni. Nie chciał słuchać, kiedy prosiłem, żeby zwinął Bogdana Mazurka. Rozumiesz, tato? To on jest mordercą. To nasz Trzynaście.

Komendant patrzył na syna z niedowierzaniem. Znał Mazurka wiele lat. I uważał za dobrego glinę.

– Zabrałeś podejrzanego z aresztu i zorganizowałeś mu spotkanie z Dunajem – odparł. – To niedopuszczalne.

– Tato, nie wierzysz mi?

Komendant nachylił się nad biurkiem.

– Powiedz, czyj to był pomysł? Twój czy Leny?

– To bez znaczenia.

– Mylisz się.

– Naprawdę uważasz, że jestem takim durniem, żeby porywać podejrzanego? Naprawdę, tato? Tak mnie wychowałeś? Pracuję nad tą sprawą od początku. Cajmer się pomylił, ale idzie w zaparte. Jemu chodzi tylko o rozgłos i chwałę. Zamknąłby nawet mnie, żeby udzielić kilku wywiadów i błysnąć w mediach. Zrobi z Artura Dunaja kozła ofiarnego.

– Pracujesz w policji. A to oznacza, że obowiązują cię pewne procedury.

– Ach, daj spokój.

Marcel pokręcił głową. Wyjął papierosa, zapalił i głęboko się zaciągnął.

– Tutaj się nie pali – zauważył ojciec. – Poza tym już dawno mówiłem ci, żebyś rzucił palenie. To niezdrowe.

– I co teraz? – zapytał Marcel, rozkładając ręce. Między jego palcami tlił się papieros. – Zamkniesz mnie? Odsuniesz od sprawy?

– Jesteś moim synem, ale to nie oznacza, że wszystko ci wolno.

– Każ komuś z tej pieprzonej komendy, żeby pojechał i zatrzymał Mazurka.

– Marcel, proszę cię, nie gadaj głupot.

Komendant poprawił druciane okulary, które zsunęły mu się z nosa, i opadł na oparcie.

Marcel zdusił niedopałek na spodku od filizanki i sięgnął po telefon. Zanim odblokował ekran, ojciec znowu zabrał głos.

– Synu, nie możesz się tak zachowywać.

– Jak?

– Odpowiadam za ciebie.

– Myślałem, że sam za siebie odpowiadam.

Stary Wolski się skrzywił.

– Mylisz się – odparł. – Wszyscy wiedzą, że jesteś moim synem. I wiedzą, co wyprawiasz. Myślisz, że jestem głuchy? Plotkują o tobie. Mówią, że za bardzo ci pobłażam.

– Pieprzenie.

Komendant zmrużył oczy.

– Nie idź w ślady Leny Rudnickiej – rzekł. – Ona nie jest dla ciebie dobrym przykładem.

– To już wszystko? Mogę odejść?

– Nie poznaję cię.

Marcel posłał ojcu ponury uśmiech, wstał i ruszył do drzwi, czytając wiadomości w telefonie. Nagle zastygł w pół kroku i spojrzał na ojca z paniką w oczach.

– Cholera – mruknął. – Nie...

– Co się stało?

Marcel wpatrywał się w ekran komórki. Drżały mu dłonie.

– Lena – zająknął się.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

– Ona tam pojechała.

– Dokąd?

– Do Mazurka. Zupełnie sama. – Marcel złapał się za głowę. – Jadę. Daj mi wsparcie.

– Poczekaj...

– Nie ma czasu!

Andrzej Wolski potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że Marcel nie żartuje. A jeśli wszystko, co mówił, jest prawdą...

– Mówiłeś, że to Bogdan zamordował tamte kobiety? – spytał, czując, jak plecy oblewa mu zimny pot.

– Zabrałem młodego Dunaja z aresztu, żeby porozmawiał z ojcem. Lena zasugerowała, że tylko jemu Antoni wyzna prawdę, i tak się stało. Przez te wszystkie lata krył Mazurka.

– Dlaczego? Przyznał się do zamordowania trzynastu kobiet!

– Wziął na siebie winę, aby chronić swoich bliskich. Przed laty zabił własnego ojca. Uważa, że i tak zgniłby w więzieniu. Dlatego się zgodził. Za życie swojej matki, syna i kobiety, którą kochał.

– Angeliki?

Marcel przytaknął.

Komendant zaklął siarczyście i bezzwłocznie wysłał do domu Bogdana Mazurka wsparcie. Liczyła się każda minuta. Lena wysłała tego esemesa, gdy Marcel był jeszcze z Arturem Dunajem. Wolski bał się pomyśleć, co mogło się w tym czasie wydarzyć.

– Słucham? – Komendant podniósł słuchawkę i długą chwilę tylko słuchał. – Tak, tak, rozumiem. Dobrze. Policja już działa w tej sprawie, panie prokuratorze. – Zakończył połączenie i spojrzał na syna. – Antoni Dunaj zmienił zeznania. Zeznał prokuratorowi, że zabił własnego ojca. Świadkiem tego morderstwa był pewien policjant, który go później szantażował. Ten policjant to nasz Trzynaście.

– Bogdan Mazurek.

– Bogdan Mazurek – powtórzył komendant, jakby chciał sam siebie przekonać.

– Lena jest w niebezpieczeństwie.

12

Położona na odludziu chatka idealnie nadawała się do przetrzymywania porwanych kobiet. Dla policji jednak stanowiła niemałe wyzwanie. Pozbawiony zabudowań, otwarty teren uniemożliwiał dyskretne podejście. Kiedy dowódca grupy wszedł na ganek i uniósł dłoń, Marcel poczuł przypływ adrenaliny, ale po sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń okazało się, że nikogo tam nie ma.

Grupa techników, z Luizą Krajewską na czele, weszła do chatki. Gdy Wolski zajrzał do środka, poczuł zapach drewna i starego, zepsutego jedzenia. Na szafkach kuchennych znalazł brudne talerze. W zlewie piętrzyły się zużyte kubki po herbacie i resztki mielonej kawy. Właściciel musiał w pośpiechu opuścić dom. Wszędzie panował bałagan. Porzrzucone w nieładzie ubrania, resztki jedzenia, stos zgniecionych puszek po limonkowej pepsi w kącie saloniku.

– Wyjechał niedawno – zauważył Andrzej Wolski, spoglądając na syna.

Marcel skinął głową. Wciąż był na ojca zły. Gdyby zareagował wcześniej, udałoby im się dorwać Mazurka. A teraz nie mieli pojęcia, gdzie go szukać. Nie wiedzieli też, co się stało z Leną. Jej samochód stał niedaleko chatki, co oznaczało, że komisarz niedawno tu była.

Marcel na widok nadchodzącego Dawida Cajmera zaklął pod nosem. Podkomisarz stanął pośrodku pokoju i rozłożył ręce.

– Co to za cyrk? – spytał. – Wierzycie Dunajowi? Wymyślił bajeczkę o Mazurku, żeby wyjść z więzienia. To niemożliwe, żeby taki dobry gliniarz jak Bogdan Mazurek był mordercą. Znam go od lat. To świetny facet.

– Też tak sądziłem, Dawidzie – odparł komendant. – Ale czasem pozory mylą.

Marcel wyjrzał przez okno, usiłując powstrzymać się od komentarza.

– Dunaj miesza – ciągnął Cajmer. – Dowiedział się, że jego synowi grozi więzienie, i próbuje nas nakłonić, żebyśmy odpuścili juniorowi. Nie przypuszczał, że jego synalek pójdzie w jego ślady. Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni i...

Marcel nie wytrzymał.

– Zamknij się, Cajmer – warknął.

– Może trochę szacunku, sierżancie? – Cajmer uniósł otwarte dłonie.

– Stul dziób, nie widzisz, co się dzieje?

– Synu, uspokój się.

– A ty nie widzisz, jak absurdalne są te oskarżenia wobec Mazurka? – spytał Cajmer.

– Jak wyjaśnisz jego nieobecność?

– Nie wiem, kurwa, może poszedł do sklepu.

– Genialna teoria. A co z samochodem Leny? Gdzie ona jest? Albo nie. Nie odpowiadaj. Mam inne pytanie.

– Wał.

– Dlaczego Dunaj przyznał się do zabicia własnego ojca? – Marcel skrzyżował ramiona.

– Skoro chce wyjść z więzienia, nie powinien o tym wspominać. Jak sądzisz?

Cajmer ze złością zagryzł wargi.

– Po prostu coś mi tu śmierdzi – odparł. – Może obaj z synem uknuli tę intrygę?

Marcel z rezygnacją pokręcił głową.

– Rozejrzę się – rzucił, odchodząc na bok.

Przeszedł do kuchni i przez chwilę przyglądał się pracy techników. Zawiesił wzrok na boazerii, która aż po sufit pokrywała ściany w ciasnym korytarzyku. Wyrzucał sobie, że powinien był wcześniej odczytać wiadomość od Rudnickiej. Jaguara zaparkowała niedaleko bramy. Celowo nie stanęła przed samym domem. Pewnie chciała, żeby Mazurek jej nie zauważył.

Wolski podrapał się w skroń. Jadąc na miejsce, próbował ustalić, jakim wozem poruszał się Trzynaście. Okazało się jednak, że na Mazurka nie został zarejestrowany żaden samochód. Rozważano ustawienie blokady na drogach wylotowych z miasta, ale mogło być już za późno.

Gdyby odczytał tę cholerną wiadomość wcześniej!

– Marcel, podejdz tu, proszę – zwróciła się do niego Krajewska. – Muszę ci coś pokazać.

Przeszli na ganek. Ten sam, na którym kilka dni wcześniej siedzieli i gawędzili z byłym policjantem. Deski zaskrzypiały pod ciężarem butów sierżanta. Technik wyjęła z kieszeni prostokątny kartonik zawinięty w foliową torebkę na dowody. Marcel wziął zawiniątko do ręki. Tabletki przeciwbólne.

Cofnął się, spoglądając na Luizę.

– Wiesz, dlaczego ci to pokazuję? – spytała.

– Tak. Nie miałem pojęcia, że wiesz.

Milczeli przez chwilę, jakby żadne nie znalazło słów odpowiednich do sytuacji.

– Skąd...? – Marcel odezwał się pierwszy.

– Nie jestem idiotką. Widuję Lenę codziennie.

– I nie zareagowałaś?

– A ty?

Wolski przygryzł dolną wargę. Miała rację.

– Jeśli Lena ma kogokolwiek posłuchać, to prędzej ciebie niż mnie – powiedziała technik. – Musisz z nią pogadać, jak to wszystko się skończy.

– Nie sądzę, bym miał na nią jakiś wpływ.

– Naprawdę jesteś naiwny, sierżancie. Otwórz oczy. – Luiza rozejrzała się dookoła. Podmuch wiatru sprawił, że zaciągnęła poły służbowej kurtki. – Uznajmy, że tego nie znalazłam. Schowaj to. Lena ma już dość problemów.

– Jasne.

– Jedno musisz mi obiecać. – Podeszła bliżej. – Obiecaj mi, że jej pomożesz.

Nawet nie wiesz, ile razy próbowałem, pomyślał i poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Kiwnął głową.

– A teraz chodź, ja ci coś pokażę. – Poprowadził Luizę z powrotem na korytarz.

Przyjrzała się znalezisku.

– Ślady krwi – mruknęła. – A raczej pozostałości po śladach krwi.

– Dość niedbale starte.

– Mhm, ktoś próbował szybko pozbyć się dowodów.

Marcel poczuł ukłucie w klatce piersiowej. Wyszedł na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Oparł się o barierkę i zwiesił głowę. Coraz bardziej bał się Lenę. Przetarł dłonią oczy i spojrzął na ogród, a wtedy coś przykuło jego uwagę.

– Hej! Liz!

Ruszył w stronę przyczepki samochodowej.

– Liz?!

Przypomniał sobie, że kiedy ostatnio odwiedzili Mazurka, stała w tym samym miejscu, ale odwrócona rejestracją w inną stronę. Podeszedł bliżej i zauważył, że w miejscu, gdzie znajdowały się koła, ziemia była naruszona. Ktoś przestawiał przyczepkę. I to dość często.

– Co jest?

Liz wyszła na ganek. Przywołał ją niecierpliwym gestem. Sam odsunął przyczepę. Ich oczom ukazał się właz. Niepewnie zerknęli po sobie, a Wolski poruszył klamką. Musiał użyć dużo większej siły, żeby otworzyć właz.

– Chyba już wiemy, gdzie Trzynaście przetrzymywał swoje ofiary – powiedział, a klamka wreszcie ustąpiła.

13

Srebrna mazda wjechała na Przybyszewskiego. Kierowca spieszył się, bębnił nerwowo w kierownicę, kiedy był zmuszony hamować na czerwonym świetle. Nerwowo zerkał w tylne lusterko, obserwując klapę bagażnika. Bogdan Mazurek z niepokojem myślał, że skoro wszystko zaczęło się sypać, nic nie stoi na przeszkodzie, by jego plan awaryjny również legł w gruzach.

Nie powinien był zabierać ze sobą policjantki. Kolejny błąd, który doprowadził go do miejsca, w którym się znalazł – do ucieczki. Planował pozbyć się Rudnickiej, ale nie w taki sposób. Chciał to zrobić po swojemu, ale stracił czujność. Wcisnął spust pod wpływem impulsu. Bez zastanowienia. Trafił ją w okolice brzucha. Krwawiła. Kto wie, może już wykitowała, a on wiezie trupa? Kiedy wkładał jej bezwładne ciało do bagażnika, nie było z nią najlepiej. A przecież mógł ją zostawić. I tak wszystko się wydało, a teraz narobił sobie jeszcze więcej problemów. Działal w pośpiechu. Miał raptem kilka minut na ucieczkę.

Z tego wszystkiego nie zdążył pożegnać się z Małgorzatą. Kolejne niepowodzenie. Gdyby rozprawił się z nią szybciej, byłoby mniej problemów. Nie zabił jej przez dzieciaka w jej brzuchu. Ależ jestem głupi, myślał teraz. Sądziłem, że kobieta urodzi dla mnie dziecko.

Naprawdę czuł się samotny. Wyrobiłby dzieciakowi fałszywe dokumenty i już na zawsze byłiby razem. Z jego matką rozprawiłby się zaraz po porodzie. Tylko że wszystko się skomplikowało.

Przyjaciółka Angeliki miała odegrać wielką rolę w jego przedstawieniu, ale się nie udało. Niedobrze, pomyślał. Bukowska miała kontakt z Angeliką. Był pewien, że ta idiotka Krantz wygadała się przed koleżanką, kto przed laty zamordował trzynaście kobiet. Powinien zabić ją jako pierwszą, tymczasem zajął się płotką. Zwykłą sprzątaczką.

Błąd za błędem.

Planował ucieczkę. Tylko to mu pozostało. Za nic nie pozwoli się zamknąć. Wolał nie myśleć, co zrobiliby mu inni więźniowie, gdyby się dowiedzieli, że jest byłym policjantem. Dlatego nie mógł dopuścić, by złapała go policja. Poza tym miał plan.

Ale zanim go zrealizuje, musi załatwić jeszcze jedną sprawę.

Marcel obserwował pracę ratowników medycznych. Sprawnym ruchem położyli pacjentkę na noszach. Lekarz kucnął, by zrobić podstawowe badanie. Marcel zapiął kurtkę. Robiło się coraz chłodniej, a na otwartym terenie wzmagął się wiatr.

- Cholera! – mruknęła Liz. – Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co ta kobieta przeżyła.
- Pewnie bała się, że nie wyjdzie z tego żywa – rzucił, a technik zgromiła go wzrokiem.
- Ja bym się bał.
- Nie miała pojęcia, że to seryjny morderca.
- Skoro tyle czasu więził ją w bunkrze pod ziemią, musiała powoli tracić nadzieję.
- Liz pokiwała głową.
- Pójdę tam – powiedziała. – Może znajdzie coś ciekawego.
- Marcel odprowadził ją wzrokiem, po czym podszedł do medyków.
- Mógłbym porozmawiać z pacjentką? – spytał.
- Zabieramy ją do szpitala na badania – odparł lekarz. – Z pytaniami musi pan poczekać parę godzin.
- Co z nią?
- Nadal w szoku, ale myślę, że jest w niezłej formie.
- Tylko chwilę. To bardzo ważne.
- Lekarz zerknął na Wolskiego nieprzychylnym wzrokiem.
- Rozumiem – powiedział. – Pan wykonuje swoją pracę, a ja swoją. Proszę zrozumieć, że ta kobieta kilka dni była przetrzymywana pod ziemią. Sądzi pan, że rozmowa z policją pomoże jej dojść do siebie?
- Sądzę, że wszystkim nam zależy na tym, byśmy złapali porywacza. Potrzebuję raptem pięciu minut. Muszę z nią porozmawiać.
- Rozumiem. Natomiast moim zadaniem jest jak najszybsze odwiezienie pacjentki do szpitala.
- Proszę o pięć minut. Sam pan powiedział, że jest w niezłej formie.
- Co nie znaczy, że...
- Proszę jedynie o chwilę rozmowy. Próbowujemy złapać groźnego przestępcę. Ten człowiek zamordował kilkanaście kobiet. Prawdopodobnie porwał policjantkę. Tylko pani Bukowska może nam pomóc ją odnaleźć.
- Choć Marcela nie dziwił opór medyka, miał nadzieję, że w końcu pozwoli mu porozmawiać z pacjentką. Lekarz z rezygnacją skinął głową.
- Pięć minut – powiedział. – Ani minuty dłużej.
- Dziękuję.
- Ratownicy zdążyli już przenieść Małgorzatę do karetki. Leżała z przymkniętymi oczami, owinięta foliowym kocem. Włosy miała tłuste, ubrudzone ziemią, podobnie jak twarz.

Kiedy otworzyła oczy, Marcel dostrzegł, że są mętne, zmęczone i zdezorientowane. Wyglądała, jakby straciła nadzieję na ratunek.

– Małgorzato, jest pani w stanie ze mną porozmawiać? – spytał, przysiadając obok.

W jej oczach pojawiły się łzy.

– Rozumiem, że jest pani rozbita – ciągnął Wolski. – Trudno mi sobie wyobrazić, co pani przeżyła. Zaraz pojedzie pani do szpitala i tam się panią zaopiekują, ale proszę o chwilę rozmowy. To naprawdę ważne...

– Dobrze – przerwała mu. – Chce pan rozmawiać o tym mężczyźnie, prawda? Nie widziałam jego twarzy.

Zamilkła i leżała nieruchomo, przyglądając się ekipie pracującej wokół domu Bogdana Mazurka, po czym zatrzymała wzrok na włazie. Nie był zamknięty, ale kolejne drzwi, które napotkali policjanci, miały solidne łańcuchy i kłódkę wielkości pięści. Marcel szybko zorganizował narzędzie, które poradziło sobie z tymi zabezpieczeniami.

Kiedy weszli do bunkra, Małgorzata się rozpłakała, a potem wpadła w histerię. Krzyczała, żeby ją zabrali. Powtarzała, że chce do domu, i uspokoiła się dopiero po przyjeździe karetki, kiedy lekarze dali jej środek uspokajający.

– Czy porywacz rozmawiał z panią? – zapytał Wolski.

– On... Nie. Nie wiem. Przepraszam, nie pamiętam.

Marcel dał jej kilka sekund, zanim zadał kolejne pytanie.

– Pamięta pani dzień porwania?

– Jak przez mgłę.

– Porywacz przywiózł panią samochodem?

– Nie widziałam jego twarzy.

Wolski nie zdradził, że policja zna tożsamość porywacza. Chciał jak najszybciej przeprowadzić rozmowę z Bukowską. Naprawdę potrzebowała odpoczynku. A informacja, że porwał ją były policjant, z pewnością nie wpłynęłaby dobrze na jej stosunek do organów ścigania.

– Jego wyglądem zajmiemy się później – odparł Wolski. – Pamięta pani, jakim samochodem jeździł?

– Nie znam się na markach.

– A kolor?

– Srebrny.

To już coś.

– Dobrze – powiedział Wolski. – Teraz proszę się skupić na marce samochodu. To był hatchback czy sedan?

Bukowska spojrzała bez zrozumienia.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Miał krótszy tył czy dłuższy?

– No... Normalny. Dłuższy. Tak mi się wydaje.

– Proszę sobie przypomnieć.

– Nie wiem, przepraszam.

Każda informacja była na wagę złota, ale szukanie srebrnego sedana to jak szukanie igły w stogu siana.

– Wie pan co? – zaczęła Bukowska z wahaniem. – To chyba była mazda.

Wolski się ożywił.

– Przed chwilą mówiła pani, że nie zna się na markach.

– Kiedy ten mężczyzna wyprowadził mnie z mieszkania, nie widziałam jego twarzy, bo miał na głowie czapkę, a na nosie okulary. Zresztą bałam się na niego spojrzeć. Groził mi bronią, zabronił krzyczeć i kazał wsiąść do samochodu. Wyglądał jak mazda mojego znajomego, ale nie dam sobie ręki uciąć.

Przymknęła oczy.

– Twierdzi pani, że to była srebrna mazda?

– Miał dziwne tylne światła. Jak mazda mojego znajomego.

Wolski uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedział. – Naprawdę bardzo mi pani pomogła. Wszystko będzie dobrze. Jest pani bezpieczna.

15

Szybkim krokiem wszedł na komendę i skierował się prosto do działu techników. Otworzył drzwi i spojrzał pytająco na faceta siedzącego przy komputerze. Ten pokręcił głową przecząco.

– Jeszcze nic nie mamy – powiedział.

Wolski zatrasnął drzwi i ruszył do pokoju Cajmera. Podkomisarz stał przy oknie z rękami w kieszeni.

– Niezła historia, co? – zagadnął, gdy Marcel stanął obok. – Nie spodziewałem się, że Mazurek... Stary, ja znałem tego gliniarza. Kilka razy piliśmy razem piwo, i co? Okazało się, że jest seryjnym mordercą. – Cajmer zaśmiał się gorzko. – Kurwa, niewiarygodne. Wiesz, co będzie, kiedy dowie się o tym opinia publiczna? Zmieszają nas z błotem. Przemielą w kupę śmierdzącego gówna.

Wolski przysiadł na skraju biurka i zapalił papierosa.

– Daj jednego.

Marcel przysunął Cajmerowi paczkę. Podkomisarz pstryknął zapalniczką i zaciągnął się głęboko. Najwyraźniej dotarło do niego, że się pomylił. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

– Namierzyli telefon Rudnickiej? – spytał podkomisarz.

– Technicy nad tym pracują.

- Namierzają ją. To kwestia czasu.
- Oby nie było za późno.
- Kurwa, co jej do łba strzeliło? Mogła poprosić kogoś o pomoc, a nie łądować się w paszczę lwa.
- A ktoś by jej pomógł? – Marcel ze złością strząsnął popiół. – Na przykład ty? Cajmer nie odpowiedział.
- No właśnie – dodał Wolski.
- Chciał krzyczeć z bezsilności. Lena wpadła na trop, ale nie poprosiła nikogo o pomoc, chociaż i tak nikt by jej nie uwierzył. Nawet komendant trzymał stronę Cajmera. Wszyscy byli winni temu, że teraz groziło jej cholerne niebezpieczeństwo.
- Patrole szukają wozu Mazurka – odezwał się Cajmer. – Srebrnej mazdy. Nie wiem tylko, czy to coś da. Już dawno mógł wyjechać z miasta.
- Zastanawiam się, dlaczego nie zabił Bukowskiej. Miał wystarczająco dużo czasu, a jednak tego nie zrobił.
- Nie zastanawiaj się zbyt wiele, bo i tak go nie zrozumiesz.
- Musiał mieć powód.
- To świr.
- Wolski zdusił niedopałek.
- Wydaje mi się, że porwał Bukowską z prozaicznego powodu – powiedział. – Obawiał się, że Małgorzata zacznie sypać. Skoro Angelika wróciła do kraju, pewnie spotkała się z dawną przyjaciółką. Mazurek bał się, że dziewczyny zdecydują się powiedzieć prawdę. Dlatego ją porwał i planował zabić, ale dlaczego zmienił zdanie?
- Nie wiem, młody. Radziłem, żebyś tyle nie myślał.
- Wolski z namysłem potarł podbródek.
- Chłopaki?
- W szparze między framugą a drzwiami pojawiła się głowa Liz. Technik wyglądała na zmęczoną.
- Namierzyliśmy telefon Leny – oznajmiła.
- Marcel zerwał się na równe nogi.
- Gdzie? – zapytał.
- Stare garaże – odparła. – Przy wyjeździe z miasta.

Chrzęst toczących się po żwirze opon ucichł. Samochód się zatrzymał. Dźwięk zaciąganego hamulca ręcznego. Pomruk gasnącego silnika. Łoskot otwieranych i zatraskiwanych drzwi. Oddalające się kroki. Te odgłosy docierały do uszu Leny Rudnickiej jak przez ścianę.

Przymknęła oczy. Czy to koniec?, pomyślała. Umrę w tym cholernym bagażniku?

Bolała ją głowa, a rana na brzuchu paliła żywym ogniem. Pod palcami poczuła wilgoć. Krew. Metaliczna woń. Wiedziała, że niedługo się wykrwawi. Ale nie spodziewała się pomocy. Wprawdzie wysłała Marcelowi wiadomość, ale nie miała pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy Mazurek wrzucił ją do bagażnika. Równie dobrze mogli już być w innym mieście.

Rana na brzuchu odbierała jej możliwość trzeźwego osądu sytuacji. Usiłowała skupić się na czymś innym niż rozchodzący się po całym ciele przeszywający ból. Myślami wróciła do przeszłości.

Mała Madzia Zalewska była krnąbrnym dzieckiem, ale nawet nauczycielki twierdziły, że dziewczynka szybko przyswaja wiedzę i ma doskonałą pamięć. Mimo to zwracały rodzicom uwagę, że córka sprawia wrażenie wycofanej, co według wychowawczynie nie wpływało dobrze na jej rozwój. Kilka razy wysłano ją na rozmowę z psychologiem szkolnym, ale nie przyniosło to pożądaných efektów. Mała Zalewska w dalszym ciągu wolała towarzystwo książek niż żywych ludzi. Szkołę ukończyła wcześniej niż reszta uczniów, maturę zdała celująco, potem ukończyła studia psychologiczne, ale nie planowała otwierania własnego gabinetu. Bardziej niż problemy ludzi interesowała ją zbrodnia i jej psychologiczny aspekt.

Gdy wraz z siostrą trafiły do domu dziecka, jeszcze mocniej zamknęła się w sobie, a wychowawczynie z domu dziecka określały ją jako trudny przypadek. Zapisały Lenę na terapię i tym sposobem kolejny raz była zmuszona do męczących rozmów z psychologiem. Mała Zalewska była przekonana, że jej ojciec, za pośrednictwem psychologa, próbuje zmusić ją do zmiany zeznań. Na procesie zeznała, że widziała go stojącego nad ciałem matki z zakrwawionym nożem kuchennym w dłoni, i było pozamiatane. Seweryna skazano.

Wszystkie te wydarzenia sprawiły, że zobojętniała na świat zewnętrzny. Nie reagowała na zaczepki w bidulu, ignorowała docinki w szkole. Trzymała się na uboczu i starała nikomu nie wchodzić w drogę. Po śmierci matki postanowiła nie przywiązywać się emocjonalnie do ludzi, dzięki czemu uniknie cierpienia, gdy odejdą lub znikną z jej życia.

Przez wiele lat jej się udawało. Aż pojawił się Marcel.

To jednak nie psychologia kryminalna stała się jej nowym życiem, ale policja. Lena uczestniczyła w wielu konferencjach naukowych z zakresu psychologii zbrodni, proponowano jej nawet posadę wykładowczynie na uczelni, ale dopiero w policji poczuła, że jest potrzebna. Praca w policji była dla niej najważniejsza.

A teraz mogła przez to umrzeć.

Marcel zerknął na ojca siedzącego na miejscu pasażera. Przez wyjazdem próbował go przekonać, żeby został na komendzie, ale bezskutecznie. Prawda była taka, że cała ta akcja mogła okazać się bardzo niebezpieczna i ojciec nie powinien się tak narażać.

– Bogdan kupił ten garaż kilka lat temu – powiedział komendant. – Wątpię, żeby tam przetrzymywał swoje ofiary. Miał to paskudne miejsce pod ziemią. Ciekawe, czy dlatego wybudował ten bunkier. Odrażające...

– Zastanawiam się, po co mu garaż, skoro na jego nazwisko nie zarejestrowano żadnego samochodu – odparł Marcel.

– To akurat żaden problem. Mógł jeździć autem znajomego lub kogoś z rodziny.

– Albo zwyczajnie go ukradł.

– Na pewno planował zniknąć z radaru. Gdyby miał samochód zarejestrowany na siebie, łatwiej byłoby go złapać.

– To prawda. Zaplanował każdy szczegół, więc o tym też pomyślał.

Stary Wolski skinął głową i wyrzał przez szybę. Jechali Rokicińską na sygnale. Samochody rozjeżdżały się na boki, by ustąpić im miejsca. Marcel w ostatnim momencie wyminął hondę civic i uniknął czołowego zderzenia.

– Jedź ostrożniej – upomniał go ojciec. – Pędzisz jak wariat.

– Spieszę się.

– Nic jej nie będzie.

Komendant powiedział to bez przekonania. Marcel przełknął ślinę. Bardzo chciał, aby tak było.

– Gdybyście wszyscy posłuchali Leny, nie byłoby problemu – odparł. – Może popełniła kilka głupich błędów i nie powinna odwiedzać Dunaja w więzieniu, ale koniec końców miała nosa. Ale ty, tato, wolałeś powierzyć sprawę Cajmerowi.

– Nie wracajmy do tego. Popełniłem błąd, ale gdyby Lena miała trochę oleju w głowie, nie pojechałaby sama do Mazurka. Poprosiłaby o pomoc.

– Nie sądzę, żeby miała kogo poprosić. – Marcel zacisnął dłonie na kierownicy. – Nikt jej nie wierzył. Sam odsunąłeś ją od sprawy i przyklasnąłeś Cajmerowi, kiedy przymknął Artura Dunaja, więc to, co teraz mówisz, tato, jest nie fair. Lena nie miała innego wyjścia.

Ojciec nie odpowiedział. Zadumał się, pocierając podbródek palcem wskazującym. Wjechali na wąską, żwirową drogę. Po obu stronach rosły wysokie kasztanowce. Ich pożółkłe liście dryfowały w powietrzu, unoszone przez wiatr.

– Mamy wsparcie? – zapytał Marcel.

– Jadą zaraz za nami.

– Lepiej zostać w samochodzie.

– Słucham?

Komendant nie krył zdumienia. Spojrzał na syna z wyrzutem.

– Mam siedzieć w samochodzie i przyglądać się wszystkiemu z boku? – zapytał.

– Tak jakby.

- Mowy nie ma.
- Tato, uwierz mi, tak będzie lepiej.
- Sugerujesz, że jestem za stary, żeby wziąć udział w akcji?

Marcel zagryzł wargę. Właśnie tak uważał. Ojciec miał słabe serce, a praca w policji wiązała się z dużym stresem. Od jakiegoś czasu żona naciskała, by przeszedł już na emeryturę. Uważała, że powinien prowadzić spokojniejszy tryb życia. Takie rozmowy zazwyczaj kończyły się kłótnią. Ojciec nie dostrzegał własnych słabości związanych z wiekiem. Przez całe życie był gliną. Trudno zrezygnować z czegoś, co się robiło całe życie.

Marcel wtoczył samochód na zwirową drogę. Zaparkował za rzędami garaży, z boku, aby zminimalizować ryzyko ewentualnego zauważenia przez Mazurka.

Wokół nie było żywej duszy. Marcel nie dostrzegł też żadnego samochodu, ale plac był rozległy. Kilkanaście rzędów garaży ciągnęło się po horyzont. Miejsce wyglądało odpychająco. Położone na krańcu miasta garaże stanowiły niezłą kryjówkę. Mury miały odrapane, pomazane wątpliwej jakości graffiti. Niektóre z drzwi ledwo trzymały się na zardzewiałych zawiasach.

Marcel wysiadł z samochodu i zlustrował okolicę. Zachowywał czujność, choć nogi miał jak z waty. Zdawał sobie sprawę, że Mazurek mógł ich dostrzec. Ojciec poszedł w jego ślady. Wysiadł z samochodu, trzymając dłoń na kaburze z bronią. Marcel dostrzegł w jego oczach błysk podekscytowania. Komendant dawno nie był w terenie.

- Tato – spróbował Marcel. – Prosiłem, żebyś został w samochodzie.

Wystarczyło, by na niego spojrzeć, a Marcel wiedział, że w tej sprawie jest na straconej pozycji. Ojciec nie zamierzał dyskutować. Pokręcił głową. Choć Andrzej był przekonany, że pozostaje w pełni sił, w jego wieku niektóre reakcje przychodzą z opóźnieniem, a ciało jest znacznie mniej sprawne i szybkie.

Odbezpieczyli broń i ruszyli ku pierwszemu rzędowi garaży. Poruszali się ostrożnie i powoli. Pod ich butami chrzęścił żwir. Zaraz miało pojawić się wsparcie. Sprawdzili kilka rzędów, kiedy Marcel uniósł dłoń. Ojciec zastygł tuż za plecami syna.

- Samochód – szepnął Marcel. – Srebrna mazda.
- Auto Mazurka.
- Chyba nam się udało.

Marcel czuł rosnącą adrenalinę. Z każdą sekundą krew w jego żyłach krążyła coraz szybciej. Odetchnął głęboko, próbując uspokoić drzenie rąk. Kiedy dygoczą jak na kilkustopniowym mrozie, użycie broni to nie najlepszy pomysł.

Spojrzał na ojca i pomyślał, że nie powinien się dzisiaj z nim kłócić.

Bogdan Mazurek trzymał w garażu gotówkę, którą przez kilka lat odkładał na czarną godzinę. Właśnie dziś wybiła. Forsa mogła ułatwić mu życie w nowym miejscu. Nie było tego dużo, ale wystarczy na kilka miesięcy. Celowo nie trzymał zaoszczędzonych pieniędzy na koncie. Lepiej, żeby oficjalnie nikt o nich nie wiedział. Dlatego kupił sejf i umieścił go na tym odludziu. Okolica cieszyła się złą sławą, a dla potencjalnego złodzieja w garażu nie było nic cennego. Sejf umieszczony pod betonową posadzką i przykryty regałem z narzędziami pozostał niewidoczny dla kogoś, kto nie miał o nim pojęcia.

Ale w garażu Bogdan trzymał nie tylko gotówkę. Było tam coś znacznie bardziej cennego. Fałszywe dokumenty. Kilkanaście lat temu wyrobił papiery na nowe nazwisko. Kupił je od najlepszego fałszerza w mieście. Jako policjant doskonale wiedział, do kogo się zgłosić.

Planował zabrać dokumenty oraz pieniądze i ruszyć w drogę. Powinien jeszcze pozbyć się ciała policjantki. Położył na ziemi torbę podróżną, do której upchał w pośpiechu tyle ubrań, ile zdołał. Do bocznej kieszeni wsunął gotówkę, dokumenty zaś schował do kieszeni kurtki. Zrzucił torbę na ramię i zastygł. Poczł mrowienie w okolicy kręgosłupa. Policyjny instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie w porządku, choć nie sądził, by policja namierzyła go tak szybko. Pomyślał, że w okolicy kręca się jakieś żądne wrażeń dzieciaki.

Był policjantem starej daty i właśnie to go zgubiło. Kiedy postrzelił Rudnicką, bardzo się spieszył i zapomniał o podstawowych sprawach. Komisarz z pewnością miała w kieszeni telefon, który nadawał sygnał GPS, a technicy policyjni zdołali go namierzyć. Bogdan dopiero teraz uświadomił sobie swój błąd. Kolejny i niewybaczalny.

Sięgnął za pasek spodni i powoli wyciągnął pistolet, złapał go oburącz i stanął nieruchomo, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. Ostrożnie przesunął się w stronę drzwi garażu i lekko wychylił, ale nikogo nie zauważył. Był gotów do strzału.

Jako kilkunastoletni chłopak zabił po raz pierwszy. Za śmierć Heni odpowiedział chłopak, z którym wówczas się spotykała. Nikt nie posądzał Bogdana, a on nigdy się nie przyznał. Nie miał też wyrzutów sumienia. Jego zdaniem Henia zasłużyła na śmierć. Zlekceważyła go. Za to upokorzenie postanowił wymierzyć dziewczynie karę.

Wszystko zaczęło się od jego cholernej matki. Być może gdyby nie ona, Bogdan nie miałby tak niskiej samooceny. Wciąż powtarzała, że coś jest z nim nie tak. Uważała syna za dziwaka. Prowadzała do lekarzy, faszerowała pigułkami, parzyła podejrzaną ziołową napary, które miały sprawić, że syn stanie się „normalny”. Wyrósł na mordercę i to ona była temu winna, ponieważ go nie akceptowała. Frustracja i żal narastały w nim od dziecka, aż w końcu znalazły tragiczne ujście. Jedyłą kobietą, którą szczerze kochał, była Marysia, jego żona.

Wyszedł przed garaż. Był przekonany, że chwilę wcześniej słyszał jakieś dźwięki, chyba kroki, ale teraz było cicho. Czujnie rozejrzał się wokół. Mazda stała dwieście metrów dalej. Poruszając się wzdłuż muru, dotarł do auta, nacisnął guzik, by otworzyć bagażnik, i wtedy popełnił kolejny błąd. Chciał sprawdzić, czy gliniarka nie wy dostała się jakimś

cudem z bagażnika. Może to ona kręciła się przy drzwiach garażu, pomyślał. Ale Rudnicka leżała nieprzytomna tam, gdzie ją zostawił. Bogdan zaś, by uchylić klapę bagażnika, niefortunnie odwrócił się tyłem. To wystarczyło.

Wydarzenia potoczyły się bardzo szybko.

Wokół Bogdana wyrosła grupa uzbrojonych policjantów.

– Rzuć broń!

– Na ziemię!

– Ręce do góry!

Przez pierwszych kilka sekund czuł się oszołomiony, ale szybko odzyskał rezon i postanowił się bronić. Nie zamierzał dać się złapać. Ułamek sekundy zajęło mu obrócenie się w stronę otwartego bagażnika i wycelowanie pistoletu w sam środek czoła nieprzytomnej Leny Rudnickiej. Dostrzegł przerażone miny policjantów, którzy jakby na komendę głośno wciągnęli powietrze w płuca. Bogdan zauważył również tego młodego sierżanta, z którym prowadziła się komisarz. Stał nieco z tyłu, celując z broni, ale nawet z tej odległości Mazurek widział, że trzęsą mu się dłonie.

– Wypierdalać! – krzyknął. – Cofnąć się, bo ją odstrzelę!

– Rzuć broń! – odkrzyknął któryś z policjantów oddziału antyterrorystycznego.

– Odsuńcie się, bo ją zabiję!

Wszyscy widzieli, że Mazurek nie żartuje. Zamordował tak wiele osób, że kolejna ofiara nie sprawiała mu większej różnicy.

– Ty! – Wskazał Marcela. – Odłóż spluwę i podejdź!

– Rzuć broń, Mazurek!

– Czarni mają wypierdalać!

Wolski spojrział na antyterrorystów, a potem przeniósł wzrok na ojca. Komendant kiwnął głową i oddział zaczął się wycofywać.

– Bez jaj, kurwa – warknął Mazurek. – Wiem, że to nie wszyscy. Macie mnie za idiotę?

Dwóch faktycznie ukryło się za murem jednego z garaży. Choć Mazurek nie mógł ich widzieć, doskonale wiedział, jak wyglądają policyjne akcje.

– Chcecie ją żywą? – Skinął głową w kierunku Rudnickiej. – No? Chcecie?!

– Bogdan, nie rób głupstw – powiedział komendant. – Chłopie, co ty wyprawiasz?

Mazurek spojrział na Andrzeja Wolskiego w sposób, który kazał sądzić, że ich dawna znajomość nie miała dla niego znaczenia. Maską opadła i nie musiał już grać dobrego gliny.

– Ona umrze – odparł. – Dostała kulkę prosto w brzuch. Niedługo się wykrwawi. Zdechnie, jeśli zaraz czegoś nie zrobicie.

– Czego oczekujesz?

– Jeden głupi ruch, a rozwalę jej łeb.

– Rozumiem.

– Nie stosuj na mnie tych zasranych policyjnych sztuczek.

- Spokojnie. Dogadajmy się.
- Wreszcie mówisz do rzeczy.

W czasie, gdy ojciec rozmawiał z Bogdanem, Marcel wykonał kilka kroków naprzód. Morderca zdawał się nie zauważać zbliżającego się sierżanta. Mimo że dzieliło ich jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów, Marcel nie zdążyłby dobiec, gdyby Mazurek postanowił oddać strzał. Wciąż celował w głowę Rudnickiej.

Komendant z niepokojem zerknął na syna. Mazurek podążył za jego spojrzeniem.

– Stary wyjmie ciało – rzucił do Andrzeja Wolskiego, a potem przeniósł wzrok na Marcela. – A ty pojedziesz ze mną.

– Nie ma mowy – zaproponował komendant.

– Młody, wytłumacz staruszkowi, żeby poszedł po rozum do głowy.

Marcel nie był przekonany do tego pomysłu. Bał się, ale zrobiłby wszystko, by ratować Lenę. Ojciec o tym wiedział. Wiedział, że syn może zrobić coś głupiego, i nie zamierzał mu na to pozwolić. Gdyby Marcel odjechał z Mazurkiem, oznaczałoby to dla niego wyrok śmierci.

– Tato, rób, co mówi – powiedział Marcel. – Zabierz Lenę do szpitala.

Komendant nie ruszył się z miejsca.

– Do cholery! Ona się wykrwawia! Musisz zabrać Lenę do szpitala!

– Nie, synu. To niemożliwe. Nigdzie nie pojedziesz.

Zanim komendant się zorientował, Mazurek zmienił cel. Teraz miał na muszce jego syna.

– Głuchy jesteś, dziadek?

– Bogdan, porozmawiajmy – spróbował Andrzej Wolski, a ten w odpowiedzi zaśmiał się głośno.

– Zabieraj policjantkę albo synalek dostanie kulkę w łeb – warknął. – No? Wybieraj! A najpierw rzuć giwerę! No już! Na ziemię i kopnij ją w bok!

Komendant spełnił prośbę Mazurka. Położył pistolet na ziemi, a potem powolnym krokiem ruszył w stronę samochodu. Mazurek odsunął się, by umożliwić mu wyjęcie Rudnickiej, ale wciąż celował w Marcela.

– Ruchy! – ponaglił komendanta.

Andrzej Wolski z wysiłkiem uniósł bezwładne ciało Leny. Wystarczyło na nią spojrzeć, by wiedzieć, że sytuacja jest dramatyczna. Liczyła się każda minuta. Wnętrze bagażnika całe było we krwi, podobnie jak jej ubranie. Komendant pomyślał, że jeśli Rudnicka przeżyje, to będzie cud. Kolejny dowód na to, że ona zawsze spada na cztery łapy.

Kiedy był w połowie drogi z Rudnicką na rękach, antyterrorysty, którzy obserwowali sytuację, doszli do wniosku, że to właśnie jest najlepszy moment, by wkroczyć. Komisarz była w bezpiecznych rękach, więc uznali, że zdołają zdjąć Mazurka, zanim strzeli do Marcela. To mogło skończyć się inaczej. Gdyby poczekali jeszcze kilka sekund lub pozwolili, by komendant oddalił się z Leną na bezpieczną odległość. Mogli również

poczekać, aż Mazurek straci czujność i opuści na chwilę broń. Ale nie poczekali. Nie docenili Trzynaście. Człowieka, który przez wiele lat wodził policję za nos.

Rozległ się huk wystrzałów.

W pierwszej chwili Marcel nie miał pojęcia, co się dzieje. Odruchowo zakrył głowę rękoma. Dostrzegł, że ciało Bogdana Mazurka pada bezładnie na beton, a jego pistolet z brzękiem wtacza się pod samochód. Morderca upadł, a z brzucha sączyła mu się strużka krwi. Zapadła pełna napięcia cisza. Potem ktoś głośno zaklął i rozległ się stukot ciężkich butów. Dopiero po chwili dotarło do niego, co się stało. Grupa policjantów otoczyła kogoś leżącego na ziemi. Przekrzykiwali się nawzajem.

Marcel podniósł się i podszedł bliżej.

Na ziemi leżała Lena Rudnicka. Z oddali biegli ratownicy medyczni.

Obok niej leżało jeszcze jedno bezwładne ciało.

To był komendant Andrzej Wolski. Kula trafiła go prosto w serce.

ROZDZIAŁ V

WTOREK, 24 października

Cztery dni po śmierci komendanta Andrzeja Wolskiego

1

Tykanie zegara. Tyk, tyk. Czas płynął, wskazówka odmierzała kolejne sekundy. Tyk, tyk. Wokół panowała cisza. Słyszała tylko to cholerne tykanie zegara, które doprowadzało ją do szału. Zakłęła w myślach i wkurzyła się jeszcze bardziej, kiedy spróbowała poruszyć którąś z kończyn. Najmniejszy ruch sprawiał okropny ból. Własne ciało odmawiało jej posłuszeństwa.

– Budzi się.

Usłyszała kobiecy głos. Poczuła, że ktoś się nad nią pochyla, i spróbowała otworzyć oczy, ale uniesienie powiek było ponad jej siły.

– Budzi się, pójdę po lekarza.

– Idę z tobą.

Lena oddychała płytko, bo nawet oddychanie sprawiało jej ból. Złapanie głębszego wdechu przypominało wbijanie igły we własne płuca.

Kroki. Dźwięk otwieranych drzwi. Ktoś wszedł do pomieszczenia. Dopiero teraz dotarło do niej, że specyficzny zapach unoszący się w powietrzu to woń leków i chorych ludzi. Nie sposób go pomylić z żadnym innym. Jest w szpitalu.

– Pani Magdaleno?

Tym razem usłyszała głęboki męski głos, zapewne należący do lekarza.

Rudnicka usiłowała przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich dni, ale w głowie miała pustkę. Nie wiedziała, dlaczego trafiła do szpitala i z jakiego powodu boli ją całe ciało. Jakby w jej głowie ziała czarna dziura, która wciągnęła wszystkie wspomnienia.

Zmusiła się do otwarcia oczu.

– Dzień dobry.

Lekarz miał około czterdziestu lat i posiwiałe skronie. Uśmiechał się szeroko, szczerząc równe, wybielone zęby.

– Pani Magdaleno? – Lekarz spojrział na stojącą obok pielęgniarkę. – Chyba nie kontaktuje – powiedział i ponownie przeniósł wzrok na Rudnicką. – Magdaleno, słyszy mnie pani?

– Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, to nie ręcę za siebie.

– Och, czyli pani słyszy.

– Jak widać.

– Wszystko w porządku?

Rudnicka nie odpowiedziała.

– Pani Magdaleno, wszystko w porządku?

– Mówiłam, żebyś pan tak do mnie nie mówił.

Doktor wymienił znaczące spojrzenia z pielęgniarką.

– Nie pamięta pani, jak się pani nazywa?

– Nie nazywam się tak.

– Hm, nie sądzę, by doszło do pomyłki. Tak mamy zapisane w dokumentach. Twierdzi pani, że nie nazywa się Magdalena Rudnicka?

Mimo że wciąż się uśmiechał, Lena dostrzegła niepokój na jego twarzy.

– Nie jestem wariatką – odparła.

– Nikt tak nie twierdzi.

– Co tutaj robię?

– Nie pamięta pani?

– Nie pytałabym, gdybym pamiętała.

– Została pani postrzelona – wyjaśnił lekarz.

Rudnicka się skrzywiła. To by wyjaśniało, dlaczego tak koszmarnie się czuła.

– Gdzie? – zapytała.

– W brzuch.

– To już przynajmniej wiem, dlaczego nie mogę oddychać.

– Nie może pani oddychać?

– Trochę boli.

– To zrozumiałe. Miała pani operację. Straciła dużo krwi. To cud, że pani w ogóle żyje.

Lena przełknęła ślinę. Pewne fakty powoli do niej wracały. Sprawa Trzynaście i wykluczenie ze śledztwa. Pamiętała, że pojechała do Bogdana Mazurka. Emerytowany policjant okazał się mordercą. Weszła do jego domu, ale potem niczego już nie pamięta. Spróbowała usiąść, ale nie starczyło jej sił.

– Proszę leżeć – upomniał ją lekarz. – Jest pani osłabiona.

– Dostałam kulkę?

– Tak, dlatego powinna pani odpoczywać.

– Nie jestem w stanie podnieść ręki. Co innego miałabym robić?

Twarcz doktora nagle zmieniła wyraz.

– Mogłabyś zostawić nas samych? – zwrócił się do pielęgniarki.

Kobieta posłusznie skinęła głową i wyszła z sali. Lekarz odetchnął głęboko i odchrząknął.

– Będziemy mieli jeszcze czas, żeby omówić sprawę pani postrzału – powiedział. – Zresztą to sprawa dla pani kolegów z policji. Ja natomiast... Hmm. Chciałbym, żeby mnie pani dobrze zrozumiała. Moim zadaniem jest leczyć i pomagać ludziom. Może to nie moja sprawa, ale...

– O co chodzi?

– Na pani ciele znaleźliśmy siniaki. I starsze blizny, które z pewnością nie powstały na skutek ostatnich wydarzeń.

Lena przyjrzała mu się podejrzliwie. W oczach lekarza dostrzegła szczerą troskę, ale nie zamierzała mu się zwierzać.

– Ma pan rację – odparła. – To nie pańska sprawa.

– Jeśli potrzebuje pani pomocy...

– Nie potrzebuję, doktorze.

– Nie chciałem pani urazić...

Wyglądał na zmieszanego. Splótł dłonie z tyłu, unikając wzroku pacjentki. Spojrzał w okno, w które bębnił deszcz. Krople spływały po szybie, tworząc pionowe smugi.

– Panie doktorze, czasem sprawy wyglądają inaczej, niż nam się wydaje – powiedziała Lena.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz jej uśmiech przygasł, gdy dostrzegła Dawida Cajmera wchodzącego do sali. Miał na sobie służbowy mundur. Rudnicka nie miała pojęcia, dlaczego Cajmer się tak wystroił. Nigdy nie widziała podkomisarza w mundurze. Doktor przeprosił, skinął głową na pożegnanie i zostawił ich samych.

Cajmer zdjął czapkę, wsunął ją sobie pod ramię i stanął przy łóżku.

– Wybudziłaś się – rzekł.

Rudnicka zmrużyła oczy i pomyślała, że Cajmer nie nałożyłby munduru bez powodu.

– Coś się tak wystroił? – zapytała niepewnie.

– Jak się czujesz?

– Gdzie młody?

Cajmer nie odpowiedział.

– Złapaliście Mazurka?

Podkomisarz spojrział w okno, zaciskając usta. Rudnicka po raz pierwszy w życiu widziała go w takim stanie. Był blady, miał przekrwione oczy, a na twarzy wyraz zagubienia.

– Ej – ponagliła go. – O co chodzi? Co masz taką minę? Co mnie ominęło? Właściwie, ile dni tutaj leżę?

– Myślę, że w najbliższym czasie nie zobaczysz Marcela.

Serce Leny zamarło.

- Jak to? – spytała.
- Cholera, wysłali mnie tutaj, żebym ci to powiedział.
- Co powiedział?

Lena ponownie spróbowała usiąść, ale opadła na łóżko, klnąc pod nosem. Podkomisarz milczał. Nie ponaglała go. Czuła, że wydarzyło się coś złego. W końcu wziął głęboki wdech.

- Komendant... – zaczął, unikając jej wzroku. – Andrzej Wolski nie żyje.

Z podkomisarza jakby zeszło powietrze. Przysunął krzesło i przysiadł przy łóżku Leny. Czapkę położył sobie na kolanach i głośno sapnął. Spojrzał na Rudnicką, której twarz pozbawiona była emocji.

- Nie żyje? – zapytała.
- Wracam z pogrzebu – wyjaśnił.

Sens słów Cajmera docierał do Leny bardzo powoli. Buzowały w niej emocje, złość, szok, niedowierzanie. Chciała krzyczeć, ale nie miała siły. Zapadła się głębiej w poduszkę. Nie zwrócił na nią uwagi. Miała wrażenie, że również i on przestał dbać o wizerunek twardego.

- Dziękuję, że przyszedłeś.
- Ktoś musiał przekazać ci tę informację. Podobno lekarze wprowadzili cię w śpiączkę. Po całym zamieszaniu z Mazurkiem myśleliśmy, że już po tobie. Podobno wylało się z ciebie morze krwi, ale jakoś się wylizaliśmy.

Rudnicka nie chciała rozmawiać o sobie.

- Jak to się stało? – spytała.
- Mazurek wpakował mu kulkę prosto w serce. Medycy próbowali go ratować, ale... Sama wiesz.

- Ale jak to się stało? – powtórzyła.

Cajmer zasepił się, potarł dłonią czoło, a potem opowiedział jej o strzelaninie wśród starych garaży. Mówił powoli, ale Lena nie miała mu tego za złe. Wyglądał na zmęczonego. I nie było się czemu dziwić. W czasie, gdy Rudnicka leżała w szpitalu, na komendzie pewnie zapanował jeden wielki bałagan. Śmierć komendanta w akcji? To się nie zdarza. Rudnicka zastanowiła się, co podkusiło Andrzeja Wolskiego do wyruszenia w teren.

A potem pomyślała, że to wszystko jej wina. Gdyby nie pojechała sama do domu Mazurka, komendant by nie zginął.

- Stary cię wyniósł, a potem rozpętało się piekło – dodał Cajmer. – Chłopaki chciały zdjąć Mazurka, ale zdążył strzelić. Trafił w komendanta, chociaż nie mamy pewności, czy chciał zabić jego, czy Andrzej dostał przypadkiem. Stary Wolski padł, ty obok niego, a potem Mazurek dostał kulkę. No i tyle. Przyjechały karetki, ciebie zabrali, ale Andrzej... – Cajmer westchnął. – Dzisiaj odbył się pogrzeb. Rodzina urządziła stypę, ale nie poszedłem. Takie imprezy to nie dla mnie. Wysłali mnie więc do ciebie.

Rudnicka nie odpowiedziała.

– Wiesz – ciągnął podkomisarz. – Nigdy za sobą nie przepadaliśmy, ale teraz naprawdę ci współczuję.

– To znaczy?

– Cała komenda cię nienawidzi.

Lena zagryzła wargę.

– Zginął jeden z naszych – wyjaśnił. – Nasz komendant. Cholera, on cię niósł na rękach, kiedy Mazurek go zabił.

Nagle do niej dotarło, co Cajmer chciał jej przekazać. Andrzej Wolski niósł ją na rękach. Chciał ją uratować. Nic dziwnego, że wszyscy ją obwiniali o śmierć przełożonego. Bo to była jej wina.

– Weź dłuższy urlop. Nie pokazuj się w firmie, dopóki emocje nie opadną.

– Co z młodym?

– Z Marcelem?

– Mhm. Jak on się czuje?

– Dobrze pytanie. – Cajmer wstał. Przesunął krzesło pod ścianę i spojrzał na Lenę. – Marcel jest w kompletnej rozsypce. Musiałabyś go zobaczyć, aby to zrozumieć.

2

Myślałem, że będziesz na stypie.

Marcel omiótł wzrokiem szpitalną kafejkę i zobaczył Dawida Cajmera, który położył mu rękę na ramieniu, ale szybko ją zabrał. Wolski odebrał ten gest jako szczerzy. Nie przepadali za sobą, ale nawet Cajmer potrafi wykrzesać z siebie odrobinę współczucia.

Zresztą, żałoba po komendancie objęła całą komendę. Na pogrzebie zjawily się tłumy ludzi, a policjanci pełnili wartę honorową przy trumnie. Nikomu nie przeszkadzała zimna, deszczowa pogoda. Andrzej Wolski miał wielu znajomych i był powszechnie szanowanym człowiekiem, dlatego na pogrzebie licznie stawili się również mieszkańcy Łodzi solidaryzujący się z rodziną zmarłego i pragnący oddać hołd policjantowi, który stracił życie na służbie. Komendant stał się symbolem walki z seryjnym mordercą zagrażającym miastu. Media skutecznie podgrzewały temat. Nie mówiło się o niczym innym. Akcja łódzkich policjantów i śmierć jednego z nich zajmowała całą Polskę.

W tym całym zamieszaniu dobrą wiadomością było to, że media nie wiedziały, dlaczego Andrzej Wolski ratował komisarz Rudnicką. Na całe szczęście ta informacja nie wyszła poza mury komendy, chociaż i to mogło być kwestią czasu. Reporterzy wiedzieli jedynie, że komendant niósł na rękach jedną z policjantek, która brała udział w sprawie Trzynaście. Zresztą, to już nie było ważne. Wszyscy wiedzieli, że Andrzej Wolski chciał uratować swoją podwładną. A potem zginął.

– Woląłem przyjechać tutaj – odparł Marcel po dłuższej chwili.

– Podobnie jak ja.

– Byłeś u Leny?

Cajmer skinął głową.

– Jak ona się czuje? – spytał Wolski.

– Wybudziła się. Czuje się coraz lepiej. Wyjdzie z tego.

Marcel nie zapytał o nic więcej. Nie winił Leny, ale śmierć ojca była zbyt świeżą raną.

Podkomisarz usiadł naprzeciwko.

– Może ja to zrobię? – zaproponował.

– Nie. Muszę się czymś zająć.

– Powinieneś wziąć wolne i odpocząć.

– Dzięki, ale to najgorsze, co mógłbym zrobić.

Cajmer skinął głową ze zrozumieniem.

– Bukowska czeka w sali chorych – poinformował. – Iść z tobą?

– Dam sobie radę.

Marcel wstał i dopił resztki kawy z papierowego kubka. Zgarnął ze stolika papierek po czekoladowym batonie i wyrzucił do kosza.

Nieco zaniedbał służbowe sprawy, ale teraz zamierzał nadrobić zaległości. Dlatego wybrał się do szpitala. Podobno Bukowskiej pomogły spotkania z psychologiem, który pomagał jej uporać się z przykrymi doświadczeniami.

Marcel wszedł do sali. Małgorzata dzieliła pokój z jeszcze jedną pacjentką, ale na czas rozmowy z policją poproszono ją o wyjście na korytarz. Bukowska skinęła głową na przywitanie.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała.

Wolski zajął miejsce na krześle przy łóżku i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, od czego zacząć. Poglądził nieogolone policzki. Twardy zarost zakłuł go w dłoń.

– Bardzo mi przykro z powodu pańskiego ojca – odezwała się Bukowska. – Mąż powiedział mi o wszystkim. Proszę przyjąć moje kondolencje.

Marcel tylko pokiwał głową. Nie miał siły słuchać kolejnych wyrazów współczucia.

– Jak się pani czuje? – zapytał.

– Psychiczenie nie najlepiej, ale fizycznie w porządku. Miałam szczęście, prawda? Nasza sprzątaczką... Ona była tam ze mną i...

– Tak, wiem.

– To ja mogłam być martwa.

Zadrżała jej dolna warga. Kobieta wyglądała, jakby z trudem powstrzymywała łzy. Bolesne wspomnienia były zbyt świeże.

Marcel sięgnął po leżące na stoliku pudełko chusteczek i podał jej.

– Da pani radę odpowiedzieć na kilka pytań związanych ze śledztwem? – zapytał.

– Przepraszam.

– Ma pani prawo być zdenerwowana.

– Oczywiście, postaram się pomóc.

Wolski zastanowił się nad pierwszym pytaniem.

– Zaczniemy od początku – zaproponował. – Pani przyjaciółka, Angelika. Proszę opowiedzieć o jej zaginięciu.

– Och, wiedziałam, że to się źle skończy.

– To znaczy?

– Odradzałam jej ten pomysł.

– Jaki pomysł?

– Jej ucieczki.

– Od czego chciała uciec pani przyjaciółka? – Marcel znał odpowiedź na to pytanie, ale chciał poznać wersję Bukowskiej.

– To skomplikowane. – Podciągnęła się na łóżku. – Angelika ciągle kłóciła się z matką. Nie zgadzały się w wielu sprawach. To pierwszy powód, dla którego chciała zniknąć.

– A drugi?

– Drugim był mężczyzna, Antoni Dunaj. Zakochała się w nim, ale ja nie popierałam tego związku.

– Dlaczego?

– Gość wydawał mi się dziwny. Źle mu z oczu patrzyło, jakby miał coś na sumieniu. Niby się uśmiechał, ale zaraz pochmurniał. Jakby miał dwie twarze, rozumie pan? Nie spodobało mi się to... – Zawiesiła głos. – A potem Angelika powiedziała, że planują wspólny wyjazd. Matka miała o tym nie wiedzieć.

– Nie zamierzała w ogóle utrzymywać z nią kontaktu?

– Przez pierwsze miesiące chciała mieć spokój. Potem planowała dać znać, że wszystko z nią w porządku, żeby matka się nie martwiła. Rozmawiałam z Angeliką zaraz po aresztowaniu Dunaja. O wszystkim mi opowiedziała. Cała ta szopka z odnalezieniem samochodu była ukartowana. Policjant, który wsadził Antoniego za kratki, miał na niego jakiegoś haka. Zagroził, że jeśli nie pójdzie z nim na układ, on powie prawdę, a Dunaj i tak wyląduje w więzieniu. Nie wiem, co miał na Antoniego, ale na pewno coś poważnego, skoro ten się zgodził, prawda?

Wolski nie wspominał o tym, że przed kilkoma dniami policjanci pojechali do rodzinnego domu Dunaja i zgodnie z jego zeznaniem za stodołą znaleźli szczątki jego ojca.

– Kontaktowała się pani z Angeliką przez te lata? – spytał.

– Dopiero niedawno się do mnie odezwała. Ale wiem, że pisała listy do matki. Zofia mi o tym powiedziała.

– Kiedy skontaktowała się z panią przyjaciółka?

– Parę tygodni temu. Wyznała mi, że policjant groził Antoniemu, że zabije jego bliskich, jeśli ten nie pójdzie z nim na układ. Dlatego musiała wyjechać.

– Mówiła pani, że przyjaciółka planowała wyjazd.

– Ale nie tak szybko. Tamte wydarzenia przyspieszyły jej wyjazd. Trzydzieści lat temu uznałam, że zrealizowała plan ucieczki i odcięła się od toksycznej matki. Jasne, dziwnie się czułam, kiedy rozmawiałam z policją. W końcu Angelika została uznana za zaginioną. Namawiałam ją wtedy do zmiany decyzji. To nie były żarty. Ale ona mówiła, że nie może i że wyjaśni mi wszystko w odpowiednim czasie. No i wyjaśniła. Nie mogła pokazać się policji, skoro na komendzie czekał na nią facet, który chciał ją zabić, prawda?

– Dlaczego postanowiła wrócić właśnie teraz?

– Miała dosyć. I... I chciała powiedzieć prawdę. Za granicą jej się nie ułożyło. Była sama. I myślę, że wciąż czuła coś do Antoniego, chociaż nie widzieli się od lat. Powiedziała, że nie chce, żeby umarł w więzieniu uznany za seryjnego mordercę.

– Wróciła do Łodzi i skontaktowała się z panią?

– Odwiedziła mnie, kiedy mój mąż był w pracy. Podobno powiedziała Antoniemu, że nie zamierza się dłużej ukrywać, a on się wściekł. Zakazał jej powrotu do kraju. Ale ona się uparła.

– Jak się kontaktowali?

– Miał jakąś nielegalną komórkę. Angelika dzwoniła do niego z karty prepaid.

Pewnie dlatego, pomyślał Marcel, Antoni poprosił Lenę o spotkanie. Wiedział, że Angelika planuje powrót do kraju, wiedział też, że strażnik więzienny donosi Mazurkowi, a mimo to uprzedził komisarz, że wydarzy się coś niedobrego. Pewnie działał pod wpływem emocji. Nie miał pojęcia, kiedy uderzy Mazurek.

– Resztę znam z opowieści męża – dodała Bukowska. – Ten szalony gliniarz spełnił swoją groźbę. Zabił Angelikę, a potem matkę Dunaja, i chciał zrobić jego syna w morderstwo.

– Bał się – mruknął Wolski.

– Jasne, że tak, panie władzo. Gliniarz miałby w więzieniu przerąbane.

Bogdan Mazurek okazał się zręcznym graczem. Był seryjnym mordercą i policjantem jednocześnie. Prowadził dochodzenie we własnej sprawie. Wymarzone warunki do zabijania.

3

Pomimo sprzeciwu lekarzy Rudnicka wypisała się ze szpitala. Złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Księży Młyn. Z trudem pokonała schody prowadzące do mieszkania. Poszperała w kieszeni, wyjęła klucze, otworzyła zamek i weszła do środka, po czym oparła się o drzwi, z wysiłkiem łapiąc oddech. Dotknęła dłonią zabandażowanego brzucha. Bolało ją całe ciało. Opuszczenie szpitala było kiepskim pomysłem, ale miała do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Musiała spróbować, chociaż mogło być już za późno.

– Lena? – W korytarzu stanął Krzysztof. Rozłożył bezradnie dłonie. – Co ty tu robisz?

- Nie powinieneś być w pracy?
- Ty powinnaś być w szpitalu! Oszalałaś?
- Nie mogłam tam zostać.
- Nie mogłaś?
- Szpitalne łóżko jest w cholerę niewygodne.

Jadąc do mieszkania, Lena nawet nie pomyślała, że mogłaby zastać męża. Gdyby nie jej słaba forma, pewnie wymyśliłaby jakąś wymówkę, ale teraz nic nie przyszło jej do głowy.

– Lekarz prowadzący do mnie dzwonił – wyjaśnił Krzysztof. – Powiedział, że się wybudziłaś, więc wziąłem wolne i wybrałem się do sklepu, żeby kupić dla ciebie kilka rzeczy. – Wskazał reklamówkę leżącą na kuchennej wyspie. – Miałem cię odwiedzić. Byłem u ciebie codziennie. Nawet nie wiesz, co przeżywałem, kiedy się dowiedziałem, że zostałam postrzelona przez tego świra.

- Proszę cię, Krzysiek, daruj sobie. Nie mam siły.

Zacisnęła usta. Rana po postrzale paliła ją, jakby ktoś przyłożył tam rozżarzone węgle. Wpadła do mieszkania tylko na chwilę, żeby zabrać z nocnej szafki porcję przeciwbólowych leków. Bez nich nie była w stanie normalnie funkcjonować.

- Nie bawmy się w to – powiedziała. – Nie dzisiaj.
- W co?
- Nie zgrywajmy kochającej się rodziny.

Wciągnął głośno powietrze i spojrzał na nią zawiedzionym wzrokiem, ale nie dała się nabrać. Znała jego sztuczki na wylot.

- Wpadłam tylko na chwilę. Jadę coś załatwić.
- Co takiego?

Nie odpowiedziała. Ruszyła do swojej sypialni, gdzie z szuflady wyjęła kilka pigułek, które wsunęła do kieszeni. Kiedy wróciła na korytarz, Krzysztof stał w tym samym miejscu.

- Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak mówisz – odezwał się.
- Nie rozumiesz?
- Dla ciebie chciałem się zmienić. Sądziłem, że zdołamy uratować to, co między nami było.

- Nie, Krzysiek. Między nami nigdy nic nie było i oboje doskonale o tym wiemy.
- Dlaczego mi to robisz?

Gdyby w tej chwili ktoś popatrzył na prokuratora Nawrockiego, pomyślałby, że stoi przed nim zraniony odrzuceniem chłopiec. Ze spuszczonego wzrokiem i opuszczonymi bezradnie ramionami Krzysztof wyglądał, jakby swoimi słowami żona zaważyła cały jego świat, ale ona wiedziała, że tak nie jest. Wzbudzał w niej poczucie winy, aby kolejny raz postawić na swoim.

– Posłuchaj – powiedział. – Przecież jesteśmy dobrym małżeństwem. Daj nam jeszcze jedną szansę. Chodzę na terapię. Prawie przestałem pić. Ostatnio... To przez pracę. Wiesz,

że mam dużo stresu, ale obiecuję, że to się zmieni. Już się zmieniło, prawda? Już się zmieniłem...

– Nie dzisiaj...

Ruszyła do drzwi, ale zastąpił jej drogę.

– Nie – zaoponował. – Słyszę to cały czas. Nigdy nie masz dla mnie chwili. Porozmawiajmy teraz.

– Krzysiek, wyszłam ze szpitala i naprawdę...

– Nie powinnaś wychodzić.

– To moja sprawa.

– Jasne – zachnął się. – Twój mąż nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

Czuła, że rozmowa zmierza w złym kierunku.

– Zaslługujesz na kogoś lepszego niż ja – rzekła.

Przetrawienie tych słów zajęło Krzysztofowi kilka długich sekund.

– Znajdziesz odpowiednią kobietę – ciągnęła Lena. – Ja nią nie jestem. Nie zasługuję na ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Spójrz. – Z wysiłkiem rozłożyła rękę. Ból w brzuchu się nasilał. – Widzisz? Ty chcesz ratować nasze małżeństwo. Zawsze twierdziłaś, że nie doceniam tego, co mam, a teraz przyznaję ci rację. Nie doceniam tego, bo nie potrafię żyć z drugim człowiekiem. Taka już jestem. Zaslługujesz na kogoś lepszego ode mnie. Kogoś, kto doceni, że potrafisz się zmienić dla dobra związku.

– Ale... Ty też możesz się zmienić.

– Nie, Krzysiek. Ja się nie zmienię. Przecież wiesz.

Wyraz twarzy Nawrockiego uległ zmianie.

– Nie. – Kręcił głową. – Nie, nie, nie.

– Mówię poważnie.

Nie dała mu czasu na odpowiedź. Wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Schodząc po schodach, pomimo bólu, czuła ulgę. Zrobiła pierwszy krok w sprawie, którą już dawno powinna załatwić. Powinna odejść od męża.

Nie czuła się na siłach, by prowadzić samochód. Przed szpitalem złapała taksówkę. Teraz ten sam samochód czekał na nią przed bramą wjazdową na osiedle. Wsiadła, powiedziała kierowcy, dokąd jadą, a potem pogрузzyła się w myślach. Jak mogła pozwolić się stłamsić mężczyźnie? Dlaczego na to pozwoliła? Przez tyle lat żyła w związku bez przyszłości i dopiero teraz dotarło do niej, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazła. Wreszcie postanowiła działać i odejść od Krzyśka.

Ale najpierw musiała załatwić ważną sprawę.

Taksówkarz wysadził ją przed zardzewiałą bramą osiedla Mieszki na peryferiach Łodzi. Wzdłuż polnej drogi rosły wysokie klony. Zapłaciła taksówkarzowi i wysiadła z samochodu. Poczekała, aż odjedzie, i szarpnęła skrzydło bramy. Zatrzeszczało i po chwili

ustąpiło. Weszła na zaniedbany teren magazynów. Zarzuciła na głowę kaptur, by osłonić się przed deszczem, i ominęła skupisko kałuż. Doszedłszy do jednego z magazynów, zobaczyła znajomą twarz.

Chłopak zatrzymał się i odruchowo sięgnął za plecy, gdzie zapewne miał schowaną broń. Zastygł jednak w bezruchu z ręką za plecami i patrzył na Lenę podejrzliwie.

- Cześć – przywitała się, wsuwając dłonie w kieszenie spodni. – Jest szef?
- Co tu robisz?
- Jest czy nie?
- Nie byłaś umówiona. Wiedziałbym. Nie powinno cię tutaj być.
- Zaprowadź mnie do niego.

Skaut cofnął się, a w jego głowie szybko przeskakiwały trybiki. Był odpowiedzialny za to, by nikt nie wchodził na ten teren. Ponadto szef nie lubił, gdy mu przeszkadzano. Nie przepadał za niezapowiedzianymi wizytami, więc jeśli zaprowadzi do niego gliniarkę, może mieć kłopoty. Ale z drugiej strony wiedział, że szef oczekuje tej wizyty.

- No dawaj – ponagliła go Rudnicka. – Nie będę stała na deszczu całą wieczność.
- Nie wiem, czy szef chce z tobą gadać. Jest wkurwiony.
- Pozwól, że sama ocenię.
- Nie ty dyktujesz tu warunki.

Skaut ścisnęła mocniej broń, którą trzymał wsuniętą za pasek spodni. Rudnicka uniosła dłonie.

- Dobra – mruknęła. – Leć i go spytaj, czy chce ze mną pogadać.
- Masz mnie za idiotę? Nie mogę cię tutaj zostawić.
- Niby czemu?
- Bo nikt niepowołany nie powinien się tu kręcić.
- Boże. Ale macie zawile procedury.
- To nie są, kurwa, żarty.
- Dobra, dzieciaku, zaprowadź mnie do bossa, bo tracę cierpliwość.

Zanim Skaut zdążył odpowiedzieć, za jego plecami wyrosła potężna sylwetka Pułkownika. Postawił kołnierz skórzanej kurtki, by ochronić się przed wiatrem, a na szyi dyndał mu gruby łańcuch.

- Długo, kurwa, mam na ciebie czekać?! – zawołał. – Co tu się dzieje?
- Mamy gościa. – Skaut usunął się na bok.
- Kogóż moje oczy widzą? – Pułkownik rozłożył dłonie, jakby chciał przytulić Lenę. Cofnęła się, lecz nie dał za wygraną. Podszedł bliżej i objął ją ramionami, ściskając tak mocno, że na chwilę straciła oddech. Rana na brzuchu dała o sobie znać, a z twarzy Pułkownika nie schodził uśmiech. – Och, za mocno? – spytał. – Wybacz, kochana.

Zagryzła wargę. Pułkownik wiedział, że została postrzelona. O akcji łódzkiej komendy trąbiło całe miasto.

- No zapraszam, zapraszam.

Popchnął ją w stronę magazynu z taką siłą, że omal się nie przewróciła. Zakłęła pod nosem i weszła do środka. Wewnątrz unosił się dziwny zapach, jakby mieszanina deszczu i środków chemicznych. Gangster ruszył przodem, nie oglądając się za siebie. Lena szła tuż za nim, a za nią podążał Skaut. Nie spoglądała w tył, ale była pewna, że tym razem wyjął broń, na wszelki wypadek.

Weszli do mniejszego pomieszczenia. Powietrze było zatęchłe. Po prawej stronie na wysokim regale piętrzyły się segregatory i metalowe kufry. W kącie stała lampa rzucająca żółtawy poblask. Nad biurkiem umieszczonym w centralnym miejscu wisiał plakat jakiegoś amerykańskiego filmu. Pułkownik wskazał jej odrapane krzesło po drugiej stronie biurka. Sam rozsiadł się w wygodnym fotelu i splótł dłonie na brzuchu.

– No – zagadnął. – Ale się porobiło, co?

Skaut kiwnął głową, by Lena zajęła miejsce naprzeciwko szefa. Kiedy usiadła, wycofał się na korytarz.

– Pewnych okoliczności nie da się przewidzieć – odparła.

– Nie kręć mi tutaj, tylko mów, kto cię tak urządził.

– Taki jeden. Wącha już kwiatki od spodu, więc sprawę uznajmy za zamkniętą.

– Odjebał wam starego – zauważył Pułkownik. – Niezła chryja. Stary Wolski poszedł do piachu. Kto by pomyślał? Po chuj on się tam pchał? Dziad chciał poszaleć na starość, to dostał, co mu się należało. Teraz ten twój kochaś ma niewesoło. Tatulek w piachu, no, no, smutna sprawa.

Rudnicka zacisnęła zęby.

– Przyszłam do ciebie w innej sprawie – powiedziała.

– Nawet wiem, w jakiej, złotko. – Pułkownik westchnął. – Powiem ci, że ja nawet nie współczuję synalkowi Wolskiego. Tatusiek dostał, na co zasłużył. Prawda?

– Chciał dobrze. Nie powinien był zginąć.

– Co do tatuśków, powiem ci, że rozmawiałem z twoim.

Rudnicka wyprostowała się jak struna.

– Mój braciszek się do mnie odezwał – zarechotał Pułkownik. – Kto by pomyślał?

– Czego chciał?

– Pogadać? – zastanowił się. – Chyba. Wiesz, że niedługo wychodzi?

Jasne, że Lena wiedziała. Ojciec wielokrotnie próbował się z nią skontaktować, a ona nie odpowiadała, co nie oznaczało, że nie śledziła tego, jak radzi sobie w więzieniu.

Wiele razy zadawała sobie pytanie, co zrobi, gdy Zalewski wyjdzie z więzienia i postanowi odwiedzić córkę. Zapuka do drzwi i stanie w progu. Nie miała pojęcia, co zrobi w takiej sytuacji. Nie była w stanie przewidzieć własnej reakcji.

– Nie spodziewałem się kontaktu z jego strony – ciągnął Pułkownik. – Ale chyba chciał wybadać, na czym stoi. Czy ma do czego wracać i takie tam.

– Co mu powiedziałaś?

– Że go nienawidzisz. Nie skłamałem, prawda?

Rudnicka spojrzała na papierosy leżące na biurku. Pułkownik przesunął paczkę w jej stronę. Zapaliła i zaciągnęła się głęboko.

– Nie wiem, co ten facet sobie myśli – mówił Pułkownik. – Zabawne, że odsiedział już niemal ćwiartkę. Czas szybko mija. To wszystko jest niesprawiedliwe. Powinien dostać dożywocie, prawda? Za to, co zrobił, należała mu się odpowiednia kara. Twój stary to wyjątkowy skurwiel.

– Przyszłam tu w innej sprawie.

– Nie mam pojęcia, skąd w nim tyle zła. Ale czasem zdarza się, że nawet najlepszy glina przechodzi na ciemną stronę, nieprawdaż?

– Zamknij się.

– Opanuj nerwy, złotko. Złość piękności szkodzi – zaśmiał się. – A wiesz, co kilka lat temu powiedział mi twój staruszek?

– Mam to gdzieś.

– Powiedział, że trafił do więzienia przez ciebie. Zeznawałaś przeciwko niemu.

– Owszem.

– Wiesz, co jeszcze powiedział? – Pułkownik nachylił się nad blatem. – Że namówiłaś siostrę, żeby zrobiła to samo.

Rudnicka zaciągnęła się papierosem.

– Podobno twoja siostra nawet nie weszła do domu – dodał Pułkownik. – Niczego nie widziała, ale w sądzie twierdziła coś zupełnie innego.

Rudnicka wstała. Nie miała zamiaru tego słuchać.

– Hej, coś taka nerwowa? Pomyślałem, że wyświadczę ci przysługę.

– Że niby co?

– Rozmawiałem z tym sukinsynem i zaprosiłem go do siebie.

– Co zrobiłeś?

– Zaproponowałem, żeby po wyjściu z więzienia zatrzymał się u mnie.

– Brawo! – Rudnicka ze złością zdusiła papierosa w popielniczce, a potem oparła dłonie na blacie biurka i spojrzała na Pułkownika. – Mam to gdzieś, rozumiesz? Zalewski może wyjechać nawet na Bahamy.

Pułkownik wybuchnął gromkim śmiechem.

– Próbujesz mi wmówić, że nie pragniesz zemsty? Przecież chętnie wpakowałabyś staremu kulkę między oczy. No? Mylę się? – Lena milczała, więc ciągnął: – Chcesz pomścić matkę. Powstrzymujesz się, ale kiedy ojciec wyjdzie, może być różnie, prawda?

– Lepiej dla niego, żeby się do mnie nie zbliżał. Przekaż mu to.

Wsunęła dłonie do kieszeni. Nie chciała okazywać przy Pułkowniku słabości, ale prawda była taka, że gangster miał rację. Gdyby spotkała ojca, zabiłaby go, nie zważając na konsekwencje.

– Znam cię, złotko. Jesteś taka jak ja.

– Wcale nie.

- Oj, nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.
- Nieprawda – zaproponowała, choć w jej głosie brakowało wcześniejszej pewności.
- Wiem, kiedy Seweryn wychodzi. Oboje możemy coś z tym zrobić. Jeśli zatrzyma się u mnie, będziesz mogła z nim porozmawiać.
- A potem? Co będzie potem?
- Potrafię sprawić, by ktoś zniknął. Na zawsze.

4

Marcel siedział na podłodze, z plecami opartymi o ścianę i podkurczonymi nogami. Wpatrywał się bezmyślnie w otwartą szafę po drugiej stronie pokoju. Półki były pełne równo poskładanych ubrań, na wieszakach brakowało miejsca na kolejne koszule, na dole zaś stały w równym rzędzie pudełka po butach.

Marcel przeniósł wzrok na matkę. Ona także nie miała pojęcia, od czego zacząć. Małgorzata Wolska była kobietą po pięćdziesiątce, wyglądała jednak na znacznie młodszą. Miała krótkie, kasztanowe włosy. Zazwyczaj widywał ją w pełnym makijażu, z delikatnym cieniem na powiece, podkreślonymi rzęsami i ustami pomalowanymi szminką w stonowanym odcieniu. Zawsze była elegancką kobietą. Ubierała się schludnie, dbała o wygląd, ale dzisiaj nie przypominała dawnej siebie. Miała na sobie stary sweter i sprane dżinsy. Jej makijaż dawno zmyły łzy, odsłaniając pomarszczoną i zmęczoną twarz.

Od chwili, gdy Marcel pojawił się w rodzinnym domu, matka nie odezwała się ani jednym słowem. Siedziała nieruchomo i milcząco niczym porcelanowa lalka. Była nieobecna duchem. Najchętniej wróciłby do siebie, ale obiecał jej pomoc w uporaniu się z rzeczami po ojcu. Chciała to zrobić jak najszybciej. Uważała, że to zmniejszy jej ból, i chciałyby mieć to za sobą.

Ale to tylko rzeczy, pomyślał Marcel, rana w sercu pozostanie. Nie był przekonany, że wyrzucenie garderoby ojca cokolwiek zmieni, ale skoro tego chciała, postanowił pomóc.

– Oddamy ubrania jakiejś organizacji – zaproponował. – Przydadzą się biednym.

Małgorzata Wolska nie odpowiedziała.

– Zresztą, większość tych ciuchów jest prawie nienoszona – ciągnął, podchodząc do szafy. – Połowy nigdy nie widziałem.

– Nosił to, co lubił – odparła Małgorzata. – Miał ulubione koszule i swetry. Pamiętasz, jak się kłócił, kiedy kazałam mu włożyć nową koszulę na święta? Tę z reniferami?

Marcel się zaśmiał.

– Wcale mu się nie dziwię. Tamta koszula była okropna.

– Ojciec lubił renifery.

– Owszem. Na poduszkach albo narzutach, ale nie na sobie.

Udało mu się przywołać uśmiech na twarz matki. Nikły, ledwie widzialny, ale jednak.

– Ja wciąż... – Ukryła twarz w dłoniach. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że on... że nie żyje.

– Mamo...

Podszedł i objął ją ramieniem. Tylko tyle mógł zrobić. Choć sam czuł się koszmarnie, teraz powinien być wsparciem dla matki. Wtuliła się w niego, szlochając. Pogładził ją po plecach.

– Będzie mi go brakowało – szepnęła. – Tak bardzo...

– Wiem, mamo. Mnie też.

– Nie poradzę sobie bez twojego ojca. Co ja zrobię sama? Boże, przecież nawet nie potrafię napalić w tym cholernym piecu. To on się tym zajmował. Kosił trawnik, przycinał te pieprzone rośliny, a teraz? Nie poradzę sobie bez niego... Nie poradzę sobie...

– Dasz radę. Jesteś silna, mamo. Przetrywamy to. Obiecuję, że przetrwamy, a potem będzie lepiej, znacznie lepiej.

– Po co on tam pojechał? – szlochała. – Dlaczego mu pozwoliłeś? Gdyby został na komendzie, nic by się nie stało. Żylibyśmy jak dawniej.

Marcel nie odpowiedział. Matka miała rację. Nie powinien pozwolić ojcu jechać na akcję. Nie wybaczy sobie tego do końca życia, podobnie jak tego, że ostatnie godziny spędził na kłótni z ojcem. Kto mógł wiedzieć, że to ich ostatnie wspólne godziny?

– Ta cholerna policjantka – mruknęła matka. – Gdyby nie poszła sama... To przez nią zginął.

– Nie mów tak.

– To prawda.

Matka gwałtownie się podniosła i popatrzyła na syna z wrogością.

– Gdyby nie pojechała do tego mordercy, Andrzej nie musiałby jej ratować – dodała ze łzami w oczach.

– Nie możesz tak myśleć.

– Nie usprawiedliwiaj jej.

Marcel spochmurniał. Nie chciał myśleć w ten sposób. Nie chciał obwiniać Leny, ale to właśnie od niej wszystko się zaczęło. Gdyby nie pojechała do Mazurka sama...

– Przepraszam, Marcelku. – Matka otarła łzy i wydmuchała nos. Odłożyła zmiętą chusteczkę na stolik. – Przepraszam. Nikt nie zawinił. Nie powinniśmy szukać winnych.

– Gdybym wiedział, jak to się skończy, nie pozwoliłbym mu ze mną jechać.

– Wiem, przepraszam.

Wolski wstał, starł łzę z policzka i spojrzał w stronę szafy.

– Bierzemy się do roboty? – spytał, zmieniając temat. – Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

Kiedy jednak matka opadła na oparcie i rozszlochała się na dobre, Marcel wiedział, że pakowanie rzeczy ojca będą musieli przełożyć na inny dzień.

Pułkownik wyszedł na zewnątrz, wsunął dłonie w kieszenie spodni i zapatrzył się w przestrzeń. Deszcz bębnił w blaszane dachy magazynów. Wiał zimny, nieprzyjemny wiatr.

– Nie przyszłam tu rozmawiać o moim ojcu – odezwała się Rudnicka, zapalając papierosa. Oparła się barkiem o ścianę i wypuściła dym. Pułkownik przeniósł na nią wzrok.

– Kiedy dowiedziałem się, że zostałeś postrzelony, przyznam, że trochę się zmartwiłem. Przewróciła oczami.

– No jasne – burknęła.

– Naprawdę. – Pułkownik położył dłoń na sercu, lecz na jego twarzy majaczył wymuszony uśmiech. – W końcu jesteśmy rodziną.

– Bo się wzruszę.

– Twoja siostra i ja nigdy się nie dogadywaliśmy, ale z tobą było inaczej.

To prawda. Siostra Leny nie przepadała za wujem, choć korzystała z jego pomocy. Rudnicka podrapała się w skroń. Kiedy ostatni raz się widziały? Postanowiła do niej zadzwonić. Muszą omówić sprawę wyjścia ojca z więzienia.

– Rozeznałam się w temacie. Policja nic nie wie o twoim transporcie, tak że możesz spać spokojnie – oznajmiła Lena i rzuciła niedopałek do kałuży.

– Kiedy się tego dowiedziałas, skoro leżałaś nieprzytomna w szpitalu?

– Zanim dostałam kulkę w bebechy. Nie zdążyłam się z tobą skontaktować.

Pułkownik potarł brodę, jakby węszył podstęp.

Rudnicka przełknęła ślinę, mając nadzieję, że jej uwierzy. Prawda była taka, że zanim trafiła do szpitala, rozmawiała z kolegą z wydziału narkotykowego. Obawiała się, że będzie tego żałowała. Pułkownik może zapragnąć zemsty. Ale chociaż byli rodziną, Lena nie zamierzała przechodzić na drugą stronę. Była policjantką. I to nigdy się nie zmieni.

Dzięki niej policjanci z wydziału narkotykowego dostali coś, czego szukali od dawna. Dowody na Pułkownika. Lena przekazała im, kiedy i gdzie ma się odbyć transport narkotyków, a gliniarze mieli przyłapać gangstera na gorącym uczynku. Teoretycznie zasadzka nie miała prawa się nie udać.

– Świetnie – odezwał się Pułkownik. – Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, ale to i tak dobra wiadomość.

Rudnicka zastanawiała się, czy rzeczywiście łyknął tę bajeczkę. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Zrobiłam, o co prosiłeś – powiedziała. – Jesteśmy kwita.

– Nie tak prędko, księżniczko.

Lena zmarszczyła brwi.

– Skąd mam mieć pewność, że nie zrobiłaś mnie w chuja, co?

– Umówiliśmy się. Miałam się dowiedzieć, czy policja wie o transporcie i czy coś na ciebie mają. Dowiedziałam się, więc jesteście kwita.

– Pracujesz w policji. Nie ufam ci.

– To już twój problem.

Pułkownik mlasnął przeciągle.

– Założymy się? – spytał.

– Nie wrobisz mnie w nic. Mieliśmy umowę.

– Odbierzesz ze mną towar.

– Zapomnij.

– Nie masz wyboru, złotko.

Lena zakłęła w duchu. Przecież mogła się tego spodziewać. Dlaczego nie przewidziała, że Pułkownik zażąda zabezpieczenia, bo sama informacja mu nie wystarczy?

Sytuacja wyglądała kiepsko. Jeśli Pułkownik dowie się, że Lena go wystawiła, będzie wściekły. Zakładała, że policjanci zjawią się w miejscu, gdzie ma dotrzeć transport, zwiną go i będzie po sprawie. Ale skoro ma jechać z Pułkownikiem, sprawy nieco się komplikują. Musi szybko coś wymyślić. Transport narkotyków dotrze do Pułkownika o dwudziestej, a przekazanie towaru odbędzie się w starym zajezdzie przy drodze wylotowej z miasta. Szybkie wypakowanie z ciężarówki i przeniesienie paczek do drugiego tira. Paczki z bananami, a w nich kilogramy narkotyków. Policjanci otoczą teren i będą czekać. Wszystko zostało ustalone. Operacja była tajna. Wiedziało o niej ściśle grono, dlatego Lena nie mogła poinformować o tym Marcela. To nawet lepiej, pomyślała, próbowałyby wybić jej z głowy całą tę akcję. Ale Lena postanowiła inaczej. Chciała raz na zawsze pożegnać się z Pułkownikiem i wystawić go policji. Już dawno powinna to zrobić.

Jeśli Pułkownik chce, żeby z nim pojechała, zrobi to. Ale wcześniej uprzedzi oficera prowadzącego. Na miejscu może dojść do strzelaniny, więc policjanci muszą wiedzieć, że po drugiej stronie będzie ich koleżanka w cywilu.

– Oddaj telefon – powiedział Pułkownik.

– Nie.

– Oddaj. Myślisz, że jestem głupi?

– Po co ci mój telefon? – spytała, choć znała odpowiedź.

– Żebyś czegoś nie odwaliła. Dostaniesz go z powrotem, kiedy odbierzemy towar.

– Nie tak się umawialiśmy.

– Zmieniłem warunki umowy.

Rudnicka nie miała wyboru. Wyciągnęła telefon z kieszeni i podała Pułkownikowi, tracąc tym samym możliwość poinformowania policjantów o małej zmianie planów.

Kaśka zapaliła cienkiego chesterfielda. Kliknęła kulkę w ustniku, by zmienić smak na miętowy. Właściwie nie paliła. Kupiła paczkę na dworcu, bo wiedziała, że podczas pobytu u matki będzie potrzebowała czegoś odstresowującego. Omiotła wzrokiem ogród i wypuściła dym przez szparę w balkonowym oknie. Matka nie pozwalała na palenie w domu, ale teraz to już nie miało znaczenia.

Dopaliła papierosa i rzuciła peta na balkon. Poszła do salonu, w którym piętrzyły się tekturowe pudła. Niektórzy pewnie by powiedzieli, że jest zbyt wcześnie na pakowanie rzeczy po zmarłej, ale nie miała wyboru. Kończył jej się urlop i musiała jak najszybciej wrócić do siebie. Najpierw uprzątnęła drobiazgi osobiste i schowała do pudła święte figurki i obrazki. Nie wiedziała, co począć z domem. Nie zamierzała tu wracać, więc pewnie wystawi go na sprzedaż.

Przysiadła na podłodze, oparta plecami o ścianę. Zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie zniknięcie Angeliki. Jedno zdarzenie pociągnęło za sobą szereg innych, które doprowadziły do śmierci całej jej rodziny. Najpierw Angelika, potem ojciec, a teraz matka. Pomyślała, że dla każdego człowieka Bóg szykuje inny scenariusz. A potem się zaśmiała. Zaczynam bredzić jak matka, ofuknęła się w duchu.

Opróżniła szafę. Ubrania wrzuciła do kartonowych pudeł, a gdy się wypełniły po brzegi, użyła foliowych worków na śmieci. Część odda potrzebującym, a resztę wywali na śmietnik. Ustawiła pudła wraz z workami przy drzwiach wyjściowych i zawróciła do salonu, by zająć się uprzątnięciem bibelotów, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Nie spodziewała się gości. Pomyślała, że ktoś z policji przyszedł zadać dodatkowe pytania, ale gdy otworzyła drzwi, w progu zobaczyła nieznanego mężczyznę. Miała wrażenie, że już go gdzieś widziała.

– Dzień dobry – powiedział.

– Pan do kogo? Jeśli do mamy, to...

– Pani mnie nie poznaje, prawda?

Kaśka się cofnęła.

– Artur Dunaj – przedstawił się.

– Ach, wiedziałam, że skądś pana znam.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno.

– Wiem, że nie powinienem tu przychodzić, ale musiałem. Pomyślałem, że... Chcę panią przeprosić. Wiem, że to nic nie zmieni, ale...

– To nie pański ojciec pozbawił życia moją siostrę.

– Tak, ale ściągnął kłopoty na pani rodzinę.

Kaśka zastanowiła się nad słowami mężczyzny. Nie miała do niego żalu. To nie była jego wina.

– Wejdzie pan? – spytała.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan, zapraszam.

Wprowadziła gościa do kuchni. Artur omiół wzrokiem piętrzące się w korytarzu pudła.

- Wracam do domu – wyjaśniła Kaśka. – Postanowiłam uporać się z rzeczami matki.
- Oczywiście. To zrozumiałe.
- Kawy?
- Chętnie. – Potarł zmarznięte dłonie. – Jeszcze raz przepraszam za najście. Wiem, ile krzywd wycierpiała pani rodzina. Pewnie najchętniej zamknęłaby pani ten rozdział życia.
- To prawda – przyznała. – Ale to nie jest proste.
- Rozumiem panią.

Zalała kawę wrzątkiem i postawiła kubki na stole.

- Rozmawiałam z policją – powiedziała. – Wszystko mi wyjaśnili. Pański ojciec nie był seryjnym mordercą. Krył tamtego policjanta. Był niewinny.
- Nie do końca.
- Jak to?
- Nie powiedziano pani całej prawdy.
- Co ma pan na myśli?
- Mój ojciec nie zabił pani siostry – wyjaśnił Artur. – Ani tamtych kobiet. Ale nie jest bez winy. Gdyby nie kłamstwa, które podtrzymywał, może pani siostra i matka by żyły.
- Nie odpowiada pan za czyny ojca.
- Mimo to mam wyrzuty sumienia.
- Pan też wiele wycierpiał.

Artur pokiwał głową.

- Pewnie nie było panu łatwo żyć ze świadomością, za co został skazany ojciec – dodała, a potem ugryzła się w język.
- Ma pani rację – powiedział. – Nie było łatwo.
- Najważniejsze, że powiedział prawdę i policja złapała tego sukinsyna.
- Tak pani myśli?

Kaśka przyjrzała mu się i dopiero teraz dostrzegła cierpienie malujące się na jego twarzy. Artur Dunaj naprawdę czuł się winny śmierci Angeliki. W jego oczach zobaczyła żal i zagubienie.

- Mój ojciec jest mordercą. Nigdy nie poznałem mojego dziadka, ale nie miałem o nim najlepszego zdania. Babcia powtarzała, że nie był dobrym człowiekiem. Być może tak było, ale to nie uprawniało ojca do pozbawienia go życia. – Artur westchnął. – I myli się pani również co do tego, że w śmierci tych wszystkich kobiet nie ma winy mojego ojca. Jest. Pani najlepiej wie, co przeżywały rodziny ofiar. Mój znał tożsamość mordercy. Przez niego zginęła pani siostra. Gdyby w porę wyjawiał, kto stoi za tamtymi zbrodniami, Angelika by żyła. Pani matka również.

Wstał.

- Lepiej już pójde – powiedział.
- Nie wypił pan kawy.

– Przepraszam za kłopot. – Zawahał się. – Miała pani rację co do jednego. Niełatwo żyło mi się ze świadomością tego, co zrobił mój ojciec. Choć nie wierzyłem w jego winę, wszyscy wokół twierdzili coś zupełnie odwrotnego. Całe moje życie było walką. Wierzyłem, że ojciec jest niewinny i nigdy nikogo nie skrzywdził, ale kiedy prawda wyszła na jaw, okazało się, że się myliłem. Mój ojciec jest zabójcą.

Kaśka odprowadziła mężczyznę wzrokiem. Jego słowa sprawiły, że zrobiło jej się go żal. Artur Dunaj był naprawdę bardzo nieszczęśliwy.

7

Kierujący akcją Kamil Myśliwski z wydziału narkotykowego po raz kolejny sprawdził telefon. Nie miał nowych powiadomień. Żadnej wiadomości od komisarz Rudnickiej. Umówili się, że w razie komplikacji się do niego odezwie. Przyjął więc, że ich plan jest aktualny.

Kiedy Rudnicka przedstawiła mu swoją propozycję, pomyślał, że gwiazdka spadła mu z nieba. Od dawna szukali na Pułkownika czegoś mocnego. Było z tym trudno, ponieważ gangster był przebiegły i potrafił się zabezpieczyć. Wszyscy wiedzieli, czym zajmuje się Pułkownik, ale bez wystarczająco mocnego dowodu nie mogli wsadzić go za kratki.

Plan zakładał, że po wcześniejszym rozpoznaniu terenu policjanci otoczą miejsce, w którym miało dojść do przekazania towaru, czyli nieczynny zajazd przy wyjeździe z miasta. Zabity deskami budynek stanowił dobrą kryjówkę dla policjantów, przede wszystkim dla snajpera. Reszta miała ukryć się w pobliskich zaroślach. Spodziewali się, że Pułkownik nie będzie sam. Przyjedzie ze swoimi żołnierzami i może dojść do wymiany ognia. Myśliwski wolałby tego uniknąć. Zorganizowano większe siły, ale był przekonany, że wysiłek się opłaci i wreszcie dorwą Pułkownika, który już od dawna powinien siedzieć.

Wyciągnął telefon, żeby zadzwonić do Rudnickiej, zawahał się, a następnie wsunął komórkę do kieszeni. Gdyby coś się wydarzyło, na pewno by dała znać. Nie chciał jej przeszkadzać. Przecież leży w szpitalu po postrzale. Postanowił ją odwiedzić, kiedy już będzie po wszystkim.

8

Nerwowo spoglądała na zegarek. Było po dziewiętnastej. Dochodziła godzina zero, a ona nie miała sposobności poinformować kolegów, że sprawy się skomplikowały. Jeśli ludzie Pułkownika otworzą ogień, policja nie pozostanie dłużna. Nie będą mieli pojęcia, że gdzieś między gangsterami jest Lena Rudnicka.

Pułkownik stał nieopodal, paląc papierosa. W przeciwieństwie do podwładnych wyglądał na zrelaksowanego. Kilku kręciło się w pobliżu, zerkając nerwowo na szefa. Lena oparła

się o maskę samochodu. Skaut stał tuż obok z pistoletem w dłoni. Jego zadaniem było pilnowanie Rudnickiej. Nie odstępował jej na krok.

Pułkownik wdeptał niedopałek w ziemię.

– Wszystko gotowe? – zapytał.

Jeden z mężczyzn podszedł bliżej. Kontrolnie spojrzął na Rudnicką, a potem wyprężył się na baczność przed Pułkownikiem.

– Dzwonił Rudy – zameldował. – Czekają na twój rozkaz, szefie.

– No to ruszamy.

Na zewnątrz było już ciemno, ale nawet w mroku Rudnicka dostrzegła równo zaparkowane samochody, do których wsiedli ludzie Pułkownika. Skaut popchnął ją w stronę czarnego bmw, otworzył jej drzwi i kiwnął głową.

– Pakuj się – rzucił.

Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu obok Pułkownika. Poczowała zapach mocnych męskich perfum zmieszanych z papierosowym dymem.

– Jedziemy. – Pułkownik klepnął w ramię siedzącego za kierownicą Skauta.

– Tak jest.

Skaut poczekał, aż reszta samochodów wyjedzie za bramę, i odpalił silnik. Ruszyli, a w tylnej szybie zamigotały światła samochodu. Wóz z szefem nie bez powodu jechał jako przedostatni. Pułkownik był osłaniany zarówno z przodu, jak i z tyłu.

– Nie denerwuj się, złotko – odezwał się. – Mówiłaś, że policja o niczym nie wie, więc cała operacja pójdzie gładko.

– Mhm.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i wyjął komórkę. Odbył szybką rozmowę, podczas której upewnił się, że wynajęty tir zmierza w umówione miejsce. Akcja przekazania towaru miała odbyć się błyskawicznie. Pułkownik przewidywał, że potrwa nie dłużej niż dziesięć minut. On ze Skautem będzie czekał przy zjeździe, podczas gdy jego ludzie zajmą się przetrzuceniem towaru z jednej ciężarówki do drugiej. Banalnie proste.

Rudnicka miała złe przeczucia. Szumiało jej w głowie, a rana po postrzale bolała coraz mocniej. Liczyła jednak na to, że koledzy z komendy dobrze zaplanowali akcję i dopadną Pułkownika. Przynajmniej jeden problem z głowy.

Po wyjściu od matki Marcel krążył bez celu po mieście. Szwendał się po ulicach, moknąc w deszczu i myśląc o wydarzeniach ostatnich dni. Kiedy wreszcie dotarł na podwórko kamienicy, w której mieszkał, rzucił okiem na skodę. Samochód wreszcie wrócił z warsztatu. Pociągnął za klamkę, by sprawdzić, czy na pewno jest zamknięty, po czym ruszył w stronę klatki. Podwórko tonęło w półmroku. Gdzieś, zza murów dobiegał gwar

Piotrkowskiej. Mieszkanie przy Szóstego Sierpnia miało sporo zalet, bliskość centrum, restauracji i sklepów, lwią część stanowiły jednak wady. Pijani studenci i imprezowicze nie zważali na dni tygodnia. Codziennie słyszał przez okno odgłosy bawiącej się ulicy i choć mieszkał tutaj już dobrych kilka miesięcy, nie zdołał przywyknąć do hałasu.

Otarł z czoła spływające po twarzy krople deszczu i zapalił papierosa. Na zewnątrz było chłodno. Zaciągnął poły kurtki, po czym się odwrócił. Zdawało mu się, że słyszał za sobą kroki, ale kiedy spojrzał w głąb podwórka, nikogo nie dostrzegł.

Obrócił się twarzą do bramy wjazdowej, a wtedy poczuł silny cios. Ktoś uderzył go pięścią prosto w szczękę. Marcel zatoczył się na bok. Papieros wysunął mu się z palców i wpadł do kałuży. Wolski zasłonił twarz, usiłując utrzymać równowagę.

– Co, kurwa?

Rozpoznał ten głos, ale dłuższą chwilę zajęło mu przypisanie go do osoby. Zanim to nastąpiło, napastnik uderzył ponownie. Wolski runął na ziemię, lądując w brudnej kałuży.

– Odpierdol się od mojej żony.

Teraz dotarło do niego, z kim ma do czynienia. Uniósł głowę i zobaczył Nawrockiego. Pomimo chłodnej pogody miał na sobie jedynie marynarkę, spod której wystawał poluzowany krawat. Zatoczył się do tyłu. Marcel nie miał wątpliwości, że prokurator jest pijany.

– To jakaś pomyłka – wydusił, czując, jak w ustach zbiera mu się krew.

Nawrocki zaśmiał się ponuro.

– Pomyłka? – mruknął. – Pomyłka, mówisz?

– Naprawdę, ja nie...

– Gdzie ona jest?

– Kto?

Nawrocki dyszał niczym zziajany pies. Z wściekłością kopnął Marcela w brzuch i zarechotał, gdy ten zgięty wpół zaniósł się kaszlem.

– Gdzie ona jest?!

– Nie mam pojęcia – jęknął Wolski i wypluł krew. – Pewnie w szpitalu.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

Prokurator zmrzył oczy i rozszerzył usta w szyderczym uśmiechu. W niczym teraz nie przypominał eleganckiego urzędnika, z którym Marcel miał do czynienia na co dzień. Był pijany, a garnitur miał ubrudzony ziemią, jakby wywrócił się przynajmniej raz.

Wolski powoli zaczynał rozumieć, do czego zmierza prokurator. Szukał Leny, z którą Marcel nie miał kontaktu, odkąd trafiła do szpitala. Otworzył usta, by wytłumaczyć Nawrockiemu, że nie ma pojęcia, gdzie może być jego żona, lecz ten zdążył go uprzedzić.

– Ostatni raz ci to mówię – warknął. – Odwal się od niej raz na zawsze.

– Zaszło nieporozumienie.

– Doprawdy? – Krzysztof zachwiał się i przytrzymał ściany, by nie upaść. – Gdzie ona jest? Na górze, co? Czeka na ciebie w mieszkaniu?

– Nie widziałem Leny od kilku dni.

– Nie kłam, już dawno was przejrzałem.

Marcel nie zdążył zrobić uniku. Pomimo upojenia Nawrocki okazał się szybki. Złapał Wolskiego za poły kurtki i popchnął go na ścianę. Szybko się jednak zmitygował, puścił sierżanta, odszedł na kilka kroków i wypluł ślinę.

– Wiesz, co mi dzisiaj powiedziała? – rzucił. – Chce rozwodu. To twoja sprawka, co?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Nie wiesz?! Namieszałaś jej w głowie. Nigdy się tak nie zachowywała.

Wolski odkaslnął i zgiął się wpół, opierając dłonie na kolanach. Uniósł głowę, by spojrzeć na prokuratora.

– My tylko pracujemy razem – odparł.

– Nie kłam!

Marcel nie miał zamiaru wdawać się w dyskusje z Nawrockim. Wyprostował się i bez słowa skierował się do drzwi klatki schodowej. Minąwszy Krzysztofa, poczuł za sobą ruch, odwrócił się błyskawicznie i złapał przeciwnika za nadgarstki. Wygiął jego ręce do tyłu i przyparł do zimnego muru kamienicy.

– Nic mnie z Leną nie łączy – powiedział. – I proszę sobie to zapamiętać. Mam na głowie inne problemy niż pańska zazdrość.

– Puść, gówniarzu, bo cię zajebię.

– Nie sądzę.

Nawrocki oddychał chrapliwie. Marcel czuł bijący od niego odór alkoholu. Puścił jego nadgarstki, odpychając go na odległość kilku metrów. Prokurator zatoczył się na bok.

– Pożałujesz! – warknął, ocierając dłonią twarz. – Obiecuję ci, gnojku, że tego pożałujesz.

Wolski jedynie się uśmiechnął.

– Tutaj nie ma Leny – odparł. – Szukaj jej gdzie indziej.

– Wypisała się ze szpitala.

– Jak to?

– Bóg jeden wie, gdzie poszła ta suka!

Policjanci biorący udział w akcji zajęli wyznaczone miejsca. Kamil Myśliwski odebrał meldunki i spojrzął na swojego partnera, Jarka, siedzącego za kierownicą.

– Spóźniła się? – spytał.

– Rudnicka by nas nie wystawiła. Wie, jak wiele kosztowało nas zorganizowanie tej akcji.

Myśliwski pokiwał głową i zerknął na zegarek. Do ustalonej godziny pozostało raptem kilka minut, a w okolicy nic się nie działo. Wraz z partnerem zajęli pozycje w lesie. Miejsce idealnie nadawało się na punkt obserwacyjny. Z głównej drogi nie sposób było dostrzec samochodu schowanego w zaroślach. Zapadł zmrok.

– Ręce mi się poca – mruknął Myśliwski.

– Czekanie jest najgorszym elementem naszej roboty.

– Prawda.

– Ale może się opłaci. Jak złapiemy tego gnidę, stary da nam premię.

Myśliwski uśmiechnął się pod nosem.

– Chyba coś się dzieje – rzucił Jarek i wyprostował się na siedzeniu.

Myśliwski błyskawicznie sięgnął po lornetkę i przyłożył ją do oczu. Na drodze wjazdowej mignęły światła reflektorów. Ciężarówka jechała powoli. Kipa bujała się na boki.

– Mamy tira.

– Mam nadzieję, że będzie wypełniony białym proszkiem.

– Żarty się ciebie trzymają?

– Stary, wyluzuj. Coś ty taki nerwowy?

– Rudnicka się nie odezwała. Mam złe przeczucia.

– Przecież umawialiście się, że w razie komplikacji da znać. Skoro się nie odezwała, oznacza, że wszystko jest w porządku.

Myśliwski milczał. Odczuwał dziwny niepokój. Niby wszystko szło zgodnie z planem. Policjanci zajęli pozycje. Tir dotarł do zajazdu punktualnie, o dwudziestej. Teraz pozostało poczekać na żołnierzy Pułkownika. Myśliwski z doświadczenia wiedział, że potem wszystko rozegra się błyskawicznie.

– No i co? – zagadnął partner.

– Stanął na poboczu.

– Zaraz powinien zajechać drugi tir. Jak zaczną przeładowywać, wchodzimy.

– Taki jest plan.

– Snajper w gotowości?

Myśliwski kiwnął głową.

– Jedzie drugi – powiedział.

– No to git. Zaraz się zacznie.

Marcel dostrzegł Luizę na końcu korytarza. Przyspieszył kroku i dogonił technik przy drzwiach do pokoju. Wsunął but pomiędzy drzwi a futrynę. Zaskoczona Krajewska obróciła się w jego stronę.

– Wybacz – bąknął.

– Marcel? – Technik zmrużyła oczy, zaskoczona. – Co ci się stało?

Twarz Marcela zdobiły świeże rany: rozcięcie na policzku i dolnej wardze. Krew zdążyła już przyschnąć. Dotknął dłonią policzka i pokręcił głową.

– Nic takiego – odparł.

– Widziałeś się w lustrze?

Marcel dopiero teraz pomyślał o tym, że powinien obmyć twarz. Po spotkaniu z Nawrockim myślał tylko o tym, by jak najszybciej dotrzeć na komendę.

– Nieważne – machnął ręką. – Mam do ciebie sprawę.

– Ktoś cię pobił?

– Liz, to jest teraz najmniej istotne.

– Ale...

– Posłuchaj.

Technik podparła się pod boki. Nie wyglądała na przekonaną ani skorą do pomocy.

– Dobra – rzuciła. – To chociaż cię opatrzę.

– Nie mam czasu. Szukam Leny.

– Co z nią?

– Wiesz coś w tym temacie?

– O ile mi wiadomo, leży w szpitalu.

– No właśnie nie leży.

Krajewska się wyprostowała. Nie miała pojęcia, że Rudnicka wypisała się ze szpitala.

Marcel złapał się za głowę i zakręcił wokół własnej osi. Gdzie ona mogła być?, zastanowił się. I dlaczego wyszła w takim stanie ze szpitala? Miał nadzieję, że nie wpakowała się w kolejne kłopoty. Wystarczy, że z jednych ledwo uszła z życiem.

Powinien ją odwiedzić, pomyślał. Po tym wszystkim powinien wpaść do niej chociaż na parę minut, ale nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Kilukrotnie był w szpitalu, lecz za każdym razem coś zatrzymywało go przed drzwiami jej sali. Nie mógł się przemóc, by nacisnąć klamkę. Nawet wtedy, gdy jako partnera Leny poproszono go, aby przekazał jej wiadomość o śmierci Andrzeja Wolskiego.

Liz trąciła go w ramię.

– Marcel, co się dzieje? – spytała.

– Nie mam pojęcia.

– Jesteś pewien, że nie ma jej w szpitalu?

– Tak powiedział jej mąż.

Krajewska uniosła brwi.

– To on cię tak urządził?

– Powiedzmy, że mieliśmy krótką wymianę zdań.

Wolski uśmiechnął się blado. Całe to zajście z Nawrockim wydawało mu się nierealne. Nie spodziewał się, że dostanie w pysk od prokuratora. Chociaż może mu się należało. Oboje z Leną nie byli bez winy.

– Zapytaj Jarosza – powiedziała technik. – On powinien coś wiedzieć.

– Jarosza?

– Z narkotykowego.

– Wiem, gdzie pracuje.

Potrzebował chwili, by połączyć ze sobą fakty.

– Ty coś wiesz? – spytał.

– Coś słyszałam. Ale nie znam szczegółów. Zapytaj Jarosza.

– Dzięki. – Wolski ruszył korytarzem. Zatrzymał się w połowie i obrócił do Liz: – Naprawdę ci dziękuję!

12

Zaparkowali w odległości pięciu kilometrów od umówionego miejsca. Papierosowy dym wypełniał wnętrze samochodu, dusił i gryzł w gardło. Rudnicka odkaszlnęła. Pułkownik spojrzął na nią z nutą rozbawienia i uchylił okno.

– Wiesz – zagadnął. – Często myślę o tamtym dniu. Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj.

Rudnicka nie musiała pytać, o jakim dniu mówi Pułkownik. Zacisnęła usta. Nie wiedziała, dlaczego już drugi raz tego dnia nawiązuje do ich rodzinnych spraw, ale na pewno miał swoje powody. Wbiła wzrok w splecione na kolanach dłonie, usiłując zachować spokój.

– Twoja matula to była najlepsza kobieta, jaką znałem – ciągnął. – Wiesz, że z Sewerynem poznaliśmy ją jednocześnie? – Poglądził podbródek, jakby wspomnienia sprzed lat wzbudzały w nim ciepłe uczucia. – Na ognisku. Przy torach na Widzewie chłopaki zorganizowały imprezę. Pojechałem motorem, miałem nadzieję, że wyrwę jakąś panienkę. Twoja mama od razu wpadła mi w oko, ale ona wolała mojego brata. Oj, źle wybrała, źle...

– Zamknij się. Nie czas na wspominki.

Pułkownik spojrzął na nią i uśmiechnął się szeroko.

– Nie denerwuj się, złotko. Niedługo będzie po wszystkim.

– Nie masz prawa o niej mówić.

– Czyżby?

Rudnicka odwróciła głowę w stronę szyby. Czerń rozciągająca się za oknem koła jej nerwy.

– Kto by pomyślał, że tak to się wszystko potoczy – mruknął Pułkownik, zaciągając się papierosem. Podsunął paczkę w jej stronę. Zawahała się, ale po chwili wyciągnęła jednego. – Nigdy bym nie pomyślał, że mój brat jest zdolny do czegoś takiego. W końcu to ja byłem czarną owcą w rodzinie. On był milicjantem. Kimś ważnym.

Lena wspomniała pewną scenę z dzieciństwa. Miała sześć, może siedem lat. Matka stała przy kuchni. Poprzedniego dnia dostali od sąsiadki świeżą kurę, a matka od świtu wzięła się do gotowania rosółu, który uwielbiały jej córki. Rosół na świeżej kurczynie, cieszyła się Zalewska i mierzwiła córkom włosy. Ugotowanie rodzinie smacznego obiadu sprawiało jej ogromną radość. A potem wyjrzała przez okno i dostrzegła męża, rozmawiającego ze swoim bratem. Lena widziała, jak twarz mamy diametralnie się zmienia. Zasepiła się. Gdy ojciec wrócił do domu, powiedziała, że powinien ograniczyć kontakty z bratem. Ojciec burknął coś na odczepnego. Lena pamiętała, że matka powtarzała ojcu, by nie kontaktował się z bratem, bo dla wszystkich może się to źle skończyć.

– Byłaś bardzo mała, kiedy to się stało – mruknął Pułkownik.

– Bo się wzruszę.

– Ale od początku byłaś bystra. Wiedziałaś, jak pozbyć się tatusia.

– Zamknij się wreszcie.

Pułkownik wyrzucił niedopałek i splótł dłonie na brzuchu, rozsiadając się wygodniej.

– Mała cwaniara. Tatuś ci zawadzał, co?

– Powiedziałam, żebyś się zamknął.

– Och, daj spokój, złotko. Jesteśmy tu sami, więc nie musisz się przede mną zgrywać. Namówiłaś siostrzyczkę, żeby zeznała przeciwko ojcu, prawda?

Rudnicka nacisnęła klamkę, by wysiąść z samochodu, ale jak mogła się spodziewać, drzwi były zablokowane. Zaklęła pod nosem, lecz ku jej zaskoczeniu, Pułkownik odblokował zamek. Lena błyskawicznie wyszła na świeże powietrze i zaciągnęła się papierosem.

– Czasem zastanawiam się, jak to naprawdę było – odezwała się. – Dlaczego ojciec ją zabił?

– Myślisz, że miał konkretny powód?

– Coś musiało go nieźle wkurzyć. Albo ktoś.

– Był pijakiem. Nie musiał mieć konkretnego powodu, by się wkurzyć.

Zapadło milczenie. Słyszeli odgłosy biegnącej nieopodal ulicy. Szum przejeżdżających samochodów mieszał się z dźwiękami lasu. Gdzieś w zaroślach przemknęło zwierzę, łamiąc przy tym gałązki.

– Myślisz, że nie wiem? – spytała Lena.

– O czym?

– O tobie i mojej matce.

Dotknęła czułego punktu. Pułkownik cofnął się i oparł o maskę samochodu. Wyjął papierosa i zapalił go, zaciągając się nerwowo. Milczał, wpatrując się w ciemność lasu.

- A więc wiedziałaś.
- Owszem.
- Nie powiedziałaś nic policji. Dlaczego?

– To nie ty stałaś z zakrwawionym nożem nad moją matką, ale ojciec.

Rozumowanie Leny było proste. Wujek był niewinny. To ojciec zabił matkę. Kiedy przesłuchiwała ją policja, nie powiedziała o wujku i mamie, którzy czasem spotykali się pod nieobecność jej ojca. Nie była głupia. Wiedziała, że wtedy rzuciłaby podejrzenie również na wuja, a on był niewinny. To ojciec zabił matkę.

– Dziewczyny lubią złych chłopców, prawda? – Pułkownik zaśmiał się smutno, po czym spuścił głowę.

Lena nagle coś zrozumiała.

– Dlatego chcesz wziąć ojca do siebie? – spytała. – Chodzi o twoją zemstę, nie moją. Chcesz go zabić za to, co jej zrobił?

Pułkownik zmierzył Lenę wzrokiem.

- Myślę, że nie będziesz po nim płakać.
- Dlatego ojciec się wściekł? Dowiedział się o was?
- Tatulek niedługo wyjdzie, więc sama go o to zapytaj.
- Odpowiedz.

– Szefie? – Na ścieżce pojawił się Skaut. Tuż za nim stało dwóch mężczyzn, lecz w mroku Rudnicka nie dostrzegła ich twarzy. – Możemy zaczynać?

Pułkownik obrócił się w ich stronę i skinął głową.

- Dajcie znać, jak poszło. Chcę wiedzieć wszystko. I miejcie się na baczności.
- Tak jest, szefie.

Mężczyźni zniknęli w mroku.

Minutę później Rudnicka zrozumiała, że coś tutaj jest nie tak. Pułkownikowi tak zależało na tym transporcie, a teraz, gdy ważą się jego losy, wygląda na spokojnego i opanowanego. Coś było nie w porządku.

– O co tutaj chodzi? – spytała.

Pułkownik nie odpowiedział. Oparł się swoim masywnym ciałem o maskę samochodu i skrzyżował ramiona.

- Po co mnie tutaj zabrałeś?
- Przekonamy się, czy można ci ufać.

Rudnicka miała wrażenie, jakby ktoś wylał na nią kubeł lodowatej wody. Jej twarz nie zdradzała żadnej emocji, ale czuła narastającą panikę na myśl o policyjnej obławie.

– W ostatniej chwili zmieniłem miejsce dostawy – powiedział. – A tutaj podjedzie pusta ciężarówka.

- To żart?
- Nie jest mi do śmiechu.

Rudnickiej również nie było. Jeśli na ustalone miejsce przyjedzie pusty tir, cała akcja weźmie w łeb. Wszyscy pomyślą, że dała im fałszywy cynk. A Pułkownik dowie się, że Lena go sprzedała.

– Chciałem się przekonać, czy moja bratanica jest wobec mnie lojalna.

– Szlag by to...

Rudnicka zakręciła się wokół własnej osi. Uświadomiła sobie własną głupotę. Pokręciła głową z niedowierzaniem. Była gotowa na to, że Pułkownik uzna ją za zdrajczynię, ale nie tak to miało wyglądać. Miał trafić do więzienia, ale gdy okaże się, że transport był pusty, zostanie na wolności. I prawdopodobnie zemści się na niej.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Wszystko gra.

– Dziwnie wyglądasz.

Ciekawe, czy ludzie Pułkownika wiedzą, że szef wystawił ich na pierwszy ogień. Przypuszczała, że nie znają prawdy, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

Było już za późno.

Gdzieś w oddali padł pierwszy strzał.

13

Marcel się spóźnił.

Kiedy dotarł na miejsce, było już po wszystkim.

Zaparkował skodę na leśnej ścieżce i ruszył w stronę policyjnych reflektorów. Po zajeździe kręciło się mnóstwo ludzi. Policjanci i ratownicy medyczni uwijali się jak w ukropie. Główną drogę zastawiła karetka, a w niej lekarz wraz z ekipą medyczną walczył o życie policjanta. Niedaleko stał ambulans. Ratownicy wsunęli nosze do środka i zatrzasnęli drzwi, po chwili rozległ się dźwięk syreny.

Wolski szedł ścieżką, nie mając pojęcia, co właściwie się wydarzyło. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zapalił papierosa i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. Przebiegający obok ratownik medyczny trącił go ramieniem. Marcel zachwiał się i usunął na bok. Zaciągnął się, czując, że powoli udziela mu się panująca tu panika.

W oddali mignęła mu postać Kamila Myśliwskiego. Rozmawiał z jakimś mężczyzną, wymachując rękami. Marcel wyrzucił niedopałek, podszedł bliżej i klepnął kolegę w plecy.

Myśliwski odskoczył, jakby poraził go piorun.

– Przepraszam – powiedział Marcel. – Nie chciałem cię wystraszyć.

– Kurwa. Nie rób tego więcej.

Rozmówca Myśliwskiego spojrział na Marcela niechętnie. Mruknął pod nosem, że pogadają później, i zniknął we wnętrzu radiowozu. Zanim Wolski zorientował się w sytuacji, Myśliwski zdążył się oddalić o dobre kilkadziesiąt metrów.

Marcel dogonił go.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał.

– Nie mam czasu, wybacz.

– Są ranni, tak? Widziałem w karetkach, że...

Myśliwski przystanął.

– Czego chcesz? – warknął.

– Po prostu...

– Co ty właściwie tu robisz?

– Powiedzieli mi, że tutaj mogę znaleźć Lenę Rudnicką, ale kiedy przyjechałem, to wszystko... Już było całe to zamieszanie. Nie wiem, co się stało.

– Nie widzisz, że mamy rozpierdol?

– Powiedz tylko, co się wydarzyło.

Myśliwski odetchnął głęboko.

– Twoja partnerka wszystko spierdoliła – powiedział. – To właśnie się stało.

– Lena?

– Lena, Lena. Wyjechała nas wszystkich w kosmos. Mamy rannych gliniarzy.

– Ona tu jest?

– Nie obchodzi mnie, gdzie ona jest.

– Lena na pewno nie naraziłaby nikogo...

– Mieliśmy przygotowaną całą akcję – przerwał mu Myśliwski. – Miała być wielka sprawa, wielka obława, i co mamy? Gówno. Zobacz! – Wskazał karetkę. – Dwóch naszych walczy o życie. Żołnierzyki Pułkownika otworzyły ogień zaraz po tym, jak wkroczyliśmy z bronią. Rudnicka nas wystawiła. Nic nie było w tych cholernych ciężarówkach!

– To była zasadzka na Pułkownika?

– Rudnicka nic ci nie powiedziała?

– Nie – przyznał cicho Wolski.

– Widzisz te ciężarówki? W jednej miały być prochy, a do drugiej mieli je przenieść ludzie Pułkownika. Mieliśmy przyłapać ich na gorącym uczynku i wsadzić Pułkownika do pierdła. Niestety – rozłożył dłonie – komisarz Rudnicka zrobiła nas w chuja.

– To na pewno nie tak. – Marcel potarł brodę. – W środku nie było prochów?

– Ani grama.

– Skąd mieliście cynk o przekazaniu narkotyków?

– Od Rudnickiej – prychnął z niechęcią Myśliwski. – Wiedziała niby z pewnego źródła. I co mamy? Dwóch postrzelonych policjantów. Kurwa, co ona sobie myślała, że to jakaś pierdolona zabawa?

– Gdzie ona jest?

– Skąd mam, do chuja, wiedzieć?! Ale powiem ci jedno... – Wbił Marcelowi palec w pierś. – Kiedy ją znajdę, odpowie mi za to. Odpowie za cały ten rozpierdol.

Marcel odłożył telefon na stolik. Schował twarz w dłoniach, trąc oczy, aż zaczęły mu łzawić. Wyprostował się i sięgnął po piwo, pociągnął zawleczkę i upił łyk. Z Leną wciąż nie miał żadnego kontaktu. Próbował się do niej dodzwonić, wysłał kilkanaście wiadomości, ale na żadną nie odpisała. Nie był pewien, czy w ogóle powinien jej szukać. Czuł się zraniony i oszukany. Miał do niej żal, bo nie powiedziała mu o tej akcji. Chociaż nie miała kiedy mu o tym powiedzieć, skoro nie odwiedził jej w szpitalu...

Włączył telewizor i rozsiadł się wygodniej. Wybrał kanał informacyjny. Reporterka zdawała relację ze strzelaniny pod Łodzią. Na szczęście dziennikarze niewiele wiedzieli o sprawie. Mówiono również o tym, że to druga nieudana akcja łódzkiej komendy, w której zginęli policjanci. Jeden z ekspertów w studiu sugerował, że śledztwem w obu tych sprawach powinien zająć się ktoś z zewnątrz. Dał do zrozumienia, że na komendzie przy Sienkiewicza panuje zмова milczenia; sugerował, że ktoś kryje funkcjonariusza odpowiedzialnego za obie tragedie.

Wolski ze złością przełączył kanał i napił się piwa. Sięgnął po paczkę papierosów, zapalił jednego i zaciągnął się, odchylając głowę do tyłu, kiedy usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Ocknął się i zerknął na zegarek. Pomyślał, że znowu wpadł prokurator Nawrocki, żeby dać mu w pysk, ale gdy otworzył drzwi, w progu zobaczył Lenę Rudnicką.

Zlustrowała go zaciekawionym spojrzeniem.

– Biłeś się? – spytała.

– Lena?

Nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Ściągnęła kurtkę i wyjęła piwo z lodówki.

– Nie musisz się tłumaczyć – powiedziała. – Wiem, że widziałeś się z Krzysztofem.

– Więc po co pytasz?

– Ciekawa byłam, co odpowiesz.

Marcel nie przypuszczał, że Nawrocki zdążył się pochwalić żonie swoją niespodziewaną wizytą.

– Złamałeś mu nos.

– Sam się prosił.

Rudnicka uśmiechnęła się bez przekonania.

– Nie wiedziałam, że umiesz się bić.

– Nie umiem. Waliłem na oślep. Trafiłem przypadkowo.

– To brzmi bardziej wiarygodnie.

Wolski usiadł na fotelu i sięgnął po puszkę piwa. Przez dłuższą chwilę obracał ją w dłoniach.

– Przepraszam, że nie odwiedziłem cię w szpitalu – powiedział. – Nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

– Ale ja wiem.

Marcel podniósł głowę.

– Nie chcesz mnie obwiniać o śmierć ojca, ale w środku czujesz, że to jednak była trochę moja wina – wyjaśniła. – Rozumiem. To nie jest łatwa sytuacja.

– To nie była twoja wina.

– Daj spokój. Nie zdziwiłabym się, gdybyś wyrzucił mnie za drzwi.

– Nie mam takiego zamiaru.

Rudnicka dostrzegła w oczach Wolskiego zagubienie. Nie dziwiła mu się. Wiedziała, jak silnie był związany z ojcem. Widział, jak komendant dostał kulkę. Pewnie długo nie wyrzuci z głowy tych tragicznych wspomnień. Prawdopodobnie będzie potrzebował pomocy psychologa. Lena wprawdzie nie przejmowała się docinkami na komendzie, ale nie chciała, żeby obwiniał ją o śmierć ojca. Może wymagała zbyt wiele.

– Nie powinnam była jechać do Mazurka sama – odezwała się, siadając naprzeciwko. Upiła łyk piwa i zapaliła papierosa.

– To nie ty zabiłaś mojego ojca.

– Czuję, jakbym to ja pociągnęła za spust.

– Nie rozmawiajmy o tym.

– Kiedyś będziemy musieli.

– Ale nie teraz. To wszystko... To wszystko jest dla mnie zbyt świeże. Niedawno pochowałem ojca, ale najpierw mnie przemaglowali na przesłuchaniu. Chwilowo mam dosyć myślenia o tym, co się wydarzyło.

– Zamiatanie tematu pod dywan nie sprawi, że on nagle zniknie.

– Lena, proszę.

– Okej, jak chcesz.

Milczeli przez chwilę. Wolski bezmyślnie wpatrywał się w telewizor, po czym spojrzał na Rudnicką.

– Mazurek od początku mi się nie podobał – powiedział. – Ale nie podejrzewałbym, że jest mordercą. Zawodowo robił nas w konia.

– Ale zaczął popełniać błędy i to go zgubiło. Gdyby bardziej uważał, do tej pory byśmy go nie złapali.

– Miał idealną sytuację. Był gliniarzem prowadzącym śledztwo we własnej sprawie.

– Myślę, że chciał przestać.

Wolski posłał jej pytające spojrzenie.

– Zabijał trzynaście lat temu, żeby się wyżyć i zemścić na kobietach, które go ignorowały i wyśmiewały się z niego. Rozmawiałam z Cajmerem, podobno dotarli do jego starych znajomych, którzy to potwierdzili. Mazurek jako dziecko był wyśmiewany. Dziewczyny nim gardziły. Matka nim pomiatała.

– Rozumiem. Niechęć do kobiet i zemsta to jest jakiś motyw, ale dlaczego uważasz, że chciał przestać?

– Żąda mordu dopadła go trzynaście lat temu. Potem przeszedł w fazę wyciszenia. Może usiłował nad sobą zapanować. Może zdał sobie sprawę z tego, co robił, i nie chciał już ryzykować? Wszystkie morderstwa, które popełnił ostatnio, mają związek z jego przeszłością. Według mnie teraz zabijał ze strachu. Likwidował ludzi, którzy mogli znać jego krwawą przeszłość. Zabijał ich, żeby nie mogli niczego powiedzieć policji.

– Rzeczywiście. – Wolski potarł podbródek. – A co ze sprzątaczką?

– Chyba go poniosło. Tak podejrzewam.

Rudnicka spojrzała na papierosa, którego trzymała między palcami. Zgasł, więc zapaliła go ponownie.

– Myślę, że Kazimierz Strąk odkrył prawdę – dodała, zaciągając się. – I Mazurek musiał go sprzątnąć, aby partner nie zdradził jego tajemnicy przełożonym.

Marcel skinął głową. Miał podobne przemyślenia.

– A co z Pułkownikiem? – spytał.

– Siedzi w swojej willi i się śmieje – odparła Rudnicka, a potem opowiedziała Marcelowi o próbie, na którą wystawił ją Pułkownik.

– Chciał sprawdzić, czy może ci ufać?

– Okazało się, że nie może, bo wystawiłam go policji.

– Co z jego żołnierzami, którzy strzelali do policjantów?

– To były jakieś płotki. Pójdą siedzieć.

Marcel się zadumał.

– Pułkownik tak po prostu cię puścił? – spytał.

Rudnicka milczała dłuższą chwilę.

– Też się zdziwiłam – powiedziała w końcu. – Był zły, ale też dumny z siebie, że zrobił mnie w konia. Nie sądzę, żeby planował mnie zabić. Więzy rodzinne są dla niego ważne. Jest chamem i gangsterem, ale ceni rodzinę. Powiedział, że zawiódł się na mnie, że rodzinie nie robi się takich świństw.

Rudnicka nie wspomniała mu o dziwnym uczuciu, które towarzyszyło jej w tamtej chwili. Zrobiło się jej głupio. Może rodzinie rzeczywiście nie powinno się robić takich świństw. Nawet jeśli stoi się po drugiej stronie barykady.

– Chciałam powiadomić Myśliwskiego, że będę z Pułkownikiem – wyjaśniła. – Gdyby otworzyli ogień, mogłam dostać kulkę. Ale nie przewidziałam tego, że żadnego transportu nie będzie, a Pułkownik mnie wystawił.

– Przyjechałem na miejsce zaraz po strzelaninie. Myśliwski był wściekły.

– Nie dziwię mu się. Na jego miejscu też bym była.

Oboje upili łyk piwa. Rudnicka zdusiła papierosa w słoiku, który służył za popielniczkę. Podniosła się i podeszła do lodówki, wyjęła dwa piwa i wróciła na miejsce. Jedno podała Wolskiemu, drugie otworzyła i wsunęła sobie między uda.

– Pułkownik będzie chciał się na tobie zemścić? – spytał Wolski.

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że to był test na zaufanie, który zawałam.

– Ale po co to robił?

Rudnicka miała pewien pomysł, ale na razie wolała nie dzielić się nim z Wolskim. Sądziła, że cała ta sprawa mogła mieć związek z jej ojcem.

– Przepraszam za Krzysztofa – zmieniła temat. – Słyszałam, że się poszarпалиście.

– Przyszedł pijany i rzucał dziwne oskarżenia.

– Jakie?

– Twierdził, że przeze mnie chcesz wziąć z nim rozwód.

Wolski spojrzał pytająco na Lenę z nadzieją, ona jednak milczała.

– Chcesz wziąć z nim rozwód? – zapytał.

– Może.

– Chyba powinienem wiedzieć.

– Ty? – zdziwiła się. – A niby czemu?

– Skoro twój mąż oskarża mnie o rozpad waszego związku, powinienem wiedzieć, czy te oskarżenia są uzasadnione.

Rudnicka długą chwilę zwlekała z odpowiedzią, napiła się piwa i sięgnęła po papierosa, ale go nie zapaliła. Spojrzała na Marcela. Nie musiała nic mówić, by Wolski poznał odpowiedź na zadane przez siebie pytanie.

15

Trzy dni później

Rudnicka zamknęła za sobą drzwi gabinetu niegdyś należącego do komendanta Wolskiego. Często tu bywała. Pamiętała ciężki wystrój pokoju i zdjęcia rodziny, na które zerkała za każdym razem, kiedy siedziała przy biurku przełożonego. Dziś za pustym biurkiem siedziała inspektor Alicja Borkowska, z którą Lena знаła się już dobrych kilka lat, ale miała o niej nie najlepsze zdanie. Inspektor wskazała krzesło.

– Usiądź.

Rudnicka spełniła polecenie.

Inspektor zmierzyła ją wzrokiem. Nie należała do najprzyjemniejszych osób, jakie Lena Rudnicka miała okazję poznać. Zaczynała policyjną karierę w latach dziewięćdziesiątych. W typowo męskiej formacji musiała przywyknąć do męskiego towarzystwa. Wyrobiła sobie twardy tyłek.

Inspektor przesunęła teczkę po blacie biurka, otworzyła ją, ale nawet nie spojrzała na zawartość. Pod wymuszonym uśmiechem starała się ukryć zdenerwowanie. Wyczuwała bijącą od komisarz Rudnickiej pewność siebie, co zbiło ją z tropu. Spodziewała się, że w oczach podwładnej zobaczy skruchę, lecz się pomyliła.

– Jak zapewne wiesz, chwilowo przejęłam obowiązki komendanta Wolskiego – odezwała się, ale jej głos zabrzmiał niepewnie, więc odchrząknęła, dodając: – Ktoś musiał zająć się bieżącymi sprawami. Ogarnąć ten bałagan.

– Tymczasowo.

– Słucham?

– Przejęłaś obowiązki komendanta tymczasowo.

– No tak.

Borkowska się zmieszała. Najwyraźniej czuła się niekomfortowo. Nie była łąsa na stanowisko komendanta i Rudnicka wcale jej się nie dziwiła. To niełatwy kawałek chleba.

– Wydarzenia ostatnich dni... – zaczęła. – Nam wszystkim jest trudno. Najpierw zupełnie niepotrzebna śmierć Andrzeja, a potem jeszcze dwóch następnych policjantów na służbie. To za dużo jak na jeden tydzień.

– To moja wina.

– Tego nie powiedziałam.

– Ale do tego dążysz. Nie dzielam twojego zdania. Zresztą, już składałam wyjaśnienia w obu tych sprawach.

Inspektor poprawiła się w fotelu i położyła splecione dłonie na biurku. Chciała wyglądać profesjonalnie, w jej zachowaniu nie było nadętości. Rudnicka była przekonana, że Borkowska długo przygotowywała się do tej rozmowy.

– Nie szukam winnego – zapewniła. – Myślę, że nikt nie wini cię za to, co się stało.

– Mylisz się. Paru takich by się znalazło.

– To był splot nieszczęśliwych wypadków.

– Każdy nazywa to, jak chce.

Inspektor westchnęła.

– Zacznę z innej strony. – Przyglądziła dłonią garsonkę i spojrzała na Rudnicką. – Gangster o pseudonimie Pułkownik jest twoją rodziną.

– Rodziny się nie wybiera.

– Znam twoją przeszłość i wiem, że twoje życie nie należało do najłatwiejszych, ale...

– Czy ja trafiłam na jakąś terapię? – przerwała jej Lena. – Proszę nie rozkładać mojego życia na czynniki pierwsze. Mam świadomość, że jest beznadziejne, i ciągle próbuję coś z tym zrobić, ale mi nie wychodzi. – Uniosła palec. – Uprzedzę twoje pytanie. Potrafię odróżnić pracę od życia rodzinnego. I nie. Nie współpracowałam z Pułkownikiem, notabene moim wujem, i nie zaplanowałam akcji, w której zginęło dwóch gliniarzy. Pułkownik zmienił zdanie co do transportu w ostatniej chwili. Wystawił mnie. Ale to już mówiłam w swoich zeznaniach i wszystko masz w tej teczce przed sobą.

Inspektor chyba nie spodziewała się aż tak długiej wypowiedzi.

– Gdybym wiedziała, że to podpucha, nie informowałabym Myśliwskiego – dodała Lena.

– Nie było cię na miejscu zdarzenia.

– Sądziś, że nie chciałam ryzykować i grzecznie czekałam z Pułkownikiem parę kilometrów dalej, tak?

– Nie to miałam na myśli.

Rudnicka zaklęła pod nosem. Śmierć policjantów na służbie to tragedia dla całej komendy.

– Po co mnie wezwałaś? – zapytała.

– Wiele przeszłaś, Leno.

– Bywały gorsze momenty.

Inspektor pokiwała głową. Nie wątpiła w uczciwość Rudnickiej i mimo plotek, jakie krążyły po komendzie, trzymała stronę Leny. Mówiło się, że komisarz celowo wprowadziła policjantów w błąd. W końcu Pułkownik to jej wujek, bliska rodzina. Borkowska nie wierzyła w jej złe intencje, ale musiała zareagować i wyciągnąć konsekwencje. Przeciwstawiła się naciskom z góry i udało jej się wynegocjować najłagodniejszą karę. Chociaż miała świadomość, że Lena może odebrać to zupełnie inaczej.

– Zostałaś ranna – powiedziała. – Dla policjanta jest to bardzo trudne doświadczenie.

– Daję radę.

– Fizycznie może tak.

Rudnicka zmierzyła ją wzrokiem.

– Porwał cię i więził seryjny morderca – ciągnęła inspektor. – Zostałaś ranna, a potem na własne życzenie wypisałaś się ze szpitala i wzięłaś udział w strzelaninie.

– Do czego zmierza ta rozmowa? Jestem zawieszona?

– Jesteś dobrą policjantką, świetną w swojej robocie i bardzo dla nas cenną.

– Ale?

– Miarka się przebrała. Praca w tym zawodzie oznacza, że obowiązują nas pewne zasady.

– Mhm.

– Komendant Wolski przymykał oko na twoje zachowanie i przyznam, że po części rozumiem, dlaczego to robił. Twoje metody są niecodzienne, ale skuteczne. Rozwiązywałaś każdą sprawę. Dochodziłaś do prawdy. W tym przypadku koszty okazały się jednak zbyt duże. Zginęli policjanci na służbie.

Rudnicka wstała, wsunęła dłonie w kieszenie spodni i wyjrzała przez okno. Milczała przez chwilę, bijąc się z myślami.

– Pójdiesz na urlop – powiedziała Borkowska. – A potem zostaniesz przeniesiona.

– Przeniesiona?

– Odpoczniesz od wielkich spraw. Będziesz miała czas na przemyślenie wszystkiego.

– Tylko nie do jakiejś pipidówki.

– Lena? – Inspektor również wstała. – To najłagodniejsza kara, jaką udało mi się wynegocjować.

Rudnicka zmrużyła oczy.

- Chcecie się mnie pozbyć. Rozumiem. Może faktycznie powinnam zająć się zwijaniem pijaczków na rowerach. Zawsze o tym marzyłam.
- Mówiłam, że jesteście dla nas cenna. Ale musisz zrozumieć, że...
- Trzeba mnie ukarać dla przykładu. Jasne. – Lena pokręciła głową z niedowierzaniem. Powinna liczyć się z takim obrotem spraw. – Dokąd mam ten przydział?
- To bardzo miły komisariat.
- Komisariat? – zaśmiała się gorzko. – Cudownie...

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V